
OPINIA

KWARTALNIK OŚRODKA MYŚLI NIEPODLEGŁOŚCIOWEJ

Redaguje zespół:

*Marek Albiniaak, Zbigniew Adamczyk, Andrzej Anusz (redaktor naczelny),
Karol Chylak, Andrzej Chytek, Michał Janiszewski (sekretarz redakcji),
Mirosław Lewandowski, Marek Michalik, Mariusz Olszewski, Zbigniew
Śniadecki, Bohdan Urbankowski, Jerzy Wawrowski, Kazimierz Wilk*

Artykuły są recenzowane

Wydawca:

Ośrodek Myśli Niepodległościowej
Instytutu Historycznego NN
im. Andrzeja Ostoja Owianego
ul. Nowy Świat 48/11
00-363 Warszawa

e-mail: ihoo@o2.pl

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Przedruk możliwy za podaniem źródła

Wszystkie dotychczasowe numery pisma dostępne na stronie ihoo.pl

ISSN 2352-5725

Skład, łamanie i druk:

Akces, Warszawa

Opinia nr 24 ukazała się przy wsparciu i pod patronatem
Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych.



KORNEL, PRZYWÓDCA PODZIEMIA

Kornel Morawiecki, założyciel i wieloletni lider antykomunistycznej Solidarności Walczącej odszedł 30 września 2019 r. pod koniec swojej pierwszej poselskiej kadencji, parę dni wcześniej przyznano mu Order Orła Białego. W ostatnich słowach wezwał syna – premiera do budowania zgody narodowej. Zawsze był radykałem, nigdy człowiekiem konfliktu, szanował i kochał ludzi

Komunistycznej służbie bezpieczeństwa wymykał się przez sześć lat. W nocy z 12 na 13 grudnia 1981 roku w pozostaniu na wolności pomógł mu przypadek: z powodu siarczystego mrozu jego mały fiat 126p nie odpalił, więc kierowca pozostał na noc u łączniczki. Potem nie kusił już losu, po powołaniu wiosną 1982 roku Solidarności Walczącej stał się najbardziej profesjonalnym konspiratorem. Również po zatrzymaniu przysparzał komunistom dalszych kłopotów. Wyrzucony z Polski, powrócił przez zieloną granicę. Przegrał dopiero z Okrągłym Stołem, ale po ponad ćwierćwieczu symbolicznie powrócił do wielkiej polityki jako marszałek senior Sejmu kadencji 2015–2019.

Latem 1990 roku jeden z autorów tego tekstu miał okazję – którą po upływie trzech dekad ocenia jako zaszczyt – jako 25-letni dziennikarz relacjonować dla „Gazety Wyborczej” konferencję prasową Kornela Morawieckiego, który wtedy oznajmił, że wychodzi z podziemia i zakłada Partię Wolności ze struktur Solidarności Walczącej. Ta ostatnia miała już wówczas za sobą osiem dumnych lat historii.

Powstali, żeby walczyć

Solidarność Walcząca Kornel Morawiecki powołał wiosną 1982 roku jako organizację otwarcie antykomunistyczną, za cel stawiającą sobie obalenie ustroju i odzyskanie niepodległości przez Polskę – jej postulat wcześniej już podniosły Konfederacja Polski Niepodległej w 1979 roku oraz Niezależne Zrzeszenie Studentów w 1981 roku. Rola KPN pozostaje oczywista, ale warto też zwrócić uwagę na znaczenie zgłoszenia jej kwestii przez oficjalnie działającą, bo zarejestrowaną przez władze organizację studencką. „Za podstawowe wartości Niezależne Zrzeszenie Studentów uznaje: wolność jednostki, sprawiedliwość społeczną, demokrację i niepodległość narodową (...) Najpełniejszym wyrazem samostanowienia narodu jest suwerenność państwa” – czytamy w projekcie deklaracji ideowej NZS z 1981 roku¹. Pierwszy o przywróceniu niepodległości mówił późniejszy założyciel KPN Leszek Moczulski na wykładzie w poznańskim mieszkaniu Restytuta Staniewicza w 1973 roku. Powstała sześć lat później miała już tę niepodległość w nazwie. **Morawiecki miał więc do czego nawiązywać. I pozostało mu wpisanie słowa z walką związanego do nazwy własnego ugrupowania.** Nawet pewien wyrzut się w niej zawierał. Łagodny, jak osobowość Kornela. Chociaż to nie on okazał się jej pomysłodawcą.

„Nazwę zaproponował chyba Tadek Świerczewski” – wspominał w ćwierć wieku później Morawiecki. „Paweł Falicki miał inne zdanie. Uważał, że w tłumaczeniu na angielski może to robić wrażenie, że jesteśmy związkiem terrorystycznym. Stało jednak na tym, że będziemy Solidarnością Walcząca”². Konspiracja szybko się profesjonalizowała, przyjęto zasadę, że każdy działacz z jej czołówki ma dublera, zdolnego przejąć jego zadania po aresztowaniu. Z jednym pewnie wyjątkiem. Jedynym, który zaprzeczał powiedzeniu, że nie ma ludzi niezastąpionych okazał się **Kornel Morawiecki. Prawie sześć lat skutecznie ukrywał się przed bezpieką, która dopadła go dopiero w listopadzie 1987 roku. Dla porównania: Zbigniew Bujak przetrwał w ukryciu do maja 1986**

¹ Andrzej Anusz, *Nielegalna polityka*, Akces, Warszawa 2019, s. 340–342.

² *Kornel. Wywiad z przewodniczącym Solidarności Walczącej Kornelem Morawieckim*, rozmowa Artur Adamski, Kontra, Wrocław 2007, s. 107.

roku, co i tak stanowiło ogromne osiągnięcie, pozostałych przywódców podziemnej Solidarności wyłapano wcześniej.

Z Wałęsą byli jak Piłsudski z Dmowskim

Powołując Solidarność Walczącą Kornel Morawiecki nie zamierzał oczywiście wspomagać istniejącego już od prawie dwóch lat – w tym pół roku w podziemiu – NSZZ „Solidarność”. Chciał stworzyć alternatywę dla zbyt ugodowego – jego zdaniem – kierownictwa „Solidarności pracowniczej” jak ją wtedy z lekkim przekąsem nazywano wśród radykałów. Faktem również pozostaje, że Tymczasowa Komisja Koordynacyjna ze Zbigniewem Bujakiem, Bogdanem Lisem, Władysławem Frasyniukiem i Władysławem Hardkiem (tworzyli pierwszy skład powołanej 22 kwietnia 1982 roku TKK) nie miała wtedy pomysłu na skuteczne funkcjonowanie podziemia. A konkurenci rwali się do działania.

„Nie chodziło o to, żeby głosić idee negocjacji, a w ich następstwie porozumienia z komunistami, czego trzymały się władze podziemnej Solidarności (...)” – wspomina po latach Rafał Grupiński, jeden z założycieli Solidarności Walczącej w Poznaniu. „Radziliśmy, żeby pamiętać o tym, że komuniści już raz porozumienia siłą złamali – 13 grudnia wyprowadzili czołgi na ulice”³.

Ewa Kubasiewicz, skazana w stanie wojennym na 10 lat więzienia, relacjonuje w książce Alfreda Znamierowskiego „Zaciskanie pięści”: „Solidarność Walcząca» musiała kryć się szczelnie nie tylko przed ubecją, ale również przed tymi spośród naszych kolegów związkowych, którzy traktując nas jako konkurencję, zwalczali nas nie przebierając w środkach (...). Prowadzono energiczne śledztwo w sprawie składu personalnego i o swoich przypuszczeniach i podejrzeniach mówiono głośno w mieszkaniach gdzie wiadomo było wszystkim, że są zainstalowane podsłuchy”⁴. Za przesadne uznaje te zarzuty cytowany już wcześniej Grupiń-

³ Rafał Grupiński, *Polityka i kultura*, rozmawia Łukasz Perzyna, Wyd. Prószyński i S-ka, Warszawa 2019, s. 77–78.

⁴ Alfred Znamierowski, *Zaciskanie pięści. Rzecz o Solidarności Walczącej*, Editions Spotkania, Paryż 1988, s. 7.

ski, który zarówno zakładał SW w Poznaniu jak nie zaprzestał działań w Solidarności pracowniczej. I on jednak przyznaje, że rywalizacja niekiedy przybierała formy niezbyt szlachetne. Struktury Solidarności przejmowały sprzęt przeznaczony imiennie dla SW. Biuro Solidarności w Brukseli nie dzieliło się z nią żadnymi środkami finansowymi. **Wspomagał za to radykałów Jerzy Giedroyc ze swoją „Kulturą” paryską oraz Komitet „Solidarność z Solidarnością” Ireny Lasoty. Chętni do pomocy, dostarczania papieru oraz do zbiorów finansowych pozostawali też Zieloni niemieccy, z którymi – jak wspomina Grupański – działacze polskiego podziemia spierali się o ocenę marksistowskiego reżimu Daniela Ortegi w Nikaragui. Zieloni pozostawiali symetrystami, którzy twierdzili, że ZSRR rękami przeszkolonych u siebie generałów robi w Polsce to samo, co USA w Ameryce Łacińskiej, stąd brała się ich – równie symetryczna – sympatia zarówno dla radykalnych odłamów naszej opozycji co dla czerwonej junty nikaraguańskiej, zwalczanej przez finansowanych przez Ronalda Reagana „contras”.**

Zaś z dzisiejszej perspektywy spory między głównym nurtem Solidarności, skupionym wokół Lecha Wałęsy a radykałami z lat 80 mają takie znaczenie, co wzajemna wrogość Józefa Piłsudskiego i Romana Dmowskiego: jak w wypadku tamtych, historycy i tak uznają, że zaciekle się zwalczając zadziałali komplementarnie na rzecz odzyskania przez Polskę niepodległości.

Autorska formacja Morawieckiego

Jedno wydaje się pewne, chociaż akademiccy historycy przestrzegają, że spekulowanie w ich nauce nie ma sensu: **tak jak KPN nie powstałaby nigdy bez Leszka Moczulskiego, tak bez Kornela Morawieckiego nie byłoby Solidarności Walczącej.** Organizacji, która rychło stała się potęgą nie tylko we Wrocławiu, gdzie była najmocniejsza. Wydawała około stu czasopism. Nadawała audycje radiowe. Współtworzyli ją ludzie tak dla polskiej opozycji istotni jak znany z brawurowych i wielokrotnych ucieczek z więzień i aresztów Maciej Frankiewicz, dawny przywódca strajku w gdyńskiej stoczni w sierpniu 1980 roku Andrzej Kołodziej,

naukowiec Wojciech Mysłlecki czy student Grzegorz Schetyń. Ale to fizyk Kornel Morawiecki, dawny wykładowca akademicki, wszystkich ich wokół siebie skupił.

Gdy pojawiła się wątpliwość, czy pomagać dezterterowi ze stacjonującej w Polsce Armii Radzieckiej, a współpracownicy sugerowali, że może on być prowokatorem z GRU – sprawę rozstrzygnął sam Morawiecki. To **dzięki niemu szukający wolności rosyjski żołnierz został uratowany od kary śmierci**.

Jego charyzma – jak byśmy dzisiaj powiedzieli *soft* – nie wiązała się wyłącznie z polityką. Opowiadano, że **przyjął pod własny dach bezdomnego: umieścił w letnim domu**, potem jakieś trwałe lokum mu znalazł.

Kobiety kochał... z wzajemnością

W odróżnieniu od wielu byłych opozycjonistów choćby Andrzeja Gwiazdy czy Krzysztofa Wyszowskiego, którzy uznają, że jak kiedyś walczyli to im teraz wszystko wolno – maniery miał doskonałe, podejście do kobiet szarmanckie. Jednemu z autorów tego tekstu przypominało się to rok temu na korytarzu sejmowym, gdy goryle premiera bezpardonowo odpychali pragnące się czegoś dowiedzieć od młodszego Morawieckiego dziennikarki. Tak się składa, że w krajach postkomunistycznych niektórzy ochroniarze polityków gębami i zachowaniem przypominają bandytów. Na Zachodzie to normalni urzędnicy... trochę szersi w barach. Współautor tego artykułu pamięta też, co wtedy powiedział do kolegów z jednej z prywatnych stacji telewizyjnych:

– Szkoda, że premierem nie jest stary Morawiecki. On by na to nie pozwolił.

Właśnie kwestii traktowania kobiet dotyczyła bowiem pierwsza rozmowa Kornela z funkcjonariuszami, którzy go w 1987 roku zatrzymali. Kajdanki założono nie tylko jemu, ale także towarzyszącej mu Hannie Łukowskiej-Karniej. Jak wspominał sam Morawiecki: *„Powiedziałem: Panowie, na moich rękach kajdanki są uzasadnione. Ale nie ma jakichkolwiek powodów, by skuwać kobietę, ze strony której absolutnie nic wam*

nie grozi. Popatrzyli po sobie, ktoś tam kiwnął głową i zdjęli Hani kajdanki”⁵.

Stosunek Kornela Morawieckiego do kobiet już w innym aspekcie – wielkiego powodzenia u nich i to w każdym wieku **czynił go atrakcyjnym bohaterem brukowców**. Tych nie interesowały bohaterskie czyny z przeszłości. Ale podboje taty premiera – tak. A kobiety Kornela uwielbiały, chociaż ofiarność w życiu publicznym zmuszała go do pewnej abnegacji. Kiedyś na porannym briefingu w Sejmie pojawił się z krwawiącą jeszcze szramą na brodzie. Spieszył się, a wiadomo, że – jak na prawdziwego mężczyznę przystało – golił się brzytwą. I efekt gotowy...

Raz brat-łata, raz profeta...

Komuniści wyrządzili mu wiele złego, ale mściwość była mu obca. Znamy co najmniej jednego byłego czerwonego dziennikarza, któremu Morawiecki dawał zarobić i popracować w swojej „Gazecie Obywatelskiej”. Niestety dobroć Kornela przyczyniła się do słabości pisma: nie chciał podziękować podwładnym, którzy się do roboty nie nadawali, więc tytuł przyciągał żurnalistów powyrzucanych z innych mediów.

Na początku lat 90. jeden z autorów tego tekstu słuchał Kornela Morawieckiego, który na mityngu, nawiązując do spotkania, jakie na Malcie odbyli Michaił Gorbaczow i George Bush senior – przestrzegł, że dla Polski ta Malta to może być nowa Jałta. Wtedy wydawało się to egzotyczną obawą. Dziś znamy rolę, jaką odegrał Bush senior w wyborze generała Wojciecha Jaruzelskiego na prezydenta w parę tygodni po sromotnie przegranych przez PZPR wyborach czerwcowych 1989 roku. A także obserwujemy nadskakiwanie Władimirowi Putinowi przez Donalda Trumpa. I Kornel Morawiecki jako autor przypominanej opinii wydaje nam się nie ekscentrykiem – jak w chwili, gdy ją formułował – lecz wizjonerem. Z wieloma innymi jego poglądami będzie zapewne podobnie.

Jeszcze w podziemiu wydał znaczek poświęcony walce Ukrainy o niepodległość, w który obok innych symboli wkomponowany był znak

⁵ *Kornel...* op. cit, s. 177.

Tryzuba. Wtedy go za to również w opozycji atakowano, teraz widać, że umiał przewidzieć, do jakiej tradycji nawiąże przyszła niepodległa Ukraina. Wówczas konteksty były inne, zwłaszcza we Wrocławiu, którego tytułu mieszkańców pochodziło z Kresów, w tym z Wołynia i Podola. I nie tylko tam. Jerzy Narbutt w latach 80. całkiem poważnie pytał Morawieckiego, kto go upoważnił do zrzeczenia się Lwowa i Wilna, co idąc za przykładem Juliusza Mieroszewskiego i Jerzego Giedroycia rzeczywiście uczynił.

Paradoks sprawił, że aresztowanie Morawieckiego w 1987 roku nie było wcale największą jego porażką. **Wywieziony przez władzę z kraju do Włoch, spotkał się w Watykanie z papieżem Janem Pawłem II i po pierwszej nieudanej próbie powrotu rejsowym samolotem pod własnym nazwiskiem – trafił już przez zieloną granicę do Polski,** która zmieniała się w kierunku, którego nie akceptował, symbolizowanym przez Magdalenkę i Okrągły Stół. W żadnym z tych miejsc Solidarności Walczącej nie było, podobnie jak KPN, ale w odróżnieniu od Konfederacji – nie poszła ona również do wyborów czerwcowych 1989 roku chociaż bezskutecznie wystartowali w nich kandydaci z nią kojarzeni jak Jan Waszkiewicz z Wrocławia. To zdecydowało o ćwierćwieczu nieobecności jej lidera w wielkiej polityce. Chociaż okazał się jednym z najbardziej zasłużonych dla powrotu demokracji i niepodległości.

Znamy casus Winstona Churchilla, który wygrał wojnę po czym przegrał demokratyczne wybory i już na finiszu pokojowej konferencji poczdamskiej jego ojczyznę reprezentował nowy premier Clement Attlee. O Kornelu Morawieckim można powiedzieć, że był jednym ze zwycięzców zimnej wojny, ale nie szło mu w demokracji. Jesienią 1990 roku nie udało mu się nawet zarejestrować własnej kandydatury na prezydenta, dwie dekady później w wyborach był ostatni. Do rządzącej polską polityką konwencji castingu całkiem nie pasował. Pośłem został dopiero po ćwierćwieczu wolności w kraju, z listy Kukiz'15 w 2015 roku. Przegrywał wielokrotnie, ale nie stracił ludzkiego szacunku i sympatii.

Żart, który by mu się spodobał

Opacznie zrozumiano jego słowa o tym, że wola ludzi jest ważniejsza od przepisów prawa. Nie miał wtedy na myśli, że prawo należy łamać – tylko że nie powinno być zwrócone przeciwko człowiekowi. Jak tyle razy w historii.

Gdy w Sejmie zagłosowała za niego Małgorzata Zwiercan – zresztą prawdziwa i dzielna bohaterka konspiracji sprzed 1989 roku – zrobił się straszny skandal. Efektem okazało się rozstanie Morawieckiego z Pawłem Kukizem. Próbował zbudować coś własnego. Przekonań nie zmieniał. A incydent z głosowaniem wspomina się dziś nie w kategoriach afery, lecz anegdoty. Nawet w okolicznościach... najsmutniejszych z możliwych.

W pierwszych dniach października 2019 w Sejmie wystawiono księgę pamiątkową ku czci Kornela Morawieckiego i dziennikarze przyglądali się, kto do niej podchodzi.

– Zwiercan była, wpisała się – zauważył jeden.

– Jedną ręką czy obiema? – spytał natychmiast drugi.

Znając Kornela, możemy być pewni, że ten żart by mu się spodobał. Poczucie humoru miał bowiem również na własnym punkcie.

Charakterystyczne, że **kiedy Zwiercan zagłosowała za niego i powstał cały ten zgiełk** – poseł Morawiecki nawet przez chwilę nie próbował modnej wśród polityków taktyki „to nie ja, to ona”. Od razu oznajmił, że sam koleżankę o to poprosił na wypadek, gdyby się spóźnił. **Winę wziął po prostu na siebie.**

Wobec ludzi dawnej opozycji pozostawał lojalny, stanowili ważną dla niego wspólnotę, zawdzięczając mu wiele zarówno ci, których znał osobiście, jak wszyscy pozostali.

Kornel Morawiecki został Przewodniczącym Rady do Spraw Działaczy Opozycji Antykomunistycznej oraz Osób Represjonowanych z Powodów Politycznych działającej przy Szeffie Urzędu do spraw Kombatantów Janie Józefie Kasprzyku. Pod kierunkiem Kornela Rada przygotowała projekt nowelizacji ustawy z dnia 20 marca 2015 roku o działaczach opozycji antykomunistycznej oraz osób represjonowanych

z powodów politycznych który przewiduje dla osób objętych tą ustawą a których emerytura jest niższa od średniej emerytury wg ZUS-u podniesienie tego świadczenia do tej średniej. Nie może być tak że osoby walczące i będące ofiarami systemu komunistycznego mają emerytury niższe niż ich prześladowcy ze Służby Bezpieczeństwa. Projekt ustawy został przekazany do Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, gdzie zadeklarowano jego poparcie. Uchwalenie tej ustawy mogłoby stać się elementem testamentu politycznego Kornela Morawieckiego.

Kornel w „nielegalnej polityce”

Jeden z autorów tego tekstu będący Sekretarzem Rady do ostatnich dni życia utrzymywał kontakt z ciężko chorym Kornelem. Na kilka tygodni przed śmiercią Kornel spotkał się z nim i w trakcie rozmowy otrzymał książkę pt.: *Nielegalna polityka*. W jej zakończeniu napisano: „Zadaniem tej pracy było ukazanie w wielu płaszczyznach zjawiska drugiego obiegu politycznego w PRL w latach 1976–1989. Wydarzenia z tych lat w Polsce stanowią w teorii społeczeństwa obywatelskiego swego rodzaju fenomen. W okresie tym pojawiły się nowe zjawiska społeczne, do których zaliczam zjawisko drugiego obiegu politycznego. Zjawisko drugiego obiegu politycznego w moich rozważaniach to druga struktura życia politycznego funkcjonująca nieprzerwanie w latach 1976–1989 w PRL – przybierająca różne formy i formuły działania, mająca charakter adaptacyjny do zmieniających się warunków, zmierzająca do zmiany i odrzucenia ówczesnej rzeczywistości politycznej.

Zamierzeniem było ukazanie tego zjawiska w wielu płaszczyznach i z kilku perspektyw badawczych, to znaczy z perspektywy badacza z zewnątrz opisywanego zjawiska, badacza – uczestnika będącego na pograniczu opisu z zewnątrz – wewnątrz, oraz uczestnika – badacza opisującego zjawisko z jego wnętrza.

Do 1976 roku, kiedy po protestach środowisk głównie inteligentnych przeciwko zmianom w Konstytucji oraz po wydarzeniach czerwca 1976 roku związanych głównie z protestem robotników przeciwko podwyżkom cen, kiedy to zaczęła się kształtować jawna opozycja polityczna

wobec systemu, Kościołowi w Polsce przypadała obok religijnej szczególna funkcja polityczna. Polegała ona na roli politycznej opozycji. Od końca lat 70. Kościół coraz bardziej odchodził od swej politycznej funkcji, a rolę tę przejmował drugi obieg polityczny. Kościół przez cały czas poszerzał sferę wolności, jednocześnie tworząc przestrzeń dla drugiego obiegu politycznego. Z jednej strony wspierał powstające instytucje społeczeństwa obywatelskiego, z drugiej coraz bardziej odchodził od swych politycznych funkcji. Proces ten okazał się nieodwracalny, bowiem nawet wprowadzenie stanu wojennego nie było w stanie na trwałe go zahamować.

Zjawisko drugiego obiegu politycznego charakteryzowało się różnorodnością form i formuł działania. Było to ciągle przystosowywanie do zmieniających się warunków politycznych, społecznych i gospodarczych. Wiele środowisk politycznych w kraju nawiązywało do modelu działania paryskiej „Kultury”, to znaczy powiązania sfery polityki z literaturą, co było jedną z najbardziej charakterystycznych cech tego miesięcznika. Charakterystyczne, że Jerzy Giedroyc, spytany w 1986 roku, w czterdziestolecie założenia Instytutu Literackiego, czym dla niego jest „Kultura”: pismem, wydawnictwem czy też ośrodkiem politycznym, wybrał tę trzecią odpowiedź⁶.

Z czasem czytelnictwo i produkcja zakazanych publikacji stały się głównym sposobem uczestnictwa w drugim obiegu politycznym, zakreślając jego kontur organizacyjny. Były jego niewidzialnym rusztowaniem – nie istniał on tam, gdzie nie było choćby gazetki podziemnej przekazywanej z ręki do ręki. W połowie lat osiemdziesiątych w siatce wydawniczej lokowano największe nadzieje na zmiany. Wspomagała ona proces wyłaniania się liderów i głównych organizatorów drugiego obiegu politycznego. Uformowana między innymi pod wpływem lektur drugiego obiegu grupa liderów okazała się w chwili przełomu na ogół prodemokratyczna, pokojowo nastawiona i umiarkowana. Opowiedzia-

⁶ Mateusz Fąkowski, *Biznes patriotyczny. Historia Wydawnictwa CDN*, Warszawa–Gdańsk 2011, s. 100.

ła się przeważnie za negocjacjami, a nie bardziej rewolucyjną zmianą systemu w 1989 roku⁷. Warto w tym miejscu podkreślić, że rola polityków ukształtowanych w drugim obiegu politycznym w polityce okresu 30 lat wolnej Polski była istotna. Dlatego poznanie, w jakich warunkach się kształtowali i funkcjonowali również dla współczesnych analiz może być interesujące.

Trzeba podkreślić, że pełne zaangażowanie poszczególnych jednostek w drugim obiegu politycznym w okresie 1976–1989 mogło wynosić od kilkuset do kilkunastu tysięcy osób. Trzeba zauważyć, że grupa ta była środowiskiem zmiennym, jedni odchodzili (z różnych powodów: represje, emigracja, sytuacja życiowa), drudzy dochodzili. Stosunkowo stabilna była grupa liderów drugiego obiegu politycznego. Należy wymienić w tym miejscu Jacka Kuronia, Antoniego Macierewicza, Leszka Moczulskiego, Lecha Wałęsę, Kornela Morawieckiego.

Działania drugiego obiegu politycznego mogły liczyć na wsparcie społeczne, szczególnie było to widoczne w okresie tzw. karnawału Solidarności, tzn. jej legalnego działania w latach 1980–1981. Jednak wsparcie to podlegało wyraźnym wahaniom, o czym świadczy wyraźny spadek tego poparcia w połowie lat 80. To właśnie w tym momencie nowy impuls w działalności niezależnej dały takie inicjatywy (głównie z udziałem ludzi młodych), jak Ruch Wolność i Pokój, Pomarańczowa Alternatywa, Federacja Młodzieży Walczącej i odradzające się Niezależne Zrzeszenie Studentów. Odwoływały się one do konkretnych problemów, np. sprawy odmowy służby wojskowej, sytuacji socjalno-bytowej środowiska akademickiego. Okazało się to decydujące dla sukcesu tych przedsięwzięć.

Jednak podstawową rolę w zwycięstwie drugiego obiegu politycznego odegrał niezależny ruch wydawniczy, który przez cały analizowany przeze mnie okres rozwijał się i stworzył sieć, która połączyła różnorodne inicjatywy wzajemnie je wzmacniając i w efekcie doprowadzając do osta-

⁷ Paweł Sowiński, *Zakazana książka: uczestnicy drugiego obiegu 1977–1989*, Warszawa 2011, s. 295.

tecznego sukcesu. Drugi obieg polityczny przewyciężył ten pierwszy totalitarny i stworzył podwaliny pod budowę niepodległej i demokratycznej Polski”.⁸

Kornel Morawiecki w tym zwycięstwie miał ogromny udział.

⁸ Andrzej Anusz, op. cit., s. 651–653.



DR KORNEL MORAWIECKI

„ORDYNACJA WOLNOŚCIOWA”



Zewsząd słyszymy hasła innowacyjności, nowoczesności, zmiany. Ale ustrojowy klimat, w jakim tkwiliśmy i jaki kształtowaliśmy przez ostatnie 27 lat, hasłom tym wyraźnie nie sprzyjał.

Szczytne zadanie

Polacy, twórcy „Solidarności”, po przełomie 1989 roku nie zaproponowali sobie i innym niczego oryginalnego. Rządzące autorytety i środki przekazu nie zdobyły się nawet na elementarny namysł. Czy wychodząc z realnego socjalizmu, byliśmy materialnie i mentalnie gotowi do skoku

w realny kapitalizm? Koszty powszechnie przyjętej doktryny naśladownictwa płacimy do dziś.

Oczywiście wdrażanie nowych społecznych rozwiązań wiąże się z ryzykiem. Winno być dyskutowane, testowane. Jednak rozpowszechniony pogląd, że eksperymenty są dobre tylko na szczurach, przyniósł więcej szkody niż pożytku.

Nie da się twórczo uczestniczyć w wyścigu jedynie małpując zastane metody. Nowości zweryfikowane przez nas mogą przydać się też innym. To szczytne zadanie naszej narodowej wspólnoty.

Ordynacje stosowane

Od lat toczy się w Polsce spór o ordynację wyborczą. Cały czas spieramy się na bazie tradycyjnych ordynacji; proporcjonalnej, większościowej (JOW) i mieszanej. Ordynacja proporcjonalna jest upartyjniona. Obecność i miejsce na liście zależy od władz partii. Niezależni nie mają szans. Głosy są oddawane praktycznie na liderów list. Jeśli oni zbiorą ich wystarczająco dużo, to poza nimi do parlamentu wchodzi kandydaci z niewielkim poparciem, ale wystawieni przez słabsze ugrupowania. Demokracja zamienia się w partiokrację. Blokują to dostęp nowych ludzi i idei do sceny politycznej.

Stosowanie ordynacji większościowej zwłaszcza w wersji wyborów w jednej turze (JOW), doprowadza do dominacji dwóch ugrupowań, które okresowo wymieniają się władzą. Szanse kandydatów spoza takiego układu – i bez olbrzymich pieniędzy – są minimalne. Choć nie ma progów wyborczych to istotne elektoraty nie uzyskują reprezentacji w parlamencie. Wyjście na scenę polityczną jest bardzo trudne. Głosy na kandydatów spoza głównych partii są marnowane. Kandydaci niezależni się nie liczą.

Ordynacja mieszana, w których część posłów wybierana jest proporcjonalnie, a część większościowo próbuje neutralizować niedostatki obu systemów.

Kwestie te były teoretycznie i publicystycznie szeroko omawiane. I co z tego? Niedawno Irlandia wprowadziła własny, gdzie indziej nie stoso-

wany kodeks wyborczy. Po co? Żeby uniknąć wad jakimi obarczone są powszechnie przyjęte warianty.

Ordynacja wolnościowa

Jednym z naczelnych duchowych dążeń ludzi jest zwiększenie zakresu wolności. Czyli poszerzenie możliwości wyborów. Im większy masz wybór, tym większa jest twoja wolność.

Od paru lat próbuję się przebić z moim pomysłem ordynacji wolnościowej. Ostatnio specjalista z Politechniki Wrocławskiej prof. Zdzisław Ilski zwrócił mi uwagę w dwutygodniku „Obywatelska”, że podobne idee przedstawili w latach siedemdziesiątych XX wieku amerykańscy politolodzy Steven J. Brams i Peter C. Fishburn.

Rdzeń pomysłu polega na tym, że wyborca nie jest zmuszany do głosowania na jednego wybranego kandydata, ani na jedną opcję polityczną. Może swe poparcie udzielić tylu ilu chce kandydatom zarejestrowanym na liście wyborczej. Taka ordynacja daje każdemu więcej wolności. Ten sposób wyboru można stosować tak w wielo- jak i w jednomandatowych okręgach wyborczych.

Możesz stawiać krzyżyki przy wszystkich tych kandydatach których uważasz za godnych twego poparcia. Jednych możesz cenić osobiście, z innymi możesz identyfikować się poprzez ich partyjną czy grupową przynależność. Przy tym jeśli częściowo zgadzasz się z poglądami jednej, a częściowo z poglądami innej partii, możesz głosować na kandydatów obu czy więcej partii. Zawsze możesz głosować na kandydatów niezależnych.

Wybrani zostają ci kandydaci, w ramach liczby mandatów w okręgu, którzy dostali najwięcej krzyżyków. W okręgu jednomandatowym ten, na którego zagłosowało najwięcej wyborców. Tak jak w tradycyjnej ordynacji większościowe odpadają ci, którzy dostali mniej głosów od wybranych.

Jest oczywiste, że głosując w takiej ordynacji na wielu kandydatów każdemu z nich udzielasz swego poparcia. Daje to możliwość uwzględnienia w akcie wyborczym twych subiektywnych sympatii i preferencji.

Bez ograniczeń

Powszechnie używana ordynacja każe głosować na jednego kandydata, albo co najwyżej na tylu ile jest mandatów w okręgu. Unieważniają twój wybór będący w niezgodzie z takimi wymaganiami. Dlaczego mamy poddawać się takim ograniczeniom? Co stoi na przeszkodzie żebyśmy je zwyczajnie odrzucili?

Głosowanie na tych wszystkich, których uważasz za godnych poparcia, pozwala w efekcie na zwiększenie reprezentatywności wybranych.

Otrzymują więcej głosów niżby mieli w ordynacjach ograniczających możliwości wyboru. Ordynacja wolnościowa pełniej wyraża zbiorową wolę i wyłania wierniejszą tej woli reprezentację społeczną. Przy tym wejście do politycznej gry w parlamencie do tworzących się ugrupowań i ciekawych ludzi jest znacznie łatwiejsze niż w obecnych ordynacjach. Nie ma też głosów nieważnych. Ważny jest głos oddany na jednego kandydata, na wszystkich na liście, jak i na żadnego z nich.

Ale najważniejsze; ten prosty system wyborczy poszerza obszar wolności każdego z nas.

Tekst ukazała się w „Opinii” nr 10 wiosna 2016

SPIS TREŚCI

ZBIGNIEW ANDRZEJ ADAMCZYK

Rocznica na cmentarzu	23
75. rocznica operacji „Ostra Brama” „Tam, gdzie biją polskie serca, tam jest Polska!”	29
„Bez tego groby wołyńskie dalej będą krwawić”	37

ZBIGNIEW ANDRZEJ ADAMCZYK

Maciej Stanisław Jankowski (1946–2019)	43
Żołnierze 2. Korpusu Polskiego z armii niewolników stali się armią, która niosła wolność ..	48
„Gdy chowają pułkownika, to i niebo płacze”	52
LIV Marsz Szlakiem I Kompanii Kadrowej	55
„Wy wszyscy walczyliście o to samo – o wolną Polskę”	65
75. rocznicę bitwy oddziałów Armii Krajowej pod Pecynką	71
Centralne obchody 80. rocznicy wybuchu II wojny światowej	77

MIROŚLAW LEWANDOWSKI

Uroczysta prezentacja znaczka pocztowego emisji „40. rocznica utworzenia Konfederacji Polski Niepodległej”	82
---	----

ŁUKASZ PERZYNA

„Nielegalna polityka” budzi emocje	89
--	----

MIROŚLAW WIDLICKI

Widowisko historyczne „Zrzut cichociemnych ZAPORA 2019”	94
Krakowskie obchody jubileuszu 40-lecia utworzenia Konfederacji Polski Niepodległej ..	104

MIROŚLAW LEWANDOWSKI

23 numer „Opinii” nurtu niepodległościowego – wydanie specjalne 2019	110
Pożegnanie Kornela Morawieckiego	118
Promocja albumu „Na szlaku Kadrówek 1981–1989”	121

DR JERZY BUKOWSKI

Okiem filozofa spod kopca Piłsudskiego	129
--	-----

DR DARIUSZ MACIEJ GRABOWSKI

O ekonomii i nie tylko	146
------------------------------	-----

SPIS TREŚCI

ZBIGNIEW ANDRZEJ ADAMCZYK

Z cyklu: Wspomnienia o ludziach Konfederacji Polski Niepodległej.

Dr Jacek Prusiński (1938 – 2008)157

DR BOHDAN URBANKOWSKI

Rozmowy z wierszami171

EWA RÓŻYCKA

Ona, „Z innej bajki”196

JAROSŁAW KAJDAŃSKI

Z cyklu „Kątem oka”205

WOJCIECH LEWICKI

Pokolenie buntu217

Miało być bojowo. Taki mieliśmy pomysł. Z Tomaszem Roguskim założycielem

i działaczem Federacji Młodzieży Walczącej rozmawia Łukasz Perzyna227

W kręgu FMW. Z Arturem Dąbrowskim rozmawia Wojciech Lewicki238

ADAM GOLAŃSKI

O młodych walczących250

JAROSŁAW WĄSOWICZ SDB

Wspomnienia z działalności w Federacji Młodzieży Walczącej.269

MARIUSZ NOSARZEWSKI

Miniony czas.283

MARIUSZ A. WIECZORKOWSKI

Powrót demonów291

JAROSŁAW ŻUKOWSKI – FMW WARMII I MAZUR

Kętrzyńska konspiracja301

Wiesław Gęćcki jeden z niezłomnych. We wspomnieniach przyjaciół.317

MIROSLAW LEWANDOWSKI

Niepoprawna opowieść o wojnie w Bośni337

**WYDARZENIA
I
UROCZYSTOŚCI**

ROČZNICA NA CMENTARZU

26 czerwca 2019 roku w pierwszą rocznicę śmierci **IRENEUSZA GŁAŻEWSKIEGO** grupa znajomych i przyjaciół spotkała się przy Jego grobie. Irek odszedł niespodziewanie i zdecydowanie przedwcześnie. Miał zaledwie 58 lat. Został zapamiętany jako zdeklarowany antykomunista, który swoim działaniem wielokrotnie udowodnił jak bliska jest Mu niepodległa Polska. Polska bez sowieckich wojsk, Polska z wolnymi wyborami, Polska silna i suwerenna. Irek przez wiele lat był aktywnym członkiem Konfederacji Polski Niepodległej, uczestniczył w wielu kampaniach wyborczych: prezydenckich, parlamentarnych i samorządowych. Był radnym, sędzią sportowym i społecznikiem. Należał do Świa-



towego Związku Żołnierzy Armii Krajowej. Wiele osób lubiło z nim dyskutować, gdyż nie należał do tych „bijących pianę”. Potrafił bronić swojego zdania przedstawiając konkretne argumenty, nigdy nikogo nie obrażał i nie dąsał się na osoby mające odmienne opinie.

(Pełniejsza charakterystyka Jego osobowości znajduje się poniżej, w dokumentach, które zostały odczytane na rocznicowym spotkaniu.)

Od śmierci mamy – która walczyła w Powstaniu Warszawskim – Irek był osobą w świetle prawa samotną. Jego pogrzeb odbył się na koszt OPS, czyli był bardzo skromny. Również nagrobek nie odbiegał od przyjętych w takich wypadkach standardów:

– kupka piachu i wetknięty w nią skromny drewniany krzyż.

Po roku, może dwóch latach trudno byłoby tam trafić.

W zaistniałej sytuacji **Zarząd Instytutu Historycznego Nurtu Niepodległościowego im. Andrzeja Ostoja – Owsianego** postanowił ufundować **Mu** nagrobek. Po dyskusji ustalono, że będzie miał on wygląd zbliżony do tych, które mają bohaterscy żołnierze polegli pod Monte Cassino.

Prosty, trwały i estetyczny. Realizacja nie była prosta, gdyż przepisy są w takich wypadkach mocno rygorystyczne, bowiem osoby fizyczne nie będące członkami rodziny zmarłego, a także prawne, muszą uzbroić się w cierpliwość zanim zakończą się niezbędne procedury. Trzeba przyznać, że wszystkie podmioty wywiązały się znakomicie. Zarówno Zarząd Cmentarzy Komunalnych w Warszawie, Ośrodek Pomocy Społecznej dzielnicy Warszawa Wola oraz Policja bez zbędnej zwłoki wystawiły niezbędne opinie i zgody.

Wielu dobrych rad udzielił nam projektodawca i wykonawca nagrobka pan Jacek Krzywkowski. Mamy podstawy sądzić, że zamówienie naszego Instytutu zostało przez niego potraktowane wyjątkowo. Został zaproszony na tę uroczystość, jednak wstępnie zaznaczył, że nadmiar obowiązków może mu to uniemożliwić. Chcieliśmy mu publicznie podziękować na cmentarzu.

Nie przybył, więc chociaż tą drogą serdecznie mu dziękujemy.

Spotkanie nad grobem rozpoczęliśmy modlitwą...



Następnie odczytałem list Leszka Moczulskiego – Przewodniczącego KPN, który nie mógł być obecny na tym spotkaniu:

IREK

Był jednym z nas.

Przyszł do KPN w szczególnym okresie. Wszystko się zmieniło, poza najważniejszym. Byliśmy po wygranych wyborach, lecz Komitet Obywatelski miał tylko trzecią część miejsc w Sejmie.

Swobodnie wybierano Prezydenta, lecz został nim twórca stanu wojennego. Premier – były poseł w dwóch kadencjach, był z opozycji, ale najważniejsze ministerstwa przejęli ludzie z PZPR. Konstytucja pozostawała bez zmian, szef KGB przyjechał półoficjalnie spotkać się z premierem, dopiero po tej wizycie sformowano nowy rząd. PRL to, czy demokratyczna Polska? Bo o powrocie niepodległości się nie mówiło.

W takiej sytuacji przyszedł do nas Ireneusz Głazewski.

Wtedy wspólnie uderzyliśmy w główne narzędzie sowieckiej hegemonii nad Polską – PZPR. Województwo po województwie, łamaliśmy ich psychikę, usuwając z pozornie niezdobytch twierdz – Komitetów. Potężne w Sejmie i w rządzie, w Kraju, w swoich

reprezentacyjnych budynkach, PZPR okazało się bezsilne. Już po paru tygodniach przywrócono nazwę państwu, usunięto hańbiące przepisy z konstytucji, po paru miesiącach zniknęła PZPR, a jej ministrowie odeszli z rządu. Przynajmniej formalnie – niepodległość została przywrócona, wraz z jej gwarantami, pełną demokracją i rządami prawa.

Wtedy uderzyliśmy w ostatni element zniewolenia, w okupacyjne wojska sowieckie. Przez kilka miesięcy blokowaliśmy większą część ich baz, aż zapadła decyzja o wycofaniu najeźdźców.

Wreszcie przywrócono niezależne wybory prezydenckie, a następnie parlamentarne. KPN weszła do samorządów terytorialnych, Sejmu i Senatu. To pasmo sukcesów na drodze odzyskiwania Polski dla Polaków zakończyło się w mroczny styczniowy dzień, gdy rządząca koalicja współ z post-peerelowskimi partiami odrzuciła w pierwszym czytaniu projekt ustawy o restytucji niepodległości. Skutki odczuwamy do dziś.

W tym wszystkim uczestniczył czynnie Ireneusz Głazewski. I za to chylimy dziś przed nim głowy, dziękując i Jemu, i wszystkim żyjącym i nieżyjącym Konfederatom, którzy pomogli Polsce podnieść się z kolan.

Leszek Moczulski

26 czerwca 2019.

Waldemar Zakrzewski, odczytał wzruszający tekst obrazujący osobowość Irka:

Wspomnienie Przyjaciela

Każda grupa ludzi złączonych ze sobą jakimiś więzami jest jak pejzaż. Chociaż składa się on z różnych elementów, stanowi harmonijną całość. Gdy w pejzażu znika jakiś element, poczucie harmonii ulega zakłóceniu, pojawia się uczucie braku. Kiedy ze wspólnoty ludzkiej ktoś odchodzi, zwłaszcza przedwcześnie i nie-

oczekiwanie, na początku jest szok, niedowierzanie i smutek. Dopiero z czasem uświadamiamy sobie jakie wartości osoba, która odeszła wносиła do naszego wspólnego pejzażu.

Jeśli o kimś można powiedzieć, że jest indywidualistą to Irek był nim w najwyższym stopniu. Jego indywidualizm przejawiał się zarówno w życiu jak i w poglądach. Wystarczyła krótka rozmowa z nim żeby przekonać się, że mamy do czynienia z osobą o silnie uargumentowanych sądach własnych a nie zapożyczonych, człowiekiem, którego nie sposób zasufladkować. Był wręcz entuzjastą logicznego myślenia. To powodowało, że potrafił często wykazać absurdalność jakiejś powszechnie wyznaczonej opinii. Można powiedzieć, że charakteryzował go pewien rys sokratyczny. Zawsze należało się spodziewać, że Irek w pewnym momencie wyrazi jakąś zaskakującą myśl. Przy tym wszystkim nigdy nie deprecjonował poglądów innych osób, nie próbował na siłę przekonywać. Posiadał zmysł właściwie rozumianej tolerancji. Mimo wyrazistych przekonań był otwarty na inne poglądy, ale pod jednym warunkiem, musiały być logicznie uzasadnione.

Irka charakteryzowała wszechstronność zainteresowań, do sportu poprzez politykę a na kwestiach ekonomicznych kończąc. Posiadał zwłaszcza zamiłowanie do ujęć statystycznych w każdej z tych dziedzin. Szczególnie bliskie były mu idee wolnorynkowe – w środowisku KPN-owskim był liberałem rzecz jasna w czystym sensie tego pojęcia. Pod tym względem nie u wszystkich znajdował zrozumienie gdyż w naszym środowisku przekonanie o roli polityki państwa w gospodarce jest licznie reprezentowane. Nie było to jednak żadnym dysonansem, gdyż Konfederacja Polski Niepodległej to zgromadzenie ludzi o różniących się między sobą poglądach szczegółowych, ale ożywionych nadrzędną ideą niepodległości.

Irek właśnie takim Konfederatą był i takim pozostanie w naszej pamięci.

Po tych wystąpieniach kilka osób zabrało głos i wspominało Irka w sposób mniej oficjalny. Nie zabrakło akcentów humorystycznych i bardzo osobistych.

Spotkanie zakończyliśmy złożeniem kwiatów, zapaleniem zniczy i odśpiewaniem hymnu.

Sztandary pochyliły się nad nowym grobem Irka.



Zdjęcia Autora

75. ROCZNICA OPERACJI „OSTRA BRAMA” „TAM, GDZIE BIJĄ POLSKIE SERCA, TAM JEST POLSKA!”

Żołnierzy Armii Krajowej, którzy latem 1944 r. polegli w walce o wyzwolenie Wilna spod okupacji niemieckiej, uczcili w dniach 6-8 VII br. ostatni uczestnicy tamtych wydarzeń, przedstawiciele polskich władz, żołnierze WP, opozycjoniści (w tym liczna reprezentacja Instytutu Historycznego im. Andrzeja Ostoję Owsianego), harcerze, strzelcy oraz rodacy przybyli z Polski, Litwy i Białorusi. Największe dotychczas obchody rocznicowe operacji „Ostra Brama” zorganizował Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych i Ambasada RP w Wilnie.



Uroczystości upamiętniające 75. rocznicę operacji „Ostra Brama” rozpoczęły się w Skorbuscianach. Ta mała miejscowość na Wielkiszczyźnie była miejscem szczególnym dla żołnierzy 7. Brygady Armii Krajowej. To właśnie tu składali przysięgę żołnierską, tu się modlili, stąd wyruszyli na operacje zbrojne, tu oddawali hołd poległym towarzyszom broni. Uczestnicy obchodów wzięli udział w polowej Mszy św. przy kościele w Skorbuscianach, sprawowanej w intencji polskich żołnierzy walczących o wyzwolenie Wilna, po czym oddali hołd spoczywającym w tutejszej kwaterze poległym żołnierzom 7. Brygady Armii Krajowej. Podczas uroczystości Szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych podkreślał fakt obecności na obchodach nielicznych już jeszcze żyjących uczestników wydarzeń sprzed 75 lat:

– Dzisiaj są wśród nas ci, którzy składali przysięgę wierności. I nigdy nie przestali być jej wierni. Dziękujemy Wam za to, że jesteście z nami. Niech Wasza obecność i brzmiące nam w uszach słowa „Przysięgam być wiernym Ojczyźnie mej, Rzeczypospolitej Polskiej” będą dla nas testamentem i drogowskazem, że każdy z nas ma zawsze służyć wiernie Rzeczypospolitej, stać nieugięcie na straży Jej honoru i dbać o to, aby była zawsze wolna, niepodległa i suwerenna – mówił Jan Józef Kasprzyk.



Następnie uczestnicy obchodów zebrali się w Boguszach przed pomnikiem upamiętniającym aresztowanie Sztabu Wileńskiego Armii Krajowej przez NKWD. Po zdobyciu Wilna przez polskich żołnierzy w ramach operacji „Ostra Brama”, Sowietci zaproponowali Armii Krajowej spotkanie w celu ustalenia dalszych planów walki z Niemcami na północno-wschodnich ziemiach polskich. Rozmowy miały się odbyć we wsi Bogusze, jednak zaraz po przybyciu sztabu wileńskiej Armii Krajowej, ponad dwudziestu oficerów partyzantki AK zostało aresztowanych przez NKWD i wywiezionych w głąb ZSRR.

W tym symbolicznym miejscu Minister Kasprzyk zwrócił uwagę na znaczenie walk o Wilno w wymiarze militarnym, politycznym i moralnym:

– Powstanie wileńskie i operacja „Ostra Brama” było wołaniem żołnierzy Armii Krajowej do świata, że Polska jest tutaj, że pretensje Sowietów do tych ziem mają się nijak, ponieważ Polacy są tu gospodarzami – to był wymiar polityczny tego czynu zbrojnego. Operacja „Ostra Brama” była kolejną odsłoną walki dobra ze złem i w tej walce Polacy – jak zawsze – stanęli po stronie dobra. To jest ten wymiar, który pod każdym względem był zwycięski – powiedział, dodając: – W tym miejscu, w Boguszach, oddajemy hołd dowódcom i żołnierzom Armii Krajowej, przywołujemy pamięć pułkownika Aleksandra Krzyżanowskiego – generała „Wilka”, przywołujemy pamięć oficerów podstępnie tu aresztowanych i wywiezionych w głąb Rosji. Przywołujemy pamięć tych znanych i nieznanych z nazwiska blisko 6000 żołnierzy Armii Krajowej, którzy walczyli o świat wartości, w którym słowa „wolność” i „niepodległość” zajmują pierwsze miejsce – zakończył.

Sobotnie uroczystości zakończyły się przed pomnikiem Armii Krajowej usytuowanym między stacjami drogi krzyżowej w Kalwarii Wileńskiej. Tu, w miejscu, gdzie spoczywa kolejnych 32 żołnierzy Armii Krajowej, przybyli oddać hołd polskim wyzwolicielom Wilna również Marszałek Sejmu RP Marek Kuchciński oraz poseł na Sejm Republiki Litewskiej Emanuelis Zingeris. Szef UdSKiOR odczytał list od Premiera RP Mateusza Morawieckiego.



Pierwszy dzień obchodów był również okazją do uhonorowania przez Ministra Kasprzyka działaczy lokalnych w uznaniu za opiekę nad grobami i kwaterami poległych żołnierzy AK, grobami powstańczymi i polskimi miejscami pamięci na terenie Wileńszczyzny, jak również re-



alizację inicjatyw patriotycznych wśród polskiej mniejszości narodowej na Litwie.

Główne uroczystości upamiętniające 75. rocznicę operacji „Ostra Brama” miały miejsce w niedzielę, 7 lipca w Wilnie. Tego dnia Weterani walk o niepodległość RP, w tym ostatni żyjący wyzwolicieli Wilna z lipca 1944 r., odwiedzili cudowny obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej, po czym wzięli udział w uroczystej Mszy św. w kościele pw. św. Teresy w Wilnie. W Eucharystii, sprawowanej w intencji żołnierzy Armii Krajowej z okręgu wileńskiego i nowogródzkiego poległych w walce o wyzwolenie miasta, uczestniczyli również Ambasador RP w Wilnie Urszula Doroszevska, Wiceminister Spraw Wewnętrznych i Administracji Krzysztof Kozłowski, Dowódca Garnizonu Warszawa gen. Robert Głąb, przedstawiciele Ministerstwa Obrony Narodowej, Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Instytutu Pamięci Narodowej.

Następnie, przy Mauzoleum Matki i Serca Syna na Cmentarzu na Rossie, odbył się uroczysty apel pamięci połączony ze składaniem wieńców i wiązanek kwiatów.



– *To jest miejsce święte. To jest jedno z tych miejsc, które kształtowało i kształtuje naszą tożsamość. To jest jedno z tych miejsc, bez których nie można zrozumieć dziejów Rzeczypospolitej, które tworzą nasz polski kod kulturowy. Spoczywa tutaj serce Marszałka Józefa Piłsudskiego – tego, który wychował w umiłowaniu niepodległości pokolenie przywracające Polskę na mapy świata w 1918 roku i broniące jej przed nawałą bolszewicką, a także pokolenie następne – Polskiego Państwa Podziemnego i Armii Krajowej – powiedział Szef UdSKiOR do uczestników uroczystości, w której tłumnie wzięła udział litewska i białoruska Polonia.*

Wyjątkowym jej momentem było uhonorowanie przez Jana Józefa Kasprzyka Weteranów – ostatnich żyjących uczestników operacji „Ostra Brama” medalem „Pro Bono Poloniae”.

– *Wy, Weterani walk o niepodległość Rzeczypospolitej, pokazywaliście nam, że trzeba szybko i wysoko, poświęcać się dla czegoś więcej niż interes własny. Za tę lekcję patriotyzmu dziś, obecni tu, w tym miejscu, serdecznie Wam dziękujemy. I w tym świętym miejscu, na Rossie, jest z nami duch Marszałka, duch jego żołnierzy, duch żołnierzy Armii Krajowej, a nad nami unosi się duch Mickiewicza, Słowackiego i Lelewela. W tym miej-*



scu ślubujemy, że będziemy szybować wysoko ku chwale wielkości i potędze Rzeczypospolitej. Boże błogostaw Polsce, błogostaw Litwie i Rzeczypospolitej Obojga Narodów! – zakończył Minister Kasprzyk.



Zwieńczeniem oficjalnych obchodów 75. rocznicy operacji „Ostra Brama” w Republice Litewskiej była poniedziałkowa uroczystość, podczas której polska delegacja złożyła kwiaty w kwaterze Armii Krajowej na Cmentarzu Kolonia Wileńska (obecnie część Wilna). Spoczywa tu co najmniej 58 żołnierzy AK z okręgów wileńskiego i nowogródzkiego poległych w walce o stolicę Wileńszczyzny, a także zmarłych w szpitalu polowym w Kolonii Wileńskiej. Ich nazwiska lub pseudonimy umieszczono na pomniku i grobach. Rzeczywista liczna pogrzebanych w tym miejscu w lipcu 1944 roku żołnierzy AK jest najpewniej znacznie większa.



8 lipca br. Szef Urzędu wraz z Sekretarzem Stanu w MSWiA Krzysztofem Kozłowskim oraz Przewodniczącym Rady do Spraw Kombatan-tów i Osób Represjonowanych Bogusławem Nizieńskim, urodzonym w Wilnie weteranem Armii Krajowej, oddali również hołd obrońcom Wilna, składając kwiaty przed pomnikiem Im poświęconym na cmentarzu na wileńskiej Nowej Roscie.

Organizatorami obchodów 75. rocznicy operacji „Ostra Brama” byli Urząd do Spraw Kombatan-tów i Osób Represjonowanych oraz Amba-sada Rzeczypospolitej Polskiej w Wilnie.

„BEZ TEGO GROBY WOŁYŃSKIE DALEJ BĘDĄ KRWAWIĆ”

W czwartek, 11 lipca 2019 roku już po raz trzeci obchodziliśmy Narodowy Dzień Pamięci Ofiar Ludobójstwa dokonanego przez ukraińskich nacjonalistów na obywatelach II Rzeczypospolitej Polskiej na terenie województw południowo-wschodnich w latach 1942-1947. Ofiarom „Rzezi Wołyńskiej” złożono hołd przed Grobem Nieznanego Żołnierza oraz na Skwerze Wołyńskim w Warszawie.

Obchody zainaugurowała Msza św. w warszawskiej Katedrze Polowej Wojska Polskiego sprawowana przez ks. ppłk Mirośława Biernackiego w intencji obywateli II RP pomordowanych w bestialski sposób przez członków Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN-B) i oddziały Ukraińskiej Powstańczej Armii (UPA), a także w intencji poległych, zmarłych i żyjących żołnierzy 27. Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej. Wśród uczestników Eucharystii znaleźli się Weterani AK, rodziny ofiar Rzezi Wołyńskiej, przedstawiciele polskich władz i instytucji państwowych, ambasador Ukrainy w Polsce, żołnierze Wojska Polskiego, duchowieństwo, poczty sztandarowe, organizacje społeczne – w tym przedstawiciele Instytutu Historycznego im. Andrzeja Ostoję Owsianego – i mieszkańcy Warszawy. Po nabożeństwie Szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych Jan Józef Kasprzyk złożył wieniec przed tablicą upamiętniającą ofiary ludobójstwa, znajdującą się w kruchcie katedry.

Następnie odbyła się uroczystość złożenia wieńców i wiązanek kwiatów na płycie Grobu Nieznanego Żołnierza na placu Marszałka Józefa Piłsudskiego, po czym Szef Urzędu wraz z przewodniczącym Rady



ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych sędzią Bogusławem Nizieńskim, wicemarszałek Sejmu RP Małgorzatą Gosiewską, wicemarszałek Senatu RP Marią Koc, Zastępcą Prezesa Instytutu Pamięci Narodowej prof. Krzysztofem Szwagrzykiem, Prezesem Stowarzyszenia Upamiętniania Ofiar Zbrodni Ukraińskich Nacjonalistów Szczepanem Siekierką, posłem Jarosławem Krajewskim i Sekretarzem Stanu w Kancelarii Prezydenta RP Błażem Szychalskim zapalili znicze przed tablicami upamiętniającymi miejsca samoobrony ludności polskiej przed atakami ukraińskich nacjonalistów.

Główna część obchodów miała miejsce na Skwerze Wołyńskim w Warszawie, gdzie znajduje się odsłonięty przed kilku laty pomnik Ofiar Ludobójstwa dokonanego przez nacjonalistów ukraińskich na obywatelach II Rzeczypospolitej Polskiej na terenie województw południowo-wschodnich w latach 1942-1947. Szef UdSKiOR uhonorował medalami „Pro Bono Poloniae” i „Pro Patria” potomków pomordowanych w „Rzezi Wołyńskiej” oraz osoby szczególnie zasłużone w kultywowaniu pamięci o ofiarach tej zbrodni. Wśród odznaczonych znalazła



się m.in. dr Ewa Siemaszko oraz jej ojciec Władysław Siemaszko, Prezes Stowarzyszenia Upamiętniania Ofiar Zbrodni Ukraińskich Nacjonalistów Szczepan Siekierka oraz Prezes Zarządu Okręgu Wołyńskiego Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej Anna Lewak. List do uczestników uroczystości skierował Marszałek Sejmu RP Marek Kuchciński oraz Prezes Rady Ministrów Mateusz Morawiecki. Minister Kasprzyk zwrócił uwagę, jak istotne jest odnalezienie, ekshumacja i godne pochowanie ofiar ludobójstwa, podkreślając rolę pamięci i prawdy w budowaniu relacji między państwami:

– Mieszkańców Wołynia, Małopolski Wschodniej i Kresów Wschodnich zabijano dwukrotnie: po raz pierwszy siekierami, pilami, młotami, mordując bezbronne dzieci, kobiety, starców, kapłanów, którzy wraz z ludem modlili się w kościołach na niedokończonych Mszach z 11 lipca 1943 roku, i po raz drugi - zabijając pamięć o nich i prawdę. To nie zakończy się, dopóki nie zostaną oni godnie odnalezieni, pochowani, dopóki na ich grobach nie znajdą się krzyże i ich nazwiska. Bo jeżeli tak się nie stanie, to to morderstwo dokonywane na naszych obywatelach trwa nadal! – mówił.

– Pamięć i prawda to fundament, na którym należy budować dobre relacje między narodami i państwami. Oby nigdy nie było tak, aby pamięć położona była na ołtarzu jakichkolwiek wzajemnych relacji. W przyszłym roku obchodzić będziemy setną rocznicę wielkiego polityczno-wojskowego sojuszu, zawartego między Marszałkiem Piłsudskim a atamanem Symonem Petlurą – tymi dwoma wielkimi mężami stanu, którzy rozumieli dobrze, jak wiele możemy uczynić w tej części Europy i świata, jeżeli jesteśmy razem. Może ta rocznica stanie się okazją, abyśmy mogli pomordowanych odnaleźć, godnie pochować i tam, gdzie spoczywają, oddać im stosowany hołd. Tego wymaga od nas przywiązanie do cywilizacji chrześcijańskiej i łacińskiej. I o to możemy prosić, ale i tego wymagać. Bez tego groby wołyńskie dalej będą krwawić – stwierdził Szeł UdSKiOR.

Głos zabrał także Zastępca Prezesa Instytutu Pamięci Narodowej prof. Krzysztof Szewczyński, Prezes Szczepan Siekierka oraz Prezes Fundacji im.

Brata Alberta ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski. Po wspólnej modlitwie w intencji pomordowanych, Apelu Pamięci z salwą honorową oraz ceremonii złożenia wieńców i wiązanek kwiatów przed pomnikiem Ofiar Ludobójstwa uczestnicy uroczystości udali się pod pomnik Żołnierzy 27. Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej, gdzie złożono hołd poległym, zmarłym i żyjącym żołnierzom tej jednostki, którzy organizowali obronę ludności Wołynia przed ukraińskimi nacjonalistami i wspomagającą ich ludnością ukraińską.





Organizatorem centralnych obchodów Narodowego Dnia Pamięci Ofiar Ludobójstwa dokonanego przez ukraińskich nacjonalistów na obywatelach II Rzeczypospolitej Polskiej na terenie województw południowo-wschodnich w latach 1942-1947 był Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych wraz z Instytutem Pamięci Narodowej, Stowarzyszeniem Upamiętniania Ofiar Zbrodni Ukraińskich Nacjonalistów, Zarządem Okręgu Wołyńskiego Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej oraz przy wsparciu władz dzielnicy Żoliborz m.st. Warszawy.

* * *

W niedzielę, 11 lipca 1943 roku, oddziały Ukraińskiej Powstańczej Armii dokonały skoordynowanego ataku na 99 polskich miejscowości, głównie w powiatach kowelskim, horochowskim i włodzimierskim. Było to apogeum mordów dokonywanych przez ukraińskich nacjonalistów przy pomocy ukraińskiej ludności od 1942 roku, w następnych dniach masakry były kontynuowane. Zbrodnię, kwalifikowaną przez

pion śledczy IPN jako ludobójstwo, przeprowadzili nacjonaści ukraińscy z OUN-B i UPA na ludności polskiej Wołynia, Galicji Wschodniej, a także części Lubelszczyzny, Podkarpacia i Polesia. Szacuje się, że w jej wyniku tylko w latach 1943–1945 zamordowano ok. 100 tys. Polaków. Ludność polska ginęła od kul, siekier, wideł, noży i innych narzędzi, nierzadko w kościołach podczas Mszy św. i nabożeństw. 22 lipca 2016 r. Sejm RP ustanowił 11 lipca Narodowym Dniem Pamięci Ofiar Ludobójstwa dokonanego przez ukraińskich nacjonalistów na obywatelach II Rzeczypospolitej Polskiej.

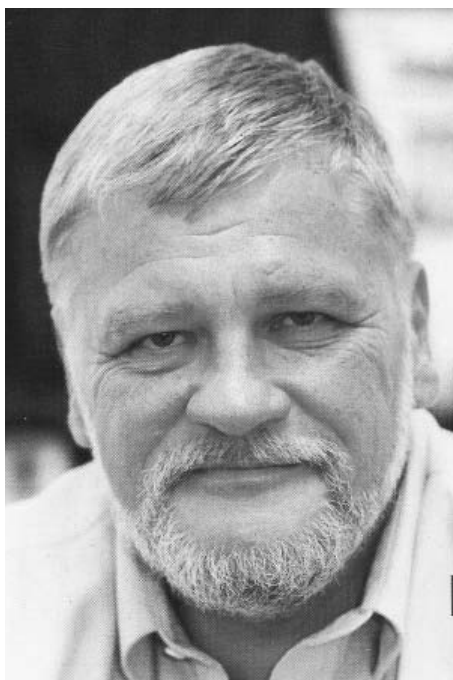
MACIEJ STANISŁAW JANKOWSKI (1946–2019)

10 lipca 2019 odszedł Maciej Stanisław Jankowski.

Postać niezwykle, związkowiec, w pewnym okresie życia także polityk (poseł na Sejm RP III kadencji), który w historii Solidarności trwale zaznaczył swoją obecność jako przewodniczący NSZZ Solidarność Regionu Mazowsze przez kilka kadencji oraz członek władz krajowych związku.

Imał się w swoim życiu przed rokiem 1980 różnych zajęć. Był drwalem, rybakiem, robotnikiem budowlanym, udzielał się w harcerstwie.

Uczęszczał do szkoły średniej, ale z nie znanych mi powodów zrezygnował z przystąpieniu do egzaminu maturalnego, więc po ukończeniu odpowiednich kursów specjalistycznych, rozpoczynając pracę wpisywał w rubrykę: zawód – robotnik spawacz. W okresie budowania NSZZ Solidarność w roku 1980 pracował w tym zawodzie na Uniwersytecie Warszawskim. Podkreślał to w wielu wywiadach. Moim zdaniem, pomimo braku formalnego wykształcenia



– inteligencją i wiedzą przewyższał wielu z naukowymi tytułami. Miał dużą wiedzę historyczną, socjologia nie była Mu obca, a przede wszystkim umiał rozmawiać z ludźmi i uzyskiwać ich zaufanie i zdaniem podległych Mu pracowników świetnie sprawdzał się jako szef.

Wśród członków stowarzyszenia Instytutu Historycznego NN im Andrzeja Ostoja Owsianego, chyba nie ma osoby, która nie miałaby z Maćkiem bezpośrednich lub chociażby pośrednich kontaktów w okresie stanu wojennego lub w latach następnych. Jedni siedzieli z nim w celi podczas internowania, albo później na Rakowieckiej, jeszcze inni aktywnie współpracowali z Nim podczas organizacji różnych akcji protestacyjnych lub demonstracji w okresie stanu wojennego, kolportażu, jeszcze inni mieli okazję „wykorzystywać” Go jako szefa regionu w swojej działalności związkowej w latach po kanciastym stole.

Nigdy nie odmawiał pomocy i jako szef regionu wspierał swoim autorytetem wiele akcji protestacyjnych, których w latach 90-tych na Mazowszu było naprawdę dużo.

Pamiętam wiele z nich, gdyż w tamtym okresie byłem ich współorganizatorem w ramach działalności w Sekcji Ochrony Zdrowia. On zawsze był z nami.

Z innymi grupami zawodowymi także.

Wtedy słowo SOLIDARNOŚĆ znaczyło wiele.

Gdy protestowała ochrona zdrowia – wspierali nas Budowlańcy, MZK, FSO, Huta Warszawa i inne zakłady, które wówczas jeszcze nie zostały sprzedane za psi grosz. My zawsze byliśmy gotowi do rewanzu.

Maciej te działania świetnie koordynował.

Maciej Jankowski był Także radnym wybranym do Sejmiku Mazowieckiego.

Znane są Jego osiągnięcia sportowe – był przecież Mistrzem Polski w dźudo (waga ciężka), z czego po latach bardzo się śmiał. Dlaczego?

Odpowiedź na to pytanie można obejrzeć korzystając z jednego z najbardziej znanych filmowych serwisów internetowych zaczynających się Y, gdzie jest kilka z nim wywiadów. Ten, o którym piszę jest zatytułowany – „Nie było chamstwa takiego jak teraz”. Wiele informacji

o tej niezwyklej postaci i Jego osobowości można bez problemu uzyskać korzystając z innych portali internetowych.

Po raz pierwszy spotykałem się z jego masywną sylwetką, łazikując wieczorami z koleżankami i kumplami w latach młodości po różnych klubach studenckich, w tym do warszawskiej Stodoły. Stał tam „na bramce”, ponoć z Andrzejem Olechowskim. Wiem, że to prawda, ale przyszłego ministra nie pamiętam. Maćka zapamiętałem, gdyż poznała mnie z Nim koleżanka pracująca w Stodole, z którą chodziłem do jednej klasy w liceum. Miała na imię Monika. Nie miałem już nigdy kłopotów z wejściem z przyjaciółmi do Stodoły. Wtedy oczywiście nawet nie myślałem, że za kilka lat powstanie Solidarność, że włączę się czynnie w ten wielki społeczny ruch, a później w politykę i spotkam się ponownie z Maćkiem już w całkiem innych okolicznościach. Mniej więcej w drugiej połowie lat osiemdziesiątych kilka razy w ramach roboty podziemnej, spotykałem Maćka w mieszkaniu Marcina Przybyłowicza. Korzystaliśmy w tym czasie także z gościny ks. Andrzeja Sikorskiego w salach Kościoła przy ul. Deotymy. To nie krytyka, ale to był naprawdę zabawny widok, gdy tuż obok Niego zasiadali Janusz Onyszkiewicz i Jan Lityński. Mam nadzieję, że obaj nie poczują urazy, ale wyglądali jak myszki obok wypasionego kota. Obaj są bowiem (jak pisał Sienkiewicz) mikrej postury.

Maciej, w 2002 roku wycofał się z działalności politycznej i publicznej. Powrócił do pracy na Uniwersytecie Warszawskim, gdzie podjął pracę jako kierownik działu ślusarzy, skąd przeszedł na emeryturę.

Od tamtego czasu bardzo rzadko miałem okazję Go spotykać.

Ostatni raz chyba z okazji XXX-ej rocznicy powstania NSZZ Solidarność.

Maciej Jankowski za swoją działalność był wielokrotnie honorowany i odznaczany, w tym Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, który został mu przyznany przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego w 2009 roku. Wiele kontrowersji w środowiskach związkowych i politycznych wzbudziła decyzja Maćka z 2015 roku o zwrocie tego wysokiego odznaczenia, do tego na antenie jednej ze stacji telewizyjnych

w audycji „na żywo”. Ten gest Macieja, mający mieć formę protestu nie został przez wiele osób zrozumiany i różnie się go ocenia. Uważam, że przyznanie każdego odznaczenia przyznanego przez prezydenta jest poprzedzone odpowiednią procedurą i nazwisko podpisanego pod decyzją prezydenta ma drugorzędne znaczenie. To Rzeczpospolita je przyznaje, a prezydent aktualnie pełniący funkcję je podpisuje. Ale absolutnie Go za to nie potępiam. Każdy ma prawo czynić to, co uznaje za właściwe.

Poruszano ten temat w luźnych rozmowach na Jego pogrzebie, który odbył się **16 lipca 2019**.

Na tę smutną uroczystość przybyło mnóstwo osób z rodowodem byłych i aktualnych działaczy NSZZ Solidarność. Stawiło się wiele Poczty Sztandarowych, widoczni byli politycy, w dawnych czasach koledzy, dzisiaj często politycznie poróżnieni.

Obecna była wicemarszałek Sejmu Małgorzata Gosiewska i senator Bogdan Borusewicz, jednak nie wiem, czy ich obecność miała charakter oficjalny gdyż nie zabierali głosu. Ze zrozumiałych względów pozostałych znanych nazwisk w tym tekście nie wymienię, gdyż uważam to za zbędne ze względu na obecne podziały polityczne w tym środowisku.



Pogrzeb miał charakter świecki, ale przed złożeniem urny do grobu zabrał głos ksiądz Czesław Banaszkiewicz, który wspomniał zmarłego, Jego zasługi i współpracę z wówczas jeszcze z ks. Jerzym Popiełuszko, po czym poprowadził modlitwę.

Maćku !

Pamiętaj nas tak, jak my Ciebie pamiętamy.

W pożegnaniu Macieja Jankowskiego Instytut Historyczny NN im. Andrzeja Ostoja Owsianego reprezentowali: prezes Andrzej Chyłek, Piotr Wójcik i niżej podpisany.

ŻOŁNIERZE 2. KORPUSU POLSKIEGO Z ARMII NIEWOLNIKÓW STALI SIĘ ARMIA, KTÓRA NIOSŁA WOLNOŚĆ

Obchody 75. rocznicy zdobycia Ankony – jednego ze strategicznych portów nad Adriatykiem – rozpoczęły się od uroczystości na polskim cmentarzu wojennym w Loreto, na którym spoczywa 1112 żołnierzy 2. Korpusu Polskiego poległych w walkach o wyzwolenie tego nadmorskiego miasta.

Hołd poległym towarzyszom broni oddali weterani walk z lipca 1944 roku oraz przedstawiciele polskich władz państwowych i włoskich władz samorządowych, w tym Szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób



Represjonowanych Jan Józef Kasprzyk, senator Anna Maria Anders, wicemarszałek Senatu Maria Koc, burmistrz Loreto Paolo Niccoletti, Konsul Honorowa RP w Ankonie Cristina Gorajski, licznie zgromadzeni żołnierze polscy i włoscy oraz mieszkańcy miasta.



Po uroczystej Mszy świętej odprawionej w intencji zmarłych i żyjących wyzwolicieli Ankony przemówienie okolicznościowe wygłosił minister Kasprzyk: - *Stoimy dziś nad mogiłami tych, którzy 75 lat temu szli, jak ich poprzednicy, z ziemi włoskiej do Polski. Tak potoczyły się losy Rzeczypospolitej i tamtego pokolenia, że do Polski musieli odbyć bardzo długą drogę, a wielu z nich do Polski nie doszło i spoczywa na Monte Cassino, tu w Loreto czy w Bolonii. W tym świętym miejscu, przy grobach żołnierzy polskich, chcemy ślubować, że – tak, jak oni i ich przodkowie – będziemy stać przy wartościach, które od wieków kształtowały naszą cywilizację. To nasze zobowiązanie wobec tych, którzy polegli w obronie tych wartości.*

Następnie, Szef UdSKiOR uhonorował burmistrza Loreto i konsul honorową RP w Ankonie Cristinę Gorajski medalami „Pro Patria” w uznaniu ich zasług w kultywowaniu pamięci o walkach 2. Korpusu

Polskiego. Paolo Niccoletti od wielu lat patronuje inicjatywom upamiętniającym bohaterskich żołnierzy generała Władysława Andersa. Pierwszy dzień obchodów rocznicy wyzwolenia Ankony zakończyło odczytanie odezwy – Apelu Pamięci – oraz złożenie wieńców na grobach poległych. Loreto to miejsce ważne również z innego powodu. To tu znajduje się Sanktuarium Santa Casa, miejsce czci figury Matki Bożej Loretańskiej, które po zbombardowaniu przez Niemców z pożaru uratowali polscy żołnierze.

Drugi dzień obchodów 75. rocznicy wyzwolenia włoskiej Ankony przez żołnierzy 2. Korpusu Polskiego zainaugurowała wizyta polskiej delegacji wraz z Weteranami Walk o Niepodległość RP pod bramą św. Stefana w Ankonie. To w tym miejscu 18 lipca 1944 r. żołnierze 3 Pułku Ułanów Karpackich i 2 Batalionu Strzelców Karpackich triumfalnie

wkroczyli do miasta.

Żołnierze 2. Korpusu Polskiego 75 lat temu z armii niewolników stali się armią, która w zwycięskim pochodzie maszerowała przez Półwysep Apeniński, niosąc wolność narodowi włoskiemu – powiedział minister Kasprzyk.

Podczas uroczystości pod Porta Santo Stefano Medalem „Pro Patria” Szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych Jan Józef Kasprzyk uhonorował burmistrz Ankony Valerię Mancinelli, która od wielu lat patronuje obchodom wyzwolenia miasta przez żołnierzy generała



Władysława Andersa. Odznaczenie w jej imieniu odebrał wiceburmistrz Pierpaolo Sediari.

Następnie delegacja, której przewodniczył minister Kasprzyk, a w której uczestniczył członek Zarządu Instytutu Historycznego nn im. Andrzeja Ostoja Owsianego Krzysztof Lancman, złożyła kwiaty przed Pomnikiem Ruchu Oporu Parco del Pincio. Zwieńczeniem tegorocznych obchodów w Republice Włoskiej była uroczystość na Cmentarzu Brytyjskiej Wspólnoty Narodów Frazione Passo Varano, gdzie delegacja polska, włoska i weterani 2. Korpusu Polskiego złożyli kwiaty przy grobach poległych żołnierzy i cywilów różnych narodowości. Organizatorem uroczystości upamiętniających 75. rocznicę wyzwolenia Ankony był Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych i Ambasada RP we Włoszech.



Zdjęcia i tekst za serwisem UdSKiOR

„GDY CHOWAJĄ PUŁKOWNIKA, TO I NIEBO PŁACZE”

W poniedziałek, 29 lipca 2019 r. w warszawskiej Bazylice Archikatedralnej pw. Męczeństwa św. Jana Chrzciciela pożegnaliśmy pułk

Jerzego Majkowskiego ps. „Czarny” – uczestnika powstania warszawskiego, żołnierza batalionu «Gustaw» Armii Krajowej i Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, światowej sławy neurologa, członka Rady do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych przy Szefie Urzędu.

We Mszy św. pogrzebowej uczestniczyli m.in. Weterani Armii Krajowej, w tym prof. Witold Kieżun, poczty sztandarowe, przedstawiciele Wojska Polskiego i władz państwowych, m.in. wicemarszałek Sejmu Małgorzata Gosiewska, minister obrony narodowej Mariusz Błaszczak, Szef Urzędu do



Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych Jan Józef Kasprzyk, wojewoda mazowiecki Zdzisław Sipiera oraz rektor Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego prof. Mirosław Wielgoś, a także licznie zgromadzeni mieszkańcy W liście skierowanym do uczestników uroczystości, odczytanym przez ministra Kasprzyka, premier Mateusz Morawiecki napisał: – *Żegnając dziś św. prof. Jerzego Majkowskiego w imieniu Rządu Rzeczypospolitej Polskiej oddaję hołd Jemu i wszystkim bohaterskim Powstańcom Warszawy. Jemu, który w sierpniu i wrześniu 1944 r. poświęcał swe życie.*



Towarzysza broni pożegnał również prof. Kieżun, uczestnik powstania warszawskiego, który podzielił się swoimi wspomnieniami z obecnymi w bazylice.

Następnie na cmentarzu powązkowskim w Warszawie odbyły się uroczystości pogrzebowe pułkownika. – *Chciałoby się powtórzyć za Sienkiewiczem, że „gdy chowają pułkownika, to i niebo płacze”* – powiedział Szef Urzędu w ulewnym deszczu, który towarzyszył zgromadzonym. –

Żegnamy dziś postać wybitną. Człowieka, który miał odwagę, kiedy była ona w cenie, który kochał bliźniego ponad wszystko. Panie Pułkowniku, na Twoim przykładzie chcemy się uczyć, że, kiedy czasem nawet stracimy wiarę we wszystko, to tej wiary tracić nie wolno – stwierdził.

Jerzego Majkowskiego, który na wieczną wartę odszedł 18 lipca br. w wieku 91 lat, pożegnano z honorami wojskowymi.

LIV MARSZ SZLAKIEM I KOMPANII KADROWEJ

W dniach 5-6 sierpnia 2019 r. Szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych Jan Józef Kasprzyk oddał hołd marszałkowi Józefowi Piłsudskiemu na krakowskim Wawelu i wziął udział w uroczystościach w Michałowicach inaugurujących LIV (39. po wojnie) Marsz Szlakiem I Kompanii Kadrowej, która 105 lat temu ruszyła w bój o wolność naszej Ojczyzny.

W poniedziałek uczestnicy Marszu modlili się w Katedrze Wawelskiej w intencji Ojczyzny. Po Mszy św. miała miejsce uroczystość poświęcenia i przekazania repliki sztandaru I Kompanii Kadrowej ufundowanej przez



UdSKiOR. Ojcem Chrzestnym sztandaru został minister Kasprzyk, który jest jednocześnie Honorowym Komendantem „Kadrówki”.

Następnie Szef Urzędu wraz z uczestnikami tegorocznego Marszu uczcili pamięć Marszałka Józefa Piłsudskiego – twórcy i pierwszego dowódcy „Kadrówki” oraz Prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego spoczywających w sarkofagach w krypcie pod Wieżą Srebrnych Dzwonów. Po złożeniu kwiatów przy Krzyżu Katyńskim uczestnicy Marszu udali się na Mały Rynek, gdzie wieczorem odbyła się tradycyjna lekcja śpiewania piosenek legionowych. Dzień zakończył uroczysty apel przy pomniku Marszałka Józefa Piłsudskiego na ul. Garncarskiej 26, podczas którego Szef UdSKiOR wręczył osobom szczególnie zasłużonym w działalności na rzecz środowiska „Kadrówki” i piłsudczyków medale „Pro Patria” oraz „Pro Bono Poloniae”.

– *Musimy dokończyć dzieło tych, którzy 105 lat temu ruszyli bić się o wolną Polskę. Aby Polska już nigdy nie została wymazana z mapy Europy i świata, aby była silnym państwem, aby przywrócony został etos służby wspólnocie i Rzeczpospolitej* – powiedział minister Kasprzyk podczas wieczornego apelu, dziękując tym, którzy kultywują tradycję marszu zapoczątkowaną w 1922 roku, nawiązującą do szlaku wojennego I Kompanii Kadrowej Marszałka Józefa Piłsudskiego w pierwszym roku Wielkiej Wojny.

We wtorek – w dniu 105. rocznicy wymarszu strzelców w stronę Królestwa w celu wywołania powstania antyrosyjskiego – wczesnym rankiem odbył się uroczysty apel, po którym wyruszającą z krakowskich Oleandrów kolumnę marszową zegnał minister Kasprzyk.

– *Najważniejszym celem wymarszu I Kompanii Kadrowej było obudzenie sumień Polaków. „Kadrówka” miała pokazać, że warto poświęcić swoje zdrowie i życie, aby obudzić naród. Ten cel stoi współcześnie przed każdym z nas – jest nim budzenie sumień Polaków, aby Polska była państwem ludzi wierzących w to, że niepodległość jest najcenniejsza i najważniejsza. Przed Wami, spadkobiercy I Kompanii Kadrowej, stoi zadanie obudzenia sumień Waszych rówieśników, aby mieli świadomość, że nie żyją tylko dla siebie, ale dla wspólnoty, którą nazywamy Ojczyzną* – zaapelował Jan Józef Kasprzyk



do uczestników Marszu, dodając: – Jeżeli można mówić o jakimś wydarzeniu, które ma charakter sztafety pokoleń, to Marsz Szlakiem I Kompanii Kadrowej jest tego najlepszym przykładem. W Waszych umysłach i sercach tkwi ta sama wiara w Polskę, która tkwiła w sumieniach i sercach tych sprzed 105 lat.

Następnie uczestnicy „Kadrówki” pomaszerowali do Michałowic, gdzie odbyła się uroczystość złożenia kwiatów przy obelisku upamiętniającym obalenie słupów granicznych byłych państw zaborczych przez Legionistów I Kompanii Kadrowej oraz spotkanie w dworcu Lorenzów, gdzie Szef Urzędu wręczył w imieniu Prezydenta RP Andrzeja Dudy odznaczenia państwowe członkom Stowarzyszenia Krakowski Szwadron Ułanów im. Józefa Piłsudskiego.

* * *

O świcie 6 sierpnia 1914 roku, w celu wywołania w Królestwie antyrosyjskiego powstania, pod wodzą Józefa Piłsudskiego wyruszyła „budzić Polskę do zmartwychwstania” I Kompania Kadrowa. Składała się

ona z członków Związku Strzeleckiego oraz Polskich Drużyn Strzeleckich, w których do wybuchu Wielkiej Wojny przeszkolono ponad 7 tys. osób. Strzelcy 12 sierpnia doszli do Kielc. 16 sierpnia powołano Legiony Polskie, które w znaczący sposób przyczyniły się do odzyskania przez Polskę niepodległości.

W 1921 roku Komendant Krakowskiego Okręgu Związku Strzeleckiego (ZS) kpt. Wacław Denhoff-Czarnecki zaproponował, aby ósmą rocznicę wymarszu I Kompanii Kadrowej – jednocześnie święto Związku (6 sierpnia) – uczcić szczególnie uroczystie. Pomysł marszu został zrealizowany po raz pierwszy w 1922 r. Z powojenną przerwą do 1981 roku, tradycja Marszu Szlakiem I Kompanii Kadrowej trwa dziś.

Tegoroczna „Kadrówka” upamiętniła uczestników Marszu aresztowanych w Jędrzejowie w 1984 r.

9 sierpnia br., po czterech dniach marszu, „Kadrówka” zatrzymała się w Jędrzejowie – ważnym przystanku na trasie Marszów Szlakiem I Kompanii Kadrowej.



Wkraczających do miasta uczestników LIV (39. po wojnie) Marszu Szlakiem I Kompanii Kadrowej powitali szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych, honorowy komendant Marszu Jan Józef Kasprzyk oraz wojewoda świętokrzyski Agata Wojtyczek.

Następnie wspólnie odsłonięto tablicę umieszczoną na budynku Komendy Powiatowej Policji w Jędrzejowie, upamiętniającą uczestników „Kadrówki” z 1984 roku, aresztowanych na tym odcinku marszu przez służby bezpieczeństwa PRL. Oddziały ZOMO, UB i MO osadziły wtedy aresztantów w siedzibie znajdującej się tu wówczas komendzie milicji, mając nadzieję na zatrzymanie ich marszu ku Niepodległości. Wśród odsłaniających tablicę znaleźli się „Kadrówkowicze”, którzy 35 lat temu doświadczili komunistycznych represji.

Do tych wydarzeń nawiązał Jan Józef Kasprzyk w przemówieniu ogłoszonym podczas Apelu wieczornego na placu Kościuszki w Jędrzejowie:

– Marsz Szlakiem I Kompanii Kadrowej w latach 80-tych pełnił tę samą rolę, jaką Józef Piłsudski powierzył garstce swoich Strzelców w 1914 r. Wy, uczestnicy tamtych Marszów budziliście sumienia i była Was garstka. Budziliście sumienia nawet w 1982 r., kiedy podczas stanu wojennego wydawało się, że Marsz w jakiejkolwiek formie się nie odbędzie, a się odbył. I budziliście sumienia w roku 1984, kiedy komunistyczne służby bezpieczeństwa aresztowały Was tutaj, w Jędrzejowie, przetrzymywały, potem skazywały na wysokie kolegia, wielu z Was traciło pracę – za to że byliście wierni Niepodległości, budziliście sumienia tak samo jak ci z 1914 roku i wybudzaliście Naród.

Szef Urzędu zwrócił się również z apelem do wszystkich uczestników tegorocznego Marszu Szlakiem I Kompanii Kadrowej:

– To jest rola współczesnej „Kadrówki” – budzić sumienia po powrotach do domów, tam gdzie pracujecie, służycie i przywracacie to, co najcenniejsze: wiarę w Niepodległą! Wiara w to, że jesteśmy wspólnotą, że tak jak w roku 1914, w latach 80-tych, jesteśmy w stanie stanąć razem w jednym szeregu, kiedy słyszymy słowa „Niepodległa, Najjaśniejsza Rzeczpospolita!”.

Uroczystości w Jędrzejowie zakończyła ceremonia złożenia wieńców i wiązanek kwiatów pod tablicą w hołdzie Józefowi Piłsudskiemu i Jego



podkomendnym, umieszczoną na budynku, w którym stacjonował niegdyś Komendant Piłsudski, a obecnie mieści się Państwowe Muzeum im. Przytkowskich. Kwiaty złożyli m.in. minister Jan Józef Kasprzyk, wojewoda świętokrzyski Agata Wojtyszek, starosta jędrzejowski Paweł Faryna, a także delegacje uczestników tegorocznego Marszu Szlakiem I Kompanii Kadrowej oraz pamiętnej „Kadrówki” z 1984 roku.

Po noclegu w Jędrzejowie nastąpi wymarsz do miejscowości Choiny nad Nidą, by poprzez Chęciny i Szewce dotrzeć 12 sierpnia do Kielc.

Zakończył się 54. Marsz Szlakiem I Kompanii Kadrowej

W poniedziałkowe popołudnie do Kielc dotarło kilkuset uczestników 54. Marszu Szlakiem I Kompanii Kadrowej, którzy wyruszając pieszo z krakowskich Oleandrów pokonali w ostatnich dniach 120-kilometrową trasę by uczcić 105. rocznicę przemarszu oddziału utworzonego przez Józefa Piłsudskiego stanowiącego załazek odradzającego się Wojska Polskiego.

W zakończeniu marszu wzięli udział m. in. członkowie organizacji

strzeleckich, harcerze, żołnierze oddziałów Wojska Polskiego członkowie Związku Piłsudczyków oraz przedstawiciele Instytutu Historycznego NN im. Andrzeja Ostoja Owsianego.



Przedstawiciele władz państwowych i samorządowych na czele z Szefem Urzędu do Spraw Kombatantów Janem Józefem Kasprzykiem, sekretarzem stanu w Kancelarii Prezydenta Wojciechem Kolarskim i prezydentem Kielc Bogdanem Wentą złożyli kwiaty przy pomniku Czwórki Legionowej.

W tym miejscu minister Kolarski odczytał list do uczestników i organizatorów Marszu objętego Patronatem Narodowym, który skierował prezydent RP Andrzej Duda: *Jestem przekonany, że jak z tamtego niewielkiego oddziału załóżka Legionów Polskich zrodziła się niepodległa Polska, tak osoby biorące udział w Marszu Szlakiem I Kompanii Kadrowej, przekażą dalej ideały, które bliskie były żołnierzom marszałka Józefa Piłsudskiego* – napisał prezydent.

Prezydent Andrzej Duda podkreślił, że jedną z najważniejszych war-

tości stanowi odwaga, *nie tylko odwaga, jaką może wykazać się żołnierz na polu bitwy, ale przede wszystkim odwaga myślenia o Polsce w perspektywie jej przyszłości, odwaga wcielenia w czyn tego, co z pozoru może się wydawać trudne, a czasami wręcz niemożliwe.*



Najważniejsza część uroczystości wieńczących marsz odbyła się na Placu Wolności przy pomniku Marszałka Józefa Piłsudskiego, gdzie honorowy komendant marszu Jan Józef Kasprzyk odznaczył Medalami



„Pro Bono Poloniae” oraz „Pro Patria” osoby zasłużone na rzecz „Kadrowki”.

– *Wy strzeżecie idei niepodległościowej, w której mieści się przede wszystkim etos bezinteresownej służby najjaśniejszej Rzeczypospolitej. I za to każdy z nas jest wam bardzo wdzięczny. Dziękujemy za to, że co roku wznosicie ten żywy pomnik, poświęcony żołnierzom roku 1914 –* dziękował podtrzymującym tradycję marszu I Kompanii Kadrowej Szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych.



Podczas uroczystości minister Wojciech Kolarski uhonorował także osoby zasłużone Medalem Stulecia Odzyskania Niepodległości, nadanymi przez prezydenta RP. Uczestnikom marszu – m.in. trzem osobom, które brały udział w marszu 25 razy wręczono również odznaki i nagrody.

Po defiladzie uczestnicy marszu udali się pod dawny Pałac Biskupów Krakowskich, gdzie w 1914 r. stacjonował Józef Piłsudski ze swoim sztabem. Tu, po apelu poległych marsz rozwiązano.

LIV MARSZ SZLAKIEM I KOMPANII KADROWEJ



„WY WSZYSCY WALCZYLIŚCIE O TO SAMO – O WOLNĄ POLSKĘ”

75 lat temu, 11 sierpnia 1944 r., na Kielecczyźnie powstała Brygada Świętokrzyska, największa formacja zbrojna NSZ. Centralne uroczystości rocznicowe objęte Patronatem Narodowym Prezydenta RP Andrzeja Dudy zorganizował Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych na wniosek Związku Żołnierzy Narodowych Sił Zbrojnych. Weterani, przedstawiciele władz państwowych oraz Polacy przybyli na obchody z całego kraju oddali cześć żołnierzom formacji, która – jak ogłosił Sejm RP w 2017 r. – „dobrze zasłużyła się Ojczyźnie”.



W niedzielę, 11 sierpnia 2019 r. obchody 75. rocznicy powstania Brygady Świętokrzyskiej NSZ zainaugurowała uroczysta Msza święta w Katedrze Polowej Wojska Polskiego w Warszawie w intencji żołnierzy Narodowych Sił Zbrojnych.

– *Msza święta była potrzebna partyzantom, żołnierzom – była potrzebna tym, którzy walczyli o wolność Ojczyzny. Właśnie po to, aby umocnić ich decyzję oddania wszystkiego, nawet życia za wolność Ojczyzny* – powiedział w homilii ks. płk Zbigniew Kempa. *Wielu żołnierzy i partyzantów w czasie II wojny światowej, żołnierzy działających w różnych organizacjach zbrojnych, w Narodowych Siłach Zbrojnych w okresie powojennym właśnie z mszy świętej, z Eucharystii czerpało moc i siły* – dodał.

Po eucharystii uczestnicy obchodów udali się na plac Marszałka Józefa Piłsudskiego, gdzie uroczystość przed Grobem Nieznanego Żołnierza rozpoczęto od uhonorowania Weteranów Narodowych Sił Zbrojnych - mjr. Bogdana Eubicha, mjr. Stanisława Turskiego i por. Henryka Atemborskiego medalem „Pro Bono Poloniae”. Natomiast Weteranka NSZ mjr Maria Kowalewska ps. „Myszka” została oficjalnie powołana na członka Rady do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych – organu doradczego, działającego przy szefie Urzędu. Aktu dekoracji oraz nominacji dokonał szef UdSKiOR Jan Józef Kasprzyk wraz z przewodniczącym Rady do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych, weteranem Armii Krajowej sędzią Bogusławem Nizieńskim.

Następnie szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych zwrócił się do Weteranów Narodowych Sił Zbrojnych:

– *Najpiękniej o Was powiedział legendarny generał Stanisław Maczek: „Rozwój wypadków Wam przyznał rację. Jesteście dla wielu wyrzutem sumienia. Tego Wam nigdy nie wybaczą”. Dziś w tym świętym miejscu, przy Grobie Nieznanego Żołnierza oddajemy Wam wszyscy hołd, honor i cześć!*

I dodał: *Łączy nas dzisiaj pamięć i wdzięczność wobec czynu zbrojnego NSZ i Brygady Świętokrzyskiej NSZ. Wyjaśnił również, że niedzielna uroczystość jest właściwie dopełnieniem tego, co stało się przed dwoma laty, kiedy Sejm RP przez aklamację, jednogłośnie, bez żadnych protestów przyjął*

„WY WSZYSCY WALCZYLIŚCIE O TO SAMO – O WOLNĄ POLSKĘ”



uchwałę, w której stwierdzał wyraźnie, iż NSZ były „formacją, która dobrze zasłużyła się Ojczyźnie”.

W odniesieniu do kontrowersji, jakie wywołała organizacja obchodów rocznicowych, Jan Józef Kasprzyk zauważył, że na uroczystości przybyli nie tylko Weterani NSZ, ale również Armii Krajowej, Batalionów Chłopskich i in.

– Podjęto próby, aby podzielić środowisko kombatanckie. Ale środowiska kombatanckiego podzielić się nie da, bo Wy wszyscy walczyliście o to samo – o wolną Polskę!” – podkreślił minister Kasprzyk.

W uroczystościach wzięli też udział m.in. wicemarszałek Sejmu Małgorzata Gosiewska, reprezentujący premiera Mateusza Morawieckiego wojewoda mazowiecki Zdzisław Sipiera, posłowie Andrzej Melak i Robert Winnicki, senator prof. Jan Żaryn, przedstawiciele Wojska Polskiego i służb mundurowych, weterani i rodziny żołnierzy NSZ, przedstawiciele innych środowisk kombatanckich, działacze opozycji antykomunistycznej w reprezentacja Instytutu Historycznego NN im. Andrzeja Ostoja Owśianego z Prezesem **Andrzejem Chyłkiem** i człon-



kiem Zarządu **Krzysztofem Lancmanem** na czele, a także liczne poczty sztandarowe i ludność przybyła na obchody z całego kraju.

Obchody 75. rocznicy powstania Brygady Świętokrzyskiej NSZ na pl. Marszałka Józefa Piłsudskiego zakończył uroczysty Apel Pamięci, salwa honorowa oraz ceremonia składania wieńców i wiązanek kwiatów na płycie Grobu Nieznanego Żołnierza. Wojskową asystę honorową zapewniła Orkiestra Reprezentacyjna Wojsk Lądowych we Wrocławiu oraz Pułk Reprezentacyjny Wojska Polskiego.

Po oficjalnej części obchodów miało miejsce spotkanie Szefa Urzędu ze środowiskiem Narodowych Sił Zbrojnych, podczas którego minister Kasprzyk odznaczył osoby szczególnie zasłużone Medalami „Pro Bono Poloniae” i „Pro Patria”.

Brygada Świętokrzyska Narodowych Sił Zbrojnych powstała 11 sierpnia 1944 r. Jej żołnierze walczyli o Niepodległość Rzeczypospolitej zarówno z okupantem niemieckim, jak i sowieckim, a także w akcjach ma-

jących na celu obronę ludności cywilnej przed zbrodniczą grabieżą band rabunkowych.

Oddziały Brygady współpracowały z oddziałami Armii Krajowej, Batalionów Chłopskich i NSZ-AK biorącymi udział w akcji „Burza” oraz nawiązały kontakty z Komendami Okręgów AK: Radomsko-Kieleckiego, Łódzkiego i Krakowskiego, czyli na własnym terenie operacyjnym. Istniał również plan przyjęcia do Brygady znacznej części 25 pp AK pod dowództwem mjr. Rudolfa Majewskiego „Leśniaka”. Nie został on zrealizowany, nagle bowiem ruszył front i oba zgrupowania zostały rozdzielone.

Wraz ze zbliżaniem się armii sowieckiej, którą podziemie niepodległościowe słusznie oceniało jako kolejnego po Niemcach okupanta, Dowództwo Brygady Świętokrzyskiej podjęło decyzję o wycofywaniu jednostki na Zachód, aby dołączyć do Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Była to w dużej mierze realizacja wcześniejszej koncepcji Naczelnego Wodza gen. Kazimierza Sosnkowskiego, który znając plany sowieckie, troszczył się o zachowanie polskiej substancji narodowej.

Po krwawych walkach z Niemcami w dniach 13 i 14 stycznia 1945 r. w okolicach Uniejowa i Tunelu oraz po ataku jednostek frontowych sowieckich na tyły Brygady, dowództwo Brygady zdecydowało się na przejście fortyfikacji niemieckich w celu przemarszu na Zachód. Aż do początku maja 1945 r. Brygada (zwana też Grupą Operacyjną „Zachód”) przechodziła w kierunku zachodnim – przez Śląsk i Czechy.

Jednym z najchwalebniejszych czynów żołnierzy Brygady Świętokrzyskiej było wyzwolenie niemieckiego obozu koncentracyjnego dla kobiet w Holiszowie (filia KL Flossenbürg). W wyniku tej akcji uwolnionych zostało blisko tysiąc kobiet, w tym blisko 300 Żydówek z Polski, Francji, Jugosławii. Baraki, w których przebywały, zostały przez niemieckich oprawców oblane benzyną i tylko brawurowa akcja zbrojna żołnierzy Brygady ocaliła je przed spaleniem żywcem. Obok obozu w Holiszowie zlokalizowane były też liczne zakłady niemieckiego przemysłu zbrojeniowego. Pracowały w nich tysiące niewolników – robotników przymuszonych, w tym Żydów. Oni również w wyniku tej akcji zostali uwolnieni.

Gdy Brygada znalazła się w pobliżu frontu zachodniego, jej dowódca wysłał emisariuszy do Naczelnego Wodza (m.in. przez Szwajcarię) oraz do lokalnego dowództwa armii amerykańskiej. Po uznaniu operacyjnego zwierzchnictwa amerykańskiego, na przełomie kwietnia i maja 1945 r. Brygada wzięła udział w ciężkich walkach z Niemcami na terenie Czech, działając wspólnie z żołnierzami 3 Armii gen. George S. Pattona. Żołnierze Brygady wspólnie z oddziałami USA m.in. wzięli do niewoli sztab XIII armii niemieckiej (w tym dwóch generałów). W dowód uznania i podkreślenia, że Brygada Świętokrzyska jest jednostką sojuszniczą, Amerykanie pozwolili jej żołnierzom i oficerom – jako jedynej jednostce polskiej – na noszenie oznak Armii USA.

Od 2016 r. rokrocznie w Holiszowie odbywają się państwowe uroczystości w rocznicę wyzwolenia obozu, z udziałem asysty Wojska Polskiego oraz licznie obecnych weteranów NSZ. W 2018 r. na murach dawnego obozu odsłonięta została pamiątkowa tablica.

15 maja 1945 r. z żołnierzami Brygady spotkał się emisariusz gen. Władysława Andersa płk Alojzy Mazurkiewicz, który powiedział m.in. „Jesteście jedynym oddziałem, któremu udało się przejść przez wszystkie trudy i znoje życia żołnierskiego z bronią w ręku. U Amerykanów macie opinię jak najlepszą. Tę opinię zjednaliście sobie swoją postawą żołnierską i swym zachowaniem. Byliście i jesteście żołnierzami polskimi i czyni wasze przejść do historii”.

Po ustaniu działań wojennych część Brygady zasilili szeregi 2. Korpusu Polskiego gen. Władysława Andersa stacjonującego we Włoszech (m.in. szef sztabu Brygady cichociemny ppłk Leonard Zub-Zdanowicz ps. Ząb, odznaczony pośmiertnie w 2009 r. Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski), a część pozostała w amerykańskiej strefie okupacyjnej Niemiec zasilając Kompanie Wartownicze przy Armii USA. Nie mogąc wrócić do okupowanej przez komunistów Polski, osiedlali się we Francji, Wielkiej Brytanii, USA, Kanadzie.

„Czarna legenda” Brygady Świętokrzyskiej była stałym elementem powielanym przez komunistyczną propagandę.

75. ROCZNICĘ BITWY ODDZIAŁÓW ARMII KRAJOWEJ POD PECYNKĄ

W 1944 roku oddziały partyzanckie Armii Krajowej w ramach akcji „Burza” stoczyły walki z hitlerowskim najeźdźcą. Podobnie jak w latach ubiegłych uroczystości rozpoczęły się w Ostrowi Mazowieckiej. Na uroczystości zaprosili uczestników: Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych, Zarząd Okręgu Warszawa – Wschód Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej, Koło Krajowe „Opocznik” ŚZŻAK, Miasto Ostrów Mazowiecka, Urząd Gminy Wąsewo, Muzeum Dom



Rodziny Pileckich w Ostrowi Mazowieckiej, PSP w Brudkach Starych oraz szkoły współpracujące. Głównym organizatorem obchodów, które odbyły się 31 sierpnia był Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej Koło Krajowe „Opocznik”. W uroczystościach uczestniczyła liczna reprezentacja Instytutu Historycznego im. Andrzeja Ostoja Owsińskiego.

Uroczystości w Pecynce przy Pomniku – Mogile Żołnierzy Armii Krajowej poległych w dniu 31.08.1944 r. rozpoczęły się Mszą Świętą Polową w intencji poległych partyzantów.

Wojskową asystę honorową wystawił 22. Wojskowy Ośrodek Kartograficzny w Komorowie oraz 52. Batalion Lekkiej Piechoty 5. Mazowieckiej Brygady Obrony Terytorialnej. Licznie stały się poczyty sztandarowe organizacje kombatanckich, służb mundurowych, samorządów i szkół. Posterunek honorowy przy pomniku wraz z żołnierzami pełnili harcerze 29. DH „Pogodni”. Po Mszy Świętej i powitaniu gości odśpiewano hymn narodowy. W trakcie obchodów z wystąpieniami okolicznościowymi wystąpili: wiceprezes Okręgu Warszawa-Wschód ŚŻŻAK



Mirosław Widlicki, starosta wyszkowski Jerzy Żukowski, wójt gminy Długosiodło Stanisław Jastrzębski oraz wójt gminy Wąsewo Rafał Kowalczyk. W swoich wystąpieniach podkreślali, jak ważna jest pamięć o bohaterach walczących w obronie wolności naszej Ojczyzny. Gorąco również witano kombatantów uczestniczących w obchodach m.in.: kpt. Jerzego Nowickiego (żołnierza 6 Brygady AK Okręgu Wileńskiego), mjr Zbigniewa Raczyńskiego i innych. W czasie uroczystości kilka razy wspominano postać Moniki Elżbiety Rudyk, zmarłej w ostatnich dniach długoletniej członkini Zarządu Koła Krajowego „Opocznik” córki legendarnego dowódcy 8. Komp. III bat. 13. pp AK, dowodzącego w Akcji „Burza” bitwą pod Jarząbką i Pecynką, por. Alfreda Wieczorka ps. „Tatar”.

Na cześć poległych Bohaterów odczytano Apel Pamięci oraz oddano salwę honorową. Prezes Koła Krajowego „Opocznik” SZŻAK Grażyna Rudnik wręczyła odznaczenia i dyplomy za zasługi na rzecz Koła. Była to również okazja do wręczenia nowym członkom legitymacji.

Został odczytany list od szefa Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób



www.ostrowmaz24.pl

Represjonowanych Jana Józefa Kasprzyka. W trakcie swojej wypowiedzi wójt gminy Wąsewo Rafał Kowalczyk podkreślał, że chociaż obchody są smutnym momentem, ale cieszy się, że mogą się spotkać w miejscu, gdzie jego dziadek Antoni Kowalczyk walczył w pecynkowskich lasach. „Czym byłaby nasza pamięć bez tej naszej tutaj obecności?” – pytał zebranych. Przypominał o zabitych i pomordowanych oraz miejsca ich walk i śmierci, mogiły, a szczególnie 448 mieszkańców miejscowości Lipniak Majorat, których Niemcy zamordowali bestialsko i ta zbrodnia niezmiennie od lat jest upamiętniana w trakcie obchodów bitwy pod Pecynką. Po oficjalnych wystąpieniach delegacje złożyły kwiaty i zapaliły znicze pod pomnikiem upamiętniającym poległych w bitwie pod Pecynką. W uroczystościach wzięli udział: kombatan ci zrzeszeni w Światowym Związku Żołnierzy Armii Krajowej oraz Związku Kombatantów RP i Byłych Więźniów Politycznych, przedstawiciele władz samorządowych z Wąsewa na czele z wójtem Rafałem Kowalczykiem, Długosiodła z wójtem Stanisławem Jastrzębskim, Wyszkowa oraz przedstawiciele Muzeum-Dom Rodziny Pileckich w Ostrowi Mazowieckiej, leśnicy, harcerze oraz młodzież szkolna. Miasto Ostrów Mazowiecka reprezentowała Sekretarz Miasta Bożena Szostak. Wraz ze starostą wyszkowskim Jerzym Żukowskim w uroczystościach uczestniczyła członek Zarządu Powiatu Wyszковского – Teresa Czajkowska – córka kapitana Mariana Czajkowskiego ps. „Dym” – członka oddziału Jana Kmiołka.

W trakcie uroczystości władze ŚZŻAK odznaczyły członków i wręczono legitymacje nowoprzyjętym.

Uczestnicy uroczystości wysłuchali na koniec występu słowno-muzycznego w wykonaniu uczniów SP w Brudkach Starych.

Po głównych uroczystościach w Pecynce złożono kwiaty w miejscach pamięci w Lipniaku-Majoracie oraz Długosiodle.

Relacja Pani Janina Czerwińska

75. ROCZNICĘ BITWY ODDZIAŁÓW ARMII KRAJOWEJ POD PECYNĄ

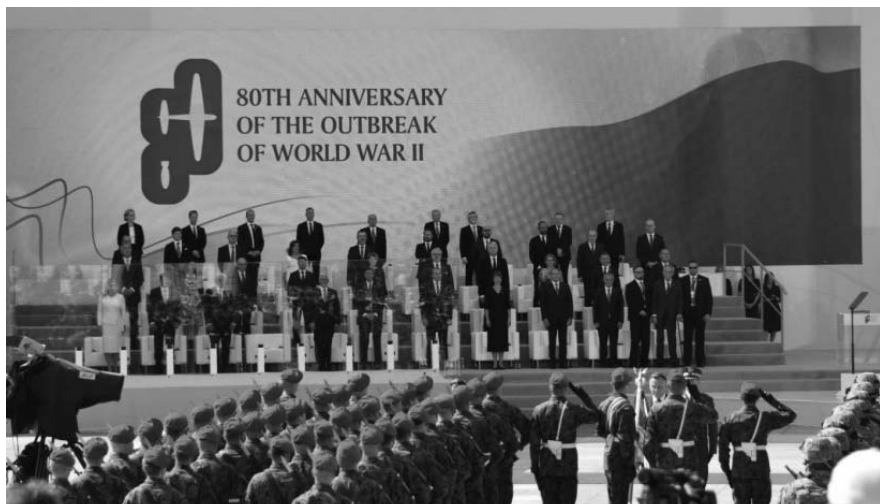




CENTRALNE OBCHODY 80. ROCZNICY WYBUCHU II WOJNY ŚWIATOWEJ

Weterani walk o Niepodległość RP wzięli udział w centralnych uroczystościach upamiętniających 80. rocznicę wybuchu II wojny światowej, które odbyły się

1 września 2019 r. na placu Marszałka Józefa Piłsudskiego w Warszawie. Obrońcom naszej wolności towarzyszył podczas tego ważnego wydarzenia Szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych Jan Józef Kasprzyk. Licznie uczestniczyli też członkowie Rady do Spraw Działaczy Opozycji Antykomunistycznej i Osób Represjonowanych z Powodów Politycznych w tym członkowie Instytutu Historycznego im. Andrzeja Ostoję Owsianego



CENTRALNE OBCHODY 80. ROCZNICY WYBUCHU II WOJNY ŚWIATOWEJ



Na zaproszenie prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Andrzeja Dudy do Polski przybyli goście z czterdziestu państw, delegacjom zagranicznym często przewodziły głowy państw lub szefowie rządów. Obecne były również najwyższe polskie władze państwowe, przedstawiciele służb mundurowych i duchowieństwa różnych wyznań, przedstawiciele środowisk działaczy opozycji antykomunistycznej, członkowie korpusu dyplomatycznego akredytowanego w Polsce, harcerze, a także obywatele mieszkający w kraju i za granicą.

Uroczystość rozpoczęła się od przeglądu pododdziałów i zmiany posterunku honorowego. Następnie głos zabrał prezydent Andrzej Duda, który podziękował kombatanom za ich walkę o suwerenność Polski i innych krajów Europy: – *Czcimy i składamy hołd dzisiaj wszystkim ofiarom II wojny światowej. Chylimy czoła i z wdzięcznością całujemy ręce Kombatantów, naszych wspaniałych obrońców Ojczyzny, tych, którzy walczyli za „wolność naszą i waszą” na wszystkich frontach ówczesnego świata. Drodzy Kombatanci, drodzy żołnierze naszej wolności, z całego serca Wam za to dziękujemy, gdziekolwiek jesteście teraz na świecie.*



Prezydent przypomniał także o ponad 22 tysiącach ofiar zbrodni w Katyniu i innych miejscach kaźni: – *To była straszliwa hekatomba polskiej inteligencji, to była straszliwa hekatomba naszego narodu, to było wycinanie z polskiej tkanki narodowej najlepszych jej synów. Z polskiej tkanki narodowej w szerokim tego słowa znaczeniu, bo myślę tutaj o obywatelach państwa polskiego, ściśle mówiąc narodowości bardzo różnej: Polakach, Żydach, Ukraińcach, Rusinach – wszyscy byli oficerami polskiej armii, wszystkich ich potraktowano jednakowo, wszystkich ich bestialsko pomordowano – zaznaczył.*

Z kolei prezydent RFN Frank-Walter Steinmeier przyznał, że rozpoczęta przed 80 laty wojna była zbrodnią popełnioną przez jego rodaków: – *Ta wojna była zbrodnią niemiecką. Historia tego miejsca jest tego świadectwem. Już od pierwszego dnia wojny Niemcy ostrzeliwali Warszawę. Przez lata siali ogromne spustoszenie w tym mieście. Całe dzielnice miasta zrównali z ziemią. Deportowali jego mieszkańców. Mordowali mężczyzn, kobiety i dzieci. Polska, jej kultura, jej miasta, jej mieszkańcy – wszystko, co żywe, miało zostać unicestwione – powiedział, dziękując Polakom za to, że możliwe było pojednanie między oboma narodami. Steinmeier podkreślił ponadto, że Niemcy nigdy nie zapomną krzywd, które wyrządzili swoim sąsiadom.*

Wiceprezydent Stanów Zjednoczonych Mike Pence zwrócił uwagę na bohaterską postawę Polaków, którzy nigdy nie poddali się w walce przeciwko dwóm wielkim totalitaryzmom XX wieku: – *Ciężko jest tym z nas, którzy nie są Polakami, zrozumieć, jakie potworności rozpoczęły się tutaj 80 lat temu, 1 września 1939 roku. W przeciągu tygodni armia nazistowskich Niemiec z zachodu i komunistycznego Związku Radzieckiego ze wschodu podzieliły ten kraj, rozerwały na strefy okupacyjne. Maniakalny dowódca nazistów wydał rozkaz fizycznego zniszczenia wroga i nakazał bezlitosną, okrutną śmierć polskich mężczyzn, kobiet i dzieci – zaznaczył Pence, dodając: – W trakcie trwającej kilka dziesięcioleci walki przeciw tyranii Polska udowodniła, że jest ojczyzną bohaterów.*

Następnie miał miejsce salut narodowy, po czym szefowie każdej z delegacji uderzyli w Dzwon Pamięci i złożyli wspólny wieniec na płyt-



cie Grobu Nieznanego Żołnierza. Uroczystość na placu Piłsudskiego zakończyła defilada pododdziałów reprezentujących wszystkie rodzaje Polskich Sił Zbrojnych.

Oficjalną część obchodów 80. rocznicy wybuchu II wojny światowej zwieńczyła uroczysta Msza święta w Katedrze Polowej WP, odprawiona przez ordynariusza polowego WP bp. Józefa Guzdkę w intencji ofiar wojny oraz poległych, zmarłych i żyjących żołnierzy, którzy walczyli na wszystkich frontach tego największego w historii konfliktu zbrojnego. Zebrani na Eucharystii w sposób szczególny modlitwą otoczyli również kombatantów w dzień ich święta – 1 września został ustanowiony Dniem Weterana walk o Niepodległość Rzeczypospolitej Polskiej.

UROCZYSTA PREZENTACJA ZNACZKA POCZTOWEGO EMISJI „40. ROCZNICA UTWORZENIA KONFEDERACJI POLSKI NIEPODLEGŁEJ”

7 września 2019 roku odbyła się w Warszawie uroczysta prezentacja znaczka pocztowego emisji „40. rocznica utworzenia *Konfederacji Polski Niepodległej*” wydanego przez Poczta Polska. Inicjatorem wydania znaczka był Instytut Historyczny nurtu niepodległościowego im. Andrzeja Ostoja Owsianego (choć trzeba i należy podkreślić, że autorem pomysłu była pragnąca zachować anonimowość Osoba, nie będąca członkiem naszego Instytutu).





Organizatorami uroczystości byli: Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych, Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL (gospodarz uroczystości) i – oczywiście – Poczta Polska (wydawca znaczka).

Od razu należy podkreślić, że pierwotne plany były inne. W Warszawie nasz Instytut planował zorganizować (wspólnie z wymienionymi wyżej instytucjami) uroczyste (o charakterze państwowym) obchody 40-lecia Konfederacji Polski Niepodległej, które miały rozpocząć się na Placu Piłsudskiego (w historycznym miejscu ogłoszenia zawiązania Konfederacji), potem uczestnicy mieli przejechać autokarami do Katedry Polowej Wojska Polskiego, gdzie miała odbyć się uroczysta msza, a następnie miała być w Muzeum uroczysta sesja poświęcona KPN z udziałem m.in. Leszka Moczulskiego, jako gościa honorowego. Miały być hotele dla przyjezdnych, impreza całonocna, wspólny obiad... Plany te – z przyczyn niezależnych od organizatorów – zostały odwołane, czego wiele osób nie rozumie do dzisiaj i z czym się nie zgadza. Nastrój żalu (czy też rozżalenia) był zresztą wyczuwalny także w kuluarach. Odbyla



się ostatecznie skromna, dwugodzinna uroczystość (nasz Instytut posłusznie wycofał się z jej organizacji), a poczęstunek dla gości (wielu przybyło spoza Warszawy) ograniczył się do kawy/herbaty, herbatników i pierników w lukrze. I od razu trzeba

podkreślić, że prostota, skromność, wręcz ascetyczność imprezy przełożyła się na przedziwny nastrój tej uroczystości. Ludzie byli bardziej skupieni na słowach, które padały, na symbolach i gestach, a uroczystość momentami wywoływała wzruszenie. U niektórych osób widać było wilgotne oczy.

Złożyło się na to wiele okoliczności: poczucie krzywdy i niedocenia (o czym mówił jeden z trzech historycznych przywódców Konfederacji, który jako jedyny uczestniczył w imprezie – Tadeusz Stański),



i serdeczny ton wyraźnie wyczuwalny w najlepszym przemówieniu tego popołudnia, który wygłosił minister Jan Józef Kasprzyk

– *Konfederacja Polski Niepodległej była pierwszą odpowiedzią na te wielkie słowa, które padły na obecnym placu Józefa Piłsudskiego w czerwcu 1979 r., wypowiedziane przez Ojca Świętego Jana Pawła II, aby „zstąpił Duch i odnowił oblicze ziemi, tej ziemi”. To dzięki Wam do krwiobiegu narodowego przywrócone zostało słowo „niepodległość”. Nie socjalizm z ludzką twarzą, nie reforma istniejącego PRL, ale odzyskanie przez Polskę niepodległości. Dzięki Wam zostało ono przywrócone na usta, do serc i w dusze Polaków. Za to Wam dziękujemy!* – powiedział minister Kasprzyk do zgromadzonych w Muzeum.

(na stronie Urzędu można obejrzeć zapis filmowy tego wystąpienia – <https://www.facebook.com/udskior/videos/539788493429596/>), i wzruszające słowa pieśni Leszka Czajkowskiego wyśpiewane na koniec uroczystości.

Bard mówił ze ściśniętym gardłem, podkreślając, że jest to dla niego koncert szczególny, gdyż grał dla Przyjaciół, z których wielu nie widział od 30 lat...



Ale przecież nie tylko Leszek Czajkowski należał do Konfederacji. Większość pozostałych osób, które zabierały głos – także. Do KPN należeli przecież: dyrektor Muzeum – Jacek Pawłowicz, Bohdan Urbanowski, a także – dziękujący organizatorom – Prezes Zarządu naszego Instytutu – Andrzej Chyłek. Z kolei Prezes Zarządu Poczty Polskiej Przemysław Sypniewski związany był przed 1989 rokiem z zaprzyjaźnionym z KPN-em Ruchem Młodej Polski w Wielkopolsce, a także był kolegą śp. Wojciecha Pęgiela (szefa KPN-u w Poznaniu). Była więc to w dużej mierze uroczystość zorganizowana przez byłych działaczy Konfederacji Polski Niepodległej dla Przyjaciół i Kolegów.

Z instytucji zewnętrznych należy odnotować obecność poseł Ewy Tomaszewskiej, która odczytała list Marszałek Sejmu Elżbiety Witek (a Jacek Pawłowicz odczytał treść uchwały Sejmu z okazji 40-lecia utworzenia KPN, publikowanej już przez nas na FB). Obecny był także szef Rady Nadzorczej Gremi SA (wydawcy największego i najlepszego dziennika papierowego w Polsce) Grzegorz Hajdarowicz (także były kapeenowiec!). Rolę mistrza ceremonii pełnił Zbigniew Jackiewicz. Uroczystość w Muzeum poprzedziło złożenie wieńca przy ścianie straceń więzienia na Rakowieckiej.



Kilkunastu byłych działaczy KPN uhonorowanych zostało przez Jana Kasprzyka, szefa Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych, medalami Pro Bono Poloniae i Pro Patria.



W czasie imprezy można było otrzymać nieodpłatnie obszerny, specjalny 23 numer „Opinii nurtu niepodległościowego” wydany przez nasz Instytut z okazji Jubileuszu KPN oraz folder wydany z okazji prezentacji znaczka. Można było także nabyć znaczek (w cenie 3,30 groszy), który jest już w obiegu (choć staje się „białym krukiem” na pocztce – kilka osób sygnalizowało trudności z jego nabyciem).

Po zakończeniu uroczystości zorganizowane było zwiedzanie Muzeum, w którym siedzieli (i w którym zostali zamordowani) m.in. Emil August Fieldorf Nil czy Witold Pilecki. „Pensjonariuszami” tego miejsca byli jednak także (obok wielu innych osób) przywódcy Konfederacji Polski Niepodległej: Leszek Moczulski, Romuald Szeremietiew, Tadeusz Stański, Tadeusz Jandziszak, Zygmunt Goławski, Andrzej Szomański, Krzysztof Król, Adam Słomka i Dariusz Wójcik. W taki oto, bezpośredni sposób, historia potwierdziła słusność słów, które padły 40 lat temu: „Jesteśmy kolejną zmianą w długim pochodzie pokoleń...”



„NIELEGALNA POLITYKA” BUDZI EMOCJE

Debacie o książce Andrzeja Anusza przystuchowało się kilkadziesiąt osób
książka „Nielegalna polityka” Andrzeja Anusza wzbudza spore zainteresowanie i żywe reakcje, jak pokazało spotkanie w „Przystanku Historia” IPN 9 września 2019.

Istotą obiegu oficjalnego było kłamstwo, to ono budziło sprzeciw – wskazał prof. Wiesław Wysocki z Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego. Mówiąc o pułapkach, czyhających na każdego autora publikacji o historii najnowszej, przypomniał znane wśród prawników po-





wiedzenie: łże jak naoczny świadek. Zastrzegł zarazem, że bycie uczestnikiem historii nie oznacza, że nie da się jej przedstawiać obiektywnie. Pochwalił warsztat autora – faktyczny miernik, czy udało się wybrnąć z przedstawionego dylematu – który uznał za doskonały.

Andrzej Anusz w latach 80. był czołowym działaczem NZS. Na okładce „Nielegalnej polityki” zamieścił swoje zdjęcie „z epoki” z Jackiem Kuroniem. Pochodzi z wiosny 1989 r, kiedy jako student z antykomunistycznej opozycji prowadził kampanię Kuronia na Żoliborzu przed wyborami 4 czerwca.

Drugi z panelistów, dr Jan Olszek przyznał jednak, że ma problem właśnie z łączeniem przez autora „Nielegalnej polityki” roli uczestnika i narratora tych samych zdarzeń. W jego ocenie składające się na książkę dra Andrzeja Anusza wątki i szkice „mieszczą się w temacie, ale go nie wyczerpują”. Największe wątpliwości panelisty wzbudziło włączenie do książki historycznej dziennika lektur – dawnych studenckich jeszcze notatek autora, stanowiących zapis obcowania z literaturą drugiego obiegu.

Właśnie pojęcie drugiego obiegu, zwykle rezerwowane dla ukazujących się poza cenzurą przed 1989 r. publikacji – autor rozszerza na całą tytułową „nielegalną politykę”. Tak rozumiany drugi obieg traktuje jak osobne zjawisko antropologiczne i kulturowe. To drugi zasadniczy



wyznacznik nowatorstwa książki Anusza, które docenili już recenzenci i podkreślali również paneliści. Sam autor zastrzegł, że wcześniej zarówno Andrzej Friszke jak Andrzej Paczkowski nadmieniali, że w opisie zjawiska brakuje połączenia perspektywy świadka i dokumentu. Andrzej Anusz potraktował to jak wyzwanie.

Drugi obieg nie pełnił tylko funkcji informacyjnej, lecz integrował – podkreślił w dyskusji sam autor.



Zaś zabierający głos z sali eseista Bohdan Urbankowski przypomniał, jak sam Józef Piłsudski zwykł podkreślać, że „Robotnik” organizował ludzi wokół siebie, nie był tylko zwykłym tytułem prasowym.

– Drugi obieg w latach 80 był sercem i rdzeniem opozycji – potwierdził prowadzący panel dr Tomasz Kozłowski.

– Czasem mniej ważne było, co ktoś napisał, najbardziej istotne, że wokół tego skupiali się ludzie – potwierdzał dr Olaszek. W ślad za poglądem samego dr Anusza drugi obieg uznał za podstawę, a nie tylko formę działania opozycji sprzed 1989 r.

Profesor Wysocki zaliczył książkę Anusza do tych publikacji historycznych, które po latach dowartościowują nurt niepodległościowy i środowiska związane z Kościołem. Kpił z poglądu, że wolność Polsce przynieśli, jak twierdzi prof. Jerzy Wiatr, zawiedzeni marksiści tworzący opozycję i pozostający u władzy komunistyczni liberałowie.

Jan Olaszek kwestionował wagę ówczesnych podziałów, wskazując, że różnice zdań w opozycji miały w znacznej części taktyczny charakter. W jego ocenie również dla Jacka Kuronia finlandyzacja czyli neutralizacja Polski nie stanowiła celu samego w sobie, tylko etap w drodze do niepodległości, o czym zaświadcza wywiad lidera KOR dla zagranicznej prasy.

Dr Andrzej Anusz – co też stanowi nowatorskie podejście – zalicza NZS do nurtu niepodległościowego, ponieważ Zrzeszenie – dysponujące w 1981 r. statusem organizacji oficjalnie zarejestrowanej i uznawanej przez władze – wpisało już wtedy do swojego programu postulat niepodległości Polski. Przyczynić się do jego realizacji udało się już kolejnym studenckim rocznikom, za sprawą strajków z wiosny 1988 r, kiedy to studenci jako jedyni poparli strajkujących robotników. Gdy władza spacyfikowała Nową Hutę – swój protest zaczął Uniwersytet Warszawski. Sam Lech Wałęsa podkreślał później, że jeśli mowa o opozycji, to Okrągły Stół stoi na trzech nogach: stanowią je Solidarność pracownicza i rolnicza oraz właśnie Niezależne Zrzeszenie Studentów.

Zarówno paneliści jak uczestnicy dyskusji wypowiadający się z sali podkreślali, że czekają na kolejne książki o czasach przełomu, zwłaszcza

dotyczące nurtu niepodległościowego – szczególnie na monografię Konfederacji Polski Niepodległej, na której potrzebę zwrócił uwagę również autor „Nielegalnej polityki”.



WIDOWISKO HISTORYCZNE „ZRZUT CICHOCIEMNYCH ZAPORA 2019”

Decydującą sprawą, która skłoniła mnie do przybliżenia sylwetki majora Hieronima Dekutowskiego „Zapory”, w formie widowiska historycznego, były obawy Majora, że ich walka w obronie niepodległej, wolnej Polski może być zapomniana. Że zbrodniarzom komunistycznym, może udać się zakłamanie i zdeptanie pamięci o ich heroicznej ofercie.

Panie Majorze obiecujemy – nie uda się !!!

Pierwsze kroki na polskiej ziemi, po powrocie do Polski, Hieronim Dekutowski stawiał pod Łosinnem, na łąkach zwanych Płocha. Nocą z 16 na 17 września 1943 r. na placówkę „Garnek” zrzucono trzech cichociemnych, 6 zasobników i jedną paczkę.

Operacja oznaczona jako „NEON 1”. Miejsce zrzutu: o kryptonimie „**Garnek**”**103** – polana po zachodniej stronie Łosinna.

Samolot Halifax BB-378 „D”. Siedmioosobowa polska załoga pod dowództwem por. nawigatora Władysława Krywdy ze 138 Dywizjonu RAF.

Cichociemnymi była: XXXI ekipa skoczków:

– d-ca kpt. dypl. **Bronisław Rachwał „Glin”** – przydzielony do Oddziału III KG AK, do Działu Broni Pancernych. W Powstaniu Warszawskim – oficer operacyjny w sztabie Obwodu Śródmieście. Zginął 2 września 1944 r. na rogu Jasnej i Kredytowej zasypyany w piwnicy od pocisku artyleryjskiego,

– ppor. **Hieronim Dekutowski „Zapora”** – szef Kedywu AK w Inspektoracie Lublin – Puławy. Bohater obu okupacji. Najbardziej znany i poszukiwany przez szwadrony NKWD i UB żołnierz Lubelszczyzny.

Wybitny dowódca. Znakomicie wyszkolony w posługiwaniu się bronią ręczną i maszynową. Jego cechy to: odwaga, szybkość podejmowania decyzji ale i ostrożność, duże poczucie odpowiedzialności za ludzi. Bardzo wymagający ale i troszczący się o żołnierzy. Nazywany przez nich „Starym”, choć nie miał trzydziestki – uwielbiali Go i ufali mu. Jego ponad 200-osobowe oddziały przeprowadziły ponad 80 akcji bojowych, dywersyjnych i odwetowych przeciwko NKWD, UB, KBW i MO. Przy próbie przekroczenia granicy w Nysie, po zdradzie m.in. „Opala” (Stanisława Wnuka), został aresztowany 16 września 1947 roku. Po okrutnym wielomiesięcznym śledztwie skazany na 7 – krotną karę śmierci wraz z 6 podkomendnymi. Zamordowany 7 marca 1949 roku.

– ppor. **Kazimierz Smolak „Nurek”** – kurier Delegatury Rządu na kraj. Żołnierz Kedywu. 15 czerwca 1944 r. w Kielcach, Kedyw dokonał udanego zamachu na niemieckiego konfidenta Franza Wittka. Smolak zginął tego dnia w walce z Niemcami.

Zrzut odbierała Placówka XIV „Pniewo”, z dowódcą ppor. Janem Widlickim „Orskim”. Opis zrzutu (adiutanta komendanta XIV Plac. - Zygmunta Godlesia „Dębskiego”) znajduje się w „III tomie Zeszytów Wyszowskich”.

Nie był to pierwszy zrzut w rejonie Łosinna. Na polanach Łosinna miały miejsce trzy zrzuty lotnicze z Anglii. Ten z „Zaporą” był trzecim.

I zrzut miał miejsce nocą z 3 na 4 marca 1942 r. Operacja „COLLAR”.

Miejsce zrzutu: Placówka o kryptonimie „**Pole**” (polana należąca do wsi Łosinno, 5-6 km płn-zach. od stacji Wyszów).

Samolot Halifax L-9618 „W”. Załoga samolotu polska, ze 138 Dywizjonu RAF, pod dowództwem nawigatora por./kpt. Mariusza Wodzikiego. Wśród 9-osobowej załogi samolotu, leciało dwóch przyszłych cichociemnych. Kpt. Wodzicki zginął kilka miesięcy później w Norwegii, wraz z załogą i trzema cichociemnymi, w jednym z kolejnych lotów do Polski.

Na placówkę „Pole” zrzucono 6 wszechstronnie przeszkolonych oficerów: IV ekipa skoczków: – d-ca kpt. Bohdan Piątkowski „Mak”, –

kpt. Zygmunt Milewicz „Róg”, – por. Franciszek Pukacki „Gzys”, – por. Jan Rogowski „Czarka”, – por. Stanisław Jankowski „Burek”, – por. Jan Kochański „Jarma”. Zrzut odbierała Placówka XIII Somianka, z dowódcą ppor. Stanisławem Urbaniakiem „Trzaską” – kierownikiem szkoły w Łosinnie.

II zrzut: 8/9 marca 1943 r. Operacja „ASTER”

Miejsce zrzutu: tym razem polana wsi Łosinno o kryptonimie „**Kruk**”, na terenie Placówki XIV – Pniewo (6 km płn-zach. od Wyżskowa).

Samolot Halifax HR-666 „E”. Załoga samolotu (7 osób) polska, pod dowództwem nawigatora Mieczysława Kuźmickiego, również ze 138 Dywizjonu RAF.

Tym razem był to „zrzut materiałowy”. Zrzucano 6 zasobników i 4 paczki, z bronią i sprzętem wojskowym. Przyjęciem zrzutu dowodzili: oficer zrzutowy Obwodu por. Edward Jakubiak „Żyłka” i oficer do spraw zrzutów Placówki XIV ppor. Roman Jacniacki „Zawieja”. Zrzut przyjmowała drużyna zrzutowa Placówki XIV z dowódcą wachmistrem Janem Brzezińskim „Wierzbą”. Odbiór zrzutu przebiegł sprawnie. W angielskich dokumentach jest meldunek dowódcy samolotu – nawigatora Kuźmickiego: „Start 8 marca godz. 18.40. Lot trwał 12.30 godz. Zadanie wykonano”.

Dziś tradycje Cichociemnych kultywuje elitarna Jednostka Wojskowa GROM. Dowództwo Wojsk Obrony Terytorialnej przejęło tradycje Komendy Głównej Armii Krajowej. Natomiast imię mjr Hieronima Dekutowskiego ps. „Zapora” nosi 2.Lubelska Brygada Obrony Terytorialnej.

W tym roku, w sobotę 14 września, Widowisko historyczne „*Zrzut cichociemnych ZAPORA*” zostało zaprezentowane po raz trzeci. Co roku wzbogacamy zarówno scenografię jak i scenariusz widowiska. Zrzut cichociemnych ZAPORA był główną częścią pikniku militarno – patriotycznego.

W wygrodzonej części dla widzów powstało miasteczko namiotowe: zadazona scena z telebimem, namiot Jednostki Wojskowej GROM



z prezentacją nowoczesnego sprzętu i uzbrojenia, namioty i sprzęt 5. Mazowieckiej Brygady Obrony Terytorialnej i 2. Lubelskiej Brygady OT im. mjr. Hieronima Dekutowskiego „Zapory”, namiot AMW TBS „KWATERA” z różnymi atrakcjami dla młodzieży. Namiot Starostwa Wyszowskiego z konkursami dla dzieci – przygotowanymi przez nauczycielki ze SP nr 5 w Wyszowie – Lucynę Wilczyńską i Krystynę Szczukę-Wiśniewską. Oczywiście z pięknymi a także słodkimi nagrodami dla najmłodszych. Prezentowane było modelarstwo, grupy rekonstrukcyjne, grupy motocyklowe. Namioty z militariami i różnymi atrakcjami dla dzieci.

Piknik militarno – patriotyczny rozpoczął się prezentacją sprzętu, pojazdów wojskowych i motocykli, uzbrojenia. W namiocie przy scenie rozpoczęły się konkursy dla dzieci z atrakcyjnymi nagrodami. Słodkie nagrody otrzymali wszyscy uczestnicy.

Program widowiska był następujący: 1. Ponieważ 80 lat temu Niemcy zaatakowały Polskę, w okupacyjną scenerię przenieśliśmy kurpiowskie wesele, zakłócone wkroczeniem wojsk niemieckich.



2. Część oficjalna: hymn państwowy, powitanie gości, modlitwa za cichociemnych, składanie kwiatów pod pomnikiem przez poszczególne delegacje i organizatorów.

3. Inscenizacja zrzutu historycznego - poprzedzona kilkoma scenami rekonstrukcji naziemnej przygotowań do przyjęcia zrzutu i sam zrzut cichociemnych.

4. Koncert „Kapeli z Targówka” – piosenki okupacyjne i końca II RP.



5. Żołnierska grochówka oraz regionalny poczęstunek dla rekonstruktorów, artystów i gości.

Przed strefą widzów powstały zabudowania gospodarcze z chatą, opłotkami, tradycyjną studnią z żurawiem, przydrożną kapliczką a także domem zamożniejszego gospodarza.

W tej scenerii rozpoczęło się wesele kurpiowskie 1939 roku. Znakomity spektakl wesela w wykonaniu „Teatru Makata” Artura Lisa, to tradycyjne obrzędy, muzyka i pieśni kurpiowskie pokazane z humorem, trochę w krzywym zwierciadle. Aktorów z „Makaty” wsparł Kurpiowski Zespół Pieśni i Tańca „Puszcza Biała”, działający przy Szkole Podstawowej im. Żołnierzy Armii Krajowej w Pniewie. Pod koniec, weselny nastrój został zburzony nagłym wtargnięciem niemieckiego transportera opancerzonego. Wesele było wcześniej prezentowane na wielu prestiżowych festiwalach w kraju i za granicą, jednak bez zmienionego przez nas zakończenia (wtargnięcia Niemców).

Część oficjalną rozpoczęto odśpiewaniem hymnu państwowego. Następnie Mirosław Widlicki przywitał gości przybyłych na uroczystość:

– Marek Zagórski - Minister Cyfryzacji, – ks. kan. Tadeusz Suchta – proboszcz parafii Wola Mystkowska, – Anna Kaszuba – kierownik delegatury Mazowieckiego Urzędu Wojewódzkiego w Siedlcach, – Jerzy Żukowski – Starosta Powiatu Wyszkowskiego, – Robert Gołaszewski – burmistrz Łochowa, – Radosław Skrzetuski – Szef Gabinetu Politycznego Ministra Cyfryzacji, – Waldemar Sobczak – przewodniczący Rady Powiatu Wyszkowskiego, – Teresa Czajkowska – członek Zarządu Powiatu Wyszkowskiego, – Jerzy Abramczyk – przedsiębiorca Tartak Abramczyk, nasz sponsor, – Instytut Historyczny NN im. Andrzeja Ostoja Owsianego z prezesem Andrzejem Chyłkiem, sekretarzem Michałem Janiszewskim, – inspektor policji Sławomir Ciskowski, – ppłk Krzysztof Futyma – komendant WKU w Ciechanowie, – mjr Marcin Dominiak – Szef Wydziału Rekrutacji WKU Ciechanów, – Artur Lis – dyrektor Domu Kultury w Łochowie, – leśnicy z Nadleśnictwa Wyszków, – dyrektorzy szkół Adam Mickiewicz, Zbigniew Szczerba, Krzysztof Gierrek, – radni powiatowi i miejscy, – Piotr Kosowicz – przewodniczący

Gł. Komisji Rewizyjnej ŚZZAK, – Teresa Piwnik – wiceprezes Okr. Kielce ŚZZAK, – członkowie Zarządu Okręgu Warszawa-Wschód ŚZZAK, – Władysław Deluga – przewodnicząca Koła Wyszaków ŚZZAK, – Grzegorz Narzyski – przewodniczący Koła Łochów ŚZZAK, – Władysław Kolatorski – prezes Międzyszkolnego Klubu Historycznego im. Armii Krajowej Ziemi Radzyńskiej oraz bardzo liczna grupa młodzieży.

Ksiądz kanonik Tadeusz Suchta odmówił modlitwę w intencji poległych, zamordowanych oraz zmarłych cichociemnych – spadochroniarzy AK.

Następnie delegacje złożyły kwiaty pod pomnikiem: – Minister Cyfryzacji – Marek Zagórski z szefem swojego Gabinetu Politycznego, – w imieniu organizatorów – Mirosław Widlicki, Prezes IHOO Andrzej Chyłek oraz Krzysztof Lancman, – delegacja PIS Wyszaków, – delegacja wsi Łosinno, – liczne grono osób prywatnych.

W tym czasie na telebimie wyświetlane były archiwalia lotnicze z okresu II Wojny Światowej oraz fragmenty filmu „ZAPORA”.

Po powrocie delegacji od pomnika rozpoczęła się rekonstrukcja kilku scen z życia pod okupacją Niemiecką oraz przygotowań do odbioru



zrzutu powietrznego i sam zrzut. Akcji towarzyszył doskonale wkomponowany w muzykę, efekty dźwiękowe i obserwowany obraz, głos narratora – inspektora policji Sławomira Ciskowskiego. Nie dominował nad obrazem, ale profesjonalnie „opowiadał” kolejne sceny. W cichociemnych wcielili się byli i aktualni żołnierze GROM. Skoki wykonali tak jak 76 lat temu z niskiej wysokości ok. 200 m. Skakali na historycznych już (okrągłe czasze) spadochronach i w oryginalnych kombinezonach cichociemnych. Samolot przystosowany do skoków z tak niskiego pułapu to AN-2. Była to najbardziej widowiskowa część rekonstrukcji – wszystko działo się niemal nad głowami widzów. Po odbiorze zrzutu nastąpiła prezentacja cichociemnych i defilada rekonstruktorów.

Kończył widowisko koncert przodującej w tej kategorii muzyki „Kapele z Targówka”. Niecierpliwi i zgłodniałi widzowie udali się na gorącą grochówkę i na regionalny poczęstunek.

Pogoda sprawiła zarówno organizatorom jak i widzom bardzo miłą niespodziankę. Było słonecznie i ciepło, ale bez upałów i co najważniejsze bez deszczu.





Frekwencja dopisała – ok. 1 000 widzów. Bardzo miłym zaskoczeniem dla organizatorów pikniku, był bardzo liczny udział całych rodzin i duża liczba dzieci, także w grupach zorganizowanych.



Honorowy Patronat nad widowiskiem objął Minister Obrony Narodowej Mariusz Błaszczak i Wojewoda Mazowiecki Zdzisław Sipiera. Sponsarami uroczystości byli: Ministerstwo Obrony Narodowej, Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych, JW. GROM, WOT, Lasy Państwowe – Nadleśnictwo Wyszaków, PGE Dystrybucja SA, „ARAN” Artur Niziński, Zakład Mięsny „SOMIANKA”, Tartak ABRAMCZYK, AMW „KWATERA”, Powiat Wołomiński, Powiat Wyszakowski, Gmina Wyszaków.

Organizatorami byli: Instytut Historyczny Nurtu Niepodległościowego im. Andrzeja Ostoja Owsianego, Środowisko Armii Krajowej Obwodu „Rajski Ptak”, SRH 79 PP, Teatr Makata, Szkoła Podstawowa im. Żołnierzy Armii Krajowej w Pniewie, Międzyszkolny Klub Historyczny im. Armii Krajowej Ziemi Radzywińskiej.

Odpowiedzialni za poszczególne zadania : mjr Marcin Dominiak (WKU Ciechanów) – reżyser rekonstrukcji historycznej, Artur Lis (dyrektor Domu Kultury w Łochowie) – reżyser koncepcji widowiska, Mirosław Widlicki (Środowisko AK Obw.”Rajski Ptak”) – koordynator, gromadzenie funduszy od sponsorów, Michał Janiszewski (IHOO) – ekspresowe rozliczenia finansowe widowiska, prezes Andrzej Chyłek (IHOO) – niezmordowane podpisywanie i stemplowanie stosów papierów.

(Mirosław Widlicki – Ojciec ppor. Jan Widlicki – d-ca placówki odbierającej zrzut „Zapory”, Mama Genowefa Widlicka – komendantka WSK – opieka na kwaterze, odpowiadała za nakarmienie skoczków, selekcję ubrań cywilnych, zakup biletów i wyekspediowanie do Warszawy)

KRAKOWSKIE OBCHODY JUBILEUSZU 40-LECIA UTWORZENIA KONFEDERACJI POLSKI NIEPODLEGŁEJ

15 września br. w Krakowie, w Muzeum Armii Krajowej, miały miejsce oficjalne obchody jubileuszu 40-lecia utworzenia Konfederacji Polski Niepodległej.

Frekwencja dopisała (przyszło ok. 150 osób – pełna sala).

Organizator imprezy Artur Then przywitał przybyłych.

Minutą ciszy uczczono pamięć o zmarłych konfederatach.

Następnie Leszek Moczulski wygłosił okolicznościowe przemówienie.

Kolejnym punktem programu była emisja filmu – rozmowy Macieja Szumowskiego z Leszkiem Moczulskim z 1985 roku (jej treść opublikowaliśmy w „Opinii” nr 23).



Po przerwie na kawę i kanapki odbył się koncert Leszka Wójtowicza z „Piwnicy pod Baranami”.

Nasz Instytut wsparł organizatorów rozdając przybyłym gościom kilkadziesiąt numerów jubileuszowego wydania „Opinii” (nr 23) oraz ponad 100 folderów z pamiątkowym znaczkiem Poczty Polskiej wydanym z okazji jubileuszu KPN (nasz Instytut był inicjatorem tego projektu).



Drodzy Przyjaciele!

Dzisiejszą rocznicę powstania Konfederacji obchodzimy w sytuacji całkowicie innej niż czterdzieści lat temu. Wówczas cały dzień 1 września 1979 r., identycznie jak pozostali historyczni przywódcy Konfederacji, spędziłem w areszcie bezpieki. Mimo, że uwięzieni, mieliśmy poczucie zwycięstwa. W tych godzinach w Warszawie przed Grobem Nieznanego Żołnierza oraz w Londynie na Światowym Kongresie Polski Walczącej ogłoszono powstanie Konfederacji Polski Niepodległej – pierwszego stronnictwa politycznego, które po raz pierwszy od ponad trzydziestu lat nie tylko jawnie ogłosiło i proklamowało walkę o niepodległość Polski, lecz także głośno wykrzyczało wypowiedzenie niebrojnej wojny z ZSRR i jej krajowymi eksponentami. Około północy rozpoczęliśmy w radosnym nastroju pierwsze posiedzenie Rady Politycznej KPN.

Byliśmy świadomi, że przekroczyliśmy najważniejszą i najtrudniejszą do przekroczenia granicę. Po dziesięcioleciach przygotowań w konspiracji, w trzy i pół roku po wspólnej decyzji pięciu podziemnych organizacji przystąpienia do formowania jawnej opozycji oraz uchwalenia deklaracji „U progu”, podjęliśmy czynną walkę o niepodległość. Nie były do tęskne deklaracje, że pragniemy niepodległości – choć powszechnie wiadomo, że w istniejącej sytuacji geopolitycznej jest to niemożliwe, a szkodliwe byłoby przypomnienie Polakom, kto nam tę niepodległość zabrał. Nasza walka, nasz cel były inne: nie marzenia, lecz czynne działanie polityczne, zmierzające do wyzwolenia Polski spod hegemonii ZSRR i obalenia jej narzędzia – władzy PZPR. Wprawdzie większa część społeczeństwa, a także czynnej wówczas jawnej opozycji uważała to za szaleństwo, lecz to nasz plan, z wszystkich podnoszonych wówczas, okazał się najbardziej realny. Zarówno w wymiarach polskich, jak międzynarodowych. Wtedy, pierwszej wrześnie nocy, byliśmy radośni, gdyż mieliśmy potwierdzenie, że satelickie władze i ich mocodawcy zrozumieli, że siły niepodległości tkwiące głęboko w narodzie polskim są tak potężne, że nie można ich zdruzgotać, a jedynie powstrzymywać.

Rok później dzień 1 września spędziłem również w więzieniu. Byłem radosny, gdyż wiedziałem, że tysięczna opozycja polityczna w PRL przekształcała się w wielomilionowy ruch społeczny, którego nic i nikt nie jest w stanie oponować. Gdy wieczorem wyszedłem, nasi ludzie skarżyli się, że w niektórych zakładach komitety strajkowe niszczyły materiały propagandowe KPN, gdyż bały się utożsamiania z polityczną działalnością opozycyjną, zwłaszcza niepodległościową. Wzruszałem ramionami: nie narzekajcie, przecież ludzie muszą do tego dojrzeć. Kto dziś chce kiełbasy, jutro będzie domagał się wolnej Polski.

Dziesięć lat później i ZSRR, i PZPR były w ruinie. Pierwszy niekomunistyczny rząd formował działacz katolicki. Był to jeszcze rząd PRL, choć miliony Polaków zaczęły już sobie uświadamiać, że nierealna niepodległość stała się całkiem realna. Potrzebne były jeszcze dwa silne ciosy: w PZPR i w sowieckie wojska okupacyjne. Byliśmy do tego przygotowani. Najpierw uderzyliśmy w bazę materialną i złamaliśmy psy-

chicznie PZPR, później wykazaliśmy bezsilność garnizonów sowieckich i decyzję o ich ewakuacji.

Dwadzieścia lat później na scenie politycznej nie było już Konfederacji Polski Niepodległej. Została rozbita przez ludzi złej woli (także z niższych, kryminalnych pobudek), złej informacji czy propagandy, złej czy niekompletnej wiedzy, złego rozumienia tego, co się naprawdę dzieje.

Był to cios wymierzony w KPN, lecz odbił się przede wszystkim na moralnej jakości polityki w Polsce. Konfederacja była jedyną partią, która uznawała wyższość interesu Polski nad własnym interesem, gdy pozostałe na plan pierwszy wysuwały interes swój, swojej doktryny czy ideologii, a nawet osób, które je zawłaszczyły. Nie było w tym nic dziwnego. My przecież szliśmy do więzień (a niektórzy oddawali życie) nie dla własnych korzyści, lecz dla Polski uczciwej, wolnej i niepodległej. Nie żądaliśmy za to żadnych rekompensat. W 1989r. i później powstawały partie, których członkowie rozpoczynali swoją karierę polityczną od uzyskiwania intratnych i nobilitujących stanowisk w parlamencie, ministerstwach, urzędach czy spółkach Skarbu Państwa. Byli to ludzie mniej czy bardziej uczciwi, lecz jeśli myśleli o nadrzędnym, ponad własnym interesie, to był to interes partii, która im to stanowisko nadała, czy instytucji, w której pracowali. Zejście ze sceny KPN w jakiejś mierze pozbawiło to całe spektrum dobrego wzorca i przyspieszyło procesy gnilne znacznej części klasy politycznej. Coraz liczniejszej grupy ludzi, żyjących z polityki tak, jak krawiec żyje z szycia ubrań. Nie przeszkadzało, co wykluczyłoby krawca, że spora część tej grupy nie ma niezbędnych kwalifikacji moralnych, intelektualnych i zawodowych. Obowiązuje prosta zasada: *ponieważ my stoimy tu, należy się nam wszystko, gdy ci stojący tam z tego prostego powodu zasługują na potępienie.*

Brak takiej partii jak KPN – w niepodległym państwie oczywiście o innej nazwie, programie, celach, zubaża szkodliwie nasze życie polityczne. Potrzebne, nawet niezbędne jest ugrupowanie, głoszące, że to nie Polska powinna służyć partiom, tylko partie służyć jej.

Czterdzieści lat później wszyscy chyba są patriotami i chyba wszystkim zarzuca się jego brak. To podstawowe kryterium polityczne. Doty-

czy również osób, które związane były w przeszłości z KPN albo chcą kontynuować myśl czy działalność tej formacji. Ponieważ los ich rozrzucał po różnych opcjach politycznych, często ostro przeciwnych, a pomieszanie pojęć jest tak wielkie, trzeba wyjaśnić, czym patriotyzm jest. Otóż jest on stanem psychicznym, uczuciem miłości do ojczyzny. I niczym więcej. Występuję w trzech różnych formach:

1. Patriotyzm ułomny, w dawnej Galicji jeszcze w drugiej połowie XIX w. nazwany *tromtadracją narodową*. Polega na gloryfikacji wybranych zdarzeń oraz ich bohaterów z przeszłości, a często cichej sugestii, że gloryfikator wybrał tę właśnie wspaniałą postać, ponieważ gdyby znalazł się w identycznej sytuacji, jako patriota postąpiłby dokładnie tak samo. Głosić było to można bezpiecznie, gdyż prawdopodobieństwo powtórki było niemal równe zeru, a gdyby się rzeczywiście zdarzyło, zawsze można powiedzieć, że wygrał rozsądek. W zaborze austriackim nazajutrz po ogromnych uroczystościach patriotycznych, czczących jakieś rocznice, patriota wracał do biura, by lojalnie służyć naszemu dobrotliwemu monarsze. W zaborze rosyjskim takich rocznic nie wolno było obchodzić, więc patriota czynił to w duchu, a nazajutrz posłusznie służył naszemu wspaniałemu carowi. Pewien ważny urzędnik przyznał się we wspomnieniach, że w czasach PRL na własnych imieninach upił się celowo, aby nabrać odwagi i wznieść toast: *Niech żyje Marszałek Piłsudski!* Marszałek nie żył, wódki było dużo, konsekwencji nie należało się spodziewać. Współcześnie dzielni młodzieńcy bohatersko walczą w Powstaniu Warszawskim albo szarżują konno na czołgi niemieckie we Wrześniu. Gotowi są do największych poświęceń. Szkoda, że nie pomyśla, czego dzisiejsza i jutrzejsza Polska od nich potrzebuje.

2. Patriotyzm bierny. Kocham tą moją Polskę jak nie wiem co. Albo jeszcze bardziej. Ale nie mam czasu ani głowy, aby o tym myśleć.

3. Patriotyzm aktywny. Wiemy co to znaczy: czynnie angażować się w działania, służące Polsce. Rozumienie. Ta zasada w ciągu lat uległa rozległej ewolucji. Jestem patriotą, gdyż uważam, że należy zbudować kanał X. Ty nie jesteś patriotą, gdyż sprzeciwiasz się budowie kanału X. My jesteśmy patriotami, bo stoimy tutaj. Wy nie jesteście, gdyż stoicie

tam – i w dodatku macie przeciwne zdanie! Tyle a tyle lat temu ty myślałeś, zachowywałeś się, działałeś tak a tak. A ja inaczej, słusznie. I masz czelność mówić o potrzebach ojczyzny? Tysiące walczących z sobą patriotyzmów, a których żaden nie jest patriotyzmem, gdyż nie łączy, lecz dzieli.

W czterdziestolecie utworzenia KPN zwracam się do tych wszystkich, którzy cenią dorobek i tradycję tej formacji, czy nie warto choćby w naszym gronie odbudować na początek tego patriotyzmu, który łączy wszystkich Polaków?

Leszek Moczulski
1 września 2019 r.

23 NUMER „OPINII” NURTU NIEPODLEGŁOŚCIOWEGO – WYDANIE SPECJALNE 2019

Leży przede mną najnowszy numer „Opinii” wydany z okazji 40. rocznicy utworzenia Konfederacji Polski Niepodległej. Jestem członkiem Redakcji, ale z tym numerem nie miałem nic wspólnego. Jego treść jest dla mnie całkowitym zaskoczeniem. Dodam – zaskoczeniem miłym i pozytywnym.

Pismo ukazało się przy wsparciu finansowym Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych. Składa się wyłącznie z tekstów, które powstały na zamówienie naszego Instytutu (w większości ich autorami są członkowie Instytutu lub osoby z nim współpracujące). Teksty archiwalne zostały „ocalone” (przepisane) staraniem Instytutu. Spora część tekstów była wcześniej publikowana w „Opinii nurtu niepodległościowego”. Jest więc publikacja oparta na zasadzie „The Best of...”. Zwiększa to jej atrakcyjność, gdyż tych tekstów gdzie indziej po prostu nie znajdziemy. A są tam prawdziwe „białe kruki”.

A więc co my tu mamy?

Mam tak, że zanim zacznę czytać, to oglądam obrazki. W tym wypadku są to zdjęcia. I to zdjęcia publikowane nie na zwykłym szarym papierze, ale w dwóch kredowych wkładkach. Zdjęcia przedstawiają w skrócie historię KPN-u trochę na zasadzie „grochu z kapustą”. Mamy więc okładkę „Rewolucji bez rewolucji” (skan wydania krakowskiego z 1981 roku), zdjęcie z sali sądowej z 1981 roku, zdjęcia z demonstracji patriotycznych KPN z lat 80. w Warszawie (fot. Tomasza Gutry, Mirosława Mikulskiego i Grzegorza Boguszeńskiego oraz ze zbiorów Roberta Nowickiego i Jerzego Woźniaka), we Wrocławiu (fotografia ze zbiorów Krzysztofa Turkow-

skiego), w Częstochowie (znowu ze zbiorów Jerzego Woźniaka), zdjęcie ze spotkania w prywatnym domu, zdjęcia z manifestacji w Warszawie pod hasłem „Jaruzelski musi odejść”, zdjęcia z blokady bazy sowieckiej w Rembertowie, migawki z kampanii wyborczej 1993 roku i z IV Kongresu KPN, Kongresu KPN-OP, jest nawet zdjęcie Adama Słomki bez szabli, ale z godłem KPN-u z 2009 roku. Tak więc każdy kto był w KPN-ie na przestrzeni kilkunastu lat znajdzie w tym zbiorze fotografii coś dla siebie.

* * *

Po obejrzeniu fotografii przechodzimy do lektury tekstu.

Numer otwiera wstęp Andrzeja Anusza (redaktora naczelnego pisma) oraz Michała Janiszewskiego (sekretarza Redakcji). Jak w każdym porządnym wstępie panowie wyjaśniają powody wydania specjalnego numeru pisma oraz wyjaśniają strukturę numeru. Otwiera go artykuł wprowadzający Anusza na temat pierwszych 10 lat działalności Konfederacji (1979-1989). Resztę obszernego materiału (ponad 500 stron!) podzielono na trzy części: „Założyciele” (240 stron – prawie połowa numeru), „Ludzie i struktury” (ponad 140 stron) oraz „Dyskusje Opinii” ok. 70 stron). Autorzy wstępu kończą (zasłużoną) uszczypliwością pod adresem IPN-u: „Mamy nadzieję, że nasze wydawnictwo przyczyni się do przyspieszenia prac przez Instytut Pamięci Narodowej nad pełną i rzetelną monografią Konfederacji Polski Niepodległej organizacji, która na to w sposób oczywisty zasługuje”.

Od razu podkreślę, że – jakkolwiek uszczypliwość ta jest jak najbardziej uzasadniona, tym niemniej moim zdaniem lepiej będzie dla historii KPN-u, jeżeli IPN będzie się trzymał od niej z daleka. Obserwując bowiem dotychczasowy kierunek prac Instytutu oraz znając dotychczasowy dorobek osoby, która została wyznaczona na autora monografii o Konfederacji, jestem pełen obaw, a w zasadzie mam pewność, że otrzymamy towar drugiej jakości, w którym roić się będzie od błędów, pomyłek, nieprawd i zwykłego braku zrozumienia, czym była Konfederacja i na czym polegała jej działalność. W tej sytuacji lepiej dla nas będzie, aby w IPN-ie nigdy monografia KPN-u nie powstała.

* * *

Artykuł Anusza opisuje pierwsze dziesięć lat Konfederacji z dystansem, posługując się wieloma cytataми, podając także niekorzystne dla Konfederacji fakty, opinie i oceny. Z pewnością nie jest to tekst, którego można byłoby się spodziewać (czy obawiać), a mianowicie, że przy okazji jubileuszu powstanie artykuł napisany na kolanach i „zagłaskujący” Jubilatkę. Jest to i zaleta, i wada tego tekstu. Zaleta – bo będzie on zapewne wiarygodny i przekonujący dla osób krytycznych wobec Konfederacji i może ich krytycyzm stępić. Wada, bo osoby postrzegające KPN jednoznacznie pozytywnie (nie będę ukrywał, że sam się do nich zaliczam) mają się do czego „przyczepić”.

No więc przyczepię się do jednego stwierdzenia, którego autorem nie jest zresztą Anusz (ale przecież go przytacza), ale współzałożyciel Konfederacji Tadeusz Stański. Otóż stwierdził on w rozmowie z redaktorem naczelnym „Opinii”, „że jego zdaniem wśród założycieli KPN było 11-12 TW, co stanowiło około 20% jej składu”.

Otóż moim zdaniem jest to typowa gównoprawda, że odwołam się do terminologii śp. ks. Józefa Tischnera.

Po pierwsze – nie każda osoba rejestrowana jako TW rzeczywiście z SB współpracowała.

Po drugie – szereg osób, które nigdy nie zostało zarejestrowanych jako TW w rzeczywistości współpracowało, jeżeli nie z SB, to z PZPR. Historia rozmów „grzecznej” opozycji z władzami PRL, która doprowadziła w 1989 roku do zawarcia „historycznego kompromisu” przy okrągłym stole zawiera wiele przykładów takiej współpracy, która była politycznie szkodliwa a moralnie – haniebna. Dwa przykłady – pierwsze z brzegu: udział przedstawicieli miękkiej opozycji oraz Kościoła w nakłanianiu do emigracji „jedenastki” w latach 1983-1984 oraz udział tych ludzi (w dużej mierze były to te same osoby) w nakłonienu do opuszczenia PRL przywódców Solidarności Walczącej w maju 1988 roku. Jest wielkim nieszczęściem dla badań historycznych lansowana przez niektórych polityków (ogłędnie mówiąc mało aktywnych przed 1989 rokiem)

i podchwyciona bezkrytycznie przez IPN teza, że zamiast oceniać to, co kto rzeczywiście robił w tym czasie, zdaliśmy się całkowicie na zapiski Służby Bezpieczeństwa. Nie wątpię, że przyjdzie czas, gdy prace naukowe oparte na tej metodzie badawczej trafią tam, gdzie jest ich miejsce (czyli na makulaturę), a historię 45 lat PRL trzeba będzie w sporej części pisać na nowo.

Po trzecie – członek-założyciel KPN nie był równy członkowi-założycielowi. Osoby rejestrowane przez SB jako TW w większości dość szybko się wykruszyły, gdyż nie prowadziły aktywnej działalności opozycyjnej, nie miały żadnego wpływu na działalność KPN (lub miały wpływ nieistotny) a jeżeli rzeczywiście część z nich dostarczała SB wartościowych operacyjnie informacji, to nie miało to większego znaczenia. SB ani nie zdusiła działalności KPN w jej początkowym okresie (choć bardzo jej na tym zależało), ani nie uwięziła przywódców KPN dzięki pracy operacyjnej. KPN działała bowiem jawnie i to, co jawnie robili jej działacze było podstawą ich uwięzienia i skazania. I akurat Tadeusz Stański bardzo dobrze o tym wszystkim wie...

Po czwarte – część osób mieszczących się w grupie 11-12 TW, członków-założycieli KPN, to osoby, które 1 września 1979 roku były już rejestrowane przez SB jako figuranci spraw operacyjnych a nie jej współpracownicy, inne (jak wspomniana przez Anusza Matylda Sobieska) zostały zarejestrowane później i po tej rejestracji zerwały współpracę z KPN. Ani jedni, ani drudzy nie byli więc w dniu utworzenia KPN rejestrowani przez SB jako TW.

Tak więc stwierdzenie, że 11-12 członków założycieli KPN to byli TW jest i nieprawdziwe, i nic nie mówiące.

Na szczęście dalsza część specjalnego numeru „Opinii” nie daje już podstaw do tego typu polemik.

Pojawia się pytanie – czy dobrze się stało, że przy okazji jubileuszu Konfederacji wypływa po raz kolejny sprawa TW. Wydaje się, że – biorąc pod uwagę falę oszczerstw, jaka uderzyła w Konfederację po 1989 roku (a zwłaszcza po odwołaniu rządu Olszewskiego w 1992 roku) – jest to ciągle nieuniknione. Przyjdzie czas, gdy te wszystkie kłamliwe i głu-

pie oskarżenia zostaną zapomniane, a wtedy historię KPN będzie się zaczynało nie od ilości TW wśród członków-założycieli, tylko od treści *Deklaracji ideowej*. Czytamy w niej: „Jesteśmy kolejną zmianą w długim pochodzie pokoleń. [...] Zbliży się trzydziesta piąta rocznica niesławnej pamięci układów jałtańskich, w których mocarstwa zachodnie – wbrew głoszonym przez siebie szczytnym hasłom międzynarodowej sprawiedliwości i demokracji – usankcjonowały postanowienia ostatniego rozbioru Rzeczypospolitej i podporządkowanie Polski radzieckiej hegemonii. PRL – rządzona totalitarnie przez PZPR stanowi współczesną formę zinstytucjonalizowanego władztwa rosyjskiego nad Polską. Dziś naród polski znów budzi się i prostuje przygięty niewolą kark. Wkraczamy w nową fazę naszych dziejów. Od nas – przede wszystkim od nas samych – zależy, kiedy Polska odzyska niepodległość, a naród polski możliwość stanowienia o swoim losie”.

Janusz Kurtyka trafnie zdefiniował, że powstanie Konfederacji stanowiło wyzwanie rzucone Moskwie. Pogląd, że wyzwanie to zostało Sowietom rzucone za sprawą tajnych współpracowników SB interesować będzie w przyszłości już tylko lekarzy.

* * *

W dziale „Założyciele” mamy głównie rozmowy z historycznymi przywódcami KPN w jej początkowym okresie. Część rozmów przeprowadzono już w XXI wieku, ale część – to zapisy dyskusji sprzed 1989 roku.

Są więc dwie rozmowy z Leszkiem Moczulskim („współczesna” – Michała Janiszewskiego i „archiwalna” Macieja Szumowskiego – ta ostatnia z 1985 roku), jest druga rozmowa Szumowskiego (także z 1985 roku) – z Romualdem Szeremietiewem oraz rozmowa Katarzyny Śniadeckiej z Tadeuszem Stańskim.

Mamy ponadto dwa teksty Szeremietiewa („Polityka i uczciwość” z 1980 roku) oraz Stańskiego („Wspomnienia 1978-1979”).

Lektura wszystkich tych tekstów jest fascynująca. Dla historyka jest to absolutnie „jazda obowiązkowa”! To, co zaskakuje, to bardzo wysoki

poziom intelektualny argumentacji i dojrzałość polityczna historycznych przywódców KPN, co dziś widać wyraźniej niż kiedyś. Gdy czyta się dzisiaj te teksty, to aż trudno uwierzyć, że w czasach PRL Konfederacja była postrzegana jako siła polityczna oderwana od rzeczywistości, z nierealnym programem, opartym na emocjach, a nie na przemysłach i głębokiej analizie.

* * *

Kolejny dział specjalnego numeru „Opinii” („Ludzie i struktury”) otwiera rozmowa Katarzyny Śniadeckiej z Marią Moczulską. Umieszczenie jej w tym dziale nie dziwi. „Maria Moczulska nie była członkiem KPN. Ale była jedynym ogniwem łączącym Moczulskiego przebywającego wraz z pozostałymi członkami Rady Politycznej KPN w areszcie tymczasowym w Warszawie z działającymi w podziemiu strukturami KPN. Do Majki i poprzez nią do Leszka docierały informacje o wydarzeniach w kraju. To Majka, w imieniu Leszka podejmowała często ważne decyzje personalne i organizacyjne, wywierała naciski i sterowała KPN we właściwym kierunku. Nie będąc w KPN, była w KPN – alfą i omegą. Ten, kto wówczas nie doceniał pozycji i roli Marii Moczulskiej w KPN był głupcem” (wspomnienia Zbigniewa Rybariewicza).

Jako „kurier z Krakowa”, który kilkakrotnie w latach 1982-1983 odwiedzał mieszkanie Moczulskich w Warszawie przy ul. Jaracza, mogę zaświadczyć, że także z perspektywy szeregowego członka KPN rola Marii Moczulskiej w tym trudnym dla organizacji okresie była nie do przecenienia.

W dziale tym mamy jeszcze dwie rozmowy: Michała Janiszewskiego z Bohdanem Urbankowskim („Gra na dwóch fortepianach. Półlegalna i całkiem nielegalna konspiracja niepodległościowa w PRL) oraz Katarzyny Śniadeckiej z ks. prałatem Józefem Majem.

Kolejną grupę tekstów w tym dziale stanowią wspomnienia: niedawno zmarłego Andrzeja Wernica o Andrzejku Szomańskim, Łukasza Perzyny o organizacji i piśmie „Orzeł Biały”, Adama Słomki o Tadeuszu

Burakowskim oraz Michała Janiszewskiego („Michał, który pogonił Albina Siwaka”).

Na koniec tego działu mamy krótkie opracowanie Artura Brożyniaka – „KPN na terenie obecnego Podkarpacie 1979-1990”, które ma nieco inny charakter niż pozostałe teksty, gdyż nie jest to relacja świadka historii, ale krótkie opracowanie o jednym z obszarów. Czemu wybrano akurat obszar rzeszowsko-przemyski? Zdecydował zapewne przypadek.

Oczywiście wybór rozmówców i bohaterów wspomnień w dziale II mógłby być dużo obszerniejszy – ten, który zamieszczono jest jedynie drobnym fragmentem większej całości i także można mu zarzucić przypadkowość. Decydował – jak się zdaje – klucz środowiskowy. Większość autorów i bohaterów tekstów w tym dziale, to osoby związane z Instytutem Historycznym nn. Wyjątkiem jest jedynie krótki tekst Adama Słomki o zmarłym niedawno działaczu śląskiej KPN i „S”. I znowu można postawić zarzut – czemu jest tekst Słomki, a nie ma tekstu dwóch innych przywódców KPN sądzonych w II procesie (1985-1986): Krzysztofa Króla i Dariusza Wójcika? I drugie pytanie – czemu nie ma ani jednego tekstu o najsilniejszym obszarze KPN, czyli o Krakowie? Dziwić może także pominięcie obszaru łódzkiego oraz patrona Instytutu – Andrzeja Ostoi-Owsianego. Jedynym wytłumaczeniem może być fakt, że – z uwagi na ograniczoną ilość miejsca – wybór tekstów w dziale dotyczącym ludzi i struktur KPN w całym kraju musiał być w jakimś sensie wybiórczy i w ostatecznym rachunku autorzy „Opinii” kierowali się zasadą, że „bliższa ciału koszula...”. Zaś co do obszaru łódzkiego oraz Ostoi-Owsianego, to Instytut wydał dwie książki na ten temat.

Powyższe pytania i wątpliwości w niczym nie umniejszają jednak wartości zamieszczonych tekstów. Przedstawione tam historie są interesujące i reprezentatywne dla historii Konfederacji i jeżeli się tylko będzie pamiętać, że nie jest to całość, ale jedynie mały wycinek całości, to bez uszczerbku dla historycznej prawdy można oddać się ich lekturze.

Dział III („Dyskusje Opinii”) zawiera dwa referaty historyków młodego pokolenia – osób która z racji wieku nie mogły należeć do Konfederacji przed 1989 roku: dr Macieja Zakrzewskiego z Krakowa i dr

Karola Chyłaka z Łodzi. Zakrzewski pracuje w IPN (co moim wcześniejszym krytycznym uwagom pod adresem tej instytucji nadaje pewnej perwersji), obaj w jakiś sposób współpracują z Instytutem (Chyłak jest członkiem redakcji „Opinii”, Zakrzewski – dwukrotnym gościem na Konferencjach Świętokrzyskich organizowanych przez nasz Instytut). Oba referaty (oraz towarzyszące im dyskusje) miały miejsce w czasie dorocznych konferencji organizowanych przez nasz Instytut w Górach Świętokrzyskich.

Teksty referatów pokazują, jak postrzegana jest dzisiaj Konfederacja przez osoby, czerpiące swoją wiedzę na jej temat głównie z dostępnych źródeł, a nie w oparciu o własne doświadczenia. Dyskusja towarzysząca tym referatom, niekiedy pełna emocji, jest jednocześnie dobrym świadectwem tego, jaka jest misja Instytutu Historycznego nurtu niepodległościowego im. Andrzeja Ostoja Owsianego. Z jednej strony – chodzi o popularyzację wiedzy o działalności nurtu niepodległościowego w PRL i o jego programie oraz dokumentowanie jego dokonań (mówił o tym Michał Janiszewski), z drugiej – o kontynuowanie wysiłku intelektualnego, aby w ramach ideowych nurtu niepodległościowego wyrastającego z tradycji piłsudczykowskiej znaleźć odpowiedzi na współczesne pytania, problemy i wyzwania (na co zwracał uwagę Piotr Wójcik).

Podsumowując – 23 numer „Opinii” (wydanie specjalne) stanowi piękny prezent Instytut Historycznego dla wszystkich członków i sympatyków Konfederacji Polski Niepodległej oraz zasługuje na uważną lekturę wszystkich osób zainteresowanych historią działalności niepodległościowej w PRL. Jest to zarazem świadectwo pracy intelektualnej osób związanych z Instytutem, która polega na pielęgnowaniu i kontynuowaniu tradycji piłsudczykowskiej we współczesnej Polsce.

POŻEGNANIE KORNELA MORAWIECKIEGO



W sobotę 5 października 2019 roku na Powązkach Wojskowych z najwyższymi honorami pożegnano śp. Kornela Morawieckiego. Wcześniej za jego duszę odprawiono w Katedrze Polowej WP mszę św. żałobną pod przewodnictwem ks. abp. Marka Jędraszewskiego. – Kornel Morawiecki chciał wolnej, niepodległej Polski. Nie godził się na żadną inną. Był pod tym względem niezłomny.

Kornel Morawiecki, działacz opozycji demokratycznej w PRL, przywódca Solidarności Walczącej, Marszałek Senior Sejmu VIII kadencji,

POŻEGNANIE KORNELA MORAWIECKIEGO



kawaler Orderu Orła Białego zmarł w poniedziałek 30 września. Miał 78 lat.

W piątek trumnę z ciałem śp. Kornela Morawieckiego wystawiono w Sali Kolumnowej Sejmu. Po oddaniu honorów przez asystę wojskową hołd zmarłemu oddali Prezes Rady Ministrów Mateusz Morawiecki z rodziną oraz m.in. Marszałkowie Sejmu, Senatu i Szefowa Kancelarii Prezydenta RP Halina Szymańska. Wartę honorową zaciągali m.in. przedstawiciele Rady do Spraw Działaczy Opozycji Antykomunistycznej i Osób Represjonowanych z Powodów Politycznych: Wojciech Borowik, Andrzej Anusz, Iwona Olejniczak, Tadeusz Stański, Elżbieta Królikowska-Avis. Wieczorem Prezydent Andrzej Duda wraz z członkami rządu, parlamentu, działaczami Solidarności Walczącej i innych partii oraz mieszkańcami Warszawy w kondukcje żałobnym odprowadzili Marszałka Seniora do Katedry Polowej WP.

PROMOCJA ALBUMU „NA SZLAKU KADRÓWEK 1981–1989”

7 października 2019 roku Instytut Historyczny im. Andrzeja Ostoja Owsianego zorganizował w IPN „Przystanku Historia” w Warszawie (ul. Marszałkowska 21/25) promocję wydanej przez nasz Instytut książki Macieja Gawlikowskiego i Mirosława Lewandowskiego ze zdjęciami Andrzeja Stawiarskiego *Na szlaku Kadrówek 1981–1989*.

W dyskusji panelowej, która prowadził i moderował Wojciech Stanisławski udział wzięli autorzy książki.

Stanisławski: Cieszę, że mam okazję rozmawiać o książce tak sentymentalnej i budzącej tyle emocji (od politycznych, metafizycznych do



czysto sentymentalnych). Tych emocji jest dużo więcej niż zwykle przy lekturze monografii czy wspomnień. Prywatności jest tutaj dużo, co wiadać choćby przez indeks nazwisk i przez ilość zdjęć [...].

Nigdy już nie będzie takich džinsów, takich wełnianych skarpet, takich spranych T-shirtów, takiego wędrowania w letnie miesiące przez dziwny teren lat 80. Nie odbieram tej książki powagi, jeśli powiem, że jest to także fascynująca opowieść o młodości i wspólnocie, jaka się wytworzyła przy okazji tych marszów. Jest to zapis pokoleniowy, a takim zapisom wybacza się wszelkie niedoskonałości. Tu, na szczęście, nie bardzo jest co wybaczać, bo jest to rzecz bardzo spójna. Widzę to jako utwór na wiele instrumentów. To jest monografia historyczna z bardzo ważną tezą, jest to zapis kronikarski, przedstawiający kadrówkę po kadrówce i dzień po dniu [...]. Prawdziwy alfabet kadrówek. Wreszcie, jest to dzieło trzeciego współautora – Andrzeja Stawiarskiego, które dziesiątki świetnych zdjęć tak sugestywnie dokumentują to wydarzenie, że osłabiają nawet najbardziej surową krytykę [...].

Gawlikowski: Kraków był bardziej jednorodny i tu sporów nie było. Na szczęście mamy Warszawę! W 1984 roku zaczęli pojawiać się na marszu warszawiacy i kilka osób o poglądach lekko endeckich...



Stanisławski: Endek na marszach szlakiem Kadrówki to mocna rzecz...

Gawlikowski: Endek na marszach Kadrówki to nie było nic dziwnego, zwłaszcza w latach 90., gdy te środowiska endeckie były bardzo słabe i szukały miejsc, gdzie mogłyby pozyskać ludzi.

Ale już w latach 80. były spory z endekami w czasie marszów, np. o rolę Piłsudskiego i Dmowskiego. Opisujemy je. Jeden z nich zakończył się przymusową kąpielą w Nidzie... Ale większość uczestników marszów to byli piłsudczycy, wyznający czyn bez ideologii.

Lewandowski: Na Kadrówki możemy patrzeć różnymi oczami i zależnie od tego inny obraz będzie prawdziwy. Jak na Kadrówkę patrzyli chłopci z Kielecczyny, to widzieli dziwaków, którzy wyszli nieoczekiwanie z lasu, dziwnie ubrani, w jakieś stroje gimnastyczne, znoszone podkoszulki – bida z nędzą. Nie wiadomo, czy się ich bać....

Stanisławski: Ale jednocześnie były elementy rekonstrukcyjne: maciejówka, kangurka...

Lewandowski: Tak, były elementy legionowe, była flaga „Solidarność”, był sztandar Kadrówki (bo Kadrówka miała swój własny sztandar). Czasami śpiewali sprośne piosenki, czasami legionowe... Przeszli i znikli w lesie. Tak to widział ten chłop na polu. Jednocześnie był to taki rodzaj wędrownego obozu harcerskiego, trwającego tydzień, z którego została w pamięci cała masa anegdot o przygodach, jakie każdy z nas miał w młodości.

Możemy też popatrzeć na Kadrówkę z kombatanckim zadaniem. Na przykład tej akcji milicji i SB z 1984 roku – próbie rozbicia kadrówki i zatrzymanie kilkudziesięciu osób, poświęcona jest tablica w Jędrzejowie... Żaden z tych obrazów nie oddaje istoty rzeczy. Była to przede wszystkim robota formacyjna tej młodzieży, która w Kadrówce brała udział, która przez te 6 dni musiała sobie zadać pytanie, co ten marsz upamiętnia, dlaczego 6-go sierpnia się zaczyna, dlaczego w Krakowie, dlaczego kończy się w Kielcach... To nie było tak, że na Kadrówkę chodzili kapeenowcy. Częściej było tak, że spora część ludzi, którzy pierwszy raz wzięli udział w Kadrówce zostawała później kapeenowcami. Od-

najdujemy ich potem na demonstracjach ulicznych, w więzieniach... Powstały więzi organizacyjne. Kadrówka trwała tydzień, a oni potem współpracowali ze sobą przez cały rok.

Gawlikowski: Kadrówka nie była formą działalności politycznej. Każdy swoją działalność prowadził. To były różne ekipy. Na przykład część ekipy warszawskiej przeszła później do PPN-u. Ale kontakty towarzyskie, kontakty międzyorganizacyjne były nadal utrzymywane.

Na przykład w październiku 1984 roku po Kadrówce mieliśmy spotkanie na przełęczy Śmigłego-Rydza, pieczenie barana, śpiewy przy ognisku, był alkohol. Rano ktoś włączył radio i dowiedzieliśmy się, że porwano księdza Jerzego. Spora część tej ekipy natychmiast pojechała do Warszawy i spędziliśmy ponad dwa tygodnie w straży porządkowej przy kościele św. Stanisława Kostki. Te więzi kadrówkowe ułatwiały działanie. Wiele ton bibuły było kolportowanych w kraju dzięki kontaktom kadrówkowym. Kadrówka była takim ośrodkiem integrującym ludzi. To było nie do przecenienia!



* * *

Autorem projektu okładki jest Mariusz Front.

Książka została dofinansowana przez Województwo Małopolskie i Fundację Lotos a patronat nad nią objął Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych.

W organizacji spotkania bardzo pomogła ekipa IPN „Przystanku Historia” z Panem Naczelnikiem Tomaszem Morawskim i Panią Aleksandrą Wierzchowską na czele. Dziękujemy!



POLSKA WSPÓŁCZESNA

OKIEM FILOZOFA SPOD KOPCA PIŁSUDSKIEGO

Czy Schetyna utrzyma przywództwo opozycji?

Po stronie obozu rządzącego nie ma najmniejszych wątpliwości: niepodzielnie rządzi nim od wielu lat Jarosław Kaczyński.

A jak jest po drugiej stronie polskiej sceny politycznej? Dawniej rząd dusz w Platformie Obywatelskiej sprawował Donald Tusk prowadząc ją do kolejnych zwycięstw. Kiedy objął funkcję przewodniczącego Rady Europejskiej, jego rolę usiłował przejąć Grzegorz Schetyna, ale od początku było widać, że nie bardzo potrafi zapanować nad partią, a tym bardziej nad koalicją, którą mozolnie buduje pod różnymi nazwami.

Po kompromitującej porażce w wyborach do Parlamentu Europejskiego zaufanie do Schetyny znacznie spadło, ale jego pozycja lidera nie wydaje się zagrożona zgodnie ze starymi powiedzeniami, że nie zmienia się koni podczas przeprawy przez rzekę, a na bezrybiu i rak ryba.

Czy następca Tuska potrafi jednak skutecznie odbudować pozycję PO przed wyborami parlamentarnymi, skoro wciąż nie wiadomo w jakiej politycznej konfiguracji wystartuje ona w nich jesienią?

To z pewnością najbardziej intrygujące pytanie, jakie stawiają sobie obecnie zainteresowani sprawami publicznymi Polacy

* * *

Wspólna troska o przeszłość

Na marginesie sporu o to, kto ma zarządzać miejscem pamięci na półwyspie Westerplatte (władze państwowe czy samorządowe?), chcę zabrać głos w bardziej generalnej sprawie.

Uważam, że najważniejsze dla polskiej historii obiekty i tereny powinny być własnością państwa, co nie oznacza, że samorząd miałby zostać z nich całkowicie wyeliminowany. Optymalnym rozwiązaniem jest zgodna współpraca obu władz, ale w sytuacji konfliktowej pierwszeństwo musi należeć do państwa. Grunwald, Oleandry, Westerplatte, sala BHP Stoczni Gdańskiej i wiele podobnych miejsc symbolizują przecież wysiłek całego narodu w walce o niepodległość Polski lub jej odzyskanie, a nie tylko jakiegoś regionu.

Skoro przywołałem Oleandry, to właśnie one stają się obecnie znakomitym przykładem twórczego porozumienia Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego z prezydentem Krakowa. Dom im. Józefa Piłsudskiego przy alei 3 Maja 7 jest własnością gminy miejskiej, ale nic nie stoi na przeszkodzie, aby – po usunięciu stamtąd wreszcie dzikiego lokatora – jego część została zagospodarowana przez działające w imieniu MKiDN Muzeum Narodowe w Krakowie, które chce tam utworzyć jako swój kolejny oddział Muzeum Czynu Niepodległościowego z prawdziwego zdarzenia (obecnie działające zostało poddane druzgocącej krytyce przez ministerialnych kontrolerów, którzy zażądali jego zamknięcia).

Nie po raz pierwszy i z pewnością nie ostatni Kraków udowadnia, że można dla dobra wspólnej dla wszystkich Polaków sprawy dogadać się oraz owocnie współpracować. Byłoby dobrze, gdyby za jego przykładem podążyły inne samorządy, ponieważ spory i kłótnie o to, kto ma większe prawo do kultywowania przeszłości, są żenujące. Jeżeli któryś z nich jest jednak nazbyt uparty i nie chce iść na żadne ustępstwa, musi wkroczyć państwo, bo to jego obowiązkiem jest dbałość o narodowe imponderabilia.

* * *

Akademicki marazm

Jako absolwent Uniwersytetu Jagiellońskiego powinienem ucieszyć się, że w jednym z czterech najważniejszych światowych rankingów edukacyjnych awansował on aż o 73 miejsca w stosunku do ubiegłorocznego zestawienia i jest obecnie najlepiej ocenianą szkołą wyższą w Polsce.

Owszem, podany przez QS World University Rankings wynik może radować, ale jest to dopiero 338. miejsce, co raczej nie stanowi powodu do chluby, zwłaszcza że inne nasze uczelnie uplasowały się jeszcze niżej: Uniwersytet Warszawski zajął 349. lokatę, Politechnikę Warszawską sklasyfikowano na miejscach 521-530, a następne znalazły się w ostatniej dwusetce (ocenie poddano 1001 szkół wyższych na całym świecie). W czołówce nie było niespodzianek: ranking wygrał amerykański Instytut Technologii w Massachusetts przed Uniwersytetami z tego samego kraju: Harvarda i Stanforda.

Można oczywiście poddawać w wątpliwość obiektywność takich zestawień, chociaż są one sporządzane przez wyspecjalizowane ośrodki i uwzględniają reputację uczelni, opinie pracodawców zatrudniających jej absolwentów, stosunek liczby wykładowców do studentów, liczbę cytowań, a także pracowników z zagranicy i studentów obcokrajowców.

To bardzo ciekawe zjawisko: wielu polskich naukowców bez problemów znajduje pracę (nie muszą dodawać, że doskonale płatną) na renomowanych uczelniach w Europie, w USA, w Australii, czyli są świetnie wykształceni przez polskie uczelnie. Dlaczego więc nasze ciągle nie mogą przebić się do światowej czołówki?

Każdy nowy minister nauki i szkolnictwa wyższego zapowiada zwiększenie prestiżu rodzimych uczelni i ich awans w takich rankingach jak omówiony wyżej. Nic z tego jednak nie wynika i prawdopodobnie tak samo będzie po wprowadzeniu szumnie określanej jako konstytucja dla nauki reformy przygotowanej przez ministra i zarazem wicepremiera doktora Jarosława Gowina (wychowanka UJ), zwłaszcza że budzi ona wiele protestów w środowisku akademickim.

Obawiam się, iż pozostanie nam jeszcze przez długie lata pasjonować się tym, czy UJ jest przed UW, czy na odwrót, ale w czwartej setce światowych uczelni. Ewentualne wskoczenie do trzeciej byłoby powodem do ogłoszenia przez rektora i ministra ogromnego sukcesu, podczas gdy tak naprawdę ciągle mamy do czynienia z tkwieniem w kompromitującym nas akademickim marazmie.

* * *

Kolejny sojusznik rządu – Patryk Vega

Nie udało się obrzydzić Polakom Zjednoczonej Prawicy dwiema wieżami, nie wyszło z filmami „Kler” Wojciecha Smarzowskiego i „Tylko nie mów nikomu” braci Sekielskich, totalnymi porażkami zakończyły swoją działalność Komitet Obrony Demokracji i Obywatele RP, nie odniosły zakładanego sukcesu kuriozalne wypowiedzi oszalałych z nienawiści do Prawa i Sprawiedliwości profesorów, publicystów, celebrytów.

Zamiast buńczucznie zapowiadanego przez nią zdecydowanego zwycięstwa Koalicji Europejskiej w ostatnich wyborach, oglądaliśmy jej spektakularną klęskę. Sprawujący obecnie władzę obóz okazał się odporny na wszystkie ataki, które tylko przysporzyły mu, a nie odebrały zwolenników. Polacy przekonali się bowiem, co to znaczy skrupulatnie wypełniać obietnice polityczne, a co tylko gadać po próżnicy.

Dla lawinowo rosnącej liczby sympatyków Zjednoczonej Prawicy kolejnym argumentem, aby oddać głos na jej kandydatów w jesiennych wyborach parlamentarnych będzie szeroko reklamowany jako antypisowski film Patryka Vegi pt. „Polityka”. Jeżeli ktoś po stronie opozycji łudzi się, że zohydzi on rodakom Jarosława Kaczyńskiego i koalicję pod jego przewodnictwem, to znaczy że niczego nie rozumie i powinien dyskretnie wycofać się z życia publicznego.

* * *

Brawa dla zdrajcy

Każde odejście księdza z Kościoła powinno wywoływać smutek wiernych, zwłaszcza jeżeli był on cenionym przez wspólnotę parafialną kapłanem i dobrze jej się zasłużył.

Ze zdumieniem czytam więc relacje o jednym z takich właśnie powszechnie lubianych proboszczów, który ogłosiwszy po odprawionej w Boże Ciało Mszy Świętej decyzji o zrzuceniu sutanny i rozpoczęciu nowego etapu w życiu u boku ukochanej kobiety nagrodzony został gromkimi brawami. Także w internecie przeważają wpisy pochwalają-

ce jego rzekomą odwagę i podkreślające, że skoro każdy człowiek jest z natury wolny, to może robić co chce (w domyśle: również grzeszyć i popełniać różne niegodziwości).

Zapewne prawie wszyscy ci, którzy bili brawo i dokonują takich wpisów w sieci uczęszczali na katechizację, pobierali nauki przed przystąpieniem do sakramentu bierzmowania, niektórzy również przedmażeńskie. Powinni tedy dysponować wystarczającą wiedzą religijną, aby rozumieć, że porzucenie Kościoła przez księdza jest złamaniem przezeń przysięgi, jaką składał podczas święceń kapłańskich, które nb. są nieusuwalne.

Przeniesienie osoby duchownej w stan świecki jest o wiele bardziej skomplikowaną procedurą, aniżeli unieważnienie małżeństwa. Warto też pamiętać, że nie jest ono równoznaczne z utratą obowiązku dalszego zachowywania celibatu który może być zniesiony wyłącznie przez papieża.

Współczuję nie tylko tym księżom, których „parzy sutanna”, ale wszystkim, którzy z poświęceniem przekazują wiernym od dziecka do późnej starości podstawowe zasady, jakie obowiązują w Kościele. Robią to podczas katechizacji, rekolekcji, homilii, przygotowań wiernych do kolejnych sakramentów. Wyobrażam sobie, jak muszą się czuć, kiedy brawa dla zdradzającego Kościół księdza (inaczej nie sposób tego nazwać) świadczą, że cała ta nauka „poszła w las”.

* * *

Sępy z opozycji krążą wokół dziecka

Tego można było być pewnym: politycy opozycji nie omieszkali podczepić się pod wakacyjny strajk klimatyczny, jaki ogłosiła 13-letnia Inga Zasowska siadając w każdy piątek przed południem przed Sejmem.

Nikt z nich nie wpadł na podobny pomysł, ale kiedy tylko jednoosobowy z założenia strajk dziewczynki zyskał rozgłos w mediach, postanowili na wyprzódki zadeklarować poparcie dla niej i dla ochrony klimatu.

Wydaje im się, że zdobędą w ten sposób przychyłność rodaków, ale bardziej prawdopodobne jest, że ją stracą, ponieważ Polacy nauczyli się już odróżniać autentyczne działania od lansu medialnego.

Jeżeli przedstawiciele totalnej opozycji sądzą, że obniżą przy tej okazji notowania obecnego obozu rządzącego (a przecież wyłącznie to napędza ich wszystkie poczynania), to grubo się mylą i po raz kolejny udowadniają trafność przestrogi Jana Kochanowskiego, że Polak może być głupi nie tylko przed szkodą, za jaką można uznać przegrane z kretesem wybory do Parlamentu Europejskiego, ale i po niej.

* * *

Były konsultacje, będzie panel

Zdecydowanym zwycięstwem propozycji postawienia pomnika „Wstęga Pamięci” autorstwa zespołu pod kierunkiem Alexandra Smagi na bulwarze Czerwieńskim (między Wawelem a Skałką) zakończył się pierwszy etap trzecich już konsultacji społecznych dotyczących formy upamiętnienia żołnierzy Armii Krajowej w Krakowie – poinformowała Polska Agencja Prasowa.

– Wpłynęło około 300 formularzy, Liczba ta może się zwiększyć, gdyż przyjmowane były także uwagi wysyłane pocztą tradycyjną. Około 120 osób postuluje pozostawienie pomnika w dotychczasowej formie i lokalizacji argumentując, iż jest tam już wmurowany kamień węgielny, a jego lokalizacja została wybrana przez Radę Miasta Krakowa. W tak krótkim czasie trudno dokładnie określić, w ilu formularzach uczestnicy konsultacji opowiedzieli się za inną formą upamiętnienia niż pomnik w dotychczas proponowanej formie „Wstęgi Pamięci”. Po pobieżnej analizie widać jednak sporo opinii wskazujących na „zielone” formy upamiętnienia, czyli propozycje zasadzenia np. drzewa – powiedział PAP kierownik Biura Prasowego Urzędu Miasta Krakowa Dariusz Nowak.

„Spośród pozostałych propozycji około 90 osób postuluje upamiętnienie żołnierzy w okolicy ul. Armii Krajowej, ze szczególnym uwzględnieniem cokołu po pomniku marszałka Iwana Koniewa. Pojawiły się też propozycje: remontu ulicy Cichociemnych AK, postawienia pomnika w okolicach Muzeum AK oraz pojedyncze głosy, że pomnik mógłby być zlokalizowany w okolicy: placu Kossaka, placu Wielkiej Armii Na-

poleona, na Plantach, na Placu Inwalidów czy w Parku Grzegórzeckim” – czytamy w depeszy PAP.

Teraz analizą formularzy zajmie się Wydział Kultury i Dziedzictwa Narodowego UMK. Za około dwa miesiące w Muzeum Armii Krajowej im. generała Emila Fieldorfa-„Nila” zaprezentowane zostanie podsumowanie zebranych propozycji i odbędzie się otwarta dyskusja nad nimi.

„Jak informują urzędnicy, w sprawie pomnika AK zostanie także zorganizowany panel obywatelski. To metoda podejmowania decyzji przy współudziale mieszkańców. Losowo wybrana reprezentacja krakowian – uwzględniająca m.in. kryterium wieku, płci, wykształcenia i dzielnicy zamieszkania – wraz z ekspertami dyskutuje nad rozwiązaniem konkretnego problemu. Uczestnicy panelu mają wypracować konkretne rekomendację, które pomogą podjąć właściwe decyzje. Prace nad wyłonieniem uczestników panelu trwają. Na razie nie wiadomo ani ilu ich będzie, ani kiedy panel się odbędzie. Najprawdopodobniej zostanie on zorganizowany ma przełomie września i października” – napisała PAP.

Kombatanci nie wyobrażają sobie, aby pomnik AK stanął w innym miejscu niż bulwar Czerwieński, gotowi są natomiast przystać na modyfikację zatwierdzonego już przez RMK projektu poprzez uzupełnienie go o kilka rzeźb przedstawiających żołnierzy armii Polskiego Państwa Podziemnego. Na to uzupełnienie zgadza się również Alexander Smaga. Taką formę upamiętnienia Armii Krajowej w tym miejscu wsparli również w liście otwartym do prezydenta Krakowa wojewoda małopolski Piotr Ćwik i marszałek województwa małopolskiego Witold Kozłowski.

– Dlaczego chcemy, żeby pomnik stanął pod Wawelem? Bo Wawel, Skalka, Wisła to są symbole najjaśniejszej Rzeczypospolitej i tam jest miejsce na pomnik AK i Polskiego Państwa Podziemnego – powiedział Polskiej Agencji Prasowej prezes Okręgu Małopolska Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej major Ryszard Brodowski.

Krakowskie środowiska patriotyczne są zdecydowanie przeciwne panelowi, ponieważ przedłuży to dyskusję i pomnik na pewno nie powstanie na przypadającą 27 września 80. rocznicę powstania Polskiego Państwa Podziemnego oraz jego sił zbrojnych. Uważają, że skoro trzy-

krotne konsultacje społeczne przyniosły ten sam wynik, a Rada Miasta Krakowa dwukrotnie podjęła uchwały o budowie „Wstęgi Pamięci” na bulwarze Czerwieńskim, to sprawa powinna wreszcie wkroczyć w fazę realizacji

* * *

Pozbawić honorów członków WRON

Porozumienie Organizacji Kombatanckich i Niepodległościowych w Krakowie podtrzymuje wyrażaną już kilkakrotnie prośbę do prezydenta Andrzeja Dudy o pozbawienie stopni wojskowych oraz odznaczeń państwowych wszystkich członków Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego, która w styczniu 2012 roku została uznana prawomocnym wyrokiem Sądu Okręgowego w Warszawie jako związek przestępczy o charakterze zbrojnym pod kierunkiem generała Wojciecha Jaruzelskiego.

Pomimo zawetowania przez Prezydenta RP w marcu ubiegłego roku uchwalonej przez parlament ustawy „o pozbawianiu stopni wojskowych osób i żołnierzy rezerwy, którzy w latach 1943–1990 swoją postawą sprzeniewierzyli się polskiej racji stanu” uważamy, że w przypadku członków WRON wystarczy przywołany wyżej wyrok sądowy.

Nikt nie ma już dzisiaj wątpliwości, że była ona wrogą Polsce instytucją działającą w imię sowieckiej racji stanu w celu stłumienia niepodległościowych dążeń rodaków. Wetując ustawę prezydent Duda podkreślił zresztą, że nie ma wątpliwości, iż należy pozbawić stopni takich generałów jak m.in. Wojciech Jaruzelski i Czesław Kiszczak, czego od wielu lat domaga się nasze Porozumienie.

Nie może być tak, że stopień generała mają jednocześnie ewidentni zdrajcy i jeden z największych bohaterów nie tylko Polski, ale całego świata Ryszard Kukliński (czekamy jeszcze na odznaczenie go Orderem Orła Białego), który z narażeniem życia własnego oraz swojej rodziny skutecznie zapobiegł przekształceniu się zimnej wojny między Wschodem a Zachodem w gorącą o nuklearnym charakterze.

Nadal obchodzimy 100-lecie odzyskania niepodległości, co stanowi znakomitą okazję do wyrównywania historycznych rachunków i nazy-

waniu wprost zdrady zdradą, a bohaterstwa bohaterstwem. Aby tak się stało, konieczne jest m.in. pozbawienie wszelkich honorów członków Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego bez względu na zakres ich odpowiedzialności, ponieważ wszyscy przystąpili do niej dobrowolnie.

* * *

Nikodem Dyźma wiecznie żywy

Biję brawo Robertowi Biedroniowi. Ten dość jeszcze młody polityk wykazał się mistrzostwem, jakiego mogą mu pozazdrościć doświadczeni wyjadacze o wieloletnim doświadczeniu. Wzorowo zakpił sobie ze wszystkich: członków swojej partii, profesor Moniki Płatek, na rzecz której obiecał rzec się mandatu europosła, sporej liczby Polaków widzących w nim nadzieję na przełamanie duopolu Zjednoczonej Prawicy i totalnej opozycji.

Cynicznie, obłudnie i z uroczym uśmiechem na ustach zrealizował jedyny zamiar, który był dla niego naprawdę ważny: wysokie uposażenie w Parlamencie Europejskim. Liczni członkowie Wiosny długo nie mogli uwierzyć, że zostali wystrychnięci na dudków przez człowieka, któremu naiwnie i łatwowiernie zaufali, chociaż patrząc na przebieg jego dotychczasowej kariery powinni być znacznie bardziej ostrożni.

Kreowany jeszcze niedawno na przyszłego lidera opozycji i poważnego kandydata na urząd Prezydenta RP chłoptaś pokazał wszystkim figę. Zrobił to bez większych problemów, żerując na głupocie wielu rodaków, a przede wszystkim tych, którzy uwierzyli w jego żarliwie zapewnienia o chęci przemeblowania krajowej sceny politycznej. Teraz jako kolejne wcielenie Nikodema Dyźmy może się spokojnie zająć meblowaniem mieszkania z daleka od Polski.

* * *

Opozycja „boja ma”

O tym, jak słaba i wystraszona jest opozycja najlepiej świadczy panika, jaka zapanowała w sprzyjającej jej redakcji „Gazety Wyborczej” w związku z planowaną tuż przed wyborami parlamentarnymi premierą

filmu fabularnego Jacka Bromskiego pt. „Solid Gold”, dla którego tylko luzną – jak podkreśla reżyser – inspiracją była afera Amber Gold.

A jeszcze nie tak dawno wszystkie sympatyzujące z opozycją, szczerze nienawidzące zaś obozu rządowego media z wielką radością i nadzieją informowały o innym filmowym obrazie naszej rzeczywistości. Patryk Vega zapowiada bowiem, że jego mająca wejść na ekrany we wrześniu „Polityka” będzie wprawdzie uderzeniem w obie strony toczącego się od wielu lat w Polsce sporu, ale też nie ukrywa, iż obawiać powinni się przede wszystkim sprawujący obecnie władzę. Teraz panicznie boją się „Solid Goldu”.

Wiara w to, że jakikolwiek film, a zwłaszcza fabularny, znacząco wpłynie na wynik wyborów, jest równie naiwna jak żałosna. Przekonał nas o tym „Kler” Wojciecha Smarzowskiego, który bynajmniej nie odstręczył rodaków od głosowania na będącą blisko wyszydzonego w nim Kościoła Zjednoczoną Prawicę. Nawet wstrząsający dokument pt. „Tylko nie mów nikomu” braci Sekielskich nie spowodował zmiany w wyborczych preferencjach jego widzów, a były ich miliony.

Dlaczego „GW” tak bardzo obawia się więc filmu Bromskiego i rozpacza, że zagrali w nim aktorzy jednoznacznie kojarzeni z negatywnym nastawieniem do polityków rządzących dzisiaj krajem, a Telewizja Polska promuje go za duże pieniądze? Czyżby redaktorzy gazety chcące uchodzić za duchowego przewodnika rodaków (a przynajmniej ich części) nie wiedzieli, że mistrzowie teatru i kina biorą pod uwagę nie polityczną, ale wyłącznie artystyczną wartość dzieła, w którym godzą się wystąpić?

Skoro wspomniane wyżej filmy nie przewróciły do góry nogami polskiej sceny politycznej, na co tak wielu liczyło, to dlaczego miałyby tego dokonać „Solid Gold”? Nerwowe i lękliwe reakcje dobrze życzących opozycji środowisk na najnowsze, nikomu jeszcze nie znane osiągnięcie twórcze Jacka Bromskiego doskonale wyznacza natomiast poziom strachu tych, którzy mają coraz mniejszą nadzieję na odsunięcie Zjednoczonej Prawicy od władzy. Witold Gombrowicz powiedziałby o nich krótko: „boja mają”.

* * *

Harcerska służba dawniej i dzisiaj

Lato w pełni, a to oznacza dla harcerzek i harcerzy nadejście najpiękniejszego okresu w roku, któremu na imię „obóz”. Nie żadna szkolna kolonia, nie luksusowe wczasy al inclusive z rodzicami, ale prawdziwa przygoda pod namiotami, z własnoręcznie wykonanymi „meblami”, z przygotowywanymi przez siebie posiłkami, z wartami, z grammi terenowymi, z ogniskami, podczas których drużynowy „opowiada starodawne dzieje, bohaterski wskrzesza czas”.

Jakże zazdroszczę moim młodym przyjaciółom w harcerskich mundurach, że albo już obozują, albo szykują się do wyjazdu do lasu za kilka tygodni! Życząc im cudownych wrażeń przywołuję w pamięci lata, w których sam spędzałem prawie miesiąc letnich wakacji pod namiotem najpierw jako szeregowy harcerz, potem zastępowy, a wreszcie komendant szczepu „Żurawie” Hufca Kraków-Krowodrza Związku Harcerstwa Polskiego.

Były to piękne czasy, zwłaszcza że dane mi było pełnić służbę Bogu, Polsce i bliźnim w środowisku, które nigdy nie porzuciło szczytnych, przedwojennych ideałów. Dzisiaj często słyszę zarzuty, że należałem do „czerwonego harcerstwa” działającego pod ideowym przewodnictwem Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Ten, kto wygłasza takie idiotyczne opinie nie ma pojęcia o tym, jak wspaniale wychowywana była młodzież w drużynach i szczepach, których instruktorzy umieli równie mądrze jak zdecydowanie oprzeć się komunistycznej indoktrynacji przy życzliwym wsparciu swoich przełożonych na szczeblu komend niektórych hufców (poziom dzielnic), a nawet chorągwi (poziom województwa).

W Krakowie mieliśmy specyficzny klimat dla harcerstwa. Pamiętam, że kiedy przyjechała na prowadzony przeze mnie obóz w olsztyńskich lasach w drugiej połowie lat 80. grupa funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa nieudolnie przedstawiających się jako inspektorzy tamtejszego kuratorium oświaty, usłyszałem od nich:

– No, panie harcmistrzu, w naszym województwie nie miałby pan prawa wychowywać młodzieży. A stosowny raport o tym, co tu zobaczyliśmy powędruje do Krakowa, chociaż wasi przełożeni są zbyt tolerancyjni i nie umieją działać pryncypialnie w duchu socjalistycznych ideałów pozbywając się jawnych wrogów Polski Ludowej.

Mój serdeczny przyjaciel profesor Jacek Purchla do dzisiaj opowiada naszym wspólnym znajomym, że obozy „Żurawi” były zawsze organizowane w sierpniu, aby sprytnie ominąć „święto Wedla” (22 Lipca), a móc potajemnie obchodzić zakazane przez komunistyczny reżim rocznice 6 i 15 Sierpnia.

Dzisiaj nie ma już na szczęście takich problemów, a harcerstwo – niestety organizacyjnie podzielone, nad czym bardzo ubolewam – nadal kultywuje pamięć najważniejszych dla Polski wydarzeń z najnowszej historii i dba o pielęgnowanie narodowych imponderabiliów. Tacy seniorzy jak ja mogą co najwyżej podzielić się z młodymi druhnami i druhami wspomnieniami z dawnych lat, kiedy jesteśmy zapraszani z okazji jakiegos jubileuszu, które to spotkania młodzież określa wdzięcznym mianem piernikaliów (my też używaliśmy tego terminu).

Czuwajcie radośnie i pięknie na obozach AD 2019, młode przyjaciółki i przyjaciele w szarych i w zielonych mundurach!

Powyższy tekst ukazał się pierwotnie na stronie internetowej Radia RMF FM.

* * *

Dwie lewice

Tworzące od niedawna egzotyczną koalicję wyborczą Sojusz Lewicy Demokratycznej, Razem i Wiosna przedstawiają się jako lewica. Warto więc zadać pytanie, do jakich tradycji nawiązują te partie: niepodległościowej, której symbolem jest przedwojenna Polska Partia Socjalistyczna, czy też zaprzędanej Sowietom jak Polska Zjednoczona Partia Robotnicza, z której wprost wywodzi się SLD.

Biorąc pod uwagę, którzy politycy Sojuszu dostali się do Parlamentu Europejskiego z listy nie istniejącej już Koalicji Europejskiej, nie ma

problemu z udzieleniem odpowiedzi na to pytanie. A przecież SLD jest główną siłą nowego porozumienia lewicy, Wiosna i Razem pełnią w nim podobnie marginalną rolę jak Nowoczesna oraz Inicjatywa Polska przy Platformie Obywatelskiej w zawiązanej z nimi przez tę ostatnią Koalicji Obywatelskiej.

Gdyby na poważnie traktować etykiety, jakimi obdarzamy poszczególne partie, to na miano spadkobierców PPS zasługuje Prawo i Sprawiedliwość. Program ekonomiczny wykreowanej przez Jarosława Kaczyńskiego Zjednoczonej Prawicy jest zdecydowanie i rzetelnie lewicowy, co nie pozostaje w sprzeczności z głoszonym przez nią z konserwatyzmem w sferze aksjologicznej oraz obyczajowej.

Skoro Polacy mają już pozytywnie sprawdzoną w ostatnich czterech latach patriotyczną lewicę, to po co mają głosować na ludzi, którzy odwołują się nie do pięknej tradycji Ignacego Daszyńskiego, Kazimierza Pużaka, czy Lidii i Adama Ciołkoszów, ale do doszczętnie skompromitowanej w XX wieku ideologii wyznaczonej nazwiskami Karola Marksa, Włodzimierza Lenina, Józefa Stalina, Che Guevary?

* * *

Niepotrzebnie podzielone harcerstwo

Jednym z moich wielkich marzeń jest zjednoczenie harcerstwa. Doskonale rozumiem powody organizacyjnych podziałów, jakie nastąpiły w polskim skautingu po 1989 roku, ale bardzo mnie one bołą.

Byłem przez wiele lat członkiem Związku Harcerstwa Polskiego, potem przeniósłem się do ZHP-rok założenia 1918, a kiedy połączył się on ze Związkiem Harcerstwa Rzeczypospolitej, automatycznie znalazłem się w ZHR.

W latach 80. ubiegłego wieku aktywnie działałem w półjawnych strukturach Ruchu Harcerskiego Rzeczypospolitej (kontynuacja powstałych jesienią 1980 roku Kręgów Instruktorów Harcerskich im. Andrzeja Małkowskiego) mając nadzieję, że kiedy Polska odzyska niepodległość, odbierzemy natychmiast komunistom ZHP, którego władze były wprawdzie podporządkowane reżimowi, ale w wielu chorągwiach i hufcach pro-

wadziliśmy działalność w duchu przedwojennych ideałów służby Bogu, Polsce i bliźnim.

Niestety, kiedy pojechaliśmy we wrześniu 1989 roku do Lecha Wałęsy przedstawić mu propozycję odzyskania ZHP, spotkaliśmy się z odpowiedzią: „ja jestem za pluralizmem, założcie nową organizację, a ja was poprę”.

Część instruktorów RHR – zwłaszcza ze środowiska krakowskiego – mocno rozczarowała się takim postawieniem sprawy przez najważniejszą wówczas osobę w opozycji. Byliśmy bowiem przekonani, że pluralizm znakomicie sprawdza się w polityce, ale niekoniecznie w działalności wychowawczej. Koncepcja odbicia ZHP przegrała jednak z pomysłem założenia nowej organizacji i tak powstały wiosną 1989 roku ZHR i ZHP-rok założenia 1918, a także kilka innych skautowych stowarzyszeń.

Niestety, zagrały osobiste ambicje, które przeważyły nad ideą odebrania komunistom ZHP cieszącego się w społeczeństwie dużą sympatią z uwagi na jego historię, a zwłaszcza na bohaterstwo obrońców ojczyzny w zielonych i szarych mundurach w 1920 roku i Szarych Szeregów.

Mamy więc nadmiernie podzielone harcerstwo, ale tylko na poziomie władz poszczególnych organizacji, ponieważ w zastępach i w drużynach nie ma istotnych różnic. Może uda się więc zjednoczenie?

* * *

Z „kadrówki” do WOT

Komendant Marszu Szlakiem Pierwszej Kompanii Kadrowej Dionizy Krawczyński powiedział mi, że sporo uczestników tej dorocznej, pięknej imprezy patriotycznej rekrutujących się z organizacji strzeleckich przystąpiło do Wojsk Obrony Terytorialnej. Część z nich idzie w tym roku już w innych niż dawniej mundurach, niektórzy nie mogli jednak stawić się rankiem 6 sierpnia na Oleandrach, ponieważ nie dostali zwolnienia od swoich przełożonych.

Uważam, że jest to naturalne i pozytywne zjawisko. Wielu młodych strzelców marzyło o pełnieniu szaczonej służby ojczyźnie w szeregach

jej armii, ale nie każdy chciał zostać zawodowym żołnierzem. WOT dają im znakomitą szansę na realizację szczytnych zamierzeń.

Podobnie było w okresie II Rzeczypospolitej. Sporo harcerzy i strzelców kontynuowało swoją służbę Polsce w wojsku, a także na różnych szczeblach władzy cywilnej. Z uwagi na wysokie kwalifikacje moralne i znakomitą dyscyplinę byli tam chętnie przyjmowani. W czasie II wojny światowej dobrze zasłużyli się Rzeczypospolitej, po 1945 sprawowali wysokie funkcje w „polskim Londynie” (z. ostatnim Prezydentem RP na Uchodźstwie harcmistrzem Ryszardem Kaczorowskim na czele) oraz w szeregach antykomunistycznej opozycji w Kraju.

Rozumiem smutek komendanta Marszu z powodu zmniejszającej się – aczkolwiek nieznacznie – liczby jego wielokrotnych uczestników, lecz zarazem cieszę się, że właśnie podczas tej wspaniałej formy praktykowania patriotyzmu na trasie z Krakowa do Kielc nabyli oni wielu umiejętności, które przydadzą im się w Wojskach Obrony Terytorialnej.

* * *

Jak podawać obwarzanki?

Czy w dobie powszechnej walki z foliowymi opakowaniami i plastikowymi sztućcami krakowskie obwarzanki będą – jak dawniej – podawane klientowi na drewnianym patyku zamiast w cienkim woreczku z folii?

Podwawelski magistrat rozważa taką możliwość. Obecnie trwają konsultacje w tej sprawie ze sprzedawcami i z sanepidem. Pojawiła się także propozycja, aby foliowe torebki zastąpić papierowymi.

A krakowianie pytają przy tej okazji, czy nie dałoby się przywrócić obwarzankom tradycyjnej chrupkości i niepowtarzalnego smaku. Dziś są to bowiem często gumiate bułki z małą dziurką w środku, co stoi w jaskrawej sprzeczności ze średniowieczną recepturą.

Warto przypomnieć, że w 2006 roku obwarzanek krakowski został wpisany na listę produktów tradycyjnych, a w 2010 r. na listę produktów chronionych w Unii Europejskiej.

Jego nazwa pochodzi od sposobu przygotowywania. Przed wstawie-

niem do piekarnika należy go „obwarzyć”, czyli krótko sparzyć wrzątkiem. Jest to jedyny wypiek na świecie, który przed pieczeniem obgotowuje się w gorącej wodzie.

* * *

Kontrowersyjne wieże i ścieżki

Mam mieszane uczucia co do powstających w naszych górach kolejnych wież widokowych i ścieżek budowanych na dużych wysokościach.

Z jednej strony umożliwiają one podziwianie ponad konarami drzew panoramy sporej przestrzeni i są w dużej części ekologiczne, bo wykonane z drewna (aczkolwiek często skrywa ono metalowy szkielet konstrukcji), z drugiej stanowią jednak wyraźną ingerencję w krajobraz.

Owszem, spacerując po takiej ścieżce czy wchodząc na szczyt wieży można zobaczyć o wiele więcej niż z poziomu ziemi, ale ci, którzy wspięli się na nieodległe szczyty mają z kolei mocno zaburzoną perspektywę oglądania nie tylko najbliższej okolicy, ponieważ niektóre jej elementy przesłaniają im właśnie te budowle.

Wiadomo, że turyści są dzisiaj bardzo wygodni i najchętniej dotarliby wszędzie bez żadnego wysiłku, ale czy warto aż tak znacząco – w dodatku za spore pieniądze, które szybko nie zwrócą się z biletów – zakłócać wieczny porządek natury?

* * *

Propozycja przysięgi żołnierzy WOT pod kopcem Piłsudskiego

Komitet Opieki nad Kopcem Józefa Piłsudskiego przy Towarzystwie Miłośników Historii i Zabytków Krakowa zwraca się do panów ministra obrony narodowej Mariusza Błaszczaka oraz dowódcy Wojsk Obrony Terytorialnej generała dywizji Wiesława Kukuły z propozycją zorganizowania najbliższej przysięgi żołnierzy 11. Małopolskiej Brygady WOT im. generała brygady Leopolda Okulickiego pod polską Mogiłą Mogił, jak często określa się kopiec imienia wskrzesiciela Polski Niepodległej.

W tym nietypowym pomniku niepodległości usypanym w latach 1934-1937 na wzgórzu Sowiniec w Lesie Wolskim złożono ponad 4500

ziem przesiąkniętych krwią Polaków przelaną na polach bitew i w miejscach męczeństwa na całym świecie. Złożenie pod nim przysięgi wiernej służby Ojczyźnie przez młodych patriotów wstępujących w szeregi WOT z pewnością byłoby dla nich wielkim przeżyciem.

Kopiec Piłsudskiego jest w swojej symbolice równoważny Grobowi Nieznanego Żołnierza i dlatego uznaliśmy w Komitecie, że byłby znakomitym miejscem dla takiej ceremonii, najlepiej w miesiącach letnich.

Mamy nadzieję, że dowództwo, oficerowie i żołnierze WOT podzielą nasz pogląd i już wkrótce spotkamy się u podnóża Mogiły Mogił na uroczystej przysiędze, którą swoją obecnością może zechcą zaszczyścić wielokrotnie bywający w latach swej harcerskiej młodości pod kopcem Piłsudskiego Prezydent RP-Zwierzchnik Sił Zbrojnych, minister obrony narodowej, dowódca Wojsk Obrony Terytorialnej oraz generalicja i kadra oficerska Wojska Polskiego.

Z poważaniem – dr Jerzy Bukowski, przewodniczący Komitetu Opieki nad Kopcem Józefa Piłsudskiego przy Towarzystwie Miłośników Historii i Zabytków Krakowa

* * *

O EKONOMII I NIE TYLKO...

ORZEŁ I SOKÓŁ – RYWALIZACJA CZY POJEDNANIE?

Orzeł symbolizuje Polskę. W przyrodzie buduje wielkie gniazda w koronach wysokich drzew, najchętniej na sosnach. Rzadko atakuje swoją ofiarę w powietrzu.

Sokół symbolizuje Ukrainę. Jest ptakiem wędrownym, zajmuje gniazda innych ptaków, bądź gniazduje w szczelinach skalnych. Poluje w powietrzu, a w chwili ataku potrafi osiągnąć prędkość ponad 300 km/h.

W przyrodzie orzeł i sokół żyją w zupełnie innych środowiskach. Losy narodów, które przyjęły symbolikę tych ptaków – wielokrotnie się splatały. Tak jest do dziś.

Stosunki polsko-ukraińskie, zarówno w wymiarze politycznym, ale też gospodarczym czy historycznym mają fundamentalne znaczenie dla naszego sąsiedztwa i przyszłości obydwu państw. Warto i należy je przeanalizować, by stereotypy zastąpić faktami i twardymi danymi.

Ukraiński sokół

Liczby dotyczące demografii Ukrainy są katastrofalne. W ciągu 27 lat liczba ludności spadła najprawdopodobniej o około 15 milionów ludzi i wynosi dzisiaj 38 milionów. Według prognoz do roku 2050 ludność może zmniejszyć się o kolejne 3-5 milionów. Przyczyną spadku liczby ludności jest wysoka śmiertelność oraz emigracja zarobkowa. Emigrują głównie ludzie młodzi, wykształceni, ale też ludność wiejska bez przygotowania zawodowego. Średni poziom płac na Ukrainie to około 400-

600 polskich złotych miesięcznie. Średni poziom emerytur to około 150-200 polskich złotych miesięcznie. Szybko rośnie udział ludzi starych w populacji.

Ukraina staje się gospodarką, w której wydobywie surowców i rolnictwo należą do najważniejszych działów. Potencjał surowcowy Ukrainy jest ogromny i wiedzą o tym moi tego świata. Dlatego konflikt z Rosją ma też podtekst związany z dostępem, eksploatacją i zarabianiem na wydobywaniu surowców. Jednocześnie większość działów przemysłu, które były stworzone i rozwijane w ramach Związku Radzieckiego zostały zlikwidowane lub przeszły w ręce kapitału zagranicznego.

Osobnego omówienia wymaga rolnictwo. Ukraina ma znakomite ziemie – bez mała połowa obszarów to czarnoziem. Ziemia i klimat są tak wyśmienite, że Ukraina stała się przedmiotem zainteresowania firm i producentów rolnych z całego świata. Zmiany ustrojowe po 1991 roku umożliwiły, a nawet wymusiły szybką koncentrację wielkiej własności ziemskiej idącej w setki tysięcy hektarów. Najwięksi oligarchowie – latyfundiści są właścicielami bądź udziałowcami przedsiębiorstw posiadających od 100 tysięcy do ponad 600 tysięcy hektarów ziemi. Dziesięć największych ukraińskich koncernów rolnych kontroluje dziś ponad 15% obszaru wszystkich użytków rolnych. Dokonana została modernizacja latyfundiów połączona z wprowadzeniem najnowocześniejszej techniki informatycznej, dronami, automatyzacją. W efekcie wydajność rolnictwa ukraińskiego gwałtownie wzrosła i stało się ono znaczącym w skali światowej producentem zbóż, ziemniaków, nasion słonecznika. W najbliższym czasie należy oczekiwać wejścia na rynek europejski i światowy ukraińskich producentów drobiu, mięsa wieprzowego i wołowego, owoców i warzyw. Dziś bez mała połowa wartości eksportu Ukrainy to produkty rolne.

Wewnętrzna sytuacja polityczna na Ukrainie ewoluuje w szczególny sposób. Możemy dziś mówić, że przy panującym systemie oligarchicznym dwie grupy dzielą między siebie władzę. Pierwszą stanowią liczący około jednego miliona ukraińscy Żydzi. Warto w tym miejscu przypomnieć, że właśnie Ukraina to teren, na którym zamieszkiwały plemiona

chazarskie, które przyjęły judaizm i że to właśnie ta grupa ludnościowa stanowi dzisiaj około 95% populacji żydowskiej na świecie. Nazywa się ich często Żydami pochodzenia aszkenazyjskiego. Nie ulega wątpliwości, że ukraińscy Żydzi korzystają z silnego wsparcia finansowego, organizacyjnego, medialnego i innych, światowej diaspory żydowskiej. Drugą grupą są skrajni nacjonałści ukraińscy, często finansowo wspierani przez środowiska ukraińskie w Ameryce Północnej i Kanadzie, które swymi hasłami starają się radykalizować społeczeństwo ukraińskie. Symbioza w sprawowaniu władzy tych dwu środowisk jest paradoksem, jeśli wziąć pod uwagę historyczne konflikty między nimi i skalę zbrodni popełnionych przez banderowców na ludności żydowskiej w latach 1941-1945.

Szukanie tożsamości historycznej w banderyzmie to samobójstwo polityczne sprytnie podsycane przez środowiska międzynarodowe, którym zależy na destabilizacji w regionie, osłabianiu Rosji i Polski. „Nurzenie się” w banderyzmie przez sprawujących władzę na Ukrainie, czego przykładem: stawianie pomników, nadawanie nazw ulic, ustawa gloryfikująca przywódców OUN-UPA to dowód na nieistnienie prawdziwej elity politycznej na Ukrainie. Na pewno banderyzm znakomicie wykorzystywany jest jako narzędzie do dyscyplinowania ludności oraz indoktrynowania młodego pokolenia Ukraińców. Nacjonalizm ukraiński służy przede wszystkim tym, którzy chcą władzy dla siebie i słabej, zależnej od struktur międzynarodowych Ukrainy.

W wymiarze polityki międzynarodowej sytuację Ukrainy podsumować można następująco.

Po pierwsze – uznać trzeba, że Stany Zjednoczone w rozgrywce z Rosją traktują Ukrainę instrumentalnie i będą wykorzystywały do destabilizacji politycznej w regionie. Jednocześnie USA skwapliwie wykorzystają dla własnych celów ten potencjał gospodarki ukraińskiej, który uznają za wysoce efektywny.

Po drugie – Europa Zachodnia wpłątana we własne problemy nie ma ani siły, ani woli pomóc Ukrainie. Co gorsza, jest zainteresowana upadkiem części przemysłu ukraińskiego, z pewnością niedopuszczeniem, by stał się on konkurencyjny w skali kontynentu. Koncerny europejskie

zainteresowane są przejęciem rynku ukraińskiego bądź przejęciem za bezcen w ramach procesu prywatyzacji i spłaty zadłużenia tych przedsiębiorstw, które uznane zostaną za atrakcyjne.

Po trzecie – Europa Zachodnia nie jest zainteresowana obroną niepodległości Ukrainy, gdyż ocenia, że osłabiona Rosja ze swym potencjałem ekonomicznym i militarnym dziś i w dającej się przewidzieć przyszłości Zachodniej Europie nie zagraża – jak miało to miejsce kilkadziesiąt lat temu.

Po czwarte – Niemcy nawiązując do tradycji i doktryny Mitteleuropy będą wykorzystywały sentyment Ukraińców do nich grając nacjonalizmem ukraińskim zarówno przeciw Rosji, jak i Polsce.

Po piąte – nie należy oczekiwać, by Rosja była zainteresowana szybką i siłową aneksją Ukrainy ze względu na koszt takiej operacji oraz coraz silniejsze nastroje antyrosyjskie. Rosja będzie starała się pogłębić biedę i kryzys na Ukrainie, anarchizować społeczeństwo i grając „na czas” będzie czekała na korzystną okazję, gdy być może zmęczeni problemami codzienności Ukraińcy sami poproszą o przyłączenie do Rosji.

Spróbujmy podsumować i wyciągnąć wnioski.

Ukraińcy z pewnością w sposób szybki i bolesny zrozumieli, że sąsiedztwo z Rosją jest nie tylko groźne i niebezpieczne, ale kosztowne i wymagające ofiar.

Szczególnie ważne dla przyszłości Ukrainy są prognozy demograficzne. Ich konsekwencje to po pierwsze ubytek ludzi młodych, po drugie wzrost udziału ludności nieaktywnej zawodowo, po trzecie efekt modernizacji rolnictwa podobny w swych konsekwencjach do procesu „grodzenia pól” w Anglii w XVIII i XIX wieku, wyrzucania ludności wiejskiej z ich siedzib, tworzenie armii ludzi „wolnych i luźnych”. Czwartym następstwem zjawisk demograficznych, emigracji zarobkowej będzie brak ludzi młodych oraz kadr z wyższym wykształceniem zdolnych do podjęcia pracy i kierowania firmami w nowoczesnej, informatycznej przedsiębiorczości.

Ukraina stawać się będzie państwem surowcowo-rolnym. Oba te sektory będą modernizowane, ale staną się równocześnie enklawami nie-

związanymi z otaczającą gospodarką tradycyjną i ludnością o niskiej aktywności zawodowej. Taki typ gospodarki już dziś nie potrzebuje dużej ilości siły roboczej, a co dopiero jutro. Stąd wniosek, że wyludnienie na Ukrainie stanie się faktem.

Można mieć obawy graniczące z pewnością, że Ukraina stanie się państwem kontrastów, biedy i nielicznych enklaw nowoczesności i bogactwa. Enklawy te to przykładowo przemysł wydobywczy i wielkoobszarowe rolnictwo. Będą one nowoczesne, bo doinwestowane kapitałem zagranicznym, zorientowane na współpracę na rynkach zagranicznych, ale mające tylko znikome związki z lokalnym rynkiem i otoczeniem gospodarczym. Taki model gospodarczy – rozwoju enklawowego jest najczęściej destrukcyjny dla państwa, jak i społeczeństwa.

Polski orzeł

Perspektywy demograficzne dla Polski są złe. Należy liczyć się ze spadkiem liczby ludności do roku 2050 o około 3-5 milionów. Mimo socjalnej polityki rządu przyrost naturalny nie rośnie, nie spada jednocześnie emigracja zarobkowa młodych, często wykształconych Polaków. Wynosi ona rocznie około 120 tysięcy osób. Ponad 2,5 miliona Polaków wyemigrowało po roku 2004 „za chlebem” i większość z nich nie zamierza wracać.

Sytuację na rynku pracy ratują przyjeżdżający Ukraińcy, których liczbę szacować należy na ponad 1,5 miliona. Około 40 tysięcy Ukraińców kształci się na polskich uczelniach, a polsko-ukraińskich małżeństw zawartych zostało w ubiegłym roku około 1600.

Gospodarka polska, szczególnie po wstąpieniu do Unii Europejskiej, stała się zależna w sensie podwykonawstwa i współpracy od gospodarki niemieckiej. Ponieważ jednocześnie branże i profil działalności tworzony i rozwijany w Polsce przez inwestorów niemieckich wymaga znacznego udziału pracy żywej w produkcji, stąd napływający do pracy Ukraińcy bez trudu znajdują w Polsce zajęcie. Sprzyja temu też polityka socjalna rządu, która skutkuje niską aktywnością zawodową Polaków, szczególnie niewykształconych, mieszkających na prowincji. W sumie efektem tej

polityki jest wypychanie na emigrację Polaków i jednocześnie „zasysanie” do pracy w kraju Ukraińców.

Pierwsza uwaga, która nasuwa się ekonomiście brzmi następująco: zatrudnienie na szaro i czarno, które dominuje wśród Ukraińców dezorganizuje polski rynek pracy. Czyni reguły gry na tym rynku nieuczciwymi i nierównymi dla przedsiębiorców i większości pracowników. Co więcej, Ukraińcy zatrudnieni nielegalnie nie płacą w Polsce podatków dochodowych, czym uszczuplają dochody budżetu. Sądzić należy, że skala problemu idzie nie w kilka, a co najmniej w kilkanaście miliardów złotych.

Ukraińcy starają się jak największą część zarobionych i zaoszczędzonych złotych zamienić na dewizy i wywieźć z Polski, czym z jednej strony przyczyniają się do ograniczenia popytu konsumpcyjnego na naszym rynku, czyli działają na szkodę polskich producentów, a jednocześnie poprzez wywóz dewiz zmniejszają zasób i podaż pieniądza, który mógłby służyć jako środek do finansowania inwestycji. Skala tego wywozu jest na tyle duża, że moim zdaniem, powinna zostać tu dokonana wnikliwa analiza przez NBP czy Ministerstwo Finansów. Według moich szacunków można przyjąć, że jeśli jeden zatrudniony nielegalnie w Polsce Ukrainiec co miesiąc transferuje od 1 do 2 tysięcy złotych, czyli od 250 do ponad 500 dolarów, to w skali rocznej wywiezionych zostaje z Polski od 3 do 6 miliardów dolarów, a może więcej. Ciekawostką jest tu milczenie NBP, który z mocy prawa stać powinien na straży legalności, jawności i wysokości dewiz wywożonych z Polski.

Ważnym problemem dotyczącym pracujących w Polsce Ukraińców jest fakt, że jako zatrudnieni bezprawnie są niejako zmuszani do zachowań rozszerzających sferę bezprawia. Co mam na myśli? Przykładowo wielu z nich mieszka bądź wynajmuje mieszkania bez umów, porusza się samochodami niespełniającymi norm bezpieczeństwa i ekologii, nabywa nawet nieruchomości na osoby podstawione.

Należy też podnieść argument makroekonomiczny i działający w długim horyzoncie czasowym, a dotyczący charakterystyki polskiej gospodarki. Utrzymywanie płac na niskim poziomie w Polsce w efekcie

napływu Ukraińców i brak klarownej polityki kolejnych rządów wobec narastającej fali imigracji doprowadziło do wykształcenia się swoistej „specyfiki” polskiej gospodarki. Otóż w Polsce opłaca się inwestować przede wszystkim w takich branżach, gdzie zarabia się na taniej sile roboczej, a nie na wysokich kwalifikacjach i dobrze opłaconym robotniku. Te gałęzie przemysłu, które wymagają wiedzy, wynalazków i innowacji nie są atrakcyjne dla producentów, ani nie motywują ich do ponoszenia nakładów na kształcenie, stypendia, badania naukowe. Z tego też powodu wielu wysoko wykształconych Polaków nie mogąc znaleźć dobrej i godziwie opłacanej pracy w wyuczonym zawodzie zmuszonych zostało do emigracji. Koszty ich wykształcenia ponieśliśmy my, w Polsce, ale korzyści z ich wykształcenia w postaci podatków płacone są zagranicą. I tak oto utrzymywanie płac na niskim poziomie za sprawą błędnej polityki imigracyjnej kolejnych rządów jest korzystne dla nielicznego grona przedsiębiorców. Dla większości jednak skutkuje tym, że bez mała cała polska gospodarka „jest odwrócona tyłem” do wynalazczości, inwestowania w ludzi i w naukę.

Razem czy osobno?

W wymiarze demograficznym oba narody stoją przed identycznymi problemami: spadku liczby ludności, starzenia się społeczeństw.

Imigracja Ukraińców do Polski pozwala osłabić, zniwelować brak rąk do pracy. Ukraina ten problem ma przed sobą. Będzie on wzrastał się z każdym rokiem. W przeciwieństwie do Polski Ukraina nie będzie mogła go złagodzić bądź rozwiązać poprzez imigrację siły roboczej z otaczających państw. Przeciwnie. Należy liczyć się ze wzmożoną emigracją na stałe młodych Ukraińców, którzy zdobędą wykształcenie przykładowo w Polsce. Bez kompleksów, aktywnie będą oni szukać atrakcyjnej pracy i osiedlać się w Europie bądź USA czy Kanadzie. Tam przecież mają bardzo liczną, sprawną organizacyjnie diasporę.

Dla Polski bardzo ważnym okaże się, czy Ukraińcy, którzy się tu osiedlą zechcą poznać prawdę historyczną o stosunkach, zaszłościach między obu narodami. By tak się stało potrzebna jest mądra, konsekwentna,

długookresowa polityka informacyjna w szkołach, na uczelniach, w mediach. W przeciwnym wypadku konflikty i spory odżyją ze zwielokrotnioną siłą.

W gospodarce należy liczyć się z rosnącą i bezwzględna walką konkurencyjną ukraińskich producentów rolnych z polskimi rolnikami o nasz rynek zbytu, a także o rynki krajów trzecich, głównie Europy i Azji. W tej walce Polska może obronić się tylko pod warunkiem ciągłego podnoszenia jakości własnych produktów oraz szukania nisz rynkowych. Perspektywy są jednak niewesołe. Ukraińskie rolnictwo będzie miało zdecydowaną przewagę jeśli chodzi o poziom kosztów produkcji, dostęp do kapitału i rynków zbytu. Jeśli dodamy do tego pojawienie się na rynku światowym nowych, potężnych producentów: Brazylii, Chin, Rosji to oczywistym staje się, że szanse polskich rolników maleją. Rosja w wyniku embarga nałożonego przez Zachód po zajęciu Krymu zmuszona została do zainwestowania ogromnych środków w rolnictwo. Dzięki wsparciu holenderskich, niemieckich i innych specjalistów od rolnictwa Rosja stała się w krótkim okresie eksporterem zbóż, uzyskała bez mała samowystarczalność w produkcji trzody chlewnej, owoców i warzyw. A był to przecież produkty i rynek, na którym polscy eksporterzy rolni dominowali.

W produkcji przemysłowej współpraca między Ukrainą i Polską ma wymiar symboliczny. Polskie przedsiębiorstwa, które zainwestowały na Ukrainie z reguły mają złe doświadczenia i raczej myślą o wycofaniu się niż rozwoju.

Zarówno ze względów demograficznych, jak i gospodarczych o owocnej, intensywnej współpracy między obu krajami trudno mówić. Bardziej prawdopodobnym jest, że w najbliższej przyszłości będą one zmuszone do coraz ostrzejszej rywalizacji.

W wymiarze politycznym słabnąca demograficznie i gospodarczo Ukraina, odstająca coraz bardziej poziomem zamożności od Europy Środkowej i Zachodniej, skonfliktowana z Rosją, skazana będzie na coraz większe uzależnienie od USA i Niemiec. Będzie to uzależnienie w wymiarze politycznym, militarnym, gospodarczym a nawet kulturowym.

Nie jest, nie leży w interesie Niemiec prawdziwe pojednanie Ukrainy z Polską. Tak samo nie leży ono w interesie Rosji. Oba państwa wszelkimi możliwymi sposobami będą działały, by Polskę i Ukrainę skłócać. Przyszłość stosunków polsko-ukraińskich zależy wyłącznie od mądrości i woli ze strony obu narodów i państw. Czy jej wystarczy? Dziś to pytanie pozostaje bez odpowiedzi.



HISTORIA

Z CYKLU:
WSPOMNIENIA O LUDZIACH
KONFEDERACJI POLSKI NIEPODLEGŁEJ.

DR JACEK PRUSIŃSKI
(1938 – 2008)

Lekarz, członek Konfederacji Polski Niepodległej pełniący funkcję Szefa Okręgu Łomżyńskiego KPN, aktywny działacz NSZZ Solidarność, wspaniały gawędziarz, partner wielu wędkarskich wypraw, mój nauczyciel historii Łomży i jej okolic, realista naładowany optymizmem, niezwykle lubiany i ceniony przez wszystkich, którzy mieli okazję Go poznać.

Znajomość z Jackiem zawdzięczał komunie. Obaj nienawidziliśmy tego paskudnego i zbrodniczego systemu, obaj działaliśmy w różnych strukturach podziemnej Solidarności, a później w KPN, dzięki czemu narodziła się nasza znajomość, która z czasem zamieniła się w przyjaźń.

Narodziła się – to dobre określenie, gdyż Jacek był lekarzem o specjalności ginekologia i położnika.

Od końca lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku byłem przez kilka kadencji członkiem Rady Sekcji Ochrony Zdrowia NSZZ Solidarność



Regionu Mazowsze. Przez jakiś czas jej przewodniczyłem, równocześnie od kilku lat pełniąc różne funkcje w KPN.

Jacek często wtedy bywał w Warszawie w towarzystwie Tereski Stankiewicz, wspaniałej kobiety, działaczki społecznej i związkowej, która między innymi stworzyła w Łomży Hospicjum Onkologiczne. Na comiesięczne zebrania Sekcji przywozili wspaniałe sękacze.

To specjał, który zapewne i dzisiaj w oryginalnym smaku jest dostępny tylko w tamtych okolicach.

Jacek mieszkał w Łomży – ja w Warszawie. On pełnił tam funkcję Szefa Okręgu KPN, natomiast ja byłem członkiem Rady Politycznej oraz Centralnego Kierownictwa Akcji Bieżącej KPN.

Spotykaliśmy się więc często z okazji narad, zebrań, konferencji i kongresów. Obaj pozostawialiśmy wierni Solidarności. Po „oficjałkach” często zapraszałem Go do mojego mieszkania, gadaliśmy do rana i zawsze mieliśmy o czym. Moja żona także **Jacka** bardzo polubiła i zawsze starała się nas kulinarnie zadowolić. Z czasem do stolicy przyjeżdżała wraz z nim Jego żona Ewa. Zostawialiśmy ją na czas naszej politycznej aktywności pod opieką mojej żony Krysi. One też zawsze miały o czym rozmawiać i bardzo się do siebie zbliżyły. Pomimo skromnych warunków mieszkaniowych nieraz u nas nocowali. Wtedy bardzo często jeździłem na Mazury. Najczęściej przez Ostrołękę. Jednak po poznaniu **Jacka** wybierałem dłuższą trasę przez Łomżę. Jadąc nad jeziora i w drodze powrotnej starałem się ich odwiedzać. Bardzo podobał mi się ich skromny, ale ładny dom, w którym były dwa niezwykle pokoje. W jednym z nich, największym, było mnóstwo książek i symboli niepodległościowych. To w tym domu, podczas którejś z wizyt Leszka Moczulskiego w Łomży, po smakowitym obiedzie Przewodniczący otrzymał z rąk **Jacka** pamiątkową szablę.

Żaś w tym drugim miał swoje wędkarskie królestwo. Mnóstwo zdjęć ryb, wędek, spinningowych przynęt, spławików, kołowrotek i innych akcesoriów przydatnych moczykijom. Zazdrościłem Mu tego pokoju, ale sprzętu nie. Miałem wtedy już znacznie nowocześniejszy, bardziej praktyczny i specjalistyczny. Oczywiście nie dałem Mu tego odczuć, ale

po kolejnych wspólnych wypadach nad wodę zauważałem, że Jego „park maszynowy” znacznie się odmładzał.

W wyborach do Sejmu I Kadencji w 1991 roku zostałem posłem z okręgu nr.2 obejmującego województwo stołeczne. Po kilku miesiącach działalności Sejmu, Klub Parlamentarny KPN z pewnych powodów musiał pozbyć się posła wybranego w okręgu **Jacka**.

Kierownictwo KPN, na wniosek Leszka Moczulskiego zdecydowało, abym to ja wyrzuconego zastąpił i „obsługiwał” poselsko województwo łomżyńskie. Ponoć miałem mieć bliżej do ukochanych Mazur i łatwiejszy dostęp do uprawiania mojego hobby, jakim było i jest nadal wędkarstwo. Oczywiście się zgodziłem, ale szybko tego zacząłem „żałować”.

Jacek bowiem nie był leniuchem. Prawie każdy weekend, poszerzony o poniedziałek bardzo starał się mi wypełnić. Konferencje prasowe dla mediów lokalnych, spotkania z wojewodą, władzami miasta, wójtami, mieszkańcami okolicznych miejscowości i wsi, udział w lokalnych uroczystościach, Żołnierze Niezłomni, otwarcia, przecięcia, odsłonięcia, rocznice, włączanie się w obronę „prywatyzowanych” przez ministra Janusza Lewandowskiego przedsiębiorstw, dyżury w biurze poselskim, podejmowanie interwencji w sprawach indywidualnych itp.

Muszę przyznać, że Solidarnościowa znajomość z ówczesnym wojewodą Sławkiem Zgrzywą pomagała załatwić pozytywnie wiele problemów mieszkańców zderzających się z urzędniczą znieczulicą lub bzdurną interpretacją prawa.

Ta praca szybko przyniosła efekty. Na otwarte spotkania ze mną przychodziło naprawdę mnóstwo ludzi, a gdy do Łomży przyjechał Leszek Moczulski, największa sala w mieście nie mogła pomieścić chętnych. Było wiele pytań i komentarzy dotyczących prac KPN w Sejmie, a także mnóstwo braw. Najbardziej zapadło mi w pamięci spotkanie z wyborcami w jednej z większych wsi województwa. Jacek oczywiście zaplanował je (zapewne w trosce o frekwencję) tuż po południowej mszy i w pobliżu kościoła. Sala kinowa pełna, ludziska siedzą nawet na parapetach, ja truję o polityce, koniecznych reformach w ochronie zdrowia, oświacie, coś

wspominam o budżecie, projekcie ustawy KPN o Restytucji Niepodległości i co jakiś czas słyszę z sali coraz częściej ciche pytania:

– Panie, a co z tą kukurydzą???

Po godzinie wyczułem, że moja gadanina ich nie interesuje, nie ma sensu truć o budżecie, reformach i restytucji, ale trzeba jakoś z tego wyjść z twarzą i dać ludziom odpowiedź.

Zaryzykowałem i przez mikrofon mówię:

– Szanowni Państwo, nie mam pojęcia o rolnictwie, ale słyszę, że jesteście zainteresowani kukurydzą. O co chodzi?

Na sali konsternacja i poruszenie; poseł, przyjechał, gada, głądzi o reformach, jakiś budżetach a nic nie wie o kukurydzy...?

Wtedy siedzący obok mnie **Jacek** wstał i bez mikrofonu swoim donośnym głosem poprosił o ciszę. Gdy już zapadła, wyjaśnił że poseł nie musi się znać na wszystkim, a obecny na sali zna się na ochronie zdrowia i polityce społecznej. Jednak, gdy zachodzi taka potrzeba, to za tydzień przywiezie tu posła zajmującego się w KPN rolnictwem. Poprosił, żeby ktoś wyjaśnił niepokoje związane z kukurydzą.

Trochę to trwało, wreszcie wybrano mówcę i tenże przedstawił sprawę. Okazało się, że wówczas w radio i telewizji wiele mówiono o pomocy USA dla polskiego rolnictwa.

Do Polski przypląnęły statki z kukurydzą siewną, która miała być bezpłatnie dzielona między tych rolników, którzy zdecydują się na jej uprawę. Teraz – według zapowiedzi lokalnych władz – okazało się, że będą musieli za to ziarno płacić. Obiecałem, że zainteresuję się tą sprawą i możliwe szybko dostaną odpowiedź. Dalej spotkanie przebiegało już bez żadnych zakłóceń, odpowiadałem na pytania, pytałem czego oczekują i rozstaliśmy się w zgodzie przyklepanej oklaskami na pożegnanie. Ktoś nas zaprosił na niedzielny, rodzinny obiad przy stole rozmiaru weselnego, podczas którego, jedząc rosół dalej dyskutowaliśmy o polityce rządu, wobec którego wszyscy byliśmy w opozycji. Nawet sołtysi okolicznych wsi, co mnie zdumiewało gdyż z rozmów wynikało, że najbliższe jest im PSL. Słowa dotrzymałem, niezwłocznie napisałem w tej sprawie interpelację do ówczesnej premier Hanny Suchoc-

kiej, a otrzymaną i skopiowaną odpowiedź Jacek wraz z Konfederatami rozwozili po wielu miasteczkach i wioskach województwa. Przy okazji przywoził deklaracje przystąpienia do KPN. Może to przypadek, ale w obecnych czasach jadąc na Mazury widzę w tych okolicach wiele pól obsianych kukurydzą.

Kolno, Śniadowo, Mały Płock, Jeziorko, Nowogród, Stawiski i wiele innych miast, miasteczek i wiosek to były moje poselskie przystanki. **Jacek** rzetelnie przygotowywał te wizyty i spotkania z mieszkańcami, a mnie do nich także. Zawsze dostawałem od Niego podstawowe informacje o danej miejscowości, jej historii, strukturze demograficznej oraz ciekawych ludziach.

Wiedziałem, gdzie mieszkańcy oczekują budowy szpitala, przychodni, remontu szkoły, jakie mają kłopoty z transportem itd. Nie, nie mogę powiedzieć, że w tamtym okresie się nudziłem.

Przez Jacka jednak mocno zaniedbywałem swój rozległy okręg wyborczy. Kadencja sejmiku z woli prezydenta Wałęsy skończyła się wcześniej, ale przyjaźń z Jackiem umocniła się i utrwaliła.

Jacek lubił łowić rybki, łązić po lesie w poszukiwaniu grzybów, obserwować ptaki, głaskał wszystkie napotkane zwierzęta, które dawały się pogłaskać, dziwnie reagował na słowo myśliwy...

Pełna stresów praca i działalność musiały znaleźć jakąś formę relaksu. Jego łomżyński dom był wspaniale położony. Stojąc przed bramą widać było z góry przepiękną dolinę Narwi i jej starorzeczka. W aucie stojącym przed bramą wystarczyło zwolnić hamulec ręczny, by jego pocziwy Fiat 125p potoczył się nad brzeg rzeki bez odpalania silnika. Raptem około 1 – 1.5 kilometra.

Fiat, poza tym, że był pocziwy, był także leciwy. Drzwi od strony kierowcy można było otworzyć wyłącznie kopniakiem od wewnątrz z miejsca pasażera. Do otwarcia bagażnika Jacek używał zagiętej rurki, a maskę silnika bardzo mocnym szarpnięciem lub uderzeniem „z piąchy” w jej środkową część. Klakson tego auta miał wyjątkowy dźwięk – mnie to przypominało zgrzyt zawiasów dawno nie otwieranej stodoły przepuszczony przez wzmacniacz.

Bywaliśmy wówczas na Mazurach często. Tam **Jacek** był wyjątkowo przydatny.

Niewiarygodne wśród braci wędkarskiej, ale: **On lubił gotować i zmywać!!!**

W zależności od liczby uczestników wyprawy wypływaliśmy o świcie na jezioro we dwie lub trzy łódki. Jedna z nich holowała na silniku łódkę z **Jackiem**. Wędkował do południa, po czym na wiosłkach wracał do bazy. Nieraz kilka kilometrów. My wracaliśmy wiele godzin po nim. Trudno to opisać, ale wejście do bazy będąc wychłodzonym wiatrem i nie raz deszczem, gdy zderza się człęk z ciepłem, zapachem golonki, kurczaka w piwie lub duszonych grzybów lub żeberek...

Do tego szklanki z gorącą herbatą i trochę mniejsze, napełnione szklaneczki czekające aż usiądziemy. Pewnej jesieni trafił się dzień, w którym nałowiliśmy sporo szczupaków. Jak zwykle je wypuszczaliśmy, ale w pewnym momencie **Jacek** zarządził:

– Łowimy dalej, ale dwa średniaki bierzemy i zrobę „faszerowane”.

– A kto je będzie jadł? Kto skrobał i patroszył? Daj spokój. Który wędkarz jada ryby?

– Ja to zrobię.

Wróciliśmy do ośrodka, gdzie oczywiście okazało się, że brakuje mu wielu przypraw i natki pietruszki. Wsiadł (od strony pasażera) do swojego ukochanego Fiata 125p i... wrócił po kilku godzinach. Natki ponoć nie było w kilku miejscowościach i nabył ją w dopiero w Olsztynie. Bagatela, przejechał około 100 km od naszej bazy. My w tym czasie rozegraliśmy z „dziadkiem” kilka robrów w brydża. Po Jego przybyciu musieliśmy grać dalej, gdyż oświadczył, że kilka „roberków” jesteśmy mu winni. On też musi zagrać, ale dopiero po przyrządzeniu szczupaków.

Robry z Jackiem zaczęliśmy około północy, a grę (tabelka) zakończyliśmy około 9.00 rano i nasyciwszy się naprawdę smakowitymi faszerowanymi szczupakami na zimo wypłynęliśmy na jezioro. Bez niego. Stwierdził, że jemu nie opłaca się już wypływać, gdyż nie zdąży zrobić nam żarcia na wieczorny posiłek. Miał nosa. Tego dnia rybki nie chciały brać. Poza kilkoma okonkami i jednym niewymiarowym szczupaczkiem

nic konkretnego się nie wydarzyło. **Jacek** w tym czasie poszedł do puszczy, nazbierał sporo grzybów i ... i nie zapomnę ich smaku uduszonych z cebulką, czosnkiem, wiórkami wołowiny, jakimiś warzywami, podlanych winem lub piwem. Do tego buraczany barszczyk i coś bezbarwnego w kieliszkach. Oczywiście to wszystko łamane kotletami ze szczupaków złowionych poprzedniego dnia.

Podczas któregoś wędkarskiego wyjazdu wypłynęliśmy na jezioro o świcie.

Jacek, siedzący jak zwykle na holowanej przez nas łódce, w pewnym momencie krzyknął aby się zatrzymać. Wyłączyliśmy silniczek i pytamy:

- Jacku, co jest?
- Czuję, że tu są szczupale.
- Tutaj? Tu nikt nigdy nic nie złowił.
- Rzućmy po kilka razy...
- Nie ma sensu, za dwie-

ście metrów zaczynają się spinningowe miejscówki. Szkoda czasu.

– Chłopy, chociaż po trzy rzuty...

– Dobra, ale bez kotwiczenia.

Staliśmy w tym miejscu ponad godzinę. Jacek złowił kilka fajnych szczupaków, my z Bohdanem nie mieliśmy nawet jednego brania.

Innym razem, podczas pobytu nad tym jeziorem **Jacek** przy kolacji zapytał:

– Chłopy, nie będziecie mieć nic przeciwko temu, abym ściągnął tu syna?



– Głupie pytanie, oczywiście będzie mile widziany.

Paweł niebawem dojechał. Nowicjusz w wędkowaniu spinningowym.

Już pierwszego dnia dał nam szkołę. Złowił kilka szczupaków i okoni słuchając porad „starych repów”. My na zero. Pamiętam ten błysk radości w oczach **Jacka** dumnego z osiągnięć syna.

Jacek miał działkę nad Biebrzą w miejscowości Rutkowskie. Śliczna wiejska okolica, którą miałem okazję nieco poznać. Stara chałupina z prawdziwymi piecami, drewniane podłogi, okna na haczyki, część mebli starszych od nas, upojne zapachy ziół, kwiatów i suszonego się na pobliskich łąkach siana... Cudo! Zaprosił mnie w towarzystwie nieżyjącego już Bohdana Głowandzika (członka KPN), uczestnika wielu wspólnych wędkarskich wypraw. Pojechaliliśmy tam z radością.

W Łomży przesiedliśmy się do Jego nieśmiertelnego Fiata 125 i dojechaliliśmy na miejsce.

Ledwo podjechaliliśmy pod chałupę, a już pojawili się mieszkańcy wioski.

Uśmiechnięte i życzliwe twarze, oferty narąbania drewna lub skoszenia trawy. Przy okazji narzekania na różne dolegliwości. Tego strzyka, tamtej coś cieknie, innych rwie i nie mogą się schylać, ktoś ma parcha lub świądawkę, jakiś dzieciak sika od dwóch dni na czerwono, nawet świniak kuleje... **Jacek** zarządził, abyśmy z Bohdanem poszli na długi spacer, poznali okolicę i wrócili za dwie, trzy godziny. Nie chcąc przeszkadzać lekarzowi w badaniu pacjentów poleźliśmy nad Biebrzę poglądać rzekę i nasycić się aromatem tamtejszych łąk. Takie spacer z Bohdanem zawsze owocowały jakąś nauką. Był bowiem architektem z wykształcenia, malarzem z upodobania.

Widział świat zdecydowanie bardziej kolorowo i ostrzej niż ja. Nie raz, podczas wędkowania opisywał mi barwy przyrody, szczególnie jesienią, gdy patrzyliśmy z wody na okalające jezioro lasy. Zdradzał tajemnice łamania się światła, żółcieni i różnice w czerniach. Dzięki niemu i ja zacząłem to wszystko widzieć inaczej. Rozpoznawałem piętra barw, ich nasycenie w zależności od pory dnia, dotąd było do dla mnie tylko ładne i oczywiste. Potrafił po barwie wody w jeziorze ocenić czy za godzinę lub dwie nadejdzie burza, a może tylko jakiś deszczyk?

Biebrza, piękna rzeka, z mnóstwem roślinności i czystą wodą. Przy okazji zobaczyliśmy przewóz krówek transportowanych łodziami z wysp, na których pasły się przez całe lato. Po powrocie do chaty pacjentów już nie było. Były za to kury, jaja, masło, smalec, boczek, kaszanka, wędlinki, ciasta i oczywiście bimber. **Jacek** nie brał od chorych pieniędzy, więc rewanżowali się jak mogli. Dla wielu z nich przywiózł leki i maści, innym przepisywał recepty. Przy dzisiejszych przepisach i NFZ nie byłoby to możliwe. Zrozumieliśmy, dlaczego **Jacek** kategorycznie żądał, abyśmy na tę kilkudniową wyprawę nie robili żadnych zakupów. Wieczorami, po wędkowaniu, konsumując wyjątkowo smaczne dla mieszcuchów specjały, godzinami słuchaliśmy opowieści **Jacka** o tych ludziach, ich zwyczajach, historii ziemi łomżyńskiej, partyzantce i walkach z niemieckim i sowieckim okupantem. Szczególnie ciekawe były wątki dotyczące Żołnierzy Niezłomnych. Znał to z opowieści swojego taty. **Jacek** był cudownym gawędziarzem. Jego opowieści i wspomnienia często były przerywane salwami śmiechu słuchaczy, także wtedy, gdy mówił o poważnych sprawach. Jego wiedza o regionie to nie tylko źródła historyczne i encyklopedyczne. Duże jej zasoby przekazali mu, poza ojcem, mieszkańcy tej ziemi.

A ojciec?

Dr Witold Prusiński (1905-1971) był w regionie powszechnie znanym i szanowanym lekarzem. Urodził się w Łomży, tam ukończył gimnazjum, po czym studiował (1927-1934) na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Medycznego w Warszawie. Po ukończeniu studiów został skierowany do Szkoły Podchorążych w Zambrowie. Służbę pełnił jako lekarz w 33 PP Strzelców Kurpiowskich w Łomży. Podczas okupacji niemieckiej pracował pod kierownictwem prof. Zaorskiego na oddziale chirurgii dziecięcej w Warszawie, po czym w 1943 został kierownikiem oddziału chirurgii w Szczuczynie. Po roku powrócił do ukochanej Łomży, gdzie został asystentem na oddziale, którego ordynatorem był niemiecki lekarz wojskowy.

Dr Witold Prusiński w tym czasie aktywnie współpracował z łomżyńskim podziemiem. Wielokrotnie udzielał pomocy medycznej rannym

lub chorym partyzantom, umieszczając ich także w szpitalu. Władze niemieckie o tym wiedziały, jednak nie spotykał się z ostrymi represjami. Pewnie dlatego, że leczył i operował także wielu niemieckich żołnierzy, często ratując im życie.

Ta działalność doktora jest opisana dosyć obszernie w powieści pt. *Niewierna – Opowieść Łomżyńska* Józefa Stompora i innej literaturze. Można znaleźć w internecie sporo informacji o tym niezwykłym lekarzu. Mnie szczególnie ujęły wspomnienia Ojca Kapucyna Jana Bońkowskiego opublikowane na stronie www.historialomzy.pl/szpital-sw-duch dotyczące szpitala oraz zawarte w nich określenie dr Witolda Prusińskiego jako duszę szpitala i lekarza o gołęmbim sercu. Na początku lat 50-tych ubiegłego wieku komunistyczne władze nadały szpitalowi Świętego Ducha nazwę Hanny Wolf, osoby nieznanej łomżyńskiej społeczności rzekomo wywodzącej się z Armii Ludowej.

Wyrzucono wówczas z pracy siostry szarytki, zniszczono bądź usunięto katolickie symbole wiary.

W tych trudnych czasach dr Witold Prusiński działał społecznie, był radnym, wielokrotnie odznaczany, w tym Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku odsłonięto Jemu poświęconą tablicę pamiątkową na bloku operacyjnym Szpitala Wojewódzkiego w Łomży. Poświęcał pacjentom swój czas i medyczne umiejętności niemalże do końca swoich dni.

Jacek postanowił kontynuować rodzinne tradycje i w roku 1965 ukończył studia w Akademii Medycznej w Białymstoku. Początkowo pracował w szpitalu powiatowym w Giżycku, po czym powrócił w rodzinne strony zatrudniając się jako internista i kierownik przychodni w pobliskiej Łomży Piątnicy. Niebawem podjął pracę w Szpitalu Wojewódzkim w Łomży gdzie z czasem uzyskał specjalizację ginekologa-położnika II stopnia i z upływem lat osiągał w zawodzie liczne sukcesy jako operator i zastępca ordynatora oddziału. Był powszechnie lubiany przez współpracowników i pacjentki za wielką pracowitość, sumienność i dokładność. Jego uśmiech i pogoda ducha budowały u chorych zaufanie, co jest niezwykle pomocne w procesie terapii. Potrafił pocieszyć, miał

czas na rozmowy z pacjentkami, nie bał się trudnych wyzwań. Starsi mieszkańcy dostrzegali w nim wiele podobieństw do ojca. W pierwszych wolnych wyborach (1991) o przysłowiowy włos przegrał walkę o mandat poselski z politycznym wędrowniczkiem Michałem Kamińskim kandydującym wtedy z listy ZCHN, później znanym politykiem zdradzającym po kolei tych, którzy mu zaufali. Wówczas do tego okręgu wyborczego były włączone trzy województwa: łomżyńskie, ostrołęckie i ciechanowskie. Miał zatem trudne zadanie, ale gdyby Łomża była samodzielnym okręgiem wyborczym **Jacek** wygrałby z panem Kamińskim w cuglach, bowiem jako osoba bardzo znana w regionie, szanowana, autorytet medyczny, społecznik, związkowiec, od zawsze związany z Łomżą, człowiek zawsze służący pomocą innym, pozostający w społecznej pamięci ojciec i jego zasługi dla regionu to atrybuty, które musiałyby dać Mu mandat poselski.

Przez wiele lat **Jacek** wraz grupą zaufanych ludzi miał pieczę nad grobem Niezłomnego Żołnierza ppor. Stanisława Marchewki ps. „Ryba” poległego z bronią w rękę w 1957 roku. Ppor. „Ryba” został pochowany na cmentarzu w Piątnicy. Dłużej od niego przetrwał tylko „Laluś” na Lubelszczyźnie, który zginął z rąk UB dopiero w 1963 roku.

W czasach PRL organizowanie rocznic poświęconych Niezłomnym nie było takie proste i bezpieczne. Za złożenie wiązanki kwiatów i krótkie przemówienie nad grobem można było spodziewać się poważnych kłopotów. Dla **Jacka** nie stanowiło to jednak problemu i w każdą rocznicę śmierci „Ryby” na grobie pojawiały się kwiaty i palił znicz. Od 1990 roku nareszcie można to było robić oficjalnie. Msza w kościele w Piątnicy przyciągała mnóstwo wiernych chcących oddać cześć bohaterowi i poświęcić mu modlitwę, a po jej zakończeniu długi kondukt zebranych podążał do miejsca pochówku. Brałem i ja kilka razy udział w tych uroczystościach, w tym także jako poseł, kiedy to wraz z Bożeną Kosińską i Zenonem Barejko na zaproszenie **Jacka** reprezentowaliśmy KPN. Smutne, że poza działaczami Solidarności lokalni politycy wówczas tej rocznicy nie zauważali. Muszę jednak wspomnieć, że raz przybył na nią Jan Parys, jednak on przyjechał ze stolicy. Zostaliśmy wtedy



zaproszeni przez rodzinę „Ryby” na obiad z czego chętnie skorzystaliśmy.

Wylew krwi do mózgu skutecznie wyłączył **Jacka** z aktywnego życia. Przez kilka lat przechodził wiele prób rehabilitacji w renomowanych ośrodkach. Trudno było Mu się poruszać. Walczył. Chyba jednak najgorsze dla Niego było to, że nie mógł mówić. Wydawał z siebie dźwięki podobne do pohukiwania sowy. Ewa, Jego ukochana żona, rozumiała ten język. Gdy dzwoniłem była tłumaczem. Pamiętam część

ostatniej telefonicznej z Nim rozmowy z września 2008:

– Jak się czujesz?

– Uhuhuhu....(Ewa – w porządku)

– Będę niebawem wracał z Krychą z Mazur.

– uhuhuhuuuaouhu? (Ewa – wpadniecie?)

– Oczywiście, mamy zamiar po drodze was odwiedzić.

– UHUHUUHYHYYYYYYOUHAHA!!! (tłumaczenie Ewy było zbędne)

Odwiedziliśmy.

Zanim zasiedliśmy w cieniu pod pięknym orzechowym drzewem rosnącym w ich ogrodzie za domem, było mnóstwo UHAHANIA, później już tylko uhania, które Ewa tłumaczyła.

Uhalismo o Puszczy Piskiej, rybkach z jeziora Nidzkiego, grzybach i jak zwykle o polityce. Po dwóch, trzech godzinach spędzonych w ogrodzie pojechalismo dalej dziwnie milczący i smutni.

To było moje ostatnie spotkanie z Jackiem.

Jacek zmarł 9 grudnia 2008 roku.



KULTURA

ROZMOWY Z WIERSZAMI

Żywa i gniewna antologia

PIEŚŃ KONFEDERATÓW

Przyjaciółom z KPN

Stawam na placu na Boga rozkazy
Na Jego sroższe niżli śmierć wezwanie
I wiem, że choćbym padł po wiele razy
Śmierć mnie nie złamie.

Tyś Panie tarczą, Tyś nam i ostoją
W Twym ręku klęska w Twoim i zwycięstwo
Lecz daj nam Panie raczej umrzeć stojąc
Niżli żyć klęcząc.

Wzleciał nasz orzeł skrzydły skrwawionemi
I lecieć musi choć bolą złamane
Bo gdy upadnie – czeka go na ziemi
W prochu pełzanie.

Już pisząc czułem się tak, jak bohater dramatu Słowackiego – usłyszałem stukanie w okno i wiem, że muszę iść. Nie czułem się wybrany, ra-

czej zmobilizowany. Tak samo czuli się moi przyjaciele, gdy śpiewaliśmy tę pieśń przy ognisku za domem Adama Słomki, w górach. Adam był szefem młodzieżówki KPN. Czas był ciężki, po ulicach chodziło wojsko, przy ognisku czuliśmy się wolni, lecz każdy wiedział, że trzeba będzie wstać i wrócić do roboty. Gdy wstaje się od ogniska noc poza kręgiem światła wydaje się bardziej czarna.

Dawne daty i sentymenty

Wiersz nosi dedykację *Przyjaciółom z KPN*, na którymś z podziemnych zbiorów po dedykacji następowała data 1979. To była data powstania Konfederacji Polski Niepodległej, data symbolicznego ofiarowania wiersza przyjaciółom z nowej Konfederacji (my uważaliśmy się za „starą”), ale nie była to data jego napisania. Wcześniej była Konfederacja Nowego Romantyzmu, to dla niej powstał najpierw ten wiersz. Niektórzy spośród nas żartowali, że potem mieli łatwiej – z Konfederacji – do Konfederacji...

Po latach trudno ustalić daty. Konfederacja Nowego Romantyzmu powstawała dwukrotnie: za pierwszym razem w roku 1970, weszły do niej łódzka grupa „Centrum” (Bierezin, Biskupski, przejściowo Sułkowski) i warszawski Ruch Nowego Romantyzmu, który tworzyły grupy „Klub Artystów Anarchistów” i „Stajnia”. Ogłosiliśmy ją w maju w Warszawie i w czerwcu w Łodzi. Ślady pierwszych wspólnych spotkań znalazłem po latach... w aktach IPN, w donosach i zeznaniach. Nasz ruch splątał się ze sprawą „Ruchu”, niektórzy poeci zaangażowani byli w obydwie inicjatywy.

Po raz drugi zawiązaliśmy Konfederację w Warszawie 19 maja 1973 w Hybrydach. Datę zapamiętałem dokładnie – I Kongres odbył się bowiem pod przykrywką moich urodzin, na które jako przewodniczący „Forum Poetów Hybrydy” wynająłem salę, bufet i bufetowego. Przyszli poeci z KAA i ze Stajni, przyjechali z „Centrum”, ale także z płockiego Gościńca i bytomskiej grupy „Słowień”. I tym razem esbecja dała się zaskoczyć. II Kongres odbył się 2 – 3 grudnia jako impreza „młodolite-racka” (debiut poetycki, turniej jednego wiersza etc.), rolę donosicieli odegrali dziennikarze prasy młodzieżowej, zwłaszcza jakiś Chrzanowski

z krakowskiego „Studenta”, który prześmiewczo relacjonował nasz program, zwłaszcza wydziwiał na nawiązywanie do Konfederacji Barskiej i „Sztuki i Narodu”. Esbecja dostała na widelcu nazwiska organizatorów i uczestników Kongresu, została poinformowana o metodach naszego działania. W „Studencie” zamieszczono dodatkowo karykatury na których konfederatki na naszych głowach zamieniają się w akowskie (czytaj faszystowskie) berety. Dokładał nam też młody ale strasznie partyjny Barańczak a gwóźdź do trumny próbował wbić Zagajewski – wówczas prorok „marksizmu 7 pokolenia” (dodawaliśmy, że od 7 boleści), prowadzący dla czytelników „Studenta” marksistowsko – leninowskie korepetycje. Był wtedy wykładowcą „marksistwa – lenistwa” na krakowskiej Akademii Górniczo – Hutniczej i z zawodu niejako trzymał rękę na pulsie. Na początku 1974 roku pisał o nas w artykule „Urodzeni po wojnie”

Urbankowski i Tomaszkievicz, mimo że „urodzeni po wojnie” stylizują się na pokolenie okupacyjne. Urbankowski dowodzi, że ponieważ po tragicznej śmierci redaktorów „Sztuki i Narodu” wystąpiła w literaturze polskiej nie zasypana do dziś luka, dziedzictwo po Trzebińskim przypada teraz bezpośrednio Konfederacji Nowego Romantyzmu. Dziedzictwo to zostało bardzo wyraźnie osadzone w nurcie narodowej tężyzny. /.../ Natomiast gehennę grupy „Stajnia” – jedzenie zimnej ryby na przedmieściach, słuchanie radia, wyszukiwanie współników ideowych poprzez ogłoszenia nalepiane na słupach telefonicznych, pisanie manifestów „czas najwyższy skończyć z kosmopolitycznym bełkotem”) prowokacje na spotkaniach autor-skich Białoszewskiego i Sandauera – opisuje Jerzy Tomaszkievicz. Czytelnik z uczuciem ulgi dowiaduje się, że po kilkuletnim przebywaniu w konspiracji „Stajnia” weszła w skład Konfederacji Nowego Romantyzmu.

Dla nieznających tamtych czasów wyjaśnienie, że owe „prowokacje” to były tzw. „desanty poetyckie” – lądując na cudzych imprezach wbi-jałismy publiczności trochę wiedzy i prawdy. Średniej klasy dziennikarz i poeta Białoszewski został po *Pamiętniku z powstania warszawskiego* pupiłkiem władz i heroldem antyheroizmu, lansował go wybitny zresztą marksista Artur Sandauer. Organizowane „odgórnie” spotkania były szczególnie wrednymi elementami antyniepodległościowej propagandy.

Radio, o którego słuchaniu mówiło się aluzjami to rzecz jasna „Wolna Europa”.

Podobne w treści, lecz już w formie tajnych donosów do SB informacje o naszym ruchu pisywali nasi koledzy- poeci-tajni współpracownicy: Kurylak, Żuliński, Zaniewski i inni. Te oficjalne i nieoficjalne donosy wpłynęły na to, że usunięto nas z „Hybryd”, a w klubie ogłoszono „remont”. Potem usunięto nas z „Sigmy”. Ostatnią przystanią konfederatów była Akademia Wychowania Fizycznego – klub „Relaks”, mój pokój na wieży, mieszkanko Pudełkiewiczów w baraczkach. Potem straciliśmy i te lokale – razem z pracą. Lecz zaczynał się już czas ROBCiO, nowej Konfederacji i prawdziwej konspiracji pod kierunkiem fachowców z AK.

Wracając zaś do *Pieśni konfederatów...* Jak łatwo zgadnąć pierwsze jej publiczne wykonanie miało miejsce 19 maja 1973, o jego poziomie różnie potem opowiadano, w każdym razie się staraliśmy. Podczas II Kongresu było lepiej, bo zaśpiewała pieśń jedna z dziewcząt, z towarzyszeniem gitary. Na wszelki wypadek przedstawiała się tylko pseudonimem „Maria”. Na jeszcze jeden ślad wykonywania tej pieśni trafiłem po latach w książce wspomnień zatytułowanych „Stajnia” (1997), w której już pewne rzeczy pisano otwartym tekstem. Pod datą „18 albo 25 października” (1973) zostało odnotowane, że odbyło się jedno ze spotkań na którym były 44 osoby, oprócz poetów z Hybryd i ze „Stajni” byli też uczestnicy komuny hippisowskiej z ulicy Ślupeckiej.

Polityczne, wiersze prezentują Tomaszkievicz i Urbankowski a ballady przy dźwiękach gitary śpiewa Teresa Worowska. Choć wszyscy podchwytyują Pieśń Konfederatów Barskich i rozmowy przy alkoholu trwają długo w noc, nie ma nowych akcesów do Konfederacji Nowego Romantyzmu. Zaleski po wódce do Tomaszkievicza: – Łączy nas tylko jedno: nienawiść do bolszewji.

Dodajmy, że akcesów nie było ale i być nie mogło. Prawie wszyscy obecni już należeli do Konfederacji, która liczyła wtedy ponad 30 osób w Warszawie, hippisi raczej patrzyli co by tu wypić i wydymać, polityki się bali jak czort wody święcone. Fakt iż „wszyscy podchwycili” *Pieśń konfederatów* miał wyjaśnienie proste: zakładając, że nikt przecież nie zna słów przynieśliśmy maszynopisy z jej tekstem. Okazało się, że jednak

parę osób znało – oczywiście w wersji Słowackiego. Obydwie wersje nałożyły się podczas śpiewu, co dodało naszemu spotkaniu symbolicznego wymiaru. Byliśmy współczesnymi konfederatami – ale także i tymi z czasów Baru i z czasów Słowackiego.

Czas dopisał do tamtych spotkań nowe pointy. Barańczak i Zagajewski kilka lat później sami przeszli do opozycji, znaleźli się w kręgu KORu, walczyli dzielnie o odnowę socjalizmu i finlandyzację. W stanie wojennym Ich wiersze znalazły się w przygotowanych przez nas *Głosach w ciemności*. Razem z moją *Pieśnią konfederatów*, *Wigilią 1981*, razem z wierszami Tomaszewicza, Berowskiej, Mocarskiego...

Antologia żywa i złośliwa

Antologia żyła i dojrzewała wraz z nami. W listopadzie i grudniu 1981 aktorzy kierowanej przeze mnie plockiej „Sceny ’81” chodzili podczas strajków po zakładach i recytowali strajkującym wiersze. Repertuar wybieraliśmy wspólnie z Kazikiem Tałajem i Bożeną Mrowińską. Te wiersze stały się załącznikiem pierwszego „wydania” *Głosów w ciemności*, które było po prostu plikiem maszynopisów spiętych zwykłymi spinaczami. Puszczaliśmy je w obieg w Płocku i Warszawie już w końcu grudnia 1981. Stąd sporo w nim dobrej romantycznej poezji, ale też wierszy Brylla. Ta „nadreprezentacja” wzięła się stąd, że na dużej scenie nasz teatr przygotowywał jego oratorium „Kolęda-nocka”, kilka fragmentów brzmiało potem tak, jakby poeta przewidywał stan wojenny. Nie mogły się nie znaleźć w antologii.

Pierwsza broszurkowa antologia ukazała się dzięki Edkowi Kirplukowi, redaktorowi *Słowa Podziemnego*. Był to właściwie numer tego pi-semka, tyle że na karcie tytułowej pojawił się tytuł *Głosy w ciemności*, we-wnątrz – wiersze. Tym razem doszło wiele ostrych tekstów satyrycznych, najliczniejsze były przeróbki *Katechizmu* Bełzy:

*Kto ty jesteś? Świnia mała.
Jaki znak twój? Kask i pała.
Komu służysz? Generatom.*

*W jaki sposób? Leję pałą.
Kto twym wrogiem? Cała Polska.
Jak ją zniszczyć? Butem wojska.
WRONę kochasz? Kocham szczerze.
A w co wierzysz? W Moskwę wierzę.*

Wiersz ten kursował w licznych przeróbkach i udoskonaleniach, w pierwszej linijce pojawiał się i „świntuch mały” i „Urban mały” – co zresztą na to samo wychodziło. Szlagierem tamtych dni był jednak poemat „Do generała”. Oczywiście anonimowy – mam jednak przypuszczenia na temat autorki utworu. Rzecz w tym, że jego poziom artystyczny nie był wysoki. Wtedy takie utwory czytało się inaczej. Wiersz poświęcony Jaruzelskiemu był najwierniejszym sprawozdaniem z nastrojów polskiej ulicy, bez ostrych słów pogardy nie byłby prawdziwy. Późniejsze wyważone sądy widzące w Jaruzelskim Wallenroda i „mniejsze zło” to efekt późniejszej, propagandy Urbana i „resortowych dzieci”. Ocena stanu wojennego była brutalna, ale moralnie jednoznaczna.

Do generała

Za słowa kłamstwem splugawione,
Za mundur bratnią krwią splamiony,
Za ręce siłą rozłączone,
Za naród głodem udręczony,
Za oczy dziecka przerażone
Obnoś swój triumf w partyjnej chwale;
Naród dziękuje ci, Generale.

Za pogrom braci bez litości,
Za honor wojska zbezczeszczony,
Za mękę strasznej bezsilności,
Za ból rozłąki z mężem żony,
Za łzy i rozpacz samotności

Ciesz się, żeś działał tak wspaniale;
Naród dziękuje ci, Generale.

Za połamane pałką kości,
Za koszmar walki brata z bratem,
Za nienawiści siew i złości,
Za to że żołnierz stał się katem,
Za znów zdławiony świat wolności
Pomnik swych zasług wzniosłeś trwale;
Naród dziękuje ci, Generale.

Za założone znów kajdany,
Za zbrodnie łągów w polskiej ziemi,
Za fałsz przemówień wyświechtany,
Za podłość zdrajców między swemi,
Za język prawdy zakazany
Wypnij na Kremlu pierś po medale;
Naród dziękuje ci, Generale.

Naród śle swe podziękowania,
Żeby ci legły, jak kamienie.
Przyjmij je spieszenie, bez wzdragania,
Może obudzą twe sumienie?

Bo, generale, nie znasz godziny,
Gdy przed Najwyższym Dowódcą świata
Złożysz ostatni raport za swe czyny
Z piętnem Kaina – krwią swego brata.

Jaruzelski niedawno umarł. Jeśli ktoś ma problemy jakie słowa wyryć na jego nagrobku – powinien dobrać z tego wiersza. Oczywiście nagrobek wraz z ukrytą pod nim zawartością powinno się z Panteonu jakim są Powązki Wojskowe, przenieść w mniej godne miejsce.

Równie, jeśli nie bardziej znienawidzonym „bohaterem” poezji podziemnej był Jerzy Urban, zwany Goebbelsem stanu wojennego. Nie poświęcano mu zbyt długich utworów, był za to bohaterem licznych nagrobków, w każdym wydaniu antologii dorzucaliśmy wciąż nowe i jeszcze złośliwsze. Plugawość Urbana jako propagandzisty miała jakąś dziwną tendencję do plugawienia wszystkiego, nawet poezji. Nawet wśród swoich „nagrobków” Urbana z trudem znajduję jeden nadający się do zacytowania :

Nagrobek Urbana

Nie leży w tej mogile, nie poszedł też do nieba

Wciąż Moskwie wlaził w tyłek – i tam go szukać trzeba.

W drugiej linijce było ostrzej, to wersja kompromisowa. Za cenę rezygnacji z ekspresji zyskałem wewnętrzny rym.

Inne nagrobki były znacznie prostsze. Większość autorów proponowała zorganizowanie zabezpieczenia sanitarnego cmentarzy poprzez alternatywne wykorzystywanie miejsc długoterminowego spoczynku komunistycznych dygnitarzy.

Obiektami ataku byli też literaci. Najbardziej dostało się Żukrowskiemu – może dlatego, że wcześniej był ceniony za wiersze z 1939 roku, za *Kamienne tablice* i piękną opowieść o *Lotnej*. Pod drzwi znoszono mu jego książki. Sam napisałem a nawet posłałem mu dwa wiersze – rymowany i pozbawiony rymów. Drugi z nich znalazł potem miejsce i uznanie w kilku drukach podziemnych – i oczywiście włączyłem go do *Głosów w ciemności*.

STARSZEMU POECIE

Zanim wyprzesz się dawnych przyjaciół

Mówiąc: to przejściowo

dziś tak trzeba

I jak Judasz – pocąc się ze strachu

Wciśniesz dzieciom ich kawałek chleba

Zanim oczy łzawo wznosząc w górę
 Powiesz: taka
 była widać
 wola Pana
 I uściśniesz rękę na której
 Cuchnie jeszcze krew pomordowanych

Zanim powiesz, żeś się nie u p o d l i ł
 Lecz p o ś w i ę c i ł –
 przecież syna masz
 Pomyśl: za to, co dla niego robisz
 Syn twój kiedyś napluje ci w twarz

1982

Mała, rocznicowa antologia

Kolejne wydanie *Głosów* było rozszerzeniem poprzedniego. Niezawodny Edek przeznaczył na nie część papieru ze Słowa Podziemnego, resztę dobijaliśmy w maszynopisach i rozwoziliśmy po Polsce. Zmieniliśmy wówczas strategię: nie woziliśmy setek książek a tylko pojedyncze egzemplarze a odbiorcy rozmnażali je sobie niczym Chrystus chleby – wedle potrzeb. Tak więc to trzecie wydanie było zarazem czwartym, piątym i ile kto zrobił, miało wiele wariantów, bo często drukarze dodawali swoje wiersze. Ja trochę rozbudowałem wstęp, w którym próbowałem dokonać wstępnej analizy socjologicznej i trochę pogmatwać tropy – dystansując się od własnych wierszy. Zachował się egzemplarz na którym Edek skreślił mi słowo „piórem” uważając, że zbytnia dbałość o formę może wskazywać na zawodowca. Pisując do kilku pisemek używaliśmy wtedy kilku różnych pseudonimów jednocześnie, często nawzajem „odczłowieczaliśmy” sobie teksty skreślając zwroty i chwytymogące zdradzić autora. Ale zdradzić mogło nas zarówno puszczenie jak i pominięcie jakiegoś tekstu, czasami asekurowaliśmy się naiwnie pisząc dużymi literami:

WSZYSTKIE TEKSTY WYDRUKOWANE SĄ BEZ ZGODY
I WIEDZY AUTORÓW

Rzecz jasna nie sposób tutaj przenieść tu wszystkich tekstów z antologii. Wiem skądinał, że w drukowanych wspomnieniach i wyborach pomijana jest twórczość nurtu niepodległościowego. Cóż zwycięzcy piszą historię – w III RP zwyciężyła koalicja magdalenkowa. To zaczęło się znacznie wcześniej. Pamiętam, jak Tomaszkiwicz zbierał podpisy przeciwko zmianom w konstytucji, a potem odniósł do jednego z inicjatorów akcji. Po jakimś czasie z Wolnej Europy usłyszeliśmy nasz protest, wysłuchaliśmy listy bohaterskich sygnatariuszy. Naszych nazwisk nie było. Jurek usłyszał wyjaśnienie: postanowiliśmy że to będzie lista 59, wyście się już nie zmieścili... Potem znikwały nasze teksty i nazwiska ze wspomnień zarówno marcowych jak i „solidarnościowych” – w ich miejsce pojawiały się pisane po latach kłamstwa ludzi, którzy doczepili się do studenckich protestów. Odbudowa i rozpad opozycji mają tę samą datę: rok 1976.

Dlatego w tym miejscu przypomnę nasze – te najczęściej pomijane teksty. Nazwiska innych autorów podane są w moim wstępie. Sprawiedliwość nakazuje jednak dodać nazwiska dwóch co najmniej poetów. Ich wiersze krążyły w środowiskach związanym z postpartyjną opozycją, stąd ich mniejszy społecznie zasięg – nie obniża to jednak ich wartości. Pierwszy z nich, Leszek Szaruga sformułował w prostych słowach obowiązki poetów – jego wiersz *Tylko tak* jest jakby dopowiedzeniem użytego jako motto wstępu utworu Miłosza:

masz zapisywać fakty
masz ocalać pamięć
wiersz ma być dokumentem
porzuć piękne słowa /.../

zastrzeleni górnicy
tobie swój głos oddali
tylko tak mogą mówić
tylko tak mogą krzyczeć

Drugi z twórców, którzy zaznaczyli swą obecność w podziemnej poezji to Tomasz Jastrun. Jego wiersze rozpowszechniane wówczas oczywiście anonimowo pozostają ważnym znakiem czasu. W tym miejscu chciałbym przywołać jego wiersz spoza antologii – mówiący właśnie o czasie w jakim przyszło nam wtedy pisać.

Pokolenia

Są różne tragedie
I pokolenia różnie tragiczne

Najbardziej wzruszają ci
Którzy padli w ogniu i dymie
Unosząc patetycznie dłonie
Wypełnioną dojrzałym granatem
Na ich wierszach zawsze wiele
Świeżych kwiatów i płonących świeczek
Płaczą nad nimi dziewczęta
A chłopcy uczą się zaciskać pięści

Lecz są pokolenia inaczej
A tak bardzo tragiczne
Że nawet nie słyszą
Jak oddychają zatrutym powietrzem

Okrutny symbol dla Polaków tamtego czasu wynalazła Marta Berowska. Dziś czasem mówimy o „lemingach”, w tamtych dniach mówiono o szczurach – nowych władcach polskiego życia:

Szczur

Coś w nas umilkło.
Przysiadł szczur na stole.
Wieczór jak zdarty żagiel

kradnie nasze światło.
Nad stołem pajęczyna.
Cień okrągłej głowy
z sufitu sączy jadu śliskie krople.

Powtarza się
powtarza godzina sprzed lat
dziur szarych znaczone bliznami.
Głos zachrypnięty
starych strun krakanie.
Stal noża trąca o noża stal.

I tylko w ciszy różowieje blask
małych ząbków szczurzego uśmiechu.
On jeden wie.
I śmieje się z nas.
I międli w pysku cała mądrość naszą
jak piach.

Bryll, Tomasziewicz i inni – mała antologia

Kolejny paradoks: Tomasziewicz budował swą poezję w opozycji do Brylla, któremu zarzucał koniunkturalizm, ucieczkę w ogólniki i pozostałe grzechy główne. W podziemnej antologii ich wiersze znalazły się obok siebie.

W zmieniających się zestawach Brylla, niezmiernie powtarzał się wiersz przepisany z legalnie wydanego tomiku, przejmująco recytowany przez Kazimierza Tałaja w Płocku a potem przekazany do naszej antologii:

Narody małe — kiedy krzyżowane
Są jako Chrystus czyste. Gdy się urwą z krzyża
Muszą ozdrowieć szybko, zamknąć każdą ranę
Więc jako pies wytrwale krew językiem liża
I pozostają czasem w tym półpsim ukłonie

Już z dobrowoli czujnie uśmiechnięci
Do tych co mogą kopnąć...
Dawniej jako święci
Dzisiaj już tylko... Boże, czuwaj nad mym krajem
Bo czasem nie wiem czyśmy wielkim bólem zgięci
Czyli też z przypodchlibstwa. Jak wierni lokaje.

Tomaszkiewicz określał Nowy Romantyzm jako „aktualizm”, jako jeden z pierwszych sformułował nakaz „mówienia wprost”. Był mu wierny zarówno w czasach studenckiego przedwiośnia, jak w czasach „Solidarności”. W antologii znalazły się jego wiersze z obu tych okresów – jedne i drugie aktualne. Były więc wcześniejsze „Święte polskie”, „Ręce ojca” czy „Wilk” jak i nowe:

Pożar

pożar który objął miasto
roztrwoniono na kilkadziesiąt płomyków
na odległych cmentarzach

o świecie wykopałem ciała
pochowane petitem
na miejskich szpaltach
w obecności najbliższych rodzin
musiałem ich zaskoczyć –

pierwszy płynąc na skrzydle gdańskiej szafy
przełykał jeszcze śniadanie

drugi otwierając rybie usta
usiłował wypłuć policyjny znaczek -
dźwigał na plecach
wściekły oddech tłumy

trzeci chwycił rękoma powietrze
jak krążący nad miastem helikopter

byli znów wszyscy
jak na szkolnej liście:
Drywa Brunon
Formela Apolinary
Gliniecki Zygmunt
Godlewski Zbigniew
Kałużny Jan...
wepchnięci w ziąb porannych gazet
świecili białym wapnem oczu

niosłem do huczącego miasta
jak skrzydła
swoje nie osmalone dłonie
w wypalonych oknach klęczały świece

Napis

mężczyzna broczy krwią na murze
litery jak zygzaki burzy
w zimowym mieście w łunie świtu
napina ścianę struna krzyku

Słońce – jak szpicła zimne oczy
Ojczyzna obcą jest ulicą
Lodem podkuto ranną ciszę
Iskry strzelają z koksowników
Dzwoni pod czaszką pierwszy tramwaj
A farba lepi się do dłoni
Rozsądek podpowiada – przestań!
Nagle – mróz

OŚĆ uwięzła w krtani
białoczerwoną chorągiewką
i dudni głos: pozwólcie z nami
pozwólcie z nami
pozwólcie z nami

Na progu

Panno Bramy Stoczniowej
w koronie flag i kwiatów
pobłogosław trwającym
na progu obcych światów

zanim tanki zagniotą
chłód zwątpieniem ogarnie
w nocne miasto jak żagiel
unieś sen solidarnych

łzo ścierana ukradkiem
z twarzy ślepych jak pięści
nie daj zwiędnąć nadziei
ocal nowo poczętych

rozchyl dłonie zakrzepłe
w nienawiści jak granat
Matko Boska Strajkowa
Królowo Pojednania

Po formę poezji religijnej sięgnął także Tadeusz Mocarcki i Marta Berowska. Ich wiersze uświadamiają, że tamten czas był jednocześnie święty i podły, ludzie podzielili się podobnie: nigdy w historii nie mieliśmy tylu świętych i nie prześladowało ich tylu podłych:

Tadeusz Mociński: Kolęda stoczniowa

Aż kiedyś słońce weszło z drugiej strony
I przyszedł na ten padół łez zbawienny żar.

Lulajże lulaj, zmartwychwstały z mar
Mały syneczku w stoczni narodzony.

Z dalekich lądów królowie trzej spieszą,
Ten niesie topór a ten niesie nóż.

Lulajże, lulaj , czuwa Anioł Stróż
Przeistoczony w milionowe rzesze.

Na sianku z trocin i opiółków stali
Lud Cię położył, bo nie było gdzie.

Lulajże, lulaj, nie zapadaj w sen,
Dopóki gwiazda nadziei się pali.

Marta Berowska: Kolęda 1981

Gdy się dopali między nami
ostatni pomost świecy dymnej
żelaznej kraty pręty zimne
trzasną jak strzał
nim klucz w nich zgrzytnie.

I cicho jak najciszej dźwięk
kolędy błysnie białej
Z kolan podniesie się nasz lęk
I w oczach gwiazdy zatlą się nieśmiało

Do antologii włączyłem też kilka swoich wierszy, między innymi Śmierć Piłsudskiego.

Wiersz był wcześniej nagradzany na konkursie przez jurorów i zdejmowany przez cenzurę, znalazł się w naszych „samizdatach”. Pomijanie nazwiska byłoby więc podejrzaną naiwnością.

Śmierć Piłsudskiego

Mówili: byłaś pawiem narodów, papugą...
 Gorzej – ty byłaś dziwką! Piękną i szaloną,
 dziwką, która nie idzie przez świat, ale tańczy,
 nie myśli, lecz się śmieje...
 Tym, co Cię kochali
 plułaś w twarz – też ze śmiechem. Lecz tym, co Cię bili
 umiałaś lizać łapy. Słać listy miłosne
 do Moskwy, do Berlina, skamlałaś u drzwi
 żeby wpuścić raczyli... A gdy Ci kazano
 swój własny pomiot jak suka rzucałaś
 gdzieś wśród łagrów Syberii...
 Tak, umiałaś walczyć
 jak dziwka z pazurami skakałaś do oczu
 z pazurami na czołgi... Zdychałaś w konwulsjach
 na każdym progu domu. A potem ze śmiechem
 szłaś do łóżka zwycięzcy... Kto Ciebie zrozumiał,
 kto potrafił tak kochać, by chlasnąć Cię w twarz –
 o Polsko! Polsko!
 noc stoi u granic
 noc nadchodzi milczącym, krwawym korowodem –

Wiem, że nie będziesz wierna. Ale bardziej boli
 lęk: komu starczy siły, by być wiernym Tobie?

Zakończenie, czyli wstęp

Antologia poprzedzona była wstępem, który teraz zamieszczam na końcu. To także świadectwo czasu, jako takie nie dopuszcza uzupełnień, nie potrzebuje komentarzy – samo przecież było komentarzem.

POEZJA I CIEMNOŚĆ

Nie bądź bezpieczny. Poeta pamięta.
Możesz go zabić – narodzi się nowy.
Spisane będą czyny i rozmowy.
/Czesław Miłosz/

Zbiór, który oddajemy do rąk Czytelników, jest nie tylko tomikiem wierszy. Jest to także i może przede wszystkim, dokument społeczny odbijający stan polskiej świadomości z lata 1982 roku, a przeznaczony jest bardziej dla moralnej pamięci narodu niż dla historii literatury. Gorycz i rozpacz, nadzieja i potępienie, wartości, które ocalają wiarę w Polskę i wiarę w człowieka, nazwiska, które zostają zapisane ku wiecznej hańbie – wszystko to jest sto- kroć ważniejsze niż estetyczny poziom zamieszczonych tu wierszy.

Zbiór nie jest kolejną, środowiskową antologią, jaką było warszawskie „Wyzwanie” czy powstała w kręgu KPN „Pieśń Niepodległa”. Jako wydawcy przyjęliśmy inną, ważniejszą socjologicznie zasadę, by obiektem zainteresowania nie czynić „nadawców”, literatów, ale by zbadać, co naprawdę aprobeuje „odbiorca”, jakie wiersze przepisuje dla siebie i znajomych.

Materiałem, na którym oparliśmy naszą antologię nie były inne antologie, ale krążące wśród ludzi rękopisy i maszynopisy. Teksty pochodzą w większości spoza środowiska warszawskiego zbierane przypadkowo w różnych miastach odpowiadają temu, co socjologia nazywa „próbką losową”. Kulturalne aspiracje Warszawy czy Krakowa odzwierciedlają imprezy organizowane po kościo-

łach, podczas których wybitni aktorzy recytują wybitne utwory od Słowackiego do Norwida i Miłosza. O ile jednak o imprezach można powiedzieć, że wiążą się ze stanem okupacji, to na pewno nie można tego powiedzieć o wierszach. Dlatego ani „Pieśń Konfederatów” śpiewana w wersji Słowackiego, ani „Boże coś Polskę” Felińskiego, ani żaden z przeżywających odrodzenie wierszy Norwida nie znajdują się w tej antologii. Obecność ich w naszej kulturze symbolizuje cytaty z utworu Miłosza – bez wątpienia najpopularniejszego wiersza polskiego od dwóch lat.

Aby zbiorek był możliwie pełny, pracowała nad nim grupa ludzi, która przez długi czas zbierała maszynopisy. Ta „praca w czasie” pozwoliła zaobserwować kilka prawidłowości. Otóż zaraz po 13 grudnia, kiedy jeszcze milczeli literaci, symboliczny kaganek poezji podjęła ulica. Anonimowi twórcy swoim wisielczym humorem próbowali podtrzymać współrodaków na duchu. Pojawiły się od razu słynne kuplety „Siekiera motyka”, pojawiło się kilka naraz wersji „Ballad dziadowskich”, wiele fraszek i – jak zawsze u nas – mnóstwo kawałów. Z wierszy cięższych nie co gatunkowo pojawił się ostry i gorzki wiersz „Do generała” i kilka wierszy pisanych przeważnie pod Broniewskiego. W okresie świąt zaczęły dopływać wiersze i pieśni z obozu dla internowanych. Wśród nich oprócz twórczości satyrycznej, przeważać będą kolędy, modlitwy i litanie. O ile szok psychiczny i powszechne przygnębienie społeczeństwa zaowocowały poezją szukającą pociechy w Bogu, o tyle wiersze satyryczne uderzały w najbardziej zniechęconych reprezentantów i sługusów władzy. Rzecz znamienita: nigdy reżim tak ponury nie miał na swe usługi aż takiej sfory błaznów, tyłu Urbanów, Przymanowskich, Siwaków, Gaworskich, Grońskich... Toteż „bohaterami” podziemnej satyry stali się, prócz Jaruzelskiego, Kiszcza i Rakowskiego, głównie ci najemni błazenkowie, a prócz nich literaci: Żukrowski, Dobraczyński, Koźniewski. Ostrość sądów wypowiedzianych o tych literatach jest także socjologicznym znakiem. Potępienie jest wprost proporcjonalne do zawiedzionej na-

dziei. Od tych ludzi, od autorów „Kamiennych tablic” i „Listów Nikodema” społeczeństwo oczekiwało innej, uczciwej i odważnej postawy. Był to relikwiarz romantycznej wiary w sprawowany przez literaturę „rząd dusz”.

Ogromna ilość satyr na „literatów” jest świadectwem kryzysu tej wiary. Dlatego uznaliśmy za wskazane zamieścić w naszej antologii kilka spośród tych satyr i fraszek.

Wyrazem tęsknot ulicy, by wreszcie zareagowali prawdziwi literaci, było puszczanie w obieg wiersza „Jeszcze tym razem...” przypisywanego Miłoszowi. Utwór ten nie ma niczego wspólnego z laureatem Nobla, powstał jednak dlatego, że laureat Nobla jeszcze milczał. Poziom jest w tym przypadku rzeczą drugorzędną. Autentycznym dziełem literackim jest natomiast szopka „Wronie gniazdo” kontynuujące najlepsze tradycje „Cichych i gęgaczy”. Nie będziemy jej przedrukowywać, ale odnotowujemy jej obecność i jej ważną rolę społeczną. Dopiero po kilku tygodniach zaczęli pisać literaci zawodowi. Może byli oszołomieni, może pisali już wcześniej, tylko wiersze ich nie wychodziły poza elitarny krąg znajomych. W końcu jednak i ich poezja dotarła do społeczeństwa. I tu uderza rzecz zaskakująca: prawie całkowita nieobecność poetów młodych i najmłodszych, zwłaszcza spod znaku różnych „romantyzmów” i „nowych prywatności”. Najlepszymi i najpotrzebniejszymi poetami okazali się Bryll i Kamińska. Proste, przejmujące wiersze Anny Kamińskiej nie dorównują zapewne jej najlepszym utworom, są jednak na tyle dobre, że wchodzi do repertuaru wszystkich tajnych wieczorów poezji i tym samym wpływają dodatnio na poziom literatury podziemnej. Ernest Bryll, atakowany często jako twórca „zbyt łatwy”, jako „rzemieślnik”, „Chałturzysta” ale nie „Poeta” – pokazał jak można wykorzystać łatwość pisanego i rzetelne rzemiosło, aby służyły społeczeństwu. Kiedy milczą, bądź – co na jedno wychodzi – nie są czytani poeci-parnasiści, wiersze Brylla krążą z rąk do rąk. Z przekonaniem i satysfakcją można także powiedzieć, że drukowane w naszym zbior-

ku wiersze Brylla są najlepszymi, jakie ten poeta kiedykolwiek napisał.

Kończącą uwagę trzeba poświęcić formie wierszy. Jest regułą, że twórcy mówiący o teraźniejszości przebijają się w kostiumy historyczne. ta reguła znajduje potwierdzenie również i dzisiaj. Pierwsze utwory, kuplety i piosenki uliczne występują w tej samej formie, w jaka ubrane były w czasach okupacji hitlerowskiej i wcześniej – w czasach okupacji carskiej. Forma modlitw, litanii, a nawet prorocत्व religijnych także jest typowym kostiumem, chociaż jego znaczenie jest już inne, uwznioślające. Te wiersze przemawiają do Boga albo w imieniu Boga. Wśród wierszy bardziej osadzonych w historii literatury renesans przeżyła forma rewolucyjnej poezji Broniewskiego, wywodzącej się zresztą z tradycji pieśni powstańczych 1863 roku. Ta forma była zawsze bliższa Polakom niż inne formy wierszy rewolucyjnych, mimo że np. Utwory Majakowskiego czy Jasińskiego proponują wzorce ostrzejsze. /Kilka wierszy spod znaku Broniewskiego oczywiście zamieszczamy w antologii/. Metamorfozę przeżyła poezja tak zwanej „Nowej Fali”, zwana często poezją lingwistyczną. Najlepsi spośród Reprezentantów tego nurtu: Barańczak, Krynicki, Zagajewski uprościli formę swych wierszy a ż do granic poezji, do granic aforyzmu /Krynicki/ i publicystyki /Zagajewski? Ten proces upraszczania poezji, czynienia jej bardziej komunikatywną, nie był jednak reakcją na pogrudniowe oczekiwania czytelników, zachodził znacznie wcześniej, zwłaszcza w czasach „Solidarności”. Literaci ceniący perfekcję estetyczną i cyzelowanie słów w pewnym sensie „spóźnili się na grudzień”. Nie chcemy przez to powiedzieć, że wiersze ich nie funkcjonowały. Tyle, że z braku aktualnych – czytelnicy odgrzewali stare. Rzecz znamienna, że prawie wszystkie teksty Narbutta, Barańczaka, Tomaszewicza, jak i słynna „Śmierć Piłsudskiego” /Urbankowskiego / to wiersze sprzed lat kilku. Nowe, bądź jeszcze nie dotarły, bądź jeszcze są cyzelowane przez autorów. Świadczy to zarówno o próżności i niedojrzałości naszych twórców,

jak i o tym, że misja artystyczna i misja społeczna to dwie różne misje. Jest sprawą smutną, że nieliczni piosenkarze okazali się bardziej dojrzałymi od zawodowców. Jeszcze smutniejszą sprawą jest to, że ani okupacyjny rok 1982, ani poprzedni rok wolności i „Solidarności” nie przyniosły dzieł porównywalnych ani z poezją pokolenia Baczyńskiego, ani z literaturą Powstania Listopadowego. Być może przyjdzie jeszcze na to czas, miejmy nadzieję, że dzieła takie już dojrzewają póki jeszcze ich nie ma – oddajemy Czytelnikom ten zbiór będący przede wszystkim dokumentem społecznym.

Redakcja

WSZYSTKIE TEKSTY WYDRUKOWANE SĄ BEZ ZGODY
I WIEDZY AUTORÓW.

PS.

Przy okazji chciałbym wyjaśnić jedną sprawę. W antologii znajdował się też wiersz

Jeszcze tym razem, którego autorstwo – z racji – dalekiego zresztą podobieństwa do poematu *Przedwiośnie* bywa przypisywane mojej osobie. Otóż nie byłem jego autorem, wiersz ten został przekazany do antologii wraz z kilkoma innymi (*Do generała*) przez p. Zofię Idziakowską, działaczkę poakowskiej konspiracji, następnie podziemnej *Solidarności*, *związaną także ze Związkiem Piłsudczyków i KPN*. Wraz z córką gen. Grota p. Ireną Mielczarską – Rowecką oraz jego łączniczką p. Elżbietą Zboińską – Prądkyńską p. Zofia należała do przywódców ówczesnego podziemia, czasami było używane określenie „Trzy królowe”. Jawną przykrywką dla ich działalności było Stowarzyszenie im. Grota Roweckiego i jego żołnierzy, do którego i ja miałem honor należeć. Osobiście podejrzewałem, iż autorką tych wierszy była p. Zofia, proszę jednak pamiętać, że wówczas o takie rzeczy po prostu się nie pytało.

JESZCZE TYM RAZEM

Jeszcze tym razem czołg, pałka i tarcza,
Jeszcze tym razem może wam wystarczą,
Jeszcze tym razem można zdeptać butem.
Lecz raz następny? O, nie wątpcie o tym,
O, bądźcie pewni, że następnym razem
Fala przybierze i znów tamy zerwie.
I wtedy drżycie, bo wtedy zapewne
Już nic nie wstrzyma tych, którzy raz jeszcze
Głowy schylili. Bo oni powstaną
I znowu wyjdą, i wyłamią bramy.

Dzisiaj wy butni, dzisiaj wy zwycięscy –
Pomyślcie o tym, że to wasz dzień klęski,
Żeście już przegrali, bo lekcji historii
Nikt wam nie przebaczy ani nie zapomni.
Ci, dziś za kratą, mają swych przyjaciół.
Ci, dziś niewolni, mają siostry, braci.
Pomordowani – mają naród cały!
On ich poniesie, do oczu wam staną.
Zakryjcie twarze, bo patrzą tysiące.
Ci nie zapomną!

Patrzcie, ci klęczący,
Dziś pochyleni i dzisiaj milczący:
Jutro mądrzejsi, silniejsi legendą
O tych, co padli – ci was sądzić będą.
Tym bezwzględniejsi, im dziś bardziej zgięci;
Tym pamiętliwsi, tym bardziej zawzięci,
Im więcej dzisiaj na waszych obliczach
Błysków triumfu.

Im dziś w waszych oczach
Więcej jest pychy, im więcej pogardy,
Tym bardziej wyrok będzie kiedyś twardy.
Z tym większą siłą wasze ślady, godła,
Zdeptane będą do korzenia, do dna
Wykarczowane.
I nie pozostanie
Z waszych budowli na kamieniu kamień!
Wy nie zdołacie nawet obcą armią
Stawić nam czoła.

Zetrzeć *SOLIDARNOŚĆ*

Z murów możecie, ale nie z pamięci.
Kiedyś powiemy wam – bądźcie przeklęci!
Pięść się zaciśnię, wy będziecie w matni,
Gdy wyruszymy *na bój wasz ostatni*.
Słowa te przecie z waszej idą pieśni.
Wszak pamiętacie? Wyście je też nieśli
Przeciw niewoli i przeciw okowiem
Tylko, że potem stworzyliście nowe.
My je zerwiemy!
A uczą nas dzieje,
Że przemoc w końcu zawsze pokornieje,
Boś nie jest w stanie nad każdym postawić
Z pałką stupajki i z bagnetem straży.
Że ci w mundurach także kiedyś mogą
Broń swą odwrócić.
Bo nie są nam wrogiem
W mundur odziani bracia i synowie.
Jeśli słuchają, niechaj im opowie
Z czasów niewoli nasza pieśń prastara:
„Z kurzem krwi bratniej i z dymem pożarów...”.

Gdyśmy śpiewali wśród serdecznej męki:
„...To, nie miecz karaj, lecz zbrodniczą rękę...”
Ta zza rubieży wyciąga się znowu.
Winę na siebie biorąc Kainową -
Srebrnikiem kusząc już rodzime, nasze,
Tak dziś radosne, tak własne Judasze,
Że kiedyś tylko naszą będzie sprawą,
By je ukarać w myśl starego prawa,
Że własne gniazdo, własną brudną płamę
Władni jesteśmy własnymi rękami
Zmyć i uprzątnąć.
I ukamienować
Tych, którzy winni, na rozstajnych drogach.

ONA.
„Z INNEJ BAJKI”

Łódź, Święto Trzech Króli, 2018

Kobieta więcej niż dojrzała, elegancka, zadbana, krótko ostrzyżona blondynka – nie pozwala chłopcu wstać. Zatrzymuje go silnym męskim spojrzeniem.

Ostrożnie stawia na blacie tacę z frytkami, hamburgerem i colą. Zestaw powiększony.

– Jedz – uśmiechnęła się.

– Mogłaby mi pani chociaż pozwolić przynieść jedzenie do stolika.

Głupio tak...

– Nic nie głupio, nic nie głupio. Po prostu jedz!

– Poprosiłem o bułkę, a nie żebyśmy tak od razu... Do makdonalda...

– Sklepy zamknięte. Gdzie ty dzisiaj kupisz bułkę. Pośpiesz się, bo mam jeszcze plan na dziś. Niespodziankę...

– O co to, to nie! – młodzik zrywa się na równe nogi i wybiega z ciepłego baru w chłodną, mgielną, świąteczną noc.

– Nie o to mi chodziło! – krzyczy za nim kobieta, a my – reszta świata – udajemy, że nie słyszymy, nie widzimy.

Jemy pilnie swoje frytki.

Nie słyszymy spadającej gwiazdy.

Nie widzimy uciekającego króla.

Królewicza.

Jako w niebie tak i na ziemi.

* * *

Łódź, Święto Trzech Króli 2018, dopisek

Wyżej wspomniałam o kobiecie i chłopcu, których spotkaliśmy dziś w barze szybkiej obsługi. Oboje – zagubieni, nieszczęśliwi. Przy drugim stoliku biesiadowała, na bogato, bo z deserem lodowym w tle – mała rodzina. Matka, ojciec i syn.

Wciąż się śmiali.

Ojciec poplamił keczupem rękaw marynarki. Matka zgubiła koraliki, ale zaraz odnalazła.

Dziecko udawało lodowego smoka.

Trudno jest opisać proste wielkie szczęście domowe.

Domowe szczęście w macdonaldzie :)

Ono się wymyka zdaniom. I tym okrągłym. I tym chropawym.

Jest nie do złapania.

* * *

Twarz, włosy, sylwetka – nie do rozpoznania. Z większością kobiet czas obchodzi się raczej okrutnie, jednak Gośkę naznaczyło coś więcej niż dekady. Skaza bez imienia, ale do opisania:

Przyjaźniłyśmy się we trzy. Gosia była zdecydowanie najładniejsza. Zbliżała się studniówka i, podczas gdy my z Luką (taka ksywka), desperacko poszukiwałyśmy jakiegokolwiek towarzysza, Gosia opędzała się od nadskakujących chłopców, mężczyzn oraz dziadka. Tak, dziadka. Zabiegał o nią również sędziwy emerytowany pułkownik. Jeden z tych legendarnych miłosnych wojowników. Dwa dni przed imprezą wciąż jeszcze była niezdecydowana. Tymczasem Luka poprosiła o studniówkowe towarzystwo nieśmiałego znajomego – chłopca z pierwszej klasy liceum. Miał na imię Marcin. Mnóstwo sił ją to kosztowało. Poprosić. Czwartkowy wieczór. Luka i Marcin, wciśnięci między meblościankę i wersalkę, siedzą na dywanie i grają w bierki. Omówili sprawy sukienki, garnituru i muszki. Matka Luki, samotna od lat, patrzy na Marcina i oczami wyobraźni widzi w nim zięcia. Ostrożnie stawia przed młodymi tacę z herbatą i kawałkami drożdżowego ciasta. Tyka zegar, szumi pralka, zaczyna się, wg mamy Luki, nowa rodzina.

Dzwonek do drzwi. Gośka. Wchodzi do pokoju przyjaciółki, cmoka ją w policzek. Spogląda na nieznanego. Rozpina, lśniący od śnieżynek, krótki, złotawy kożuszek. Mruży wielkie, jasne, piękne oczy.

– Jestem Małgosia – uśmiecha się i podaje mu drobną, delikatną, miękką dłoń.

– Marcin – odpowiada chłopak.

– Martin? – cichy zmysłowy śmiech.

– Marcin.

– Bo Martin pasuje do ciebie jakoś tak bardziej...

Luka zamiera. Wpatruje się w głęboki, opalony w solarium, dekolt przyjaciółki i rozpaczliwie prostuje wątłe plecy.

– Dla ciebie mogę być i Martin – deklaruje, oszołomiony uśmiechem cudnej dziewczyny, nieśmiały młodzieniec.

I to już koniec przyjaźni, koniec studniówki, koniec małego świata.

* * *

Otwarte niebo

szła ulicą w taki sposób
jakby nie miała wiedzy
że się porusza
jakby jej w ogóle nie było
w sobie
jakby była pusta
myśli uciekły z ciała
i szybowwały gdzieś
między dachami kamienic
niebo nad Łodzią
jest otwarte
i zaczyna się nisko
– nieprzyjaciółka –
co zrobić
gdy rozpozna się

w niej
ptaka z raju?

* * *

Mój dziadek

Umarł, gdy miałam sześć lat.

Jesienią.

Bardzo nas kochał.

Moją matkę i mnie.

Nie przychodził do nas do domu.

Nigdy.

Pamiętam ostatni wspólny spacer po lesie.

Nagle skończyła się nam ścieżka.

– To już koniec, dziadku?

– Nie, kochanie. Doszliśmy nad staw.

– I co teraz?

– Teraz bardzo cię proszę, żebyś zawsze, gdy za mną zatęsknisz, przypominała sobie, jak stoimy we dwoje na tym mostku. I patrzymy na wodę. Obiecujesz?

– Dlaczego miałabym za tobie tęsknić? Przecież nie wyjeżdżasz.

– ...Zawsze, gdy zamkniesz oczy, wrócę. Będziemy się spotykać nad tym stawem.

I tak się dzieje, jak powiedział.

edit wieczorny: Najpewniej użył innych słów... To senny cytat ze zniekształconej przez dekady pamięci.. Senny również dlatego, że lata później ,zobaczyłam go” pod zamkniętymi powiekami. Nie stał już na moście. Siedział w łódce rozkołysanej cierpką falą, otulonej szarym sitowiem.

* * *

Łódź Bałuty, 31 stycznia, prawie noc

– Poproszę spirytus.

– Który?

– Najtańszy.

– Pytałam o pojemność.
– Pół litra.
– Mamy mniejsze butelki...
– Mniejsze mnie nie interesują. Najtańszy i pół litra, kochanie.
– Proszę. To jest najtańszy. Coś się butelka klei. Przepraszam.
– Guma do żucia na naklejce. I dobrze mi tak, staremu głupiemu pijakowi. Kiedyś, panienko, byłem kimś innym.
– Wiem. Spotykał się pan z moją matką.
„Spotykał się pan z moją matką”!
Żabka cichnie.
Zamieramy – my, wieczorni, spóźnieni klienci.
Wpatrujemy się w mętne tęczówki młodziutkiej sprzedawczyni.
– Nie spotykałem się.
– Nie? – na twarzy kasjerki przysiada siny cień jarzeniówki.
– Nie. Ja ją, panienko, kochałem,
Przetrząsa kieszenie cuchnących drelichowych spodni. Znajduje wymięty naderwany banknot.
Płaci, wychodzi.
Wprost na chłodny niski Księżyc.
Kuleje.
Znika.
Roztopia się.

* * *

O pociągach

Mama co roku starannie chowała prezenty, które miały znaleźć się pod choinką.

Zawsze były to książki.

Zawsze znajdowałam je już w listopadzie – w bieliźniarce, między świeżo wypranymi prześcieradłami.

W Wigilię odpakowywałam otulone bibułą, pachnące antykwariatem woluminy i próbowałam udawać zaskoczenie.

Dziś jestem pewna, że mama wiedziała.

O tych poszukiwaniach.

Pamiętam wigilię stanu wojennego.

Miałam wtedy 9 lat.

Udawałam, udawałyśmy obie, że widzę okładkę „Anny Kareniny” pierwszy raz.

– Mamo, czy wiesz, co się z nią stało?

– Tak, ale nie z książki.

– To skąd wiesz?

– Wiem. Ja wiem, ty tylko przeczytaj i nie zapomnij.

Matki próbują chronić swoje córki. Opowieściami.

Nawet jeżeli przychodzi im z pomocą sam Lew Tołstoj, dziewczynki, gdy dorosną, któregoś zimnego dnia stają na peronie i wpatrują się w tory.

Pociąg, gdy wreszcie nadjedzie, mija stację niezauważony.

Zostawia po sobie cichy serdeczny podmuch ziemskiego wiatru.

Dlaczego Annie, imienniczce mojej matki, nikt nie wspomniał, że żyjemy właśnie dla wiatru.

* * *

Warszawa, Bielany, poza czasem

– Ależ oczywiście, że rozumiem. Emocje, ważna sprawa.

– Tylko ja, w przeciwieństwie do pani, nie mogę sobie na to pozwolić.

– Nawet na współczucie?

– Wyciąłem je sobie swoim własnym skalpelem.

– Pan żartuje.

– Codziennie operuję ludzi. Nie mogą mi się trząść ręce.

– A kiedy pan przekazuje złe wieści?

– Nie mogę spuścić oczu.

– A kiedy pan wraca do domu? Czy wtedy pan jakoś odreagowuje?

– Nie wracam do domu. Zawsze myślami jestem na oddziale.

– Co na to pana bliscy?

– Już nie mam nikogo bliskiego.

* * *

22 lutego, ranek w Łodzi

Pan w szarym płaszczu i pan w szarej kurtce.

Pan w szarym płaszczu wsiada do szarego citroena.

Odpala silnik. Rusza w świat.

Pan w szarej kurtce patrzy na niego melancholijne.

Gasi papierosa. Nie ma dokąd ruszyć.

Wróciłby do domu.

Gdyby miał dom.

Na razie ma psa.

Szarego.

– Jak ja mu zazdrozczę! – mówi pan w szarym płaszczu.

– Czego?

– Tego kundelka.

– Przygarnij.

– Całe dni pracuję, przecież wiesz.

Kiedyś byli przyjaciółmi.

Podobno nosili się bardzo kolorowo.

* * *

Wiele lat temu mieszkał z nami młodziutki kot. Miał na imię Misza.

Był jedynym zwierzęciem w domu.

Czytał w myślach.

Przychodził, zanim się go zawołało.

Ktoregoś dnia, dosyć nieoczekiwanie – mógł mieć wtedy jakieś pięć, może sześć miesięcy – w progu mieszkania zobaczył innego kota.

Czy rozpoznał swoją matkę?

Czy matka rozpoznała swoje dziecko?

Nie wiem.

Pamiętam wielką, wzajemną, kocią radość ze spotkania.

Piski, miauczenie, wariackie gonitwy po kuchni i przedpokoju. Trwało to szaleństwo kilka minut. Tyle, ile potrzebowała właścicielka hodowli, by podpisać jakieś weterynaryjne dokumenty.

Potem wzięła kocię na ręce i wyszła.

Misza został na powrót sam na sam z ludźmi.

Jakiś czas stał w przedpokoju.

Czekał.

Już nigdy się nie zobaczyli.

Tak bywa.

Na szczęście młody kot miał swój koszyk, swój widok z okna, swój balkon, swoich bliskich.

A potem okazało się, że jestem na tę rasę uczulona i Misza stracił dom.

Przyszedł miły pan, wziął go na ręce i wyszedł.

Już nigdy się nie zobaczyliśmy.

Tak bywa.

Została po Miszy szmaciana myszka i piłeczka pingpongowa.

I tęsknota.

I żal.

Tylko do kogo ten żal przekierować.

Komu powiedzieć, że życie nie może polegać na wciąż powtarzających się niezawinionych rozstaniach. Rozstaniach na zawsze.

* * *

Prawdziwa historia brzydkiej marynarki

Była sobie dziewczyna mniej więcej dwudziestoletnia, która miała tylko jedną, w dodatku zupełnie już niemodną, marynarkę. Pracowała w biurze jako maszynistka i każdego miesiąca okazywało się, że znów nie starczy pieniędzy na zakup nowego ubrania. Bo leki dla matki, bo buty dla córki. Bo kolejny wierzyciel. Któregoś dnia podczas kąpieli w wannie w mocno chłodnej wodzie – piecyk gazowy miał już swoje lata – dziewczyna wyczuła w piersi coś na kształt ostrego kamyka. Powiecie, że to niemożliwe, a jednak od tamtej chwili przestała oddychać. Żyła na oddechu zastępczym, cokolwiek to znaczy.

– W twoim wieku się nie umiera – powiedział lekarz, do którego poszła następnego dnia. Jednak skierował ją na badania i wkrótce okazało się, że konieczna jest pilna operacja.

Ostatniej nocy przed pójściem do szpitala, zamiast spać, leżała na wersalce i wpatrywała się w swoją zieloną, wytartą, pluszową marynarkę.

– Tak bardzo bym chciała móc cię jeszcze chociaż raz założyć do biura – powiedziała.

Księżyc był w pełni i rzucał siwe nici na meble w pokoju. Wszystko: meblościanka, lichego stolik, kulawe krzesło, przepocona wykładzina na szarym linoleum. Wszystko to wydało się dziewczynie czymś ukochanym. Bardzo nie chciała tego świata opuszczać.

Minęło ćwierć wieku. Nie ma już kamienicy, w której wtedy mieszkała. Nie ma nawet miasta, w którym ją operowano. Ani jej, dziewczyny, również już nie ma. To teraz dojrzała kobieta. Podróżniczka. Taki ma zawód i pasję. Jeździ po świecie. Wszędzie zabiera ze sobą kawałek zielonego flauszu. Fragment rękawa zabytkowej marynarki.

– Wierzysz w moc amuletu? – śmieje się mąż.

– Wierzę w życie – odpowiada.

Mąż całuje wtedy bliznę na piersi swojej żony. Taki ich ukochany rytuał.

Z CYKLU „KĄTEM OKA”

KOMANDOSI

Udało mi się zająć miejsce siedzące w autobusie linii zastępczej 704, jadącej do Bronowic Małych. Autobus, mimo soboty, prawie pełny, bo jadą nim studenci, mieszkańcy na os. Widok, i inni, którym przez Królewską jest po drodze. Plecaczka nie zdejmuję, bo potem trzeba go z mozołem założyć, na kolanach laptopowa torba z teczkami.... Już na wejściu machnął białą laską, ale po to, aby się na niej wciągnąć do autobusu. Naszym decydentom proponuję taką atrakcję, jak jazda środkami komunikacji miejskiej – ruszanie i hamowanie (tylko nałóżcie sobie kaski ochronne, aby nie obtuc zakutych łbów). Machnął tą laską tuż przy mnie, więc się poderwałem na inne wolne miejsce. Usiadł, a towarzyszący mu mężczyzna zajął miejsce w innym rzędzie, przypatrując mi się badawczo, bo siedzieliśmy naprzeciw. W pewnym momencie niewidomy ruszył z miejsca do przodu, wywołując troskę pasażerek.

– Gdzie pan idzie? gdzie pan chce wysiąść?

– Przy Weselu – odpowiada – ale idę do przodu, bo tu nie słychać nazw przystanków. – Powiem panu, niech pan siada, bo autobus rusza. – Niewidomy znowu idzie, kierując się laską trochę zamaszyście. – Niech pan przy mnie siądzie, tylko uwaga, bo to miejsce jest wyżej, trzeba podnieść nogę – podpowiada mu kobieta. – Spokojnie, dam radę, służyłem w komandosach – odpowiada jej pogodnie. – Wie pan, moja znajoma ostatnio straciła wzrok i nie wychodzi z domu... – Trzeba wychodzić – mówi niewidomy komandos, są takie szkolenia, które pomagają. – Mówi tak, jakby je niedawno przeszedł. Jest Wesola, pasażerowie powtarzają,

komandos zbiera się do wyjścia. Kątem oka widzę, że wysiadł z nim jego towarzysz, dyskutują, ale niewidomy już łaską wskazuje kierunek.

MOC RADIA

W mojej rodzinie radio cieszy się uznaniem od pokoleń. Babcia ze strony mamy słuchała polskiego radia na emigracji, a dziadek ze strony ojca słuchał go patrząc przez okno na drogę i stukając nożem o blat stołu. U nas w domu radio było na końcu amfilady, w małym pokoju, ojciec słuchał go namiętnie, szczególnie Wolną Europę. Miał też podręczne radjko, z którym zaczynał poranny serwis siedząc w ubikacji. Skupialiśmy się wokół radia podczas wydarzeń szczecińskiego Grudnia 1970 roku. Moje pokolenia to Radio Luksemburg i Radiowa Trójka. Najwięcej nasłuchiwałem się radia w szpitalach, przykładalem tranzystor do ucha i mogłem się przenieść gdzie chciałem. Radio ma tę moc, że sekwencje obrazów mogę tworzyć sobie sam, w przeciwieństwie do telewizji, która totalnie zapycha mózg. Lubilem słuchowiska, tu radio ma swoją magię. W porannej audycji Radio Kraków „Rano na tak” jest miejsce na słuchowiska w odcinkach. Jakiś czas temu leciała „Wyspa skarbów”, a potem „Dr Jekyll i Mr Hyde” wg powieści Roberta Louisa Stevensona. Słuchowiska z radiowego archiwum, ależ to były prawdziwe dzieła, zapierające dech w piersiach przez mistrzowską reżyserię i wykonanie. Szkoda, że prezen-terzy nie znajdują chwili, aby przedstawić – przypomnieć wykonawców. A reżyserem obu słuchowisk był w 1970 r. reżyser krakowskiej rozgło-śni Józef Grotowski, aktorzy to m.in. Jerzy Trela, Tadeusz Huk, Leszek Piskorz, Wiktor Sadecki, Tadeusz Włodarski, Leszek Herdegen. „Rano na tak” prowadzą Sławomir Kowalewski i Marcin Ziobro, ten pierwszy (mój krajan ze Szczecina) jest autorem czytanej przez siebie „Rodziny Krakowiaków”. Słucham m.in. niedzielnej audycji Jana Stępnia „Pejzaże regionalne”, a także codziennych serwisów informacyjnych i rozmów.

MOC SŁOWA

Zdarzyło mi się mijać na ulicy potencjalnie niebezpieczne grupy młodziarzy. Hałaśliwi, wulgarni, agresywni. Tak że się zastanawiałem, czy

prewencyjnie pryskać w bok, no bo na samoobronę czy obronę nie ma już co liczyć. Ale było kilka sytuacji, że poczułem się bezpiecznie, bo szła ze mną moja żona.

– Dzień dobry, pani profesor! – odzywa się niespodziewanie normalny głos, nawet grzeczny i radosny. Nie wierzyłem własnym uszom. A żona tłumaczy, kto zacz nas minął, bo pamięć ma dobrą, tak jak i oni.... To w nich zostaje, to w nas zostaje – moc słów. „Dzień dobry, proszę, dziękuję, przepraszam, miłego dnia” – czarodziejskie słowa, które ratują, prowadzą, czynią życie lepszym niż się nam wydaje.

Chwała nauczycielom!

A ja chciałbym dzisiaj we Lwowie
kawę pić w Szkockiej
w cieniu Banacha
słyszeć głos gęsi
ocalonej

(Refren):

Płyn rzeko podziemna
lwowski Stysie, płyn
do Lete po pamięć
nie moją
lecz we mnie

A ja chciałbym dzisiaj we Lwowie
przejsć przez Łyczaków
na groby
dzieciaków w mundurkach
posłuchać

(Refren):

A ja chciałbym dzisiaj we Lwowie
wieczór rozpocząć w Operze
wyjść pod Adasia
na Wały Hetmańskie
do hotelu George

(Refren):

Czemu mnie gnębisz, Lete
odbierz pamięć
nie moją, daj zasnąć
daleko
we Lwowie...

20.07.2019

GRZECZNOŚĆ

Czy jestem człowiekiem grzecznym czy niegrzecznym? Odpowiem dyplomatycznie „to zależy”. Wpajano mi formy, które zostały do dziś, jak ta o podawaniu ręki. Mama brała mnie czasem do pracy, gdzie rządził pan kierownik, przedwojenny elegant z muszką (nie zdziwiłbym się, gdyby był poznańskim endekiem). Mama na niego narzekała, w ojcu krew się burzyła, a ja postanowiłem wyjść mu naprzeciw i podałem mu pierwszy prawicę. Dostałem od mamy burę, że taki mały pierwszy ręki nie wyciąga, tylko ma czekać aż mu podadzą. Czy bym doczekał od pana kierownika, aby mu okazać synowską moc? Potem na moje złe wychowanie zwrócili ojcu uwagę esbecy podczas rozmowy ostrzegawczej, że źle mnie wychował, za co jestem mu wdzięczny. Czy grzeczność jest łaską czy powinnością? Spieraliśmy się albo w ramach dyskusji w duszpasterstwie akademickim albo na moim wieczorku autorskim. Ci co „łaską” poszli potem w stronę opozycji „słusznej”, a ci co „powinnością” w stronę przeciwną. Bliżej mi było do tych drugich, choć zawsze przecież liczył się człowiek, a nie jego stronnictwo i szefostwo, choć z tym bywało róż-

nie. Okazywanie grzeczności to druga strona księżycy. Zawsze lubię jako kierowca przepuszczać pieszych, pokazuję im to ruchem ręki, ale kiedyś rodzina mnie zweryfikowała, że robię to jakby z łaski i niecierpliwie, jakbym tych pieszych przepychał na drugą stronę. Mogli mieć rację, od tej pory wykonuję ten gest wolniej i wyraźniej, z jakimś uśmiechem na twarzy. Trzeba umieć podać swoją grzeczność, aby nie było nieporozumień. Swoją drogą to się zawsze zwraca, także wtedy gdy przepuszczam innego kierowcę, za jakiś czas otrzymuję wzajemny gest, tak jakby to była energetyczna wymiana. To mi się podoba. W swoim czasie bardzo pilnowałem form, może aż do przesady, co czyniło ze mnie sztywniaka. Ale znalezienie się w takim towarzystwie to sama przyjemność. Bawiłem się formami albo je wymyślałem, jak ta o przeprowadzaniu koleżanki na drugą stronę ulicy trzymając ją za rękę, że niby dla bezpieczeństwa. Nie wiem co sobie koleżanka myślała, ale ja powinienem był pomyśleć, co to oznacza. Dla mnie oznaczało grzeczność, jak również to, aby iść z nią chodnikiem od strony ulicy, że niby dla osłony. Bardzo długo trzymałem się form per „pani” „pan”. Stosunkowo od niedawna szybko przechodzę „na ty”, co mi się podoba, bo zbliża ludzi i ułatwia życie. Moją słabością, która jest niegrzeczna, jest przerywanie czyjeś wypowiedzi, nie odczekanie do końca. Zdaję sobie z tego sprawę, ale trudno mi nad tym zapamiętać. Podziwiam tych, którzy dają sobie z tym radę i zawsze wiedzą, kiedy wejść z wypowiedzią. Właśnie to, czyli odpowiedni moment jest też wskaźnikiem grzeczności. To jest sztuka pojawiać się we właściwym czasie we właściwym miejscu. Do takich szczęściarzy niestety nie należę. Czy w ogólnym bilansie opłaca się być grzecznym? To dyskusyjne, bowiem grzeczność w dobie dominacji chamstwa jest uznawana za przejaw słabości, a nawet podległości. Dlatego za grzecznością powinna iść siła. Ale nie ma innego wyjścia. Trzymajmy się form!

POTRZEBA MODLITWY

Nie byłem specjalnie religijny, choć wierzący tak, razili mnie Kościół jako zhierarchizowana instytucja, inaczej odbierałem nauki Chrystusa, taki był mój czas „buntu i naporu”. Nie lubiłem tych z pierwszych rzę-

dów, widziałem jak się tam dopychali i dotyczy to aktywności w każdej barwie, mówiłem o nich brzydko „działactwo”, więcej mnie było w różnorodnych inicjatywach i tekazetach. O księżkach staram się pamiętać tych dla mnie istotnych, bo nie ma sensu generalizować i uogólniać, wyciągać średnie wnioski, lepiej zatrzymywać to, co najlepsze. Byli tacy na mojej drodze.

Inna jest modlitwa w tłumie, inna osobista, choć jedna i druga ma swoją moc. Czuję miejsca wymodlone i się przy nich zatrzymuję. Takim są dla mnie kapliczki przydrożne. Mam wrażenie, że tam Bóg przycupnął przed tłumem, czuję Jego bliskość.

Był czas, gdy dużo chodziłem do kościoła, szczególnie, gdy mama była po raz kolejny w szpitalu, a na głowie taty i mojej był dom, z małą siostrą w środku. Modliłem się jak najęty. Być może pomogło. Z wieku dojrzałego wiem, że tak.

Jakiś czas temu zacząłem się modlić nie mając przed oczami Krzyża, Wizerunku czy obrazka. Zaczęło się wtedy, gdy „torturowali” mnie czekaniem, np. w kolejkach do lekarzy na szpitalnych korytarzach. Studiowałem i analizowałem wtedy detale, np. ułożenie płytek, kolory i faktury, nasłuchiwałem dźwięków, z ich regularności można było sobie coś ułożyć. Takie tam zabijanie czasu.

Aż przyszedł czas na modlitwę. Wypełniałem nią czas. Zawsze znalazł się jakiś powód, nawet nie trzeba było go specjalnie szukać. Wypełniać czekanie modlitwą.

Powtarzałem „Ojcze nasz...”, myśląc „Jezu, ufam Tobie”, pozdrawiałem „Matkę Bożą”. No i do Anioła Stróża, rozszerzając zmodyfikowaną modlitwę, gdy ją dedykuję konkretnej osobie lub prosząc o rozpostarcie Jego skrzydeł: „Aniele Stróżu Mój, Ty zawsze przy nas stój, rano, wieczór, we dnie, w nocy, bądź nam zawsze do pomocy. I broń nas od wszystkiego złego. Amen”.

Nie uważam, żeby ci, którzy się nie modlą, byli gorsi.

Zdarzają się sytuacje, które pamiętam do dziś, jak modlitwy z moją mamą przed grota MB na szczecińskim Pogodnie. A także spotkanie z moim przybranym bratem w Krakowie, gdy się modliliśmy przed ob-

razem MB Częstochowskiej w kościele Mariackim, a potem, gdy byłem u niego w Szczecinie on mnie „zaciągnął” do kościoła przy pl. Solidarności. Ja tam zabrałem się za robienie zdjęć, a on gestem głowy „starszego brata” wskazał drugi klęcznik, wiem, że modliliśmy się za siebie nawzajem.

Amen :-)

ROZGADYWANIE POLSKI

Zawsze nudziły mnie „nocne Polaków rozmowy”. Za młodu brałem w nich udział, traktując jak naukę fechtunku, jak walkę. Zawsze pomijany był właściwy moment, kiedy należało ją zakończyć. Przeważały emocje i ambicje, celem stawiało się najpierw przekonanie przeciwnika, a w końcu jego pokonanie (nigdy wyeliminowanie).

W wielu przypadkach rozmowy te to bicie piany, rozdrapywanie, głęczenie, tak jakby były toczone pod wpływem alkoholu, gdzie rozjeżdża się język, gubi sens i cel. Efekt za każdym razem taki jak w „Weselu” Wyspiańskiego.

W końcu doszedłem do wniosku, że nie tędy droga, że sztuką erystyki, z jej zasadami i dyscypliną, nie osiąga się celu, lecz wyłącznie opisuje ideę, swoją rację i sposób jej osiągnięcia. To był czas, gdy zainteresowałem się reizmem prof. Kotarbińskiego, bo konkretów w naszym życiu było za mało, plewiła się nowomowa i propaganda. Rozziew między słowem a czynem był przepastny, a w dole leżały ofiary komunizmu...

To mnie zbliżyło do sportu, wzorem był mój przyjaciel, którego z czasem traktowałem jak przybranego brata. Był człowiekiem konkretnym, do którego dochodził często pracą fizyczną. W szczecińskim liceum, w niecce zapuszczonego basenu z czasów niemieckich, zorganizowaliśmy własnymi rękami klub ping-pongowy. Udało się porwać rówieśników, a dziewczyny artystycznie ozdobiły ściany. No bo kto by nie chciał w przerwach i po lekcjach grać w ping-ponga!

Na obozie międzyszkolnym w górach porwaliśmy się na wykopanie z ziemi olbrzymiego kamienia, który tkwił w centrum boiska do siatkówki. Wyginaliśmy śmiało ciała, przeżyliśmy muskuły, w zdrowym ciele

(w chorym też) zdrowy duch. Realizowaliśmy lektury szkolne z pozytywizmu.

Na studiach w Duszpasterstwie Akademickim, oprócz religii i samokształcenia w ramach kursów historycznych i wymiany drugiego obiegu wydawniczego, był też czas na konkretną pomoc dla osób starszych i chorych.

W tle i w międzyczasie zawsze była wiara w Boga i walka o Niepodległość. To także były jej emanacje.

W Krakowie przyszyły idee walki o parki: Duchacki i Drwinki.

Poczułem się zmęczony...

TRZECI ANIOŁ

Nieraz w potrzebie (rzadziej w podzięce) modlimy się do naszych aniołów, patronów, a dalej do Pana Boga. Ja najpierw modłę się do Matki Bożej, a potem do Jej Syna, i do Anioła Stróża, gdy się przeżegnuję na dzień dobry i dobranoc. Niebo sprawia wrażenie nieco pogmatwane, każdy próbuje znaleźć jakieś własne światełko w tunelu, jakąś swoją latornię morską. Nie jestem w tym odosobniony, Matce Bożej powierzamy wszystko, poprzez Bogurodnicę, Śluby Jasnogórskie, cudowne Obrazy, ryngrafy.

Zdarza mi się widzieć Anioła, tak jak kiedyś zobaczyłem Śmierć, która przyszła nie po mnie, lecz po pacjenta z łóżka obok. Ale na ogół Anioła się nie widzi, lecz czuje poprzez jakieś znaki.

Gdy wracałem z kościoła Matki Bożej Dobrej Rady, gdzie zatrzymałem się na chwilę, zobaczyłem ją jak wsiada do tramwaju. Jakaś skulona, z podniszczonym, prawie pustym plecaczkiem, zdjęła go i położyła na siedzeniu obok, usiadła tuż przede mną. Widziałem jej niedzisiejszą, ale elegancką jesionkę w kratę, pomyślałem, że za cieniutka na ten mróz, na głowie beret, odsunęła szalik, mogłem zobaczyć kosmyk jej jasnych włosów. Jaka młoda, drobniotka, a ta jesionka trochę za duża, po kimś starszym? Wyobraziłem sobie, że to może być znajoma. Gdy wysiadałem, odwróciłem głowę, aby zobaczyć jej twarz. Zobaczyłem bezbrzeżnie smutne, wielkie oczy, patrzyła w dół...

Lubię, gdy ona jest w pracy na pocztce, już raz o niej pisałem, gdy w wakacje sama stawiała czoła rozeźlonym klientom stojącym w kolejce. Anielska cierpliwość. Tym razem długo nie czekałem, podałem rachunek i pieniądze. O coś tam mnie zapytała niewyraźnie. – Przepraszam, nie dosłyszałem. – Powoli uniosła głowę, na twarzy uśmiech i wyraźnie powtarza, czy dać priorytetem. Odpowiadam, że nie trzeba. Widzę jej oczy, jak niezapominajki, radosne, jakoś wysoko uniesione. Powaliło mnie to, onieśmieliło.

Do nieba tak niewiele trzeba :-)

TWARZ

Czy ta twarz to naprawdę ja? Pytam 25-letniego człowieka. Co jest w środku, co jest za nim, co przed nim? Znam tę historię i dlatego się dziwię, że tak wyglądałem, któregoś dnia 1984 roku. Fotka na okoliczność jakiegoś dokumentu, legitymacji? Nie pamiętam gdzie zrobiona. Zamawiało się więcej, aby było na zapas, no i się kiedyś wymieniało miniaturowymi portretami z najbliższymi, nosi się je przy sobie, w portfelu, też tak mam.

Do dziś nie lubię być fotografowany, staram się odepchnąć od siebie fotografa. Wolę robić zdjęcia. Dzisiaj gdy wszystko jest na sprzedaż, kalkulacji podlega także twarz. Widzę je wszędzie, są to narcystyczne gadające głowy czy nachalne reklamowe maski w makrozblizeniach. Twarze, które zasłaniają temat, wybijają się na pierwszy plan, co mówią, lepiej nie mówić. O sobie można opowiedzieć na różny sposób: twarz, oczy i dłonie. Ale można opowiedzieć nie tylko wyglądem czy gestem. Chyba nawet równie ważnym wszystkim innym. Także twarz powinna być w jakimś całokształcie.

Przypomina się piosenka Jana Pietrzaka, a w niej memento: „szanuj swoją twarz, póki ją jeszcze masz”.

* * *

JAROSŁAW KAJDAŃSKI – urodzony na Kresach Zachodnich, w Szczecinie, w 1959 r. Od 1981 r. w Krakowie. Studiował medycynę

na Pomorskiej Akademii Medycznej, następnie psychologię i (indywidualnie) filologię polską na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Działacz opozycji antykomunistycznej, wyróżniony odznaką honorową przez Urząd ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych. Otrzymał także srebrny medal „opiekuna miejsc pamięci narodowej”, przyznany przez Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa. A także odznakę Honoris Gratia za zasługi dla Krakowa.

Współpracował m.in. z magazynem „Świat”, „Czasem Krakowskim” i „Tygodnikiem Solidarność”, stały korespondent dwutygodnika polonijnego „Gwiazda Polarna” (Wisconsin – USA), publikował również w „Gońcu Teatralnym”, „Kulturze” paryskiej i nowojorskim „Nowym Dzienniku”.

W wydawnictwie Attyka, Kraków 2010 został wydany jego tomik „Wiersze z lat minionych”.

Założyciel i redaktor miesięcznika lokalnego „Wiadomości”, ukazującego się od blisko 25 lat w części krakowskiego Podgórza. Z racji wykonywanego zawodu zajmuje się również fotografią, jest autorem kilku wystaw indywidualnych. Jest członkiem Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich.



35 ROCZNICA

FEDERACJI MŁODZIEŻY WALCZĄCEJ

35 lat temu powstała największa młodzieżowa organizacja opozycyjna w Polsce. Choć popierała postulaty podziemnej „Solidarności”, zmierzające do pluralizacji życia społeczno-gospodarczego, *celem ostatecznym* Federacji Młodzieży Walczącej – jak napisano w jej deklaracji programowej – była *Polska Niepodległa*.

Jeszcze zimą 1984 r. kilkoro młodych ludzi, w wieku od 17. do 20. lat, założyło w Warszawie konspiracyjne pismo „Bunt”. W skład redakcji wchodził: Artur Dąbrowski, Tomasz Roguski, Marzena Duszyńska, Katarzyna Bachanek, Małgorzata Stępień oraz Wojciech Lewicki, który



Do młodzieży.

Od 40 lat trwa nieprzerwana walka naszego narodu o wolność i niepodległość. Wydarzenia ostatnich lat przyniosły aktywizację szerokich mas społeczeństwa, w tym także młodzieży. Młodzi stanęli w pierwszym szeregu walczących z totalitarną władzą. Tworząc dziś Federację Młodzieży Walczącej, chcemy zwiększyć udział młodego pokolenia Polaków w tej walce.

Organizacja nasza stawia sobie jeden cel – niepodległą i demokratyczną Polskę. Inne kwestie ustrojowe odgrywają dziś mniejszą rolę i dlatego nie są przez nas określane. FMW nie chce narzucać młodzieży takiego czy innego rozwiązania spraw gospodarczych i społecznych, pozostawiając każdemu możliwość swobodnego wyboru, skupiać będziemy młodzież niezależnie od przekonań politycznych, wszystkich którzy chcą działać razem z nami.

Nie jesteśmy organizacją uczniowską. Do FMW należą dziś uczniowie, robotnicy i studenci. Chcemy być obecni we wszystkich środowiskach młodzieżowych, docierać do jak najszerszych kręgów młodych ludzi. Celem na dziś jest kształtowanie aktywnej postawy młodych. Będziemy się przeciwstawiać konformizmowi i zobojętnieniu wobec spraw społeczeństwa, kraju i świata. Środkami do osiągnięcia tego celu są: działalność propagandowa, poprzez niezależne pisma i ulotki oraz działalność kół samokształceniowych i bibliotek. Chcemy aby komórki FMW powstały we wszystkich szkołach, uczelniach i zakładach pracy. Nie pozostaniemy obojętni wobec antynarodowej polityki władz, w sposób widoczny będziemy manifestować swoje stanowisko. W codziennej pracy chcemy współpracować ze strukturami społeczeństwa podziemnego, przede wszystkim z komórkami „Solidarności” i Oświatą Niezależną, a także z innymi organizacjami młodzieżowymi.

FMW popiera działalność TKK „S”, zmierzającą do demokratyzacji kraju oraz ukrócenia samowoli władz. Popieramy żądanie pluralizmu związkowego, stwierdzamy jednak, że celem ostatecznym naszej walki jest Polska Niepodległa.

Apel Komitetu Założycielskiego FMW, 30 sierpnia 1984 r. Po raz pierwszy opublikowany został w 3. numerze „Buntu (wrzesień 1984 r.).



Manifestacja w rocznicę śmierci Bogdana Włosika. Na czele FMW z 8-metrowym transparentem. Kraków, 13 października 1988 r. Fot. archiwum SFMW

zajął się drukiem. Choć ani szata graficzna, ani nakład (raptem kilkaset egzemplarzy), czy też ilość numerów (do września ukazały się trzy) nie były imponujące – to właśnie z tej grupki wyszedł impuls do powołania nowej, młodzieżowej organizacji opozycyjnej. Po nawiązaniu kontaktu z Jackiem Górskim i Jackiem Czarneckim, związanym z ruchem harcerskim – przystąpiono do działania.

Łączka

Był koniec czerwca 1984 r. – najprawdopodobniej 29., choć sami uczestnicy spotkania nie mają w tej kwestii pewności (taką datę dzienną ustalili ostatnio w wąskim gronie, nie dając za to jednak „głowy”). Również precyzyjnie nie da się dziś określić dokładnego miejsca wydarzenia. Z całą pewnością była to łączka w jakiś krzakach nad prawym brzegiem Wisły, na południe od dzisiejszego Mostu Siekierkowskiego (wtedy jeszcze nie istniejącego). *Geograficznie odpowiadało by to ówczesnej ulicy Wąbrzeskiej, obecnie Kadetów* – stwierdza Grzegorz Baciński, w swoim doktoracie poświęconym warszawskiej FMW. Osobiście jednak twierdzą,

a byłem tam wówczas, że musiało być to trochę dalej – przynajmniej na wysokości ul. Papierowej.

Paradoksalnie także co do ilości osób biorących udział w spotkaniu – są rozbieżności. Prawdopodobnie było ich nie więcej niż 12. młodzieńców, żadnej dziewczyny nikt bowiem nie pamięta. Z pewnością należeli do nich: Artur Dąbrowski (inicjator spotkania), Tomasz Roguski, Jacek Górski, Cezary Rautszko, bracia Wojciech i Michał Lewiccy, Maciej Brodacki i Grzegorz Rządkowski. Miał być jeszcze Jacek Czarnecki, ale wyjechał na obóz harcerski. Można by go chyba jednak uznać za założyciela FMW (był przecież całą duszą z nami).

Choć są w tej sprawie pewne rozbieżności w relacjach uczestników założycielskiego spotkania – z dużą dozą prawdopodobieństwa można przyjąć, że nazwa Federacja Młodzieży Walczącej jest pomysłem Artura Dąbrowskiego, natomiast autorem logo jest Jacek Górski.

Nie to jest jednak najważniejsze. Znacznie większe znaczenie miała deklaracja „Do młodzieży” (w całości cytowana na s. 224), a zważsz-



Manifestacja w Gdańsku, prawdopodobnie 3 maja 1989 r. Fot. archiwum SFMW

cza jej jasny, czytelny program. Nie bez znaczenia był też szybki „przekaz medialny”. Już we wrześniu 1984 r. apel został opublikowany w 3. numerze „Buntu”. Nieco później – po nawiązaniu kontaktu z Panią Katarzyną Kołodziejczyk, związaną zarówno z Komitetem Prymasowskim jak i RKW „Solidarność” Regionu Mazowsze – informację o powstaniu FMW podały takie pisma podziemne jak „Tu i teraz” i „Wola”, oraz – co miało chyba największe znaczenie – kilkakrotnie emitowana była przez Rozgłośnie Polską radia Wolna Europa.



Szablony do pisania na murach. Fot. archiwum SFMW

Równocześnie RKW „Solidarność” Regionu Mazowsze, a zwłaszcza w jej imieniu Henryk Wujec – udzieliło pierwszego wsparcia finansowego nowo powstałej organizacji. Nie była to gotówka tylko niewielkie znaczki w niepociętych jeszcze arkuszach z wizerunkiem Wałęsy i podpisem „Nobel 83”. Niestety większość z nich wpadła podczas rewizji u Wojtka Lewickiego, po jego przypadkowym zatrzymaniu z transportem papieru (październik 1984 r.).

Po tym pierwszym kryzysie, związanym również z ciężką chorobą Artura Dąbrowskiego, główne obowiązki przejął Tomek Roguski. Na szczęście w warszawskim środowisku FMW pojawił się Adam Golański, już wówczas drukarz „KOS-a”, któremu – jako wsparcie – Jacek Górski przydzielił Monikę Szewczak. Dzięki nim, przy pomocy Komitetu Oporu Społecznego (ramki, sita, emulsja, farby) wszystko na nowo ruszyło.



Marsz na Komitet Wojewódzki PZPR w Gdańsku, który wkrótce zostaje opanowany, 28 stycznia 1990 r. Fot. archiwum SFMW

Rozwój

Podczas gdy warszawska FMW borykała się z własnymi problemami (pierwszy numer „Naszych Wiadomości” wyszedł dopiero w lutym 1985 r.) – inne miasta samorzutnie przechwyciły pałeczkę. *Drugim regionem, w którym zawiązano struktury organizacji, był Gdańsk – pisze w opracowaniu wydanym na 25-lecie FMW o. Jarosław Wąsowicz SDB. – Stało się to za sprawą Mariusza Wilczyńskiego i Klaudii Moszczyńskiej. Od wakacji 1984 r. osoby te nosiły się z zamiarem powołania w swojej szkole niezależnej organizacji. Wkrótce po utworzeniu Federacji Młodzieży Walczącej w Warszawie do Gdańska zaczęły napływać informacje o jej powstaniu. Mariusz Wilczyński usłyszał o niej w Radio „Wolna Europa”. Postanowiono więc powołać Gdańską Federację Młodzieży Walczącej. Na przełomie października i listopada 1984 roku wydano pierwszą ulotkę sygnowaną przez GFMW. („Nadchodzi nasz czas, Federacja Młodzieży Walczącej 1984–1990”, Dom Wydawniczy „Rafael”, Kraków 2009).*

Kolejnym regionem, który dołączył do Federacji był Kraków. Wcześniej działał tutaj Ruch Młodzieży Niezależnej, który 2 listopada 1985 r. zgłosił akces do FMW. Miesiąc później (3 grudnia) w Olsztynie powstała Federacja Warmii i Mazur. Impulsem był szok wywołany w tym mieście śmiertelnym pobiciem przez ZOMO 19-to letniego studenta Marcina Antonowicza.

Lawina ruszyła. Z czasem do organizacji przystępowały grupki młodzieży z Wrocławia, Szczecina, Płocka, Gorzowa Wielkopolskiego, Łodzi, Bydgoszczy, Poznania, a nawet z mniejszych miast jak Kutno, Olkusz, Nowy Sącz czy Siedlce. Jak ocenia prof. Marek Wierzbicki – *Dzięki konsekwentnej rozbudowie struktur w momencie przełomu politycznego 1989 r. komórki FMW istniały już w prawie 80 ośrodkach miejskich. [...] Jednakże z uwagi na niezdefiniowanie w sposób precyzyjny kwestii członkostwa i brak stosownej dokumentacji wciąż nie wiadomo, czy uważano za członków FMW jedynie aktywnych uczestników codziennych działań, czy też sympatyków, sporadycznie włączających się w bieżące prace. Jest wielce prawdopodobne, że razem z tym szerszym kręgiem współpracowników liczebność Federacji mogła sięgać nawet kilku (4, a nawet 5) tysięcy.* („Federacja Młodzieży Walczącej 1984-1990” praca zbiorowa pod red. Marka Wierzbickiego, IPN, Warszawa 2015).

Działalność

Struktura Federacji nie była hierarchiczna. W praktyce każdy region miał nieograniczoną autonomię. Co prawda, jak twierdzą niektórzy uczestnicy spotkania założycielskiego na tzw. Łączce – na przewodniczącego wybrano tam wówczas Artura Dąbrowskiego, ale dotyczyło to wyłącznie Warszawy. Zresztą trwało krótko, bowiem sam zainteresowany z powodu ciężkiej choroby i częstych pobytów w szpitalu musiał ograniczyć swoją aktywność.

Oczywiście każda organizacja, nawet tak mało scentralizowana, musi mieć jakiś ośrodek koordynacyjny. Początkowo funkcję taką pełnił Komitet Założycielski, wiosną 1985 r. zastąpiony przez Radę Koordynacyjną, a w 1988 r. przez Krajową Radę Koordynacyjną. Spotykała się mniej



Manifestacja przed Uniwersytetem Warszawskim, 20 kwietnia 1989 r. Fot. Danuta Boliłowska

więcej raz na kwartał, a przyjęte komunikaty lub oświadczenia – publikowane były w prasie FMW w całej Polsce.

Głównym obszarem aktywności Federacji była działalność edytorska. W każdym regionie ukazywało się najczęściej po kilka pism FMW, a nawet odrębne w poszczególnych szkołach. O. Jarosław Wąsowicz SDB doliczył się 135 tytułów, natomiast prof. Marek Wierzbicki twierdzi, że mogło być ich ok. 200. Nakłady oczywiście znacznie się różniły – od kilkuset do kilku tysięcy egzemplarzy. Do najważniejszych tytułów należy zaliczyć: „Nasze Wiadomości” (Warszawa), „Monit” i „BISZ” (Gdańsk), „Biuletyn Młodzieży Walczącej” i „ABC” (Kraków), „Orlęta” (Płock, Kutno), „Lustro” (Szczecin), „Larwa” (Warmia i Mazury) czy „Szkoła” (Wrocław). Poza prasą drukowane były ulotki, ukazywały się kartki i znaczki poczty FMW, w Krakowie powstała Młodzieżowa Oficyna Fonograficzna, wydająca kasety magnetofonowe.

Członkowie Federacji licznie uczestniczyli w manifestacjach ulicznych, rozrzucali ulotki, pisali po murach. Wspierali też Grupy Oporu

„Solidarni”, tworząc zresztą na ich wzór własne Grupy Wykonawcze. W Warszawie i Wrocławiu powstało radio FMW, nadające na sprzęcie wypożyczonym od „dorosłej” opozycji.

FMW zajmowała się też działalnością edukacyjną. W wielu regionach działały biblioteki udostępniające książki „drugiego obiegu”, organizowano kursy samokształceniowe, z których najslawniejszym był gdański „Harward”. Federacja występowała czasem w roli rzecznika środowiska uczniowskiego. W 1986 r. w proteście przeciw reformie edukacji przygotowywanej przez komunistyczne władze przeprowadzono akcję cichych przerw w szkołach. Nie cieszyła się ona jednak zbyt dużym poparciem, czemu zresztą trudno się dziwić – stała w sprzeczności z naturą młodego człowieka, który raczej woli hałas niż ciszę.

Inwigilacja

Początkowo Służba Bezpieczeństwa nie do końca wierzyła, że w Warszawie powstała nowa młodzieżowa, antykomunistyczna organizacja. Niemniej, już w listopadzie 1984 r. Wydział III Stołecznego Urzędu Spraw Wewnętrznych założył sprawę operacyjnego sprawdzenia o kryptonimie „Łączność”, mającą zweryfikować informację o założeniu FMW. Gdy z czasem do rąk SB docierały kolejne pisma Federacji – temat zaczęto traktować coraz poważniej. Zaczął nią się zajmować Departament III MSW, a później również elitarne Biuro Studiów SB.

Mimo, że Służba Bezpieczeństwa stopniowo uzyskiwała informacje o poszczególnych członkach organizacji – nie od razu kojarzyła ich z Federacją, najczęściej byli przecież zaangażowani również w inne działania opozycyjne. By uzyskać więcej danych SB zakładała kolejne Sprawy Operacyjnego Rozpoznania np. „Gol” (inwigilacja Adama Golańskiego – Warszawa), lub „Waleczni” (dotyczącą środowiska FMW w Bydgoszczy).

Z czasem FMW zaczęła dostawać „bolesne” ciosy. Należy do nich zaliczyć: zlikwidowanie drukarni na ul. Tamka (Warszawa, marzec 1986 r.), wypadka ok. 20 działaczy (Wrocław, sierpień 1986 r.) czy poważne osłabienie grupy bydgoskiej (wrzesień 1988 r.). Te sukcesy SB nie rozbiły jednak struktur FMW, choć z pewnością je nadwyrężyły. Nie udało się

też, mimo zastraszania i często bicia, zwerbować nikogo z czołowych działaczy Federacji na tajnego współpracownika. Swoją drogą, daleko idące zdecentralizowanie organizacji – było w tym aspekcie jej dużym atutem.

Oceny po latach

FMW była pierwszą niezależną od aparatu władzy PRL organizacją, która postawiła sobie za cel stworzenie szerokiego frontu antykomunistycznej opozycji w środowisku młodzieżowym i ten cel osiągnęła. Co najmniej do przełomu lat 1988 i 1989 Federacja była nie tylko największą i najdłużej działającą (blisko 6 lat) strukturą konspiracji małoletnich, lecz także – z czasem – urosła do rangi największej tego typu organizacji w skali całego kraju – uważa dr Bartłomiej Noszczak („Federacja Młodzieży Walczącej 1984–1990” praca zbiorowa pod red. Marka Wierzbickiego, IPN, Warszawa 2015). Z kolei, cytowany już wcześniej prof. Marek Wierzbicki stwierdza – Biorąc pod uwagę stosunkowo niedużą liczebność FMW (kilka tysięcy uczestników na tle ok. 6 mln Polaków od 15. do 25. roku życia), uczestnictwo w jej strukturach nabierało elitarnego charakteru. Liczby nie odgrywały jednak najważniejszej roli. O wiele istotniejsze były postawy członków FMW, które wyraźnie różniły się od typowych dla ówczesnego młodego społeczeństwa. Stąd można ich uznać za grupę budującą etos, tzn. zbiorowość wyróżniającą się całokształtem wyznawanych i realizowanych w praktyce wartości.

MIAŁO BYĆ BOJOWO. TAKI MIELIŚMY POMYSŁ

Z TOMASZEM ROGUSKIM
ZAŁOŻYCIELEM I DZIAŁACZEM
FEDERACJI MŁODZIEŻY WALCZĄCEJ
ROZMAWIA ŁUKASZ PERZYNA

– Czy Federacja Młodzieży Walczącej rzeczywiście powołana została w trakcie spotkania na polanie, w takich – jeśli użyć języka ówczesnych filmów, bo był rok 1984 – pięknych okolicznościach przyrody?

– To była raczej łąka, niż polana. Łąka z krzakami, chaszcze nad Wisłą. Na Pradze Południe. W czerwcu, na świeżym powietrzu. Nie jest chyba istotne, jak nazwiemy miejsce tego wydarzenia. Ważne, że w czerwcu 1984 r. powstała Federacja Młodzieży Walczącej.

– Dlaczego w plenerze?

– Był czerwiec, zaczynały się wakacje, a spotkanie na świeżym powietrzu łatwiej było zorganizować. Wcześniej widywaliśmy się w mieszkaniach, ale na takich spotkaniach bywało zwykle 5-6 osób. A na spotkaniu założycielskim od początku miało być co najmniej kilkanaście osób. Przynajmniej tyłu z nas na nie dotarło.

– Czy datę dzienną – jak to określają historycy – 29 czerwca może Pan potwierdzić, bo taka pojawia się w niektórych przekazach?

– Spotkanie założycielskie FMW odbyło się bez wątpienia w końcu czerwca 1984 r. i dzień 29 czerwca jest bardzo prawdopodobny. Tego dnia odbywało się rozdanie świadectw, a Jacek Górski pamięta, że spotkaliśmy się akurat w dniu zakończenia roku szkolnego. Nie podaliśmy

wówczas daty dziennej bo, po pierwsze, nie ma to żadnego znaczenia, a po drugie, żeby nie ułatwiać zadania Służbie Bezpieczeństwa, która zawsze mogła któregoś z uczestników spotkania śledzić, określić jego marszrute, wytypować z kim się spotkał.

– Funkcjonował taki kodeks BHP opozycyjny, pamiętam jak pisywałem równocześnie jako student do prasy KPN i Solidarności, to mnie proszono w ramach tych zasad bezpieczeństwa i higieny pracy, żeby Broń Boże w obu kręgach nie posługiwać się tym samym pseudonimem, bo SB w ten sposób identyfikuje wzajemne powiązania struktur... MSW dysponowało już wtedy zakupionym za sprawą Roberta Maxwella nowoczesnym systemem komputerowym, wspominają o tym biografowie magnata. W każdym razie spotkaliście się, nikt tego zebrania pod gołym niebem nie rozbił. Kilkunastu Was było, to już Pan mówił, ale bardziej 11 czy 19 osób?

– Dziewiętnastu osób nie było na pewno, trochę mniej. Tylko chłopaki, żadnej dziewczyny nie zapamiętałem, wtedy jeszcze parytety nie obowiązywały. Później mnóstwo dziewczyn mocno zaznaczyło swoją obecność w FMW, bez nich Federacja nie byłaby sobą, ale akurat na spotkaniu założycielskim grono okazało się wyłącznie męskie. Nie udało się ściągnąć w jedno miejsce wszystkich, którzy w naszym środowisku działali. Nie było z nami Mariusza Kamińskiego. Mieszkał wtedy poza Warszawą, z jakichś powodów nie dotarł. Jacek Czarnecki z kolei też działał z nami, ale wtedy już wyjechał organizować obóz harcerski, bo tym również się zajmował, a przecież zaczynały się wakacje. Spotkali się ludzie, którzy często jeszcze się nie znali osobiście, ale ich środowiska współpracowały. Najlepiej z grona uczestników znałem Artura Dąbrowskiego, który tamto spotkanie na łące organizował. Chodziłem z nim do szkoły, XX Liceum Ogólnokształcącego im. Bolesława Chrobrego, siedzieliśmy nawet w jednej ławce. Artur zapraszając ludzi ściągnął tych, których uznał za zainteresowanych działalnością opozycyjną, i którzy – jak uważał – wniosą do niej coś własnego. Miał rozeznanie, bo chodził wcześniej do liceum Mickiewicza, gdzie uczył się też inny założyciel FMW Cezary Rautszko. Tak się złożyło, że na początku FMW to głównie Praga.

– Jakie były korzenie Waszego środowiska? Obaj jesteśmy ze szczęśliwego jak na historię Polski rocznika 1965, można powiedzieć, że wszyscy powinni nam zazdrościć, że liceum zaczęliśmy dzień po Porozumieniach Gdańskich...

– Z Arturem Dąbrowskim znałem się wcześniej. W okresie legalnego funkcjonowania pierwszej Solidarności działaliśmy w Federacji Młodzieży Szkolnej. Artur Dąbrowski był u nas w Chrobrym od jesieni 1981 r, przeniósł się tu z Mickiewicza i nieźle się orientował we wszystkim, co dotyczyło młodzieżowej polityki. Działały już wtedy URO (Uczniowski Ruch Odnowy) i MKO (Międzyszkolny Komitet Odnowy).

– Pamiętam jak w Batorym znaczki URO rozpowszechniał Krzysztof Miller, później wybitny fotoreporter. Oferował je tym, co w szkole chodzili z przypiętymi znaczkami Solidarności. Ale jakieś spotkanie zapoznawcze z udziałem przedstawicieli URO z innych szkół w Batorym zorganizowane zakończyło się kłótnią czy jakiś działacz jest pijakiem czy nie, poza to nie wyszli. To znaczy wychodzili, ale uczestnicy w trakcie tej dyskusji. Mój kolega z klasy Andrzej Zientak, którego starszy brat prowadził wtedy na UW sklepik NZS z wydawnictwami niezależnymi, opuszczając to zebranie demonstracyjnie odpiął znaczek URO...

– Mam nieco lepsze wspomnienia z tego czasu, dużo więcej się udawało. Ludzie wywodzący się z URO i MKO pojechali jesienią na drugą turę zjazdu Solidarności do Gdańska. Tam z różnych środowisk powstała Federacja Młodzieży Szkolnej. Artur wtedy, kiedy razem byliśmy w drugiej klasie szkoły średniej, miał już swoje kontakty i wiedział o spotkaniach tego kręgu, które odbywały się w klubie architektów na Politechnice. Parę razy tam poszedłem. Pojawiał się na nich m.in. Tomasz Sokolewicz, bardzo pewny siebie i potrafiący zaimponować innym. Środowisko tworzyło 30-40 osób. Wiele z nich, jak Justynę Duriasz czy Ikę Walc spotkałem później ponownie już na Uniwersytecie Warszawskim. Ale wtedy byliśmy jeszcze w młodszych klasach szkoły średniej. Wiedziałem, co to takiego ROPCiO, KOR i KPN, słuchałem po polsku radia z zagranicy.

– Co wtedy planowaliście?

– Postanowiliśmy powołać komitety w dzielnicach. Nasz na Pradze Północ mieliśmy tworzyć my z Arturem oraz dwie dziewczyny z XIII liceum na Oszmiańskiej – Kaśka Bachanek i Marzena Duszyńska. Potem, kiedy wprowadzono stan wojenny, okazało się, że nasze środowisko przetrwało. Wyłoniła się z niego redakcja „Buntu”.

– To już było wiano, które wnieśliście do tworzącej się Federacji Młodzieży Walczącej. Czy tytuł Waszego pisma „Bunt” stanowił nawiązanie do przedwojennego sanacyjnego „Buntu Młodych” Jerzego Giedroycia czy dla Was to było po prostu... ładne słowo?

– Trafne słowo. Chodziło nam o zdecydowane działania, miało być bojowo... Wiedzieliśmy oczywiście, kim jest Giedroyc, a niektórzy orientowali się również, czym był „Bunt Młodych”. Jednak nasz tytuł do jego pisma nie nawiązywał. Pragnęliśmy raczej zaznaczyć naszą nieustępliwość wobec komunistycznej władzy, która z czasem stała się pokoleniowym wyróżnikiem FMW. Nasz pomysł opierał się na bojowości i rzeczywiście głównie z nim weszliśmy później do Federacji jako środowisko „Buntu”. We wrześniowym numerze z 1984 r. powiadomiliśmy już o powołaniu FMW. Ale był to już finał tego tytułu, po „Buncie” wydawaliśmy „Nasze Wiadomości”.

– Odnoszę wrażenie, że z dużym sentymentem mówi Pan o Liceum Chrobrego. Czy to był taki Piemont młodzieżowej opozycji w Warszawie?

– Pamiętam, jak w 1981 r. ogłaszałem na dużej przerwie – bo Artur był nowy i ludzie go nie znali, więc zrobiłem to ja – że powstała Federacja Młodzieży Szkolnej i będziemy działali. W szkole była silna Solidarność nauczycielska. Dyrektor Franciszek Baczewski nas znał, był przez moment polonistą w naszej klasie. Wszyscy go dobrze wspominają. Nie mieliśmy problemów z jego strony, także później, w latach 1982–84. Orientował się kto robi coś konkretnego w szkole i złego użytku nigdy z tej wiedzy nie uczynił. Kolportowaliśmy „Ucznia Polskiego”, pismo miało wtedy swój najlepszy czas. Formalnie stało się tytułem Federacji Młodzieży Szkolnej. Regularnie duży nakład drukowano w NZS.

Dyrektorowi różne teksty tam zamieszczane się nie podobały, mówił nam o tym, dyskutowaliśmy. Trzeba pamiętać, że Federacja Młodzieży Szkolnej nie była organizacją polityczną, koncentrowała się na sprawach szkolnych, postulowała na przykład likwidację ocen. Mieliśmy szczęście do nauczycieli. Nauczyciel łaciny, Krzysztof Górski, w 1983 roku utworzył koło samokształceniowe. Pozostawał dla nas znaczącą osobą. Podobnie jak młody nauczyciel chemii, który w trakcie milczącej przerwy już w stanie wojennym po prostu do nas dołączył, gdy protestowaliśmy.

– Największa milcząca przerwa w warszawskich szkołach odbyła się w Batorym 16 lutego 1982, ku czci górników z Kopalni Wujek. Było nas 800 osób. Kwestię udziału nauczycieli dyrektorka Teresa Garncarzyk, z PZPR ale też osoba wyjątkowo uczciwa i przyzwoita – rozwiązała tak, żeby wszystkich uchronić przed represjami. Po prostu niby wydała nauczycielom polecenie, żeby zabrali nas do klas. Nikt z pedagogów nie mógł być potem ciągnany na przesłuchania, że go z uczniami widziano na strajku, bo przecież polecenie dyrekcji wykonywał... Ale też oczywiście nikt nikogo nigdzie stamtąd nie zabierał. Byli z nami i mieli alibi. Wilk syty i owca cała. We współczesnej Biblii Pauperum czyli Wikipedii są o naszej Pani Dyrektor same bluzgi, może mściwi drugorocznicy to hasło o Batorym napisali, ale ona ratowała młodzież i szkołę, wtedy Batory był enklawą, gdzie nikt się nie bał.

– Chwali Pan swoją szkołę, ale to rola Liceum Chrobrego okazała się wyjątkowa. Tam właśnie – do nas – trafił Mariusz Kamiński. Zatrzymano go w Warszawie podczas demonstracji 3 maja 1983 roku i wyrzucono z wilczym biletem z liceum w Sochaczewie. Niewesoła sytuacja. Pomogły mu panie z Komitetu Prymasowskiego na Starym Mieście. Katarzyna Kołodziejczyk przyszła do naszego dyrektora i załatwiła to, że Mariusz szkołę skończył.

U nas w szkole nauczyciel nigdy nie doniósł na ucznia. A to wcale nie było regułą. W Jaśle w 1982 roku osiemnastoletnią uczennicę SB wyprowadziła ze szkoły w kajdankach – zarzucono jej kolportaż ulotek. Oczywiście wpadki i represje nie omijały też Warszawy. Robert Kozak

w swojej szkole na Mokotowie był przewodniczącym samorządu. Został internowany, gdy przed 1 maja 1982 roku w szkole pojawiły się ulotki.

W Chrobrym łatwiej było przetrwać najtrudniejsze lata. Mieliśmy kontakt z podziemną Solidarnością nauczycielską, działało koło samokształceniowe zajmujące się historią i literaturą, szło przez nie wiele bibliotek. W obiegu były stałe książki, a z pism „Kos”, „Tygodnik Mazowski”, „Tu i Teraz”, „Niepodległość”. Podobne koła istniały w innych szkołach, na pewno w żoliborskim Lelewelu.

– W pewnym momencie doszliście jednak do wniosku, że to co jest, już Wam nie wystarczy. Chcieliście mieć coś własnego?

– Mieliśmy kontakt ze środowiskiem „Ucznia Polskiego”. Poznałem wtedy Krzysztofa Czumę, zawsze dawał mi „Szkółę Polską” i pozostawał bardzo tajemniczy. Dziewczyny z „trzynastki” także chciały działać. Z końcem 1983 r. wykrystalizował się pomysł pisma „Bunt”. To nie była duża gazetka, ale... scalająca. Wokół niej skupili się ludzie, którzy myśleli podobnie. Ważną rolę odegrał Wojciech Lewicki, dzięki niemu mieliśmy dostęp do poligrafii, bo jego wujek prowadził podziemną drukarnię. Pierwszy numer ukazał się na początku 1984 roku. Z dzisiejszej perspektywy widać, że „Bunt” był jednym ze źródeł FMW. Może znaczenie zebrania na łączce trochę zmitologizowano, ale wtedy powstała Federacja Młodzieży Walczącej, musiał być akt założycielski. Ważne okazało się raczej to, co kto robił później...

– A co konkretnego robiliście?

– Część środowisk wtedy na łączce obecnych nie włączyła się w późniejsze wspólne działania. Grupa „Buntu” i grupa z Grochowa weszły natomiast w nową jakość. Mariusz Kamiński wtedy na spotkaniu nieobecny, przeszedł szybko do działalności na uniwersytecie. Zdał na historię, na obozie integracyjnym w Kazimierzu poznał Andrzeja Anusza, tam już kształtowały się zręby środowiska odradzającego się NZS. Szybko postanowili też wykorzystać do działania koła naukowe, historyczne, ówczesna ustawa o szkolnictwie wyższym stwarzała takie możliwości. Nasze drogi się rozeszły, gdy Mariusz zajął się polityką studencką. Zresz-

tą w tym czasie miała miejsce w środowisku podziemnego NZS pamiętna wpadka w Pułtusk. Dotknęła głównie działaczy z Wydziału Prawa UW. Kiedy okazało się, że oni są spaleni i przez jakiś czas muszą się zachowywać ostrożniej, również po to, żeby nie ściągnąć nieszczęścia na innych – tym większa rola przypadła działaczom z historii.

– Federacja Młodzieży Walczącej stała się nową jakością?

– Różnica między FMW a wcześniejszą FMS jest wyraźna. FMW miała być młodzieżowa, a nie szkolna. Miała skupiać nie tylko licealistów, ale także studentów i młodzież już pracującą. FMW definiowała się ogólnie, by skupiać różne środowiska, ale programowo okazała się jednoznaczna. Popieramy Solidarność, chcemy niepodległości – te dwa hasła to fundament, zapisany już w podstawowych dokumentach, które wtedy przyjęliśmy.

– Czy młodzi robotnicy do Was dołączali?

– Od razu z nami byli, często nasi koledzy z podstawówek, dla nas to przecież nie miało znaczenia. W szkole zawodowej był Piotr Szyński czy Grzegorz Rządowski. Artur poszedł do pracy w bibliotece uniwersyteckiej. Federacja Młodzieży Szkolnej działała głównie w liceach, a my z FWM postanowiliśmy wystartować szeroko. W Zespole Szkół Zawodowych przy Hucie mieliśmy silną grupę. Podobnie w Zespole Szkół Poligraficznych na Stawkach, stamtąd wywodzili się Jacek Kutzner, Tomasz Pieczyński i Jacek Ostrowski. Dużą grupę młodzieży ze szkół zawodowych przyciągnęła Federacja Młodzieży Walczącej w Gdańsku, wydawała dla nich biuletyny informacyjne. Podobnie we Wrocławiu i w Krakowie, a właściwie bardziej Nowej Hucie pojawili się ciekawi ludzie ze środowiska zawodówek.

– Ale chyba nie wszystko się udawało. Nie udało się wydać trzech gotowych numerów pisma Federacji Młodzieży Walczącej?

– Rzeczywiście utknęły na zawsze w jednej z drukarni. To nie była nasza drukarnia, mieli pilniejsze zajęcia a potem już nic nie dało się z tym zrobić. Nie byliśmy najważniejszym dla nich tytułem, zaś później w drukarni miała miejsce wpadka i wszystko przepadło, nie tylko te trzy nasze już złożone numery.

Niebawem i tak okazało się, że środowiska FMW wydają wiele własnych pism w całej Polsce. Naszą siłą pozostawała też lokalność, liczne grupy działania nie tylko w dużych ośrodkach ale także w mniejszych, jak Kolno czy Chełm. Działała z nami Stalowa Wola i Piotrków Trybunalski. Po latach na listę dawnych działaczy FMW na naszej stronie internetowej wpisało się ponad tysiąc osób.

– Mnie to przypomina jak na dziesięciolecie niepodległości Józef Piłsudski rozejrzał się po wypełnionej kombatanami sali i burknął: – Żebym ja was wtedy tylu miał...

– Tysiąc osób – ta liczba mnie na pewno nie szokuje, mnóstwo ludzi przewinęło się przez naszą organizację. Praktycznie z całej Polski. Nie da się tego w żart zamienić.

– Od początku spotykały Was ostre represje. Jak komuniści odbierali FMW?

– Rozpracowywaniem Federacji Młodzieży Walczącej zajmowało się esbeckie Biuro Studiów MSW, struktura, jeśli można tak powiedzieć, elitarna w resorcie, co stanowi dowód, że przeciwnik nas doceniał i uznawał, że stanowimy zagrożenie. Trzeba pamiętać, że w Warszawie przez dłuższy czas Niezależne Zrzeszenie Studentów dreptało w miejscu. To Federacja Młodzieży Walczącej się rozwijała.

Działaczy FMW spotykały represje, np. porwanie i pobicie Jacka Górskiego w styczniu 1986 r. Krzysztof Kowalski z Płocka wielokrotnie został pobity, w nowej Polsce uhonorowano go Krzyżem Komandorskim Polonia Restituta. Z grona czołowych działaczy Federacji kilka miesięcy w więzieniu na Białoleńcu przesiedział Jacek Czarnecki, jeszcze przed amnestią z 1986 r. Gdy wpadła służąca KOS-owi i nam drukarnia w Warszawie na Tamce, gdzie drukowaliśmy „Nasze Wiadomości”, zatrzymano cztery osoby, również Ninę Ruczeko, właścicielkę mieszkania, starszą panią, która bardzo nam pomagała. Wtedy Robert Napiórkowski i Jacek Kutzner dostali wyroki, które odsiedzieli w Białoleńcu. Nigdy za to nie wpadła inna drukarnia Adama Golańskiego na Klonowej, chociaż położona była w strategicznym miejscu, prawie przy MON, dwa kroki od Belwederu i ambasady radzieckiej.

– „Opinia” zamieściła niedawno pochodzące z lat 80. a wykonane przez Danutę Bolikowską Pana zdjęcia w trakcie drukowania „Tygodnika Mazowsze”¹. Na jednym z nich sam Pan zajmuje się sitodrukiem, na drugim ustawia powielacz, czemu przygląda się Piotr Węgrowski. Jak godziliście działalność w FMW, na pewno absorbującą, z pracą dla *dorosłej* – jeśli tak można powiedzieć – opozycji?

– Te zdjęcia pochodzą z przełomu lat 1988 i 1989, gdy nie działałem już w FMW, ale z pewnością jedno drugiemu nie przeszkadzało. Bardziej pomagało, choćby pożytek z nawiązywanych kontaktów okazywał się wspólny – zarówno dla FMW jak struktur Solidarności w podziemiu. Nie dzieliliśmy własnych działań na pokoleniowe i związkowe czy ogólnospołeczne, jakkolwiek to nazwać. Jeszcze w 1984 poznałem Adama Golańskiego, drukarza KOS-a. Szybko odnalazł się również w FMW, a my zaczęliśmy u niego drukować nasze pisma. Nawiązaliśmy też kontakt z Grupami Oporu Solidarni. Sztyld nie był najważniejszy, ważne że mogliśmy zrobić coś razem. Głównie jeśli chodzi o konkretne działania, druk i kolportaż.

– **Jak patrzyły na was partie polityczne? Czy na tle podejścia do nich dochodziło do konfliktów?**

– Dla nas Federacja Młodzieży Walczącej pozostawała samoistną wartością. Pojawiła się też jednak grupa zorientowana na PPN...

– **...Polską Partię Niepodległościową Romualda Szeremietiewa i Tadeusza Stańskiego. Zainicjowali ją rozłamowcy z KPN. Bardziej radykalna od Konfederacji nie zyskała sobie jednak podobnej sławy, bo na nią trzeba pracować przez lata.**

– W 1989 r. PPN próbowała podporządkować sobie Federację. Ale to się nie udało.

– **Dlaczego?**

– Fenomen Federacji Młodzieży Walczącej polegał także na dużym poczuciu niezależności. Podkreślaliśmy różnorodność a nie partyjność. Nie trzeba było pobierać legitymacji ani przysięgi składać.

¹ „Opinia” nr 22, wiosna 2019, s. 180.

– Nie wszyscy wiedzą, że w KPN do końca poprzedniego ustroju ją składano. Pamiętam kiedy sam przystępowałem do Konfederacji a był to już rok 1988, złożyłem przysięgę w mieszkaniu Wojciecha Gawkowskiego na Bródnie i w obecności późniejszej posłanki Katarzyny Pietrzyk, wtedy redaktor naczelnej „Orla Białego”. Traktowaliśmy to z dystansem, ale jednak przysięga była...

– Widzi Pan, a w Federacji nie... I bez niej wiedzieliśmy czego chcemy.

– Łączyliście zróżnicowane środowiska.

– Oczywiście, że tak. Z jednej strony przystępowała do nas młodzież punkująca, nie pogodzona nie tylko z komuną, ale w ogóle ze światem, z wartościami pokolenia rodziców. Z drugiej strony wiele grup było blisko związanych z Kościołem.

– Czy to nie było tak, że przyszedł Okrągły Stół i Was podzielił? Nie wszyscy pamiętają, że Federacja Młodzieży Walczącej miała przy Okrągłym Stole swojego reprezentanta. Został nim Piotr Szynkiel, pracujący wtedy w pogotowiu ratunkowym².

– W tle ówczesnych podziałów znajdował się oczywiście Okrągły Stół. Część Federacji Młodzieży Walczącej go nie chciała. Przy Okrągłym Stole nie było przedstawiciela FMW. Piotr Szynkiel był doradcą strony solidarnościowej w podstoliku ds. młodzieży. Większość FMW była jednak przeciw a w każdym razie traktowała rozmowy z władzą bardzo nieufnie. Podziały często szły w poprzek poszczególnych ośrodków. Na Wybrzeżu Gdynia była radykalna i trzymała z PPN, ale Gdańsk był już bardziej zróżnicowany. W Krakowie działały w FMW zarówno środowiska radykalne jak i bardziej umiarkowane. Jedni uważali, że dobrze się dzieje, jeżeli Solidarność prowadzi rozmowy, bo coś konkretnego może przy tym uzyskać. Inni odbierali jak zdradę samo siadanie do stołu negocjacyjnego z komunistami.

Okrągły Stół ani wybory czerwcowe 1989 r. nie zakończyły aktywności Federacji. Również później FMW zasłynęła radykalnymi akcjami. Federacja miała swój zasadniczy udział w obaleniu pomnika Lenina

² Por. Kto jest kim. Okrągły Stół, Myśl, Warszawa 1989.

w Nowej Hucie. Po regularnych demonstracjach FMW sfatygowany przy tych okazjach monument zdemontowano w grudniu 1989 r.

– Do Nowej Huty już nie wrócił. Potem kupił go za 100 tys. koron ekscentryczny szwedzki miliarder, zbierający osobliwości.

– Pozbycie się Lenina to był niewątpliwy i spektakularny sukces. Ale wyróżniliśmy się nie tylko przy tej symbolicznej okazji. W styczniu 1990 r. FMW zajęło budynek KW PZPR w Gdańsku. Bezpośrednią przyczyną były wiadomości, że niszczy się archiwa, zaciera ślady wieloletniej działalności PZPR. Ta akcja zwracała uwagę na nierozwiązany problem majątku PZPR. W gdańskim Komitecie zapobiegliśmy dalszemu niszczeniu pozostałych po partii komunistycznych dokumentów, które cięto i palono.

Ale w 1990 roku czas FMW już się kończył. W latach osiemdziesiątych liczyło się wspólne działanie, przeżycie pokoleniowe. Popieraliśmy Solidarność, chcieliśmy niepodległości. Gdy nastała już nowa Polska zabrakło elementu jednoczącego.

– Jakie miejsce działacze FMW zajmują w nowej Polsce, o którą walczyli? Wiadomo, że Jacek Górski z rozmachem organizuje eventy, w tym imprezy patriotyczne. Ludzie współtworzący kiedyś Federację obecni są w mediach jak Jacek Czarnecki – czołowy reporter polityczny Radia Zet i korespondent wojenny, towarzyszący żołnierzom na misjach czy Beata Mikluszka – dziennikarka telewizyjna i autorka biografii Tomasza Merty, wywodzącego się ze środowiska KPN wiceministra kultury, który nie wrócił z delegacji do Smoleńska³. Parę osób z kręgu FMW obecnych jest w polityce...

– Krzysztof Kwiatkowski był prezesem NIK, w polityce w Krakowie z grona dawnej FMW działają – w jakimś sensie symetrycznie – Grzegorz Lipiec z PO i Włodzimierz Pietrus z PiS. W FMW był obecny prezydent Płocka Andrzej Nowakowski. To niewiele. Federacja zrealizowała swoje cele, które sobie postawiliśmy w trakcie założycielskiego spotkania na łączce nad Wisłą: ponowną legalizację Solidarności, niepodległość i demokrację. Na tym jednak kariery się nie zrobiło. Ale też nie po to przecież działaliśmy.

³ Por. Beata Mikluszka, Łukasz Perzyna, *Poeta na urzędzie*, Akces, Warszawa 2011.

W KRĘGU FMW

Z ARTUREM DĄBROWSKIM
ROZMAWIA WOJCIECH LEWICKI

Jest pogodny dzień czerwca, podobny do tego sprzed 35 lat, kiedy powstawała Federacja Młodzieży Walczącej. Umówiłem się na spotkanie z Arturem Dąbrowskim – jednym z założycieli FMW, przez niektórych uważanym za pierwszego (i zarazem ostatniego) szefa Federacji. Ani mój rozmówca, ani miejsce spotkania nie są przypadkowe – taras przedwo-



jennej, oficerskiej willi w Rembertowie (jedna z dzielnic Warszawy), w której – co tu ukrywać – w jakiejś mierze rodziła się Federacja.

Dzwonek do furtki – przyszedł. Nawet niewiele się zmienił. Co prawda trochę przerzedły mu włosy, trochę posiwiały, ale nadal uśmiech ten sam. Po jakiś wstępnych uprzejmościach – przystępujemy do zasadniczej rozmowy.

W. L.: W połowie września 1981 r. w Gdańsku, pod auspicjami „Solidarności” i Niezależnego Zrzeszenia Studentów powstała Federacja Młodzieży Szkolnej. Byłeś jej członkiem. Jakbyś zatem scharakteryzował tą chyba mało znaną organizację – opozycyjna, niepodległościowa, czy tylko niezależna?

A. D.: Określenie: niezależna – chyba jest wystarczające. Tak jak „Solidarność” nie miała w swoim programie zbyt radykalnych haseł, tak samo FMS odwoływała się do pluralizmu w życiu społecznym i korekty programów szkolnych. Jest jednak pewna różnica – Federacja Młodzieży Szkolnej była organizacją nielegalną, bowiem przed Stanem Wojennym nie zdążyła zostać zarejestrowana, oraz nie była tworzona „oddolnie”, a raczej – stąd nazwa – federowała kolejne grupki opozycyjnie nastawionej młodzieży takie jak np.: Międzyszkolny Komitet Odnowy, czy Wolne Konwersatorium Uczniowskie. Wydawało nam się, że powstaje organizacja, która „roboczo” będzie wprowadzała pewne zmiany w szkole.

– Gdy trzy lata później, w czerwcu 1984 r., w Warszawie powstała Federacja Młodzieży Walczącej – skorzystała ze „schematu organizacyjnego” swojej starszej siostry. Co zresztą (nie bez powodu) słychać w podobieństwie nazw. Spośród założycieli FMW jedynie Ty i Tomek Roguski byliście wcześniej związani z FMS. Ale to chyba wszystkie punkty styczne. Programy zdecydowanie się różnią. Podczas gdy w 1981 r. chodziło tylko o ograniczoną niezależność (nawet sama „Solidarność” w swoim statucie uznawała przecież przewodnią rolę partii), to w 1984 r. jest już zupełnie inaczej. *Celem ostatecznym naszej walki* – jak napisano w deklaracji programowej FMW – *jest Polska Niepodległa*. Skąd ta radykalizacja postaw?

– Po wprowadzeniu Stanu Wojennego wszyscy coś robiliśmy – jeden drukował jakieś ulotki, inny pisał po murach, kolportowaliśmy podziemne wydawnictwa, chodziliśmy na demonstracje. Szybko zaczęliśmy sobie jednak zdawać sprawę, że z „czerwonymi” nie ma już o czym rozmawiać. Żeby cokolwiek zmienić, choćby programy szkolne – wcześniej trzeba obalić system, inaczej nic z tego nie będzie. Ponadto Federacja Młodzieży Walczącej, w przeciwieństwie do FMS, nie powstawała już pod auspicjami „Solidarności” (choć przy jej wyraźnej pomocy), dlatego mogła sobie pozwolić na swój własny, znacznie bardziej radykalny program. Deklaracja „Do Młodzieży” autorstwa Tomka Roguskiego – jest tego wyrazem.

– Jak się szybko okazało, ten radykalny program nie był tylko „czczym gadaniem”. Już w 1985 r., po nawiązaniu kontaktu z Teodorem Klimcewiczem (w kręgach opozycyjnych bardziej znanym jako „Teoś”), założycielem Grup Oporu „Solidarni” – część kolegów zasilila tą „bojową”, podziemną strukturę. Mało tego, na ich wzór FMW stworzyła własne tzw. Grupy Wykonawcze. Najślynniejszą ich akcją w Warszawie było zamontowanie „gadały” obok aresztu na Rakowieckiej ze specjalną audycją dla więźniów politycznych. Dedykowana była Izie Makowskiej – siedzącej tam wówczas członkini Federacji – która zresztą, będąc w odległym bloku, jej w ogóle nie usłyszała. Ten radykalizm nie był więc tylko deklaracyjny?

– Rzeczywiście wielu z nas garnęło się do takiej roboty. Sam jednak w tym nie uczestniczyłem z powodu ciężkiej choroby. W środowisku warszawskim najbardziej aktywni w tej dziedzinie byli: Jacek Górski „Wiejski”, Jacek Czarnecki czy Piotrek Szynkiel. Zresztą część z nich zapłaciła za to wysoką cenę. Jacek Górski ciężkim pobiciem przez tzw. nieznanych sprawców, a Jacek Czarnecki – więzieniem i wojskową kompanią karną.

Nie był to jednak jedyny aspekt naszej działalności. FMW w większym stopniu koncentrowała się na wydawaniu własnych pism, nie zapomnieliśmy też o samokształceniu. W wielu miastach powstawały podziemne biblioteki (zresztą sam jedną z nich założyłeś), były orga-



nizowane wykłady prowadzone przez historyków, literatów lub nawet malarzy.

– Niemniej radykalizm Federacji stopniowo narastał. Już w kilka miesięcy po jej powstaniu zostaje porwany, a jak się później okazało brutalnie zamordowany, ks. Jerzy Popiełuszko. Od samego początku, już jako FMW, byliśmy aktywni w tzw. Służbie Porządkowej w parafii św. Stanisława Kostki, która chroniła kościół przed prowokacjami Służby Bezpieczeństwa. Dowodziła nią żona Moczulskiego i Jaworski (szef „Solidarności” w Hucie Warszawa). Część młodzieżowych, opozycyjnie nastawionych grup wówczas się poznała, co mimo tragedii sytuacji było impulsem do rozbudowy struktur FMW. Inna sprawa, że przed samym pogrzebem „pałeczkę” przejęły kościelne Służby Porządkowe, a nas z terenu kościoła wygnano.

– Rzeczywiście sam fakt porwania i bestialskiego morderstwa ks. Popiełuszki dla całej opozycji miał ogromne znaczenie. Był to moment, w którym szczególnie młodym ludziom mocniej zaciśnęły się pięści.

Komuna chcąc nas zastraszyć jeszcze bardziej nas zjednoczyła, a samo tragiczne wydarzenie pobudziło do intensywniejszego działania. Kościół Stanisława Kostki był dla nas pewnym azylem wolności, gdzie można było poznać nowych ludzi i wymienić się doświadczeniami w walce z komuną.

– Skoro rozmawiamy w dużej mierze o warszawskiej FMW, rodzi się pytanie: powstała przecież tutaj, ale pod koniec lat 80. w stolicy prawie już nie istniała? Odwrotnie było w Gdańsku, Krakowie, czy choćby w stosunkowo niewielkim Olsztynie. Czym to tłumaczyć?

– Podziemna „Solidarność” była szeroko pojętym dużym ruchem społecznym, a przy tym wiodącą siłą całego podziemia antykomunistycznego, mającą oczywiście spory posłuch w społeczeństwie. Logicznym i naturalnym procesem dla wielu młodych ludzi było wstępowanie w szeregi „dorosłej” opozycji, a ta z kolei potrzebowała „świeżej krwi” zwłaszcza, że pod koniec lat osiemdziesiątych nastąpił pewien marazm w jej szeregach, i w efekcie brak zdecydowanych działań np. po zamordowaniu księdza Jerzego. Młodzi ludzie z Federacji doskonale się do tego nadawali. Sam, w 1984 r., w kilka miesięcy po założeniu Federacji, zacząłem pracować w Bibliotece Uniwersytetu Warszawskiego, równocześnie „zasilając” tamtejszą „Solidarność”. Zresztą, spośród założycieli FMW, pod koniec lat 80-tych, aż trzech prowadziło drukarnie „Tygodnika Mazowsze”: Tomek Roguski, Czarek Rautszko i Ty, spłacając niejako dług wdzięczności za pomoc w powstaniu FMW. Mało tego, mniej więcej od 1986 r. w Warszawie, w związku z wejściem na uczelnie nowego pokolenia, w szybkim tempie zaczęło się odtwarzać Niezależne Zrzeszenie Studentów, które tak samo jak „Solidarność” stało się alternatywą dla podziemnej aktywności.

Nie oznaczało to jednak zaprzestania działań na rzecz Federacji, wręcz przeciwnie, ja na przykład dzięki aktywności w szeregach „Solidarności” mogłem wspierać np. poligrafię FMW załatwiając profesjonalne matryce białkowe. Nasze działania w ramach „Solidarności”, NZS-u i te w FMW przenikały się wzajemnie. Oczywiście nasze miejsce zajmowali później inni (np. Piotrek Szyński czy Krzysiek Płaska), jednak przy dużym

„odpływie” ludzi, zdecydowanie trudniej im było osiągnąć skuteczność swoich działań. Dlaczego w innych miastach ten „odpływ” członków Federacji do innych struktur podziemnych był mniejszy – trudno powiedzieć. Może było mniej alternatyw, a może ów marazm w szeregach „Solidarności” o którym wspomniałem odegrał dużą rolę.

– Ten radykalizm Federacji, o czym wcześniej rozmawialiśmy – paradoksalnie stał się przyczyną jej rozpadu w 1990 r.

– Nie wiem, czy ów radykalizm stał się przyczyną rozpadu, a może raczej jego brak. Faktem jest, że w okresie obrad Okrągłego Stołu następuje kolejna radykalizacja części FMW. Co tu ukrywać – wielu z nas kontestowało porozumienie z „czerwonymi”. Może Warszawa była bardziej pobłażliwa, ale Gdańsk czy Kraków – już nie! Przykładem tego może być zajęcie w 1990 r. Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Gdańsku. Co prawda sam uważam, że doprowadzenie do bezkrwawego przejścia władzy w Polsce – jest dużym sukcesem, jednak owa radykalizacja miała uzasadnienie, zwłaszcza, że we wspomnianym Komitecie niszczone ważne dokumenty, tak jak zapewne w wielu innych takich miejscach. Może po prostu rozpad w 1990 nastąpił po wcześniejszym rozłamie bo doszło do „śmierci naturalnej”. Jedni atakowani z wielu stron za swój rady-



kalizm pozostali w osamotnieniu, inni zachłysnęli się triumfem po wygranych kontraktowych wyborach i zapragnęli korzystać z „wolności” już we własnym imieniu.

Jednak nie możemy mówić o całkowitej agonii, doszło przecież w 2007 w Gdańsku do reanimacji Federacji w postaci Stowarzyszenia FMW, gdzie w jego szeregach są obecni praktycznie wszyscy działacze z Warszawy, którzy w czerwcu 1984 powołali do życia tą zapomnianą trochę przez historyków i dokumentalistów, a bardzo istotną z punktu widzenia walki o niepodległą i wolną Polskę ogólnopolską organizację młodzieżową. Należy jej się pamięć – szczególnie, że dwóch jej działaczy: Robert Możejko i Dariusz Stolarski, za przynależność do niej przypłaciło swoim życiem.

– FMW, której niepodległościowy program można chyba tylko porównać z Konfederacją Polski Niepodległej – w wolnej Polsce, w przeciwieństwie do KPN, nie miała w Sejmie nigdy własnej reprezentacji.

– To jest cena, którą musieliśmy za niepodległość zapłacić. I tego nie żałujemy! Tak naprawdę udało się osiągnąć ten podstawowy cel, ten najważniejszy, o który walczyliśmy – Niepodległą Polskę. Co więcej – dotrzyaliśmy tego, co zawarliśmy w naszej odezwie: *– FMW nie chce narzucać młodzieży takiego czy innego rozwiązania spraw gospodarczych i społecznych, pozostawiając każdemu możliwość swobodnego wyboru...* W demokratycznym państwie, każdy może teraz



dokonywać tych wyborów. Chociaż radykalizm części działaczy FMW mógł zamknąć drogę innym kolegom do kontraktowego Sejmu – ośobiście nie uważam tego za porażkę. Wydaje mi się, że nie było wśród działaczy, przynajmniej z okręgu warszawskiego, aspirujących do tego celu. Porażką było co innego – nie udało nam się zewrzeć szeregów by w momencie tworzenia struktur Niepodległej w latach 90-tych przedstawić naszą historię i uzmysłowić społeczeństwu, jakim fenomenem była Federacja Młodzieży Walczącej. Próbę tą podjęliśmy dosyć późno. Powołanie do życia organizacji w prawie 80 okręgach miejskich, zrzeszenie w jej szeregach młodzieży szkolnej, studenckiej i pracującej, z różnych grup społecznych inteligenckich i robotniczych – młodych ludzi, aktywnie działający, na rzecz obalenia totalitarnego systemu, poprzez wydawanie i kolportowanie pism (prawie 200 tytułów), uczestnictwo w manifestacjach ulicznych, czynne wspieranie działań „Solidarności” – to był właśnie ten fenomen.

Tym bardziej patrząc na to z perspektywy lat przykre jest to, że „Solidarność” o nas zapomniała, choć wiele nam zawdzięcza. Trudno się temu zresztą dziwić, z ruchu społecznego, jakim była „Solidarność” odrodził się Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność” i wyodrębniły partie polityczne. Każde z tych formacji, instytucji w wolnej Polsce, miały i mają teraz inne cele. Dodatkowo ostre podziały polityczne, które mają miejsce dziś nie sprzyjają temu by wieść o tym fenomenie wydostała się dalej poza szeregi ludzi związanych z FMW. Niemniej próbować trzeba.

Porażką można nazwać również to, że nie udało nam się wpłynąć na odpowiednie instytucje w wolnej Polsce by doszło do zbadania okoliczności śmierci Roberta i Darka.

– Czy pamiętasz jakieś konkretne wydarzenia związane z Tobą w tych latach, które jakoś szczególnie utkwiły Ci w pamięci? Może pamiętasz spotkanie nad Wisłą – w końcu mija właśnie 35-ta rocznica powstania FMW?

– Po latach pamięć może być trochę zawodna. Pamiętam kilka różnych zdarzeń i to nad Wisłą – jednak już bez szczegółów. Nie kojarzę by

była tam jakaś dziewczyna. Nie pamiętam dokładnie miejsca ani daty, pamiętam wał wiślany po którym się przemieszczaliśmy, starą zardzewiałą łódź (może barkę) i jakąś polanę. Siedzieliśmy na trawie. Bardzo mi zależało by po wprowadzeniu stanu wojennego reaktywować coś na wzór FMS i udało się do tego namówić pozostałych uczestników. Nie wniosę nic więcej.

Pamiętam kilka innych zdarzeń: wpadkę Gosi Stępień, studiującej dziennikarstwo gdy po przeprowadzonym wywiadzie z Wiktorem Woroszyńskim, poetą i pisarzem będącym wówczas na cenzurowanym, tuż po wyjściu z jego mieszkania zatrzymało ją SB. Chciała zamieścić wywiad w *Buncie*, sama wpadła na ten pomysł i sama zorganizowała sobie spotkanie. Udało jej się na szczęście uniknąć represji, może za sprawą taty, dyrektora Olkuskiej Fabryki Naczyń Emaliowanych. Esbekom tłumaczyła, że rozmowa z poetą była na własne potrzeby, ponieważ uczy się fachu dziennikarza. Martwiliśmy się o nią i baliśmy, że jej zatrzymanie może w jakiś sposób doprowadzić SB do nas. Pamiętam telefon jaki



wykonał do niej do akademika z budki na mieście Jacek Wiejski po jej wypuszczeniu: grypserą pytał czy jest pod obserwacją, czy za nią ktoś chodzi.

Telefon od Maćka Brodackiego, który grypsem oznajmił, mniej więcej tak – *nie chcę dalej grać w tej orkiestrze, bo nie odpowiada mi jej repertuar*. To było tuż po powołaniu Federacji, nie potrafię sobie przypomnieć szczegółów i powodu jego decyzji. Maciek nie uczestniczył dalej w działaniach FMW, a nasze rozstanie było przyjacielskie, bez awantury czy jakichkolwiek animozji.

– Poznaliśmy się jeszcze przed powstaniem Federacji. Razem wydawaliśmy pismo *Bunt*, uczestniczyłeś też w jednym z pierwszych spektakli Teatru Domowego, odbywającym się w Rembertowie. Nie kryguy się – podrzuć na zakończenie jeszcze jakąś garść osobistych wspomnień. Nigdy ich chyba nie spisałeś?

– Pamiętam ten wieczór z przełomu 1983 i 1984 r. Ponury czas stanu wojennego. A tu nagle, w sanacyjnej, oficerskiej willi – oaza wolności. Osobiście zapamiętałem: Emilianą Kamińskiego, Krzysztofa Daukszewicza, Ewę Dałkowską, chociaż na zaimprovizowanej małej scenie byli też Andrzej Piszczatowski i Maciej Szary. Nie zapomnę humorystycznej części spektaklu, w której Krzysztof Daukszewicz udając milicjanta, z radiowozu nawoływał – *dziewiędziesiunt zgłoś się, dziewiędziesiunt zgłoś się*. Przyszedłem chyba z Mariuszem Kamińskim i Robertem Kostro. Było ok. 100 ludzi, a wśród nich my najmłodsi – przyszli „federalści”.

Pamiętam też manifestację pod Hutą Warszawa. Byłem wtedy z Czarakiem Rautszko „Młodym”, i to chyba właśnie tam poznałem przez niego Jacka Czarneckiego. Maniłę rozdzielili zomowcy. Z grupą około 10 osób uciekaliśmy między blokami. Wokół robiło się coraz bardziej nieciekawie, zwarta grupa mundurowych siedziała nam na karku, w końcu wpadliśmy do jednego z bloków. Biegliśmy schodami na górę, po drodze pukając do drzwi, by ktoś nas wpuścił do środka. Zomowcy biegli za nami, słysząc było tupot ich buciorów. W końcu jeden z nas złapał za klamkę na którymś z ostatnich pięter. Mieszkanie było otwarte. Wparowaliśmy bez pytania do środka, ostatni zamknął za nami drzwi. To było małe



mieszkanie, chyba nawet kawalerka, a jej właściciele remontowali i malowali pokój. Właściciel w czapce malarza z gazety przerażony patrzył na nas a obok równie przerażona jego żona. Uciszailiśmy się nawzajem bo tuż za drzwiami było już ZOMO. Na szczęście nie zdążyli dostrzec do którego mieszkania, weszliśmy i łomotali do drzwi kilku, jednak bez powodzenia nikt im nie otworzył. Opuścili więc blok. Nasz pobyt skończył się herbatką przygotowaną przez żonę gospodarza, miłą rozmową i podziękowaniem, że nas przyjęli.

Były też sytuacje zabawne. Podczas rozlepiania ulotek z Jackiem Górskim „Wiejskim” i Jackiem Czarneckim zachciało mi się w którymś momencie przeczytać na głos tabliczkę umieszczoną przy wejściu na klatkę schodową jednego z bloków i zacząłem – *Uwaga psy* – konsternacja kolegów i gotowość do ucieczki – *wyprowadzać tylko na smyczy* – dokończyłem. Ochrzanili mnie za to, ale w końcu uśmieliśmy się z całej sytuacji.

I mniej zabawne również rozlepianie ulotek tym razem z Tomkiem Roguskim. Traf chciał, że jak się później okazało wybraliśmy sobie osie-

dle – nie pamiętam lokalizacji – zamieszkałe głównie przez rodziny ubeków. Rozlepialiśmy ulotki przechodząc z klatki do klatki, aż w końcu pod jedną z nich podszedł do nas facet po cywilnemu, złapał mnie za ramiona próbując obezwładnić. Udało mi się oddać Tomkowi ulotki i krzyknąć „Uciekaj!”, co też Tomek uczynił. Po krótkiej szarpaninie udało mi się wyrwać przewracając napastnika. Pamiętam kobietę, która upuściła torbę z zakupami i zaczęła krzyczeć – *bandyta, pomocy!* Dogoniłem Tomka, dotarliśmy do Grzesia Szkopka mieszkającego na Szmulkach na ul. Kawęczyńskiej. Przedzieraliśmy się bocznymi alejkami przez krzaki bo słychać było krążące na sygnale po okolicy „suki”. Na drugi dzień w szkole nasza koleżanka mieszkająca na tym osiedlu, opowiadała jak to odważni ludzie rozlepiali antykomunistyczne ulotki na osiedlu pełnym rodzin ubeków.

Mam też przed oczami niezwykle widok zapamiętany z okien XX LO im. Bolesława Chrobrego w Warszawie. Gdyby działała wtedy telefonia komórkowa, był internet facebook itp. – to zdjęcie z okna zrobiło by w owych czasach wrażenie i miałoby tysiące odsłon. Pod nasze liceum, gdzie w jednej klasie uczyłem się razem z Tomkiem Roguskim, Mariuszem Kamińskim i Grzesiem Szkopkiem podjechała milicyjna buda. Pomyśleliśmy w pierwszej chwili, że przyjechali po nas, a oni przyjechali po dzieci z przedszkola mieszczącego się w naszym budynku. Jak się później okazało jeden z tatusiów, któregoś dziecka zorganizował wycieczkę przedszkolakom. Widok ładowania dzieci do milicyjnej budy zrobił na nas wrażenie. Wcześniej przecież i zapewne później wożeni nią byli bici, pałowani opozycjoniści.

Proste, zwykłe i zarazem niezwykle historie, których każdy z nas ma wiele – były wydarzeniami, które składały się na obraz tamtej rzeczywistości, w której FMW działało.

O MŁODYCH WALCZĄCYCH



Przed 35 laty powstała Federacja Młodzieży Walczącej, czyli największa antysystemowa, antykomunistyczna organizacja młodzieżowa w PRL dążąca do powstania niepodległej i demokratycznej Polski. FMW popierała postulaty podziemnej „Solidarności”, podkreślając jednak mocno swój cel ostateczny, którym miała być Polska Niepodległa. Wiele działaczy Federacji współpracowało z podziemnymi grupami związanymi z „Solidarnością”, Solidarnością Walczą i Konfederacją Polski Niepodległej lub wprost zasilalo ich szeregi.

Stan wojenny inicjatorem buntu młodych

Jednym z powodów podjęcia przez nas walki z totalitarnym systemem, było brutalne pozbawienie społeczeństwa dobrodziejstw kilkunastomiesięcznego okresu względnej wolności, dającego nadzieję na jej utrzymanie. Najboleśniesz było odebranie nam dostępu do niezależnych wydawnictw, kultury i sztuki. Dla mnie było to głównym powodem do podjęcia niezwłocznej walki z komuną. W okresie tej krótkiej wolności byłem częstym gościem biura „Solidarności” Region Mazowsze na ul. Szpitalnej, a później Mokotowskiej w Warszawie. Do dzisiaj po-

siadam wszystkie lub niemal wszystkie numery „Niezależności” z tamtego okresu. Tamże udawało mi się zdobywać książki z drugiego obiegu i poznać osoby, które w późniejszym czasie spotykałem w pracy podziemnej. Każdy nieomal dzień przed wprowadzeniem stanu wojennego niósł ze sobą możliwość obejrzenia nieocenzurowanego przedstawienia teatralnego, filmu, kabaretu, koncertu, czy uczestniczenia w ciekawej prelekcji lub wykładzie. Powstawały niezależne organizacje uczniowskie np. Międzyszkolny Komitet Odnowy, z którym współpracowałem.

Dlatego już 13 grudnia 1981 r., jak wielu innych, próbowałem broń odbieranej nam wolności. Dwukrotnie dotarłem do budynku Regionu Mazowsze na ul. Mokotowskiej i ze zdewastowanych i opuszczonych pomieszczeń wyniosłem znaczne ilości dokumentów, które zostały dzięki temu zabezpieczone. Podobne działania podjęli także inni przyszli członkowie FMW, z którymi później zaprzyjaźniłem się i dokonałem wielu wspólnych, ważnych akcji. Jeszcze wówczas, w grudniu 1981 r., podczas fotografowania sprzętu milicyjnego i wojskowego aresztowano dwóch Jacków: Czarneckiego i Górskiego.

Rodzinne tradycje powodem podjęcia walki

Innym powodem do podjęcia walki przez wielu młodych ludzi było pragnienie niepodległości wyniesione z ich rodzinnych domów. W wielu rodzinach sprzeciw wobec komuny lub jej odrzucanie było codziennością. Sam byłem patriotycznie wychowywany przez dziadka, który od 1945 r. nie podjął żadnej oficjalnej pracy poza odgruzowywaniem Warszawy. Utrzymywał rodzinę z chałupniczej pracy i renty inwalidzkiej przyznanej mu ze względu na rany odniesione podczas wojny. Tenże dziadek był potomkiem wcielonego karnie na 12. lat do carskiej armii uczestnika strajków szkolnych i antyzaborczej konspiracji. Carska Ochrona zatrzymała im broń palną i sieczną przeznaczoną do Powstania Styczniowego, dokumenty i drukowaną odezwę Komitetu Centralnego Narodowego oraz postawiła zarzuty kolportażu gazetki „Pobudka”. Historia się powtórzyła. Dziadek – potomek młodzieżowego bohatera – był również karany za własne działania podjęte w carskich szkołach,

później ochotniczy żołnierz i bohater wojny z bolszewikami i w końcu obrońca Modlina – przekazał wnukowi ideę walki o niepodległość.

Rodzinne tradycje niepodległościowe i podobne historie mieli także inni członkowie FMW, o których wiem: Jacek Górski, Wojtek Lewicki i Mariusz Roman.

Pierwsze działania

Wprowadzenie stanu wojennego nie wywoływało panicznego lęku wśród młodzieży. Oczywiście miewaliśmy „cykora”, ale nie odbierało to nam chęci na dowalenie „czerwonemu”. Wielu młodych ludzi potrzebuje solidnej dawki adrenaliny, której my – przyszli działacze FMW – dostarczaliśmy sobie regularnie i to w solidnych dawkach. Pierwsze tygodnie stanu wojennego spędziliśmy na wykonywaniu dokumentacji w postaci zdjęć, malowaniu hasel na murach, pierwszych próbach tworzenia ulotek i zakładaniu grup oporu w szkołach, uczelniach i zakładach pracy. W mojej szkole przeprowadziliśmy nawet wolne, tajne wybory do władz powołanego Szkolnego Koła Oporu, którego przewodniczącym wybrano mnie na początku 1982 roku.

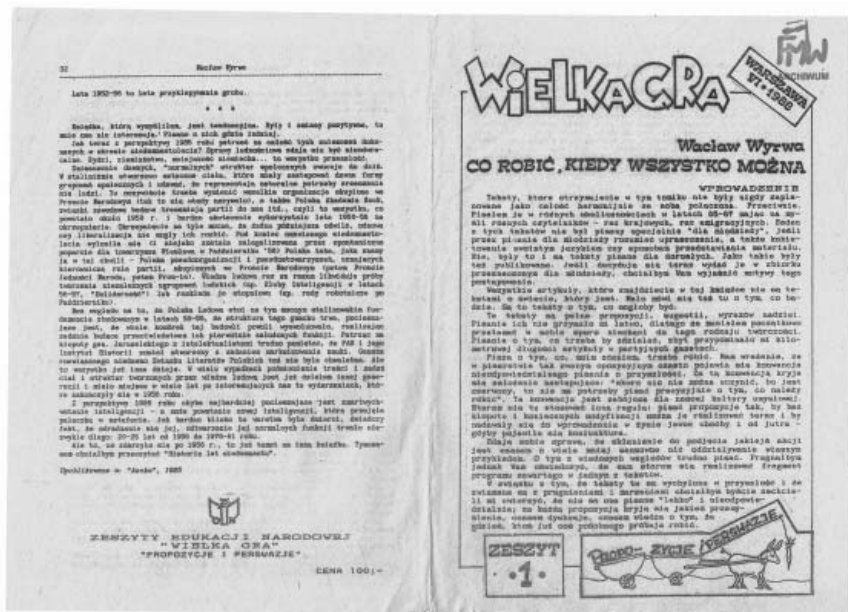
Działalność takich grup nie robiła wrażenia na obrońcach totalitarnego systemu. Przed powołaniem FMW, prawdziwie skuteczna możliwość przywalenia komunie rozpoczynała się dopiero w przypadku dołączenia do którejś z „dorosłych”, już istniejących grup formującego się społeczeństwa podziemnego.

Konkretna walka dawała poczucie własnej wolności

Dla mnie sytuacja wyklarowała się wiosną roku 1982, po odwiedzeniu koleżanki ze szkoły Ewy Krzemińskiej w jej mieszkaniu na ul. Pięknej. Ponieważ wykazywałem się młodzieńczą fantazją i kompletną nierozwagą, zdjąłem kurtkę, pod którą nosiłem koszulkę *ZARAZ WRACAM*, pisaną tzw. solidarycą, czyli taką samą czcionką jak zakazany znak związku „Solidarność”. Okazało się, że ta nieroztropność spodobała się rodzinie Ewy, a szczególnie jej tacie, który powrócił z krótkiej odsiadki i karnie zwolniono go z pracy w MPT. Złapaliśmy szybko wspólny te-

mat. Zygmunt Krzemiński zaprosił mnie do swojego pokoju, w którym moim oczom ukazało się mnóstwo niezależnych wydawnictw. Rozpocząłem ich kolportowanie w swoim środowisku, przystąpiłem do TKMOS „Sprawiedliwość” (bo tak nazywała się ta grupa) i zostałem ulubieńcem „szefa”. Kiedy Warszawę odwiedzała Anna Walentynowicz, która była u Krzemińskich, powierzano mi zajmowanie się nią w jej czasie wolnym. Dzięki temu pani Ania poznała stolicę, w formie, jaką pokazały jej mój zakochany w Warszawie dziadek. Szalency pomysł, cud chyba sprawił, że to zadanie obyło się bez mojej dekonspiracji. W późniejszym czasie Seweryn Jaworski odwiedzał ul. Piękną, był także ks. Stanisław Małkowski, który odprawiał nawet nabożeństwa domowe, po których dla bezpieczeństwa miałem za zadanie odprowadzanie duchownego.

TKMOS „Sprawiedliwość” wkrótce podjęło pierwsze próby wydawnicze. Zaczęliśmy od tzw. powielacza białkowego, ale nic z tego nie wyszło. Sprowadziłem więc brata kolegi ze szkolnej konspiracji Tomasza Chmielewskiego, który ponoć dysponował innym powielaczem ocala-



łym z okresu legalnej działalności „Solidarności”. Nigdy sprzętu tego nie zobaczyliśmy i podjęliśmy próby z sitodrukiem, ale kolega Tomasz nie znał tej techniki i nasze wysiłki zakończyły się kompletnym niepowodzeniem. Po okresie intensywnego poszukiwania kontaktów mogących pomóc w budowie własnej poligrafii dotarliśmy w końcu do Małgosi Dodackiej, która zorganizowała nam wstępne szkolenie z sitodruku. Małgosia była wcześniej skazana za działalność w wydawnictwie „Nadzieja” i za związki z pismem *Reduta* (przeznaczonym dla zawodowych wojskowych) oraz współpracę z Czesławem Bieleckim ps. Maciej Polewski, autorem *Małego Konspiratora* i założycielem „Wydawnictwa CDN”.

Mając już w końcu podstawową wiedzę poligraficzną, czekałem tylko do ukończenia 18 roku życia, aby w przypadku wypadki, nie pociągnięto do odpowiedzialności moich rodziców. Pierwszy wydrukowany przeze mnie numer pisma *KOS* nosił datę 23 lutego 1983, czyli datę moich 18. urodzin. W szkoleniu drukarskim brała udział córka Zygmunta Krzeмиńskiego (Ewa), Iza Makowska i mój przyjaciel ze szkolnej konspiracji Robert Napiórkowski „Mela”. „Instruktorem” z ramienia Wydawnictwa Społecznego *KOS* był Tomek Zamek Gliszczyński. Początki były trudne, zdarzało się, że sito brudziło papier, albo druk był słabo czytelny.

Małoletnich drukarzy bano się jak ognia, więc nie mieliśmy żadnej możliwości zgłoszenia awarii. Drukarnia była ulokowana na strychu willi pana Jerzego Artyniewa przy ul. Karłowicza na starym Mokotowie. Podczas kłopotów poskarżyłem się właścicielowi domu na ten stan rzeczy, a pan Jerzy natychmiast uruchomił własny plan awaryjny. Naprzeciwko była willa Sandauerów, a Adam Sandauer drukował coś w garażu, wydaje mi się, że był to *Tygodnik Mazowsze*. Młody Sandauer zjawiał się z chęcią pomocy dzięki wstawiennictwu pana Artyniewa, ale nie był w stanie nic wskórać wobec różnicy w technice druku obydwu pism. Dopiero przyjazd kuriera z kolportażu umożliwił uzyskanie pomocy działu technicznego i dokończenia numeru z opóźnieniem.

Odbiór zapakowanych egzemplarzy pism odbywał się w jeden z umówionych dni tygodnia wieczorem o ustalonej porze. Byłem obecny zawsze podczas przekazywania nakładu. Pewnego razu kolporter bardzo

się spóźniał, a pod dom zajechał milicyjny radiowóz. Zgasilem światła i zabarykadowałem się, obawiając się, że zbliża się kres mojej drukarskiej kariery. Wstrzymałem oddech i nie odpowiadałem na pukanie do drzwi. Z korytarza dochodziły odgłosy rozmowy i słychać było chodzących po schodach. Właściciel domu zawołał mnie po imieniu, prosząc, abym otworzył drzwi. Otworzyłem... Umundurowany milicjant przeproszał za zamieszanie, wyjaśnił, że jego szwagier ciężko się rozchorował i że za tydzień jeszcze raz przyjedzie w jego zastępstwie. Pan władza wyjaśnił także, że był jednym z założycieli NSZZ Milicji Obywatelskiej, ale udało mu się cudem uniknąć zwolnienia z pracy.

Jakość druku prasy wydawanej przez grupę młodziutkich osób była coraz wyższa, drukarnia pracowała coraz dłużej, a do wydawanego *KOS-a* dołączyło pismo Oświaty Niezależnej *Tu, Teraz*. Niektórzy drukarze podziemni mieli zwyczaj czytania wydawanych pism bezpośrednio z diapozytywów lub – tak jak ja – podczas wyszukiwania drobnych błędów w naświetlonych sitach i ich ostatecznego retuszu. Dzięki temu zwyczajowi, w części drukarni *KOS-a* w końcu 1983 roku nastąpił strajk drukarzy, odmawiających wydrukowania artykułu Dawida Warszawskiego, czyli Konstantego Geberta potępiającego amerykańską inwazję na Grenadę.

Rok 1984 poszerzył się o pierwsze książki wydawane przez Wydawnictwo Społeczne *KOS* i naszą drukarnię na Karłowicza. Praca



podziemnego drukarza stała się zwyczajnym i niestresującym zajęciem. Zaczynało nam brakować mocnych wrażeń, więc chodziliśmy na demonstracje, całonocne pokazy zakazanych filmów wyświetlanych z wideo na kilku telewizorach dla dużej publiczności oraz na organizowane w wielu kościołach i rzadziej lokalach prywatnych przedstawienia teatralne i koncerty. Jednym z ulubionych miejsc było Muzeum Archidiecezji Warszawskiej, w którym pracował brat naszej koleżanki, dlatego z łatwością zdobywaliśmy niezbędne bilety. Ponadto zdarzały się utajnione projekcje filmów np. w kinie WARS, tajne komplety w prywatnych mieszkaniach pedagogów i podobne zamknięte wykłady na uczelniach. Poczucie wolności, pomimo teoretycznego zniewolenia, było coraz większe. Dzięki takim możliwościom nasze życie było bogatsze od codzienności tych młodych, którzy nie angażowali się w zwalczanie komuny. Organizowaliśmy huczne imprezy, na których poza słuchaniem Kaczmarek i Gintrowskiego, Klejffa, czy Kelusa puszczaaliśmy głośno rozrywkową muzykę, co powodowało, że nie wzbudzaliśmy niczych podejrzeń licznie i często się spotykając.

Imperium kontratakuje

Szpicle ze Służby Bezpieczeństwa nie mogli pobierać pensji za darmo, zdarzało się więc, że czasami kogoś z nas aresztowali. Miałem mnóstwo znajomych, a większość z nich coś majstrowała przy komunie, zaczęły mnie zasypywać wezwania w charakterze świadka po ich zatrzymaniu. Przydzielono mi esbeka – Jacka Posmyka, gnidę jak każdy ubek, no bo jaki przyzwoity człowiek podjąłby się takiej pracy? Tenże ubek starał się ściągać mnie jak najczęściej ze wszelkich możliwych powodów i stwarzać wrażenie, że wie o mnie wszystko. Wiedział niewiele i szczęśliwie dla mnie był leniwy – aresztować mnie bowiem można było niemal codziennie, bo żyłem tak beztrosko, jakby komuna w ogóle nie istniała. Książki i pisma w domu, sprzęt drukarski i diabli wiedzą co jeszcze. Chodziłem z dużym plecakiem, a w nim często było coś, co można było uznać za szkodliwe dla komunistycznego państwa. W sumie bardzo lubiłem te przesłuchania i robienie „mojego ubeka” w konia.

Początkowo uspokajała mnie Neospasmina, później nie była mi już potrzebna. Muszę przyznać, że poza kilkoma przypadkami zachowywał się wobec mnie kulturalnie. Wzywał mnie oficjalnie z zachowaniem należnych procedur, bo jak raz próbował „porozmawiać” inaczej, to oczywiście odmówiłem z braku czasu. Był listopad, kolejne wezwanie, wewnątrz Komendy Stołecznej wisiało mnóstwo wyłącznie rosyjskojęzycznych (*sic!*) plakatów poświęconych rewolucji październikowej. Włożyłem kij w mrowisko, stwierdzając, że czuję się jak na rosyjskim komisariacie. Posmyk wkurzył się bardzo, parskając, że rewolucja była w Rosji i dlatego plakaty są po rosyjsku. Ja zaś mu na to, że przecież była „październikowa”, a teraz mamy listopad. Nie wytrzymał, powiedział, że musi na chwilę wyjść i trzasnął drzwiami. Po chwili wparował gość, który nerwowo krążył wkoło biurka, przy którym siedziałem i w ciągu 5. minut wypalił dwa papierosy gasząc je zamasyżycie, rozsypując wokół popiół, wypuszczając kłęby dymu i dodatkowo nie był przyjaznym mi rozmówcą. Zadziałało, miałem pietra, bo gość wyglądał na zdrowo szurniętego oprawcę, co jednak nie uniemożliwiło mi później zwyczajowej zabawy w kotka i myszkę po powrocie mojego „dobrego” ubeka, przeprasającego za nerwowego kolegę.

Innym razem szykowali się już na rozbić TKMOS „Sprawiedliwość” i postanowili mnie mocno postraszyć. Była to wiosna roku 1985 i była ze mną moja przyszła żona Monika. Wyszliśmy ode mnie z domu przy Klonowej i szliśmy w stro-



nę Puławskiej. Białe fiat zajeżdżał nam drogę na pasach, a z okien wystawił głowę Posmyk i trzech innych ubeków, wyglądających na mocno pijanych, którzy śmiali się do rozpuku. Cofnęliśmy się i poszliśmy w stronę Bagateli. Ruszyli z piskiem opon i zahamowali kilka centymetrów od naszych nóg na przejściu dla pieszych, głośno się przy tym śmiejąc. Przy Szucha zrobili to samo, jechali po chodniku, pod prąd itp. Znaleźliśmy się na pl. Na Rozdrożu, doszliśmy do Koszykowej przejściem podziemnym, białe fiat przyjechał za nami chodnikiem, skręciliśmy w bramę i weszliśmy do klatki schodowej. Mieszkał tam mecenas Wiesław Johann, do którego udaliśmy się po pomoc. Na szczęście pan Wiesław, jego żona Olga i córka Majka byli w domu i udzielili nam schronienia. Po kwadransie esbecy odjechali, wiedząc już zapewne, do kogo się udaliśmy.

Jakiś czas później idąc do Krzemińskich, na pl. Konstytucji zauważyłem, że złapałem ogon. Miałem ze sobą plecak, a w nim sprzęt i jakieś wydawnictwa. Nie wszedłem do bramy, lecz poszedłem w stronę Kruczej, udając, iż oglądam witryny sklepowe i upewniłem się, że mam towarzystwo. Nogi mi trochę zmiękły, postanowiłem dać sobie spokój z planowaną wizytą i spróbować jakoś pozbyć się niechcianego towarzystwa. Zadanie było trudne, bo trzech typów wyglądało mi na ubeków. Stałem na Pięknej na przystanku autobusowym w kierunku Hali Koszyki. Z bramy wyszedł Gerard Krzemiński, idąc na przystanek. Przywitałem się z nim serdecznie, w ten sposób, jakbym tam wtedy był z nim umówiony. Głośno rozmawiając, odeszliśmy nieco na bok, spytałem szeptem czy w domu nie mają kotła i wyjaśniłem jak wygląda sytuacja. Gerard jechał na wykłady na SGGW przy Rakowieckiej i obiecał wyprowadzić mnie uczelnianymi podziemiami. Z trzech podejrzanych panów do autobusu wsiadło dwóch. Po trzech przystankach zjawił się trzeci, który już nie wsiadał, a jeden z dotychczasowych dwóch, do których towarzystwa zdaliśmy przywyknąć – ulotnił się. Sytuacja była pewna: przenieśliśmy się na tył autobusu, niby ustępując miejsca komuś starszemu. Za autobusem jechał białe Fiat, który czasem nas wyprzedzał, a kolejny z panów,

który wcześniej wysiadł, pojawiał się koło nas znowu. Rozmawialiśmy z Gerardem głośno o nowo wydanych płytach i ostatnich wspólnych imprezach. Weszliśmy na SGGW wejściem na rogu Rakowieckiej i Al. Niepodległości. Gerard przeprowadził mnie szybko i sprawnie podziemiami na Rakowiecką przy małej pętli tramwajowej koło kościoła św. Andrzeja Boboli. Miałem dwustronną kurtkę, zmieniłem kolor z niebieskiego na zielony i założyłem kaptur na głowę. Za wyjątkowo długie dziesięć minut tramwaj ruszył. Przejeżdżając obok wejścia na uczelnię, zobaczyłem dwa białe Fiaty, towarzysza anioła Jacka Posmyka i kilku palących papierosy smutnych panów. Tramwaj jechał w kierunku Centrum, wysiadłem przy Polu Mokotowskim i szybko opłotkami ruszyłem w stronę domu. Na klatce schodowej czekał na mnie Robert Napiórkowski, z którym mieliśmy drukować nowy numer pisma. Odważnie postanowiliśmy nie zmieniać planów, zasłoniliśmy szczerlnie okno kocem i nie zapalaliśmy światła w pozostałych pomieszczeniach. Nastawialiśmy sobie cicho Kaczmareckiego, później Gintrowskiego, popijaliśmy sobie coś na odważę i wydrukowaliśmy 4 tysiące egzemplarzy naszego pisma. Robert opowiedział mi o odbytej kilka dni wcześniej wojskowej komisji lekarskiej, po której towarzysz Posmyk, przebrany w mundur wojskowy, usiłował zwerbować go na szpicla.

W 1984 roku poza pracą w drukarni dodatkowo pomagałem służbie porządkowej przy parafii św. Stanisława Kostki. Comiesięczne nabożeństwa za Ojczyznę groma-



dziły tysiące osób, a milicja czekała tylko na możliwość aresztowania lub spalowania powracających tłumów. Ks. Jerzy Popiełuszko miał radio przestrojone na zakres milicyjnych radiostacji, dzięki temu kierowaliśmy tłum tam, gdzie nie zrobiono zasadzki. Często wspólnie z Majką Moczulską zapisywałem chętnych do służby porządkowej. Tam poznałem Monikę Szewczak, czyli moją żonę, która pełniła tam służbę medyczną oraz Jacków Czarneckiego i Górskiego. Po zamordowaniu ks. Jerzego wspomagałem jeszcze krótko służbę porządkową, ale po spotkaniu z Jackami u Ewy Ciecierskiej postanowiłem się wyciszyć i doprowadzić do wydania pisma FMW.

Z tych samych powodów pod koniec 1984 roku odszedłem z TKMOS „Sprawiedliwość”, słusznie podejrzewając, że grupa w końcu zostanie rozbita. Robiła zbyt dużo hałasu – nawet jak dla mnie – działała niemal legalnie, a efekty jej działalności były mizerne. TKMOS „Sprawiedliwość” rozbito w ramach operacji SOR „Szofer” w kwietniu 1985 r., aresztując Zygmunta Krzemińskiego i Iżę Makowską, późniejszą żonę Jacka Górskiego. Iżę oskarżono o autorstwo tekstu w wydawanym przez nich biuletynie. Znalaziono w jej biurku rękopis tekstu, który został wcześniej wydrukowany.

Powstał pomysł nadania audycji radiowej dla więźniów osadzonych na Rakowieckiej. Posiadałem własny nadajnik, którego używałem do emitowania Radia „Solidarność”, lecz więźniowie nie posiadali odbiorników radiowych, więc w tym wypadku nie mógł on się nam przydać. Jacek Górski zorganizował odpowiedni sprzęt i zaproponował, by do audycji dołączyć zaszyfrowaną, muzyczną wiadomość dla Izy, którą dograliśmy na moim sprzęcie. Zrobiliśmy z Jackiem wizję lokalną na dachu budynku przy więzieniu od strony ulicy Kazimierzowskiej. Kilka dni później podczas montażu sprzętu na dachu Monika z moim kolegą (Pawłem Wiszem) stali na czatach, bo mi tego zakazano ze względów konspiracyjnych. Audycja była słyszana z megafonu, który niestety dość wcześnie zlokalizowano, a sprzęt zestrzelono z wieżyczek strażniczych.

Wolne słowo

Rozpoczęliśmy z Jackiem Górskim pracę nad pierwszym numerem „Naszych Wiadomości”. Część tekstów dotyczących powołania FMW była już wcześniej zamieszczona w piśmie „Bunt”, reszta czekała od dawna na wydrukowanie w nowym organie FMW. W I skład redakcji wchodził Tomasz Roguski „Kornel”, „Tomiwarg”; Mariusz Kamiński „Mario” i Jacek Górski „Wiejski”. Jacek stworzył piękną winietę pisma. Wykonywaliśmy makietę, a diapozytywy przygotowywał nam Ignacy Dembiński „Ignac”. Brakowało nam dobrych maszyn do pisania, dlatego maszynopisy były słabej jakości, a co za tym idzie, diapozytywy były niekontrastowe, a z sita cudów się nie robi. KOS używał nowoczesnych maszyn do pisania i składopisu IBM z okrągłą wymienną głowicą, więc ich diapozytywy były wspaniale kontrastowe, a wydrukowane pismo doskonale czytelne.

Pierwszy numer „Naszych Wiadomości” wydrukowaliśmy w lutym 1985 r. u mnie na Klonowej, w dniu odbioru przez kolportaż gotowych pism Wydawnictwa Społecznego KOS. Przyjechała ówczesna szefowa kolportażu Basia Kępińska „Gabrysia” z pomocnikiem i przerażona zakrzyknęła: – *Co tu się drukuje? Co to za kontrabanda?* Postarałem się o to, że tę kontrabandę uznano i pozwolono nam korzystać ze sprzętu i co najważniejsze, z papieru do wydawania naszego pisma.



Jacek Górski przydzielił mi niebawem pomoc do pracy w drukarni. Okazała się nią być Monika Szewczak, która pozostała ze mną w tej drukarni aż do dzisiaj...

Zorganizowaliśmy szkolenia kandydatów na drukarzy FMW. Z Gdańskiej FMW przyjechał Błażej Dróżdź, późniejszy zakonnik i dzisiejszy misjonarz oraz Darek Krawiec, późniejszy filar poligrafii gdańskiej FMW. Mile wspominam to szkolenie, bo ci chłopcy byli ambitni i rwali się do „walki” przy pomocy rakli.

W czasie druku trzeciego numeru „Naszych Wiadomości” i w trakcie druku kolejnego numeru KOS-a, 19.04.1985, przybiegła Iza Makowska z informacją o kotle na Pięknej. Natychmiast przierzuciliśmy drukarnię do Moniki na Czerniaków, następnie na ul. Żytnią koło szpitala położniczego – do małego mieszkanka robotnika z Huty Warszawa. Później było Bródno na Kondratowicza, u szwagra mojego kolegi Jarka Kędzierskiego, by w końcu zakorzenie się na Tamce u Niny Ruczek – przyszywanej ciotki Moniki. Od września 1985 r. jak okazało się po latach z lektury mojej teczeki SOR „Gol” mieliśmy na Klonowej podsłuch pomieszczeń, jako dodatek do istniejącego już podsłuchu telefonicznego, który usunięto dopiero w końcu 1987 r., już po moim ślubie z Moniką.

W końcu 1985 r. po kilkumiesięcznej odsiadce, zwolniono Izę Makowską, z którą zaczął się spotykać Jacek Górski. W styczniu 1986 r. Jacek, jak opowiadał, został porwany wieczorem na klatce schodowej własnego budynku, pobity, przesłuchiwany, pomalowany farbą w sprayu i wrzucony bez świadomości w zaspę śniegu przy torach kolejowych przy ul. Makowskiej na Grochowie.

Iza zadzwoniła do mnie rano, bo dowiedziała się, że coś stało z „Wieskim”, czyli zapewne po jego telefonie do niej. Pojechaliśmy do Jacka na ul. Budrysów. Użyłem wody utlenionej do zdezynfekowania zadrapań i rozpuszczalnika do zmycia farby w sprayu, którą był pomalowany. Po tym wydarzeniu Iza z Jackiem zostali parą. Obydwoje wyłączyli się

z pracy konspiracyjnej, a po jakimś czasie odbył się ich ślub w kościele św. Barbary. Utrzymywaliśmy nadal już wyłącznie towarzyskie kontakty.

Rozpoczęliśmy szkolenie młodych drukarzy warszawskiej FMW z moją prawą ręką, czyli Robertem Napiórkowskim – najszybszym i najwydajniejszym ze znanych mi kolegów, który przegonił w wydajności dotychczasową liderkę Izę Makowską. Uczeń liceum poligraficznego Jacek Kutzner, którego wówczas szkoliliśmy, okazał się zdolnym uczniem, ale wydawał mi się być jeszcze bardziej postrzelonym ode mnie.

Drugim adeptem sztuki poligraficznej był Tomek Grudziński – spokojny i zdolny chłopak, który to niestety zdołał być w drukarni zaledwie kilka razy. 13.04.1986 r. po dłuższej inwigilacji kolegi Roberta Napiórkowskiego, SB postanowiła wkroczyć do naszej drukarni na ulicy Tamka, mieszczącej się w mieszkaniu przyszywanej ciotki mojej żony – Moniki. Moja prawa ręka, czyli Robert, kończył wówczas z naszymi uczniami kolejny numer pisma. Ubecy walili do drzwi. Ciocia Nina powiedziała do naszych chłopców ze swoim charakterystycznym wileńskim akcentem: – *zostawcie chłopcy to drukowanie, zrobimy sobie herbatki, mamy solidne drzwi*. Ciocia podała doskonałą herbatę w kryształowych szklankach ze srebrnymi podstakąńczykami, przywiezionymi z Wilna, do tego dołączyło ciasto drożdżowe. W tle, poza słuchaną przez drukarzy muzyką, słychać było uderzenia siekiery. Po sforsowaniu drzwi, do pokoju, w którym pito herbatę, wpadł tow. chorąży Jacek Posmyk z pistoletem trzymany oburącz na wysokości głowy. Naogładał się „Ubol filmów kryminalnych! Dwóch drukarzy aresztowano i skazano, a Tomek Grudziński otrzymał karę grzywny. Nina Ruczko otrzymała najwyższy wyrok w zawieszeniu z powodu złego stanu zdrowia. Prokurator żądał dla niej najwyższej kary, bo jak motywował, udostępniła nie tylko własne mieszkanie, ale także własny tapczan na magazyn (!). Obrony podjął się nasz anioł stróż, mecenas Wiesław Johann.

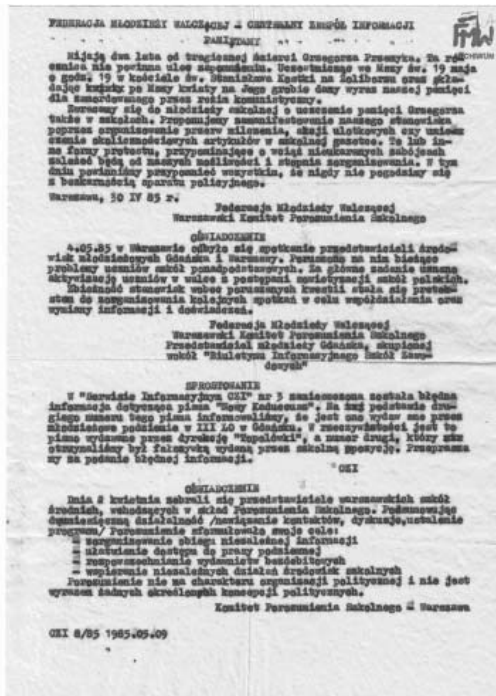
Później usłyszałem o zarzutach i podejrzeniach kierowanych pod moim adresem od drukarza, którego ja równie niesłusznie podejrzewałem o to, że przywłókł na Tamkę „ogon”. Jacek Kutzner faktycznie

potrafił przyjść do drukarni bezpośrednio ze spotkania z Wiktorem Kułerskim, o czym sam zresztą opowiadał. Pozostawiłem drukarzy samych, bo Robert był w stanie w pełni mnie zastąpić. Chociaż powinienem być wtedy w szkole, zostałem w domu na Klonowej z Moniką, o czym przypomniał mi niedawno Tomek Roguski, który nas wtedy zdekonspirował. Dokładnie całą wpadkę można zrozumieć, studiując zawartość naszych teczek ocalałych w IPN. Z Jackiem Kutznerem zawarliśmy jednak pokój, spotykawszy się po latach.

Robert zadzwonił do mnie od cioci Niny, aby się pożegnać i ostrzec w nasz umówiony sposób. Podniosłem alarm, angażując moją, mieszkającą w tej samej kamienicy rodzinę, głównie moją mamę, która dokładnie usunęła wszelkie ślady działalności, a może jeszcze znacznie więcej... Mieliliśmy dodatkową piwnicę, więc wszystko, co zostało wyniesione, szczęśliwie ocalało. Ja sam opłótkami, piechotą ruszyłem z małym bagażem na Czerniakowską do Moniki. Przenocowałem u niej i 14.04.1986 r. rano, postanowiłem jak zwykle pojechać na Politechnikę. Z daleka zobaczyłem 3 białe fiaty 125p na ul. Noakowskiego. Skręciłem i wszedłem do Gmachu Głównego, a stamtąd doszedłem do ogrodzenia od strony Noakowskiego, gdzie w krzakach miałem dobrą widoczność, pozostając niewidzialnym dla ubeków. Obsada fiatów była kilkuosobowa, część panów stała na ulicy i paliła papierosy. Wśród nich był towarzysz chorąży Posmyk, ćmiący pewnie swojego ulubionego „Jugo”, którym zawsze częstował mnie na przesłuchaniach. Miałem czas na działanie, wezwałem telefonicznie na pomoc Gosię Dodacką. Przybyła szybko, bo pracowała na Noakowskiego w Spółdzielni „Unicum”, która była przechowalnią dla wielu byłych więźniów politycznych. Gosia chciała załatwić mi miejsce do ukrywania się, ale miałem już plan awaryjny. Powiedziałem jej o nim i poprosiłem o zorganizowanie wydania „Naszych Wiadomości”, których cały nakład został zarekfirowany. Załatwiłem szybkie przekazanie wiadomości o wpadce do prasy podziemnej i przede wszystkim obronę dla aresztowanych.

Opuściłem Politechnikę i zawiadomiłem mojego szefa i przyjaciela

z KOS-a – Zbyszka Mazurczuka – o tym, co się stało. Wszyscy stanęli na głowie, aby naprawić skutki wpadki drukarni na Tamce. Do akcji włączył się młodszy od nas syn Zbyszka, czyli Jacek Mazurczuk. Brakujące nakłady wydawnictw szybko zostały uzupełnione. Mnie zaś zaprzyjaźniona pani doktor Małgorzata Paczyńska załatwiła pobyt w szpitalu psychiatrycznym. Musiałem jednak przejść przez rutynowe przyjęcie do szpitala w asyście płaczącej matki i Moniki, co było proste, bo obydwie były autentycznie przerażone. Musiałem wytrzymać dwie doby do czasu objęcia dyżuru przez panią doktor i wyjaśnienia przez nią części personelowi, dlaczego naprawdę tam się znalazłem. Nudziłem się, więc rano mogłem pomagać w mierzeniu ciśnienia chorym. Po trzech tygodniach mogłem już wychodzić na zewnątrz. Oddziałowy psycholog dr Piotr poprosił mnie o poprowadzenie muzykoterapii. Udostępniono mi dźwiękoszczelny pokój, do którego przywieźliśmy ze Zbyszkiem mój sprzęt muzyczny i moje płyty gramofonowe. Kiedy przebywałem w szpitalu, mieszkał w moim mieszkaniu Jarek Wajk z zespołu „Oddział Zamknięty”. Facet był bystry, zauważył, że esbcey obserwują lokal z mieszkania położonego na drugim piętrze naprzeciwko. Było to kwatery należąca do MSW, mieszkała w nim rodzina Żuk, wyjeżdżająca bez przerwy na zagraniczne placówki. Kim są naprawdę, okazało się dopiero w stanie wojennym, kiedy wszyscy wychodzili z domu w mundurach. Gdy byłem w szpi-



tal, Jarek organizował głośne prywatki i chodził nago po mieszkaniu, kiedy widział, że je obserwują...

Po miesiącu musiałem stawiać się w szpitalu na śniadanie, a wychodziłem tuż po obiedzie. Po południu i w nocy byłem więc znowu w domu. Marzyłem o powrocie do drukowania, w szpitalu wymyśliłem bowiem technikę samodzielnej pracy. Solidna guma, hak w ścianie i gumowa nakładka na palce – zastąpiły mi drugiego drukarza. Na początku było trudno, ale szybko się tego nauczyłem. Było trochę smutniej i nie było z kim pogadać. Może i dobrze, bo jak się po latach okazało – mieliśmy aktywny podsłuch mieszkania, więc dla drukarzy być może by się to „fajnie” nie skończyło.

Czasami mogła pomóc mi Monika. Później przyjeżdżał na przepustki i „lewizny” z wojska Jacek Czarnecki, który tęsknił do podziemnej roboty. Jacek wpadł w akcji ulotkowej przy barze Donald i skazano go na 10 miesięcy więzienia, po miesiącu jednak łaskawie go zwolniono i w trybie pilnym wzięto do wojska do Batalionu Inżynieryjno-Budowlanego w Orzyszu. „Czarny” bywał w Warszawie naprawdę często, a po moim ślubie pomagał w drukarni Jackowi Mazurczukowi, który wraz ze swoją narzeczoną i późniejszą żoną byli naszymi świadkami na ślubie. Robert Napiórkowski po odsiadce został także wzięty do wojska w WSW, gdzie kolejny raz próbowano go bezskutecznie zwerbować, tym razem do współpracy z wojskowymi służbami specjalnymi. Jego teczka, która tak jak moja i Jacka Czarneckiego się zachowała, powinna być pokazywana publicznie jako przykład na to, że z czerwonym się nie rozmawia i że zawsze można być przyzwoitym. Nie zachowała się tylko teczka Jacka Górskiego, szkoda, bo może byłby tam jakiś trop do sprawy jego porwania. Robert, podobnie jak „Czarny,” odwiedzał mnie na przepustkach i pomagał mi w pracy.

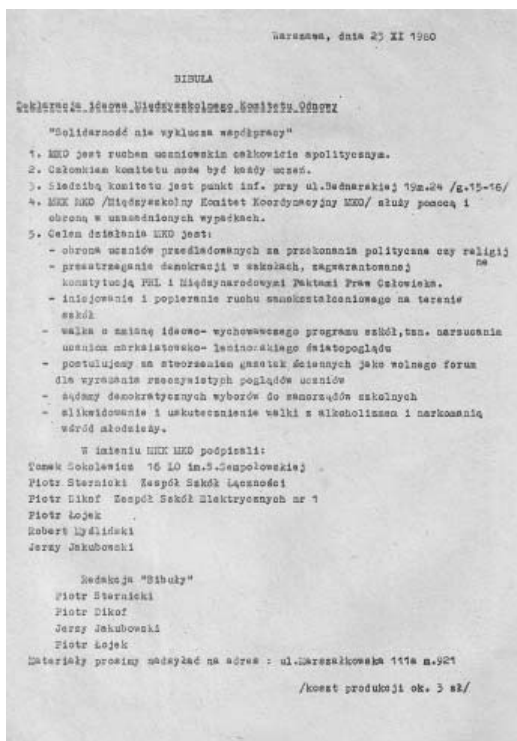
Epilog

Nadszedł rok 1988 i czuć było zbliżające się w kraju zmiany. Niestety nie zapowiadały one restytucji Rzeczypospolitej, o której wielu z nas marzyło. Docierały wieści o tajnych, a później widnych rozmowach czę-

ści „Solidarności” z komunistami. Zapowiedziach podzielenia się czerwonych z władzą pod warunkiem nierozliczenia ich za zbrodnie, jakich dokonali na Kraju i na narodzie. Ceną miały być gwarancje robienia „legalnych” interesów. Ostatni numer KOS-a wydrukowałem tuż przed wyborami do parlamentu w 1989 roku, a później listę solidarnościowych kandydatów do parlamentu. Ja sam zagłosowałem w Sztokholmie, bo wyjechałem na wiele miesięcy do Szwecji do mojego poprzedniego szefa poligrafii z KOS-a Zbyszka Mazurczuka, który był tam już od miesiąca. Później dojechał syn Zbyszka – Jacek z żoną Dorotą i pozostali tam na stałe.

Czułem się oszukany i zdradzony. Układy z czerwonymi? Częściowo wolne wybory? Bandyta prezydentem? Solidarnościowe lewactwo bratające się z czerwonymi, którzy postanowili zmienić kolor?

W Szwecji słuchałem polskiego radia na falach długich i jeździłem na spacerach do secesyjnej dzielnicy Södermalm, która przypominała mi moje ukochane warszawskie Śródmieście. Miałem możliwość zamieszkania w Calgary w Kanadzie, wszystko było już załatwione i mieliśmy z Moniką i Martą polecieć tam z Wiednia. Nie nadaję się jednak na emigranta, jestem zbyt sentymentalny. Wróciłem w lutym 1990 roku. W domu witała mnie żona z córką Martą i mieszkaniem pełnym krewnych i przyjaciół. Zrozumieli-



śmy, że tutaj jest nasze miejsce i nadzieja – jeszcze czas, by dało się coś zrobić dla Ojczyzny.

Na drugi dzień po imprezie wyszedłem na spacer, aby sprawdzić, czy coś się zmieniło w Warszawie. Koło jubilera na Puławskiej 1, dosłownie wpadłem na towarzysza Jacka Posmyka. Spojrzeliśmy na siebie i podaliśmy sobie dłonie, a on zapytał: *Co u pana słychać?* Powiedziałem mu o pobycie i powrocie ze Szwecji. Spytałem tak samo: *A co u Pana słychać?* Odpowiedział: *U mnie nic... pracy nie mam...* Powiedziałem do widzenia, bo musiałem natychmiast odejść. Pamiętam, jak szeroko się uśmiechałem... Był to pierwszy i ostatni raz, kiedy cieszyłem się z tego, że ktoś wyleciał z pracy. Po chwili jednak uświadomiłem sobie, że Posmyk stał przed wejściem do klatki schodowej, w której mieszkał generał SB Władysław Ciasoń. Przestałem się uśmiechać, bo pomyślałem, że to nie mógł być tylko zbieg okoliczności...

WSPOMNIENIA Z DZIAŁALNOŚCI W FEDERACJI MŁODZIEŻY WALCZĄCEJ

Trzydziesta piąta rocznica powstania Federacji Młodzieży Walczącej stała się okazją do przypomnienia fenomenu jednej z najmłodszych podziemnych organizacji, której działalność ukierunkowana była na walkę z komunizmem. Szczęśliwie FMW może się już poszczycić naukowymi i popularnonaukowymi publikacjami, omawiających jej historię, program działania, najważniejsze osiągnięcia, Monografia ukazująca w syntetyczny sposób Federację została wydana przez Instytut Pamięci Narodowej, dwutomowe opracowanie ukazało się też staraniem regionu krakowskiego. Przyszedł więc czas na zmobilizowanie historyków, którzy opracują szerzej działalność struktur tej antykomunistycznej organizacji w innych częściach kraju. Aby one jednak mogły powstać, trzeba m.in. stworzyć bazę notacji z uczestnikami wydarzeń z lat 1984–1990, zaangażowanych w różne struktury Federacji Młodzieży Walczącej. Różnie jednak bywa z zachętą o takie świadectwa.

Po raz pierwszy swoje wspomnienia opublikowałem przed dwudziestoma laty, przy okazji pracy nad magisterką, którą przygotowywałem na wydziale historycznym Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Zostały one w kolejnych latach opublikowane na stronie Stowarzyszenia FMW. Tak przeczekały swój czas. Jubileusz powstania FMW stał się dla mnie okazją do ich odświeżenia i uzupełnienia.

Tradycje patriotyczne rodzinnego domu i środowiska, w którym dorastałem

Kiedy po latach zastanawiam się nad tym, dlaczego zaangażowałem się w działalność FMW, coraz wyraźniej widzę wpływ jakie na tą decyzję miało moje wychowanie religijne i patriotyczne. Od dzieciństwa byłem przez rodzinę wychowywany w duchu przywiązania do wartości, które niósł ze sobą Kościół Katolicki. Był on fundamentem porządkującym nasze życie. W mojej rodzinie zaangażowanie w życie Kościoła w naturalny sposób było także powiązane ze sprzeciwem wobec systemu totalitarnego w jakim przyszło nam żyć. Ten sprzeciw pamiętam bardzo dokładnie, już w najodleglejszych wydarzeniach, jakie przywołuje mi z dzieciństwa pamięć. Myślę tutaj szczególnie o rodzinie mojej mamy. Pamiętam dyskusje, które po każdej Mszy św. niedzielnej, w drodze powrotnej do domu toczyli mój dziadek z wujkami. Pamiętam dziadka nasłuchującego radio „Wolna Europa”, euforię roku 1980 (zbierałem wszystkie gazetki ówczesnej „Solidarności”), ale i łzy stanu wojennego. Zawsze w domu uczono mnie i moich braci prawdziwej historii. Pamiętam, że jako dziecko zastanawiałem się, dlaczego do moich kuzynek muszę jeździć za granicę (mój ojciec pochodził z Wileńszczyzny). Atmosfera domu rodzinnego z gruntu była więc nieprzychylna panującemu ustrojowi. To jedna rzecz, na którą chciałbym zwrócić uwagę.

Następną ważną rzeczą z lat dzieciństwa, która miała duży wpływ na kształtowanie moich poglądów politycznych było to, iż mieszkalem w Gdańsku, a więc w mieście „buntowników”, które w latach osiemdziesiątych stało się centrum życia politycznego w Polsce. Sierpień 1980 roku pamiętam ze spacerów, na które z mamą i bratem Piotrem chodziłem wożąc w wózek naszego nowonarodzonego braciszka Pawła. Utkwiły mi w pamięci oflagowane bramy i robotnicy na dachach swoich zakładów pracy. Pamiętam też, jak ojciec zabrał mnie pod Stocznnię Gdańską – w pamięci zapisałem wielki tłum ludzi i ulotki, które łapaliśmy. Szczęśliwym zrządzeniem losu było to, że mieszkalem przy ul. Startowej 17, a więc w bezpośrednim sąsiedztwie bloku, w którym przy ul. Pilotów 17 mieszkał Lech Wałęsa. Mogę więc powiedzieć, że wiele ważnych wydarzeń związanych ze społecznym oporem tamtych dni, wydarzyło się na moim podwórku. Szczególnie pamiętam dwa wydarzenia z początków lat osiem-

dziesiątych. Po pierwsze, regularną bitwę jaką z oddziałami ZOMO stoczyli demonstranci nielegalnego pochodu 1 majowego, którzy próbowali się dostać pod dom Wałęsy. Do bitwy przyłączyli się mieszkańcy bloków na gdańskiej Zaspie, którzy z balkonów rzucali w atakujących zomowców, czym tylko się dało – doniczkami, wiadrami, talerzami, garnkami. Ludzie bloków przy ulicy Startowej spontanicznie wpuszczali do mieszkań uciekających przed zomolami demonstrantów. W naszym domu też się schronili. Drugie wydarzenie to przyznanie Lechowi Wałęsie Pokojowej Nagrody Nobla. Tłumy ludzi zbierały się przed jego blokiem, palono ogniska, skandowano solidarnościowe hasła. Po zakończeniu całej fety okazało się, że hasła te zostały również wypisane farbą na asfalcie.

Kolejne wspomnienia, które są związane w kształtowaniu się we mnie poglądów antykomunistycznych są związane z wujkiem – kapłanem w Zgromadzeniu Salezjańskim – ks. Zbigniewem Łepką SDB. Był programowym antykomunistą, a przede wszystkim wnikliwym znawcą tematu i rzeczowym krytykiem filozofii marksistowskiej. Ponieważ ze strony mamy jest mi najbliższą osobą w rodzinie, toteż w miarę często miałem z nim kontakt. Wprawdzie byłem za mały, aby wdawać się w mądre dyskusje o rzeczywistości politycznej, w jakiej wtedy znajdowała się Polska, ale drobne rzeczy związane z jego osobą i angażowaniem się po odpowiedniej stronie na trwałe utkwiły mi w pamięci.

Najbardziej chyba wakacje, jakie spędziłem u niego w 1983 r. Warszawie, gdzie był kapłanem u sióstr Urszulanek na ul. Wiślanej. Dla mnie wyjazd do Warszawy był wielkim wydarzeniem. Sporo wtedy zwiedziłem, ale co najważniejsze, doświadczyłem spotkań z ciekawymi ludźmi. Dzisiaj są to już postacie historyczne, stąd tamte chwile pieczołowicie pielęgnuję w mojej pamięci. I tak widziałem wtedy ks. Jana Zięję, który również zamieszkiwał u Urszulanek. Miałem okazję zamienić parę zdań z ks. Popiełuszką. W Kurii, do której zabrała mnie bardzo wówczas znana w Warszawie s. Jana Płaska USJK, podarował mi obrazek. Wokół siostry kręciło się wielu kombatanatów Armii Krajowej, ludzi opozycji. Z wujkiem 1 sierpnia brałem udział w niezależnych obchodach wybuchu Powstania Warszawskiego na Powązkach. Działo się wiele.

Z chwil spędzonych w Warszawie dwie rzeczy pozostały mi po dziś dzień. Jako początkowy filatelista otrzymałem od wujka kilka kopert wykonanych przez internowanych działaczy „Solidarności” w Gębarzewie k/Gniezna. Po latach, już jako historyk zajmujący się m.in. dziejami „Solidarności”, dowiedziałem się, że wujek jeździł tam wraz z ks. Stanisławem Styrną SDB odwiedzać internowanych pilskich związkowców. Drugą rzeczą jest zdanie w języku włoskim, którego wujek wtedy mnie nauczył, a które pamiętam po dziś dzień: „Il comunismo e' una disgrazia piu' grande per il mondo” – „Komunizm jest największym nieszczęściem dla świata”.

Uzupełniając te i tak stosunkowo obszerne wspomnienia z dzieciństwa, które są jednak ważne dla zobrazowania środowiska, w którym wyrastałem, nadmienię tylko, że w tym okresie często spotykałem się z niezależnymi wydawnictwami, których w moim domu zawsze było dużo. Skrzętnie je gromadziłem, co po latach zaowocowało pokaźną kolekcją prasy, książek i innych wydawnictw drugiego obiegu, jaka znajduje się w moim posiadaniu.

Jak trafiłem do Federacji Młodzieży Walczącej

Mniej więcej od 1986 roku co jakiś czas wraz z rodzicami braliśmy udział we Mszach świętych odprawianych w intencji ojczyzny przez ks. Henryka Jankowskiego w stoczniowej parafii pw. św. Brygidy. Odbywały się w każdą niedzielę o godz. 11.00. My wówczas chodziliśmy na nie przy okazji wakacji, ważnych rocznic. Na pewno intensywniej po papieskiej wizycie w Gdańsku. Msze św. w Brygidzie były okazją do spotkania ciekawych ludzi, czołowych działaczy opozycji, artystów, zagranicznych polityków. Kolportowana była podziemna prasa i inne wydawnictwa. Na dziedzińcu plebani po mszy miały miejsce zazwyczaj wiece, na których przemawiali przywódcy „Solidarności”. Dochodziło też do ulicznych manifestacji pacyfikowanych zazwyczaj przez ZOMO.

Pod koniec szkoły podstawowej, mniej więcej w 7 klasie, wraz z kilkoma kolegami sam zacząłem włączać się w różne młodzieżowe akcje przeciw władzy. Nasze działania rodziły się spontanicznie, były raczej na-

śladownictwem tego, z czym spotykaliśmy się na murach Gdańska. Na tę aktywność miała wpływ Msza papieska na Zaspie, na której organizacje niezależne zaprezentowały się z całą siłą. Zaimponowały nam wtedy bardzo akcja zmiany hasła, które w związku z Mszą św. władze umieściły na blokach, które znajdowały się w pobliżu papieskiego ołtarza. Jedno z nich, umieszczone zdaje się na bloku przy ulicy Dywizjonu 303, zapamiętałem szczególnie. Hasło – „Nasz ustrój to socjalizm” zostało w nocy poprzedzającej spotkanie świata pracy z Janem Pawłem II przemalowane na „Wasz ustrój to socjalizm”. W taki sposób pozmieniano także inne hasła, ale ich treści dzisiaj już nie pamiętam. W każdym razie wydarzenia związane z tą Mszą, demonstracja, która się po niej odbyła, bibuła, którą na tym spotkaniu zdobyliśmy spowodowała nasze zainteresowanie działalnością niezależną.

Zaczęliśmy się włączać w demonstracje, które odbywały się prawie co niedziela po Mszy za Ojczyznę w kościele św. Brygidy. Z grupą kolegów wieczorami malowaliśmy także solidarnościowe hasła na blokach, w święta państwowe zrywaliśmy czerwone flagi z klatek schodowych bloków na Zaspie. Grupę tworzyli moi rówieśnicy (kl. VI–VIII) ze Sportowej Szkoły Podstawowej nr 92 na Zaspie i z kręgu ministrantów parafii św. Kazimierza. Nie byliśmy jednak związani z żadną organizacją, może po za tym, że wszyscy kibicowaliśmy Lechii Gdańsk, na której meczach systematycznie skandowaliśmy wraz z całym „młynem” antykomunistyczne hasła (Już jako historyk opisałem fenomen politycznych ekscesów wywoływanych na stadionach całej Polski przez kibiców gdańskiej Lechii, którzy od 1980 roku wiernie stali przy „Solidarności”).

W maju 1988 r. wybuchły strajki „Solidarności”. W naszym gronie zrodził się wtedy pomysł, aby zbierać żywność i papierosy dla strajkujących. Nic nie wiedząc o tym, że w kościele św. Brygidy istnieje punkt, gdzie można takie dary składać, działaliśmy na własną rękę. Wieczorami chodziliśmy po blokach przy ulicy Startowej, od mieszkania do mieszkania (!) i zbieraliśmy różne dary dla stoczniowców. Dziennie zbieraliśmy kilka reklamówek. Następnie wsiadaliśmy w tramwaj nr 8 i jechaliśmy pod stocznię. Jedzenie i papierosy rzucaliśmy stoczniowcom przez okna

tramwaju. Paczki nie mogły być za duże, ale musiały mieć swój ciężar. Jako piłkarzom ręcznym (chodziliśmy w większości do szkoły sportowej i uprawialiśmy tę dyscyplinę sportu w MKS-ie) nawet nam to wychodziło. Co ciekawe, zdarzało się prawie zawsze, że tramwaje przy stoczni zwalniały. Raz na naszą prośbę motorniczy na parę chwil się nawet zatrzymał. Ludzie w tramwaju bili nam brawo, pozdrawiali stoczniowców, zdarzało się, że skandowali solidarnościowe hasła. To był Gdańsk!

Podczas majowego strajku po raz pierwszy zetknęliśmy się z Federacją Młodzieży Walczącej. W nasze ręce wpadły nam strajkowe wydania „Monitu”. Od tej pory zaczęliśmy w czasie ulicznych manifestacji zwracać uwagę na transparenty FMW, w pobliżu których zawsze się ustawialiśmy. Czuliśmy się młodzieżą walczącą!

W roku 1988 część naszej grupy ukończyła szkołę podstawową. Nastąpiły wakacje. Większość z nas, często razem z rodzicami, zaczęła w niedziele uczęszczać na Msze św. w Brygidzie. Wciąż coś się działo. Co tydzień demonstracje, wiece z udziałem solidarnościowych polityków, masa ulotek i podziemnych pism z całej niemal Polski. Gdańsk rzeczywiście stanowił wtedy centrum opozycji w naszym kraju. Przyszedł sierpień – i znowu strajki, demonstracje, malowanie bloków, noszenie żywności, tym razem już do Brygidy, skąd z kolei braliśmy ulotki, które rozprawdzało się w pociągach podmiejskich i tramwajach oraz wrzucało się w blokach do skrzynek na listy. Kiedy pierwszego września stoczniowcy wychodzili ze strajku, my urywając się z uroczystości rozpoczęcia nauki w nowych szkołach, staliśmy w tłumie mieszkańców Gdańska, którzy pozdrawiali bohaterów, skandując „Solidarność”, unosząc ręce z palcami ułożonymi w symbol zwycięstwa, płacząc...

Sierpniowe strajki i demonstracje na ulicach Gdańska, oraz lektura pisemek FMW spowodowały, że całkowicie zaczęliśmy się identyfikować z tą organizacją. Niestety nie mieliśmy żadnych konkretnych kontaktów. Los się jednak do nas uśmiechnął.

We wrześniu na Jasnej Górze odbywały się Pielgrzymki Ludzi Pracy. W Gdańsku przed tym wydarzeniem miała miejsce prawdziwa „mobilizacja sił”. Wszyscy wszystkich namawiali do wyjazdu do Częstoch-

wy. Postanowiliśmy pojechać także i my. Nie chcieliśmy jednak jechać z pustymi rękami. Postanowiliśmy namalować transparenty z napisem... FMW Gdańsk. Jak postanowiliśmy tak się też stało. Każdy z nas podsunął mamie prześcieradło, zakupiliśmy czerwoną farbę i na dachu bloku przy Startowej 24 wykonaliśmy kilka transparentów. Z takim ekwipunkiem wyruszyliśmy na Jasną Górę. Pojechaliśmy w kilka osób: ja, Kamil Jesionowski, Bartek Jesionowski, Adam Musiał i zdaje się także Jażymowski (imienia niestety nie pamiętam). I właśnie tutaj miało miejsce wydarzenie, które zadecydowało o naszym przystąpieniu do Federacji.

Po dotarciu do Częstochowy, rozejrzeliśmy się w terenie i postanowiliśmy, podpatrując innych, jeden z naszych transparentów umieścić na płocie klasztoru Jasnogórskiego. W czasie zawieszania podeszła do nas grupka młodych ludzi, która z uśmiechem na twarzy przypatrywała się naszemu transparentowi. Zaczęli się wypytwać skąd jesteśmy, co to jest Federacja itd., coraz bardziej się uśmiechając. W końcu się nam przedstawili jako... działacze FMW Gdańsk. Przyznam, że trochę nam było głupio, ale widocznie zdaliśmy „egzamin” bo grupa ta zaproponowała nam przystąpienie do Federacji. Wśród członków FMW, których wtedy poznaliśmy był „Jacek” Robert Kwiatek, Bogdan Falkiewicz, Andrzej Duffek i jakieś dwie dziewczyny. Na Pielgrzymce Ludzi Pracy w Częstochowie staliśmy się członkami gdańskiej Federacji! Tak rozpoczęła się nasza przygoda.

Działalność w Federacji Młodzieży Walczącej Region Gdańsk

Zaraz po przyjęciu w grono gdańskich Federastów, zaczęliśmy aktywnie uczestniczyć w różnych inicjatywach tej młodzieżowej organizacji opozycyjnej. Przez starszych kolegów zostaliśmy poinstruowani jak mamy się zachowywać w różnych okolicznościach np. w czasie zatrzymania przez MO, jak utrzymywać kontakty między sobą, jak kolportować prasę itd. Dla mnie był to także okres intensywnego zapoznawania się z programem i poglądami reprezentowanymi przez FMW.

Okres ten wiąże się także z moim zintensyfikowanym udziałem w licznych demonstracjach, wiecach, spotkaniach samokształceniowych,

akcjach Grup Wykonawczych i kolportażu wydawnictw FMW Gdańsk. Rozpocząłem też budować komórkę szkolną w Zespole Szkół Samochodowych przy ul. Elbląskiej w Gdańsku, gdzie się uczyłem. Udało mi się zwerbować do działalności kilka osób. Przez pośrednictwo „Jacka” poznałem też innych chłopaków z mojej szkoły, którzy w jakimś stopniu byli związani z FMW i innymi organizacjami młodzieżowymi. Jako szkolna komórka czynnie włączaliśmy się we wszystkie akcje inspirowane przez region. Między innymi wzięliśmy czynny udział w akcji „MON Stop” rozrzucając na terenie szkoły kilkaset ulotek i malując na murach szkoły hasła związane z tą akcją. Nasz dyrektor (deklarowany komunista) dostał po niej furii. W tej sprawie odbył się specjalny apel. Dochodziły mnie głosy, iż w związku z tą akcją do szkoły została wezwana milicja i SB, ale nie jestem pewien, co do prawdziwości tych wiadomości.

Muszę przyznać, że na śmiałe poczynania naszej szkolnej komórki miała wpływ nieukrywana sympatia, jaką darzyli nas niektórzy nauczyciele związani z „Solidarnością”. Trudno tu wymieniać wszystkich, ale cicho wspierali nas w przeróżny sposób: pan Tadeusz Polanowski – nauczyciel zawodu, działacz podziemnej „Solidarności” Pracowników Oświaty i Wychowania, pan Józef Lis – nauczyciel zawodu, represjonowany przez władze działacz podziemnej „Solidarności”, pan Marek Pawłowski – także nauczyciel zawodu, pan Jerzy Szurdak – nauczyciel historii, czy też moja wychowawczyni, polonistka pani Iwona Długońska. Dzięki temu, że czuliśmy poparcie wśród nauczycieli, takie działania, jak chociażby kolportaż niezależnych wydawnictw odbywały się u nas w szkole na pół oficjalnie.

Na początku 1989 r. rozpoczęliśmy wydawanie szkolnego pisma FMW zatytułowanego „Klakson”. Było to jedno z pierwszych pisemek Federacji, jakie ukazało się w szkołach technicznych i zawodowych w Gdańsku. Nazwę wymyślił Marcin Najmowski, który zaczerpnął ją z pisma „Solidarności” pracowników „Polmozbytu” w Gdańsku, które pod tym samym tytułem ukazywało się w czasach pierwszej „Solidarności”. Ukazało się siedem numerów „Klaksonu” firmowanego przez FMW i ósmy, który wyszedł jako Niezależne Pismo Młodzieży ZSS.

Przez cały okres ukazywania się pisemka byłem jego redaktorem naczelnym. W drukowaniu pomagał nam „Jacek”, jeden numer (5) ukazał się dzięki pomocy wspomnianego już pana Tadeusza Polanowskiego. Jeden z numerów „Klaksonu” ukazał się w nakładzie 3–4 sztuk, ponieważ drukowaliśmy go razem z Adamem Musiałem na tzw. ramce i ten druk nam za bardzo nie wyszedł. Taki sam los spotkał w tym dniu gazetkę FMW XI LO wydawaną przez Adama, zatytułowaną „Tu Jedenastka”. Jako szkolna komórka wspieraliśmy koleganki z pobliskiego Liceum Ekonomicznego i wydawane przez nie pisemko „Norma”.

Bardzo miło wspominam czas, kiedy zaanonsowany przez „Jacka”, jako wolontariusz pracowałem z ramienia FMW przy kampanii wyborczej Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”. Drukowaliśmy „Serwis Informacyjny” i inne wydawnictwa „Solidarności”. W „Akwenie” pracowaliśmy po zajęciach szkolnych, nie raz do późna w nocy. Przy okazji załatwialiśmy tam swoje sprawy związane z działalnością wydawniczą i na powielaczach drukowaliśmy pisemka FMW.. Była to o tyle ciekawa praca, że dawała ona okazję poznania czołówki ówczesnych działaczy związkowych oraz innych organizacji niezależnych. Od Michnika i Mazowieckiego, po braci Kaczyńskich.

Przeżywałem w tym czasie rozdźwięk, jaki zaistniał między „Solidarnością” a innymi organizacjami opozycyjnymi, które nie zasiadły do okrągłego stołu. Coś w tym wszystkim dla mnie było nie jasne. My pracowaliśmy dla „Solidarności”, wspieraliśmy strajki, organizowaliśmy solidarnościowe manifestacje, włączaliśmy się w przedwyborczy wolontariat, a teraz nagle okazaliśmy się „gówniarzami” i „chuliganami” – jak mawiał Wałęsa, którym jak zajdzie potrzeba, on da paskiem po tyłku. „Solidarność” wygrała wybory, ale uważaliśmy, że nie potrafiła wówczas tego zwycięstwa wykorzystać. Nie wiedziała, co zrobić z takim poparciem społecznym. Niektórzy z działaczy związkowych nakłaniali do głosowania na tzw. „listę krajową”. Dla nas to była zdrada. Tym bardziej, że w naszej rzeczywistości nic się nie zmieniło. Nadal byliśmy bici przez ZOMO, karano nas kolegiami, nie pozwalano na jawną działalność w szkołach. Jednym zdaniem wszystkie organizacje opozycyjne takie jak

FMW, KPN, „Solidarność Walcząca”, RSA nadal były represjonowane, jakby się w Polsce nic nie zmieniło.

Przyszły wakacje. Środowiskiem Federacji wstrząsnął mord, jakiego dopuściła się milicja na osobie Roberta Możejki, naszego kolegi z regionu Warmii i Mazur. W związku z jego śmiercią został wydany specjalny numer „Monitu” i plakaty, które rozwieszaliśmy w całym Trójmieście. Szeroką akcję ulotkową zaplanowaliśmy na 1 września. W związku z 50 rocznicą wybuchu II wojny światowej, na Westerplatte zaplanowane było spotkanie młodzieży ze wszystkich szkół Gdańska, które jednocześnie było inauguracją nowego roku szkolnego. Dodatkowym impulsem do tego, aby zmanifestować nasz sprzeciw wobec ówczesnej sytuacji w Polsce, był udział w tych uroczystościach Wojciecha Jaruzelskiego, który w naszym środowisku „cieszył się” wyjątkową pogardą.

No i nadszedł 1 września, ulotki gdziekolwiek się posypały. Wielu z nas zostało zatrzymanych przez milicję. U wejścia na teren Westerplatte milicja sprawdzała reklamówki, torby. Niestety ulotek ani przygotowanego na spotkanie transparentu nie udało mi się przemycić. Zostałem zatrzymany i wszystkie te rzeczy mi zarekwirowano. Moją kłopotliwą sytuację zauważył jeden z nauczycieli, o ile sobie dobrze przypominam był to pan Szurdak, który jako nasz opiekun z ramienia szkoły zagadnął z milicją, aby nas puściła i zapewnił ich, że wobec nas zostaną w szkole wysunięte surowe konsekwencje. No i nas puścili! Oczywiście żadnych konsekwencji wobec nas w szkole nie wyciągnięto.

Po wakacjach ruszyliśmy znowu do normalnej pracy w strukturach Federacji. Pokazną grupą pojechaliliśmy na kolejną Pielgrzymkę Ludzi Pracy do Częstochowy. Zaangażowałem się tam w sprzedaż naszych wydawnictw. Jako FMW Gdańsk wzięliśmy też udział w potężnej demonstracji na ulicach Częstochowy, zorganizowanej przez organizacje niepodległościowe z całej Polski. Takie pielgrzymki były też okazją do spotkania kolegów z innych regionów. Wymienialiśmy się doświadczeniami, bibułą, zawiązywały się przyjaźnie.

Koniec roku naznaczony był manifestacjami związanymi z rocznicami narodowymi; 11 Listopada, i 16 Grudnia. Rocznicę wprowadzenia

stanu wojennego zawsze obchodziliśmy jako dzień hańby narodowej. Środowiska młodzieżowe w Gdańsku radykalizowały się. Wobec dziwnych zachowań Wałęsy, który jakby nie dostrzegał sporej grupy opozycji, która nie chciała być konstruktywna, na demonstracjach pojawiały się okrzyki „Lech Wałęsa kupa mięsa”, „Sprzedawczyk”. Dochodziło do przepychanek wśród biorących udział w manifestacjach zwolenników Wałęsy i pozostałą grupą. Coraz częściej skandowano nazwisko Andrzeja Gwiazdy, legendarnego działacza pierwszej „Solidarności”, odwiecznego wroga Wałęsy (bardziej chyba na przekór temu drugiemu, niż w wyniku poparcia polityki, którą Gwiazda wtedy uprawiał, chociaż niewątpliwie wielu zwolenników miał).

Ten podział środowisk opozycyjnych zaznaczył się również w Federacji. Dokonał się na szczeblu ogólnopolskim, ale my odczuliśmy go także w naszym regionie. FMW Gdańsk pozostała w starych strukturach natomiast FMW Gdynia przystąpiła do „secesjonistów” i utworzyła Region Pomorze Wschodnie. To środowisko skupiło się wokół Mariusza Romana. Mimo różnic pomagaliśmy sobie w kolportażu naszych pism, razem braliśmy udział w „zadymach”.

Nowy rok miał się okazać praktycznie ostatnim pełnym rokiem działalności Federacji. Zaczęliśmy z impetem od okupacji budynku KW PZPR, gdzie palono tajne dokumenty. Niestety nie brałem w tym udziału w pełnym wymiarze, gdyż akurat przebywałem w tym czasie na Litwie. Później były happeningi, manifestacje przeciw budowie elektrowni atomowej w Żarnowcu i inne. Żarnowiec w tym okresie stał się hasłem wywoławczym wielu protestów, demonstracji i inicjatyw niezależnych. Doprowadziły one w naszym województwie do referendum, które odbyły się razem z wyborami samorządowymi. Mieszkańcy odpowiadali na pytanie: czy jesteś za budową elektrowni jądrowej w Żarnowcu? Z ramienia FMW byłem członkiem komisji referendum w Kolbudach. Jednak z miesiąca na miesiąc dawało się zauważyć zmniejszenie zainteresowania naszymi akcjami.

W tym okresie zaangażowałem się jako członek FMW w działalność Niezależnej Unii Młodzieży Szkolnej. Była to organizacja powstała z ini-

cjatywy niezależnych środowisk młodzieżowych z całej Polski. Powstała w czerwcu 1989 r. na spotkaniu w Gdańsku, które zorganizowane było między innymi przez nasz region FMW. Z ramienia FMW do władz ogólnopolskich Unii wszedł Jacek Matusiak. Zaangażowałem się w tą inicjatywę całym sercem, gdyż wydawało mi się, że powstaje taki uczniowski NZS.

Zakładałem NUMS w swojej szkole. Wspólnie ze szkolną komórką FMW zorganizowaliśmy 3 maja „Koncert piosenki już nie zakazanej”, połączony z wystawą zdjęć i transparentów FMW Gdańsk oraz sprzedażą niezależnych wydawnictw. Działalem też w skali regionu. Między innymi z mojej inicjatywy NUMS zaistniał w Kartuzach. Byłem w komisji interwencyjnej, pomagałem redagować „Serwis Informacyjny NUMS”, zostałem oficjalnym przedstawicielem Regionu Gdańskiego na teren Republiki Litewskiej, gdzie podczas wakacji, z racji powiązań rodzinnych, miałem nawiązać kontakt z polską młodzieżą. Niestety czas pokazał, że Unia nie przyjęła się w Polskich szkołach. Złożyło się na to wiele czynników. Mam dzisiaj wrażenie, że przynajmniej w Gdańsku zabrali się za to nieodpowiedni ludzie. Poza wyjątkami raczej karierowicze niż działacze. Kiedy grunt palił się pod nogami, wszyscy zwijali żagle. Pewnego dnia Jacek Matusiak i Jarek Ćwikałowski zaproponowali mi stanowisko przewodniczącego Zarządu Regionu Gdańskiego NUMS. Wtedy Unia chyliła się ku upadkowi. Spostrzegłem, że jest coś nie tak. Zrezygnowałem z dalszej działalności w tej organizacji.

Wśród wielu spraw, które po latach miło wspominam w związku z działalnością w FMW, są relacje towarzyskie a nawet i przyjacielskie, jakie zawiązywały się między członkami Federacji. Spędzaliśmy razem wolny czas, chodziliśmy na mecze, spotykaliśmy się na imprezach imiennowych, osiemnastkach. Jeździliśmy wspólnie na wakacje. Jedną z większych imprez, na której zjawili się i starzy i młodzi działacze Federacji była impreza w związku z 5-leciem istnienia FMW Gdańsk, która odbyła się w „Kurkowej” w Gdańsku. O ile dobrze pamiętam skończyła się ona interwencją milicji, kiedy dawaliśmy upust swojej znajomości piosenek i okrzyków antykomunistycznych na ulicy Długiej... w środku nocy.

Co pozostało z tamtych dni?

Pod takim tytułem ukazała się na początku lat dziewięćdziesiątych, książka pod red. Jan Kulasa, traktująca o Sierpniu '80. Podsumowując moje wspomnienia, chciałbym zakończyć właśnie odpowiedzią na pytanie: Co pozostało z tamtych dni?

W moim życiu dwie formacje z lat szkoły średniej odegrały bardzo istotną rolę i z perspektywy czasu mogę też powiedzieć, że wywarły trwałą wpływ na moje życie. Pierwszą jest ministrantura, drugą Federacja Młodzieży Walczącej.

Pierwsza miała duży wpływ na wybór mojej drogi życiowej. Od dwudziestu sześciu lat jestem salezjaninem – członkiem zgromadzenia zakonnego posłanego w Kościele do pracy z młodzieżą. W roku 2000 złożyłem wieczyste śluby zakonne, dwa lata później przyjąłem święcenia kapłańskie. Przez dwa lata pracowałem jako wikary w parafii Matki Bożej Różańcowej w Szczecinie – Gumieńcach. Od 2004 r. jestem dyrektorem Archiwum Salezjańskiego Inspektorii Pilskiej, obecnie także kierownikiem salezjańskiego Ośrodka Postulatorskiego w Pile. Oprócz studiów seminaryjnych z filozofii i teologii, skończyłem studia historyczne, a wszystkie swoje prace dyplomowe poświęciłem gdańskiej opozycji młodzieżowej. Z tej tematyki w ostatnich latach publikowałem wiele artykułów naukowych.

Federacja zaś ukształtowała we mnie jasne i klarowne poglądy polityczne, nauczyła mnie wytrwałej pracy i poświęcenia dla idei. Niektóre umiejętności nabyte w czasie działalności w FMW wykorzystuję po dziś dzień. Chociażby zamiłowanie do dziennikarstwa. W prasie Federacyjnej publikowałem swoje pierwsze teksty, dzisiaj mam ich na swoim koncie przeszło tysiąc. Współpracuję jako felietonista w wieloma czasopismami, m.in.: „Gazetą Polską Codziennie”, „Kurierem WNET”, „Magazynem Kurier Wileński”, Radiem Poznań. Sprawia mi to dużo przyjemności. Dzięki przetrwałym przyjaźniom z byłymi kolegami z FMW wciąż wspólnie organizujemy wiele ciekawych projektów. W tym miejscu chciałbym szczególnie przywołać Patriotyczną Pielgrzymkę Kibiców na Jasną Górę, która odbędzie się już po raz trzynasty i gromadzi każdego

roku kilka tysięcy fanów z całej Polski. Z kilkoma Federastami udzielamy się także w Związku Żołnierzy Narodowych Sił Zbrojnych. Bez moich przyjaciół nie było by chociażby ogólnopolskiej inicjatywy ‘Serce dla Inki’ upamiętniającej Danutę Siedzikówną „Inkę”, sanitariuszkę 5. Wileńskiej Brygady AK. W tym miejscu mógłbym wymieniać jeszcze bardzo wiele przedsięwzięć, w realizacji których opieram się na pomocy moich przyjaciół z FMW.

Jestem dumny z tego, że w pewnym etapie mojego życia mogłem być członkiem takiej organizacji jak Federacja Młodzieży Walczącej. Cieszę się, że żyję dzisiaj w wolnej Polsce, co niewątpliwie jest także zasługą młodzieży, która w latach osiemdziesiątych angażowała się w niezależną działalność i że do wywalczenia tej wolności dane mi było dorzucić swoją skromną cegiełkę.

Płock i Kutno były połączone na dwa sposoby: po pierwsze jako ten sam region „Solidarności”, a po drugie przez Głogowiec – wieś położoną pomiędzy oboma miastami, w której na przełomie kwietnia i maja 1985 r. rozpoczął się ogólnopolski, rotacyjny protest głodowy działaczy opozycji. *Głodówka nasza jest protestem przeciwko kampanii nienawiści prowadzonej przez władze PRL wobec Kościoła i duchowieństwa katolickiego, oraz nasilaniu się represji wobec działaczy „Solidarności” i opozycji demokratycznej!* – głosiło oświadczenie opracowane w wieczór Wigilii Paschalnej 1985 r. przez zgromadzonych na plebanii w Głogowcu.

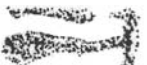
Właśnie w Sanktuarium w Głogowcu zgromadzili się Dariusz Stolarski (dziś już nieżyjący), Krzysztof Kowalski, Robert Kalota, Kasia Adamkowska i Jacek Pawłowicz. Jacek poznał Darka z ludźmi z Wrocławia (tzw. grupa Piniora), którzy przybyli na głodówkę. Opowiedzieli mu o pewnej organizacji, zwanej federacją. Była ona inna niż dotychczasowe, miała pełną samodzielność. Z Płocka, Kutna i innych miast, nie bez przeszkód, przyjechały autobusy. Uroczyscie zakończyła się druga ogólnopolska głodówka.

FMW Płock-Kutno

Darek był zafascynowany tym, że wreszcie będzie mógł robić coś nowego. To najbardziej mu odpowiadało. Był osobą kreatywną. Marzył o tym od wielu tygodni. Uważał, że starsi koledzy z „Solidarności” za mało, lub w ogóle nie działają. Był już po kilku aresztowaniach i stwierdził, że to odpowiedni czas aby w Płocku powstała Federacja Młodzieży

ORLETA 


Veritas premitur, non opprimitur
Prawdę można uciekać, ale nie zdziwić!
MAŁACHOWSKIAK
FMW - PISMO SZKOLNE L.O. im. Stanisława Małachowskiego - PŁOCK


JAGIELONIAK

FEDERACJA MŁODZIEŻY WALCZĄCEJ
ELEKTRYK  NR1 
NIEZALEŻNE PISMO UCZNIÓW ZESPOŁU SZKÓŁ ELEKTRYCZNYCH W PŁOCKU

OrleTA, Małachowskiak, Jagieloniak, Elektryk to winiety gazetek FMW Płock

Walczącej. Chciał, aby w każdej szkole działała jej komórka lub chociaż byli członkowie lub osoby związane z FMW.

Jedną z ważnych chwil w życiu Darka był dzień, kiedy na Pomorzu brał udział w „kursie drukarskim”. Zafascynowany przyjechał do Płocka i prawie od razu chciał założyć pismo FMW Płock-Kutno. Tak powstały „OrleTA”. Tytuł nawiązywał do płockiej młodzieży, broniącej w 1920 r. miasta przed bolszewikami. Od 1986 do 1989 r. wyszło ponad 30 numerów. Poza tym, w kilku szkołach, w których aktywnie działało FMW powstawały oddzielne pisma, takie jak: „Małachowskiak”, „Jagieloniak”, „Elektryk” (tytuły pochodziły od potocznych nazw szkół). W innych również byli członkowie Federacji, choć nie organizowali się w grupy.

Zawsze jednak na pierwszej linii był prawdziwy lider plockich „federalistów” – Darek Stolarski.

Represje

W tamtym czasie na prowincji zarówno MO jak i SB były znacznie brutalniejsze niż w dużych ośrodkach miejskich. Nie było tu zagranicznych korespondentów, ambasad czy konsulatów państw zachodnich, adwokatów broniących w procesach politycznych, nie działał Komitet Prymasowski. Płock – mimo, że przecież był i jest grodem książęcym – Służba Bezpieczeństwa najwyraźniej zaliczyła do tej niższej kategorii miast, w których na więcej mogła sobie pozwolić. Cenę za to zapłacili Darek, Krzysiek czy Robert – główni organizatorzy plockiej Federacji. O ich zatrzymaniach i pobiciach nie „trąbiła” rozgłośnia polska Radia „Wolna Europa”, nie pisała zachodnia prasa. Ślad jednak pozostał. Jako dowód cytuję fragmenty artykułu „Przebieg wydarzeń”, zamieszczony w piśmie FMW „Orlęta”, grudzień/styczeń 1988 r.

16.12.1986 roku ok. 4 rano przy ulicy Pięknej funkcjonariusze MO i ZOMO zatrzymali Roberta Kalotę i Krzyska Kowalskiego. Do zatrzymania doszło w czasie wykonywania przez nich napisów na murach „Precz z religioznawstwem”, „Solidarność żyje i zwycięży”, znaki Polski Walczącej, Solidarności Walczącej i symbole FMW, które mogły według zatrzymujących wywołać niepo-



Pielgrzymka na Jasną Górę r. 1986 lub 1987



Manifestacja ulicami Płocka

koje społeczne. Z budynku, w którym się ukryli przed pościgiem, zostali wyciągnięci brutalnie za włosy, przewrócono ich i leżących kopano po całym ciele zwłaszcza w tył głowy i okolice nerek. Po przywiezieniu do komendy ustawiono ich w dyżurce bito ich po kolei i wyrzykowo, tzw. „ścieżki zdrowia”. Po „ścieżce zdrowia” kazano im się położyć na podłodze nad głowę postawiono taboret i kopano po żebrach i nogach. Bicie trwało ok 1,5 godziny. Jeden bijący w stopniu sierżanta MO powiedział, że jak ich spotka na ulicy to zastrzeli pozorując wypadek. Natomiast chorąży MO zwrócił się do Krzyska z następującymi słowami „ Gestapo Tobą poniewiera, a Ty szmato nic nie możesz zrobić”. Po przejściu sprawy przez SB i przewiezieniu na 1 maja byli dalej bici. Przed opuszczeniem aresztu WUSW zostali zbadani przez lekarza milicyjnego, który nie stwierdził w nich żadnych objawów pobicia. Krzysiek otrzymał tylko opatrunek na rozbity palec, gdyż jeden z funkcjonariuszy stał mu nogą na dłoni, gdy leżał. Zarówno Krzysiek jak i Robert mieli silne zawroty głowy, dreszcze i wymioty. Kiedy dolegliwości

nie ustawały obaj udali się do poradni chirurgii urazowej przy Szpitalu Wojewódzkim w Płock, gdzie po zbadaniu i prześwietleniu otrzymali 7 dni zwolnienia. Za popełniony czyn Kolegium I Instancji skazano Kalotę i Kowalskiego na podstawie art. 63a kw. w zwz. art. 9 par. 1 na karę grzywny w wysokości 50 tysięcy... na podst. art. 63a art. 2 orzekło obowiązek przywrócenia części ścian zewn. zamalowanych budynków i na podst. art. 31 par. 1 Kw. orzekło też podanie do publicznej wiadomości w Tyg. Płockim na koszt poszkodowanych. Skazani złożyli odwołanie do Kolegium II Instancji ale wyrok utrzymano. –Tu trzeba dodać, że to było najgorsze miejsce do malowania na murach, gdyż trudno było uciec z tego miejsca.

23.03.1987 roku zatrzymali zostali Krzysztof Kowalski (ponownie) i Dariusz Stolarski około godz. 6.50 na ulicy Jaśminowej za to, że przekazywali sobie dwie różne kasety video w celu wywołania niepokoju publicznych. Zostali zatrzymani przez dwóch funkcjonariuszy SB, nie okazali im legitymacji służbowych. Przewiezieni zostali białą wołgą RUSW w Płocku



Msza w Głogowcu



Pielgrzymka do Częstochowy Darek idzie o kulach

na Słowackiego. Darek został pobity przez jednego z nich. Został uderzony pięścią w okolicę prawej nerki, po czym funkcjonariusz powiedział „Wstań, pokażę Ci co trenuję i uderzył Darka w twarz, brutalnie rzucając Go na podłogę. Inny powiedział: „wojewódzka się bawi, my to robimy to inaczej. Za trzecim razem już byś nie żył” i chwycił Go za włosy i zaczął Jego głową bić o ścianę. Krzysiek był bity w brzuch i Jego głową uderzany o ścianę. Został też uderzony pięścią w lewą skroń, po tym ciosie spadł z krzesła i stracił przytomność. Krzysiek i Darek czuli silne mdłości i zawroty głowy, żądali udzielenia pierwszej pomocy na rzekł funkcjonariusz rzekł „To nie apteka”. Lekarz milicyjny nie stwierdził żadnego pobicia Zatrzymano ich na 48 godz. 29.03 wezwano do aresztu karetkę bo ich stan zdrowia znacznie się pogorszył. Lekarz nie stwierdził żadnych zewnętrznych obrażeń ale nie wykluczył pobicia. 30.03. o godz. 6.30 byli badani przez lekarza milicyjnego, który z odległości 1 m zbadał zatrzymanych i nie stwierdził obrażeń. O 7.00 zostali przewiezieni do Kolegium ds. Wykroczeń przy Prezydencie m. Płocka, gdzie w trybie przyspieszonym odbyła się „kapturowa” rozprawa. Kolegium I Inst. Ukarła grzywną w wys. 50 tys zł. Wraz z podaniem do publicznej wiadomości w Tyg. Płockim na koszt obwinionych (po 10 tys każdy). Ska-

zani złożyli odwołanie do Kolegium II inst. ale wyrok I Inst. utrzymano. Darek podkreślił z Krzyskiem, że odmówiono im zapoznania się z imiennym składem kolegium. W czasie obrad kolegium zaginęła karta zawierająca wynik badania oskarżonych przez lekarza pogotowia. Kolegium uznało fakt wizyty lekarza pogotowia w areszcie WUSW za wymysł oskarżonych. Stolarski i Kowalski złożyli też zażalenie na postępowanie funkcjonariuszy WUSW do Prokuratury Rejonowej w Płocku, powiadamiając Episkopat Polski, Komisję ds. Interwencji i Praworządności NSZZ Solidarności. Pełnomocnikiem Darka i Krzyska był mec. Wende. Wieczorem 30.03 Krzysztof Kowalski w wyniku obrażeń został przewieziony do Szpitala Wojewódzkiego w Płocku w bardzo ciężkim stanie. Podejrzewano u Niego krwiak w tylnej części mózgu. Lekarz stwierdził jednak silny wstrząs mózgu. W szpitalu przebywał do 10.04. Darek Stolarski przez kilka dni oddawał mocz wraz z krwią. Przez cały czas cierpi na bóle nerek, ograniczające mu okresowo możliwość poruszania się. Odczuwa też bóle głowy i mdłości.

To tylko dwa przykłady, ale był też inne „incydenty”, np.: podcięcia hamulców, gdzie ledwo z życiem uszedł Dariusz Stolarski oraz „otwierania” żelaznej szafy Krzyskiem Kowalskim.



Przed plebanią w Głogowcu.

Zespół

„Federaści” kolportowali ulotki, gazetki, uczestniczyli w pierwszych szeregach na manifestacjach 1. i 3. maja czy 11. listopada oraz mszach Św. za Ojczyznę w płockiej „Stanisławówce”. Kościół ten był centrum lokalnej opozycji i FMW. Poza Darkiem, Krzyśkiem czy Robertem trzeba też wspomnieć o innych członkach płockiej Federacji: Robertcie Dobkowskim, Agnieszce Smardzewskiej, Alicji Gawlikowskiej, Jacku Niedzielskim, Radosławie Pietrzaku, Sławomirze Rejmanowskim, Mariuszu Kostaneckim, Magdzie Częstochowskiej, Agnieszce Busz, Robertcie Mackiewicz i Mariuszu Nosarzewskim (wydawcy „Orląt”, „Małachowiaka”, „Jagielończyka” czy „Elektryka”). Należy podziękować też szlachetnym księżom, którzy użyczali nam swoich mieszkań jak ks. Walerian Świącicki i ks. Henryk Lewandowski.

Płockie FMW-u działało do 1990 roku. Potem weszło w skład Polskiej Partii Niepodległościowej. Niepodległość była dla nas zawsze bardzo ważna. Choć nie zgadzaliśmy się z postanowieniami „Okrągłego Stołu”, zabrakło nam wtedy – czyli na początku lat 90. – siły i paliwa, które napędziłoby nas do dalszej aktywności. Dariusz Stolarski dalej działał w KPN, jednak 17 października 1993 r. zginął w niewyjaśnionych okolicznościach.

POWRÓT DEMONÓW

W samochodzie, którym po przelocie helikopterem nad miastem wracali do Płocka: szef I Obszaru KPN, Zenon Barejko, były poseł – Michał Tokarzewski, dyrektor Biura Poselskiego KPN – Bożena Kosińska, pełniący rolę gospodarza Dariusz Stolarski (szef Okręgu Płockiego KPN) powiedział, że niedawno odkrył w Petrochemii Płockiej aferę paliwową, której tropy prowadzą do Gdańska. Niewiele dni dzieli go od ujawnienia dokumentów, kompromitujących – jak się wyraził kogoś wysoko postawionego w miejscowej policji. Nie ukrywał, że obawia się o własne życie. Aby zamknąć mi usta, chyba będą musieli mnie zabić.

Tydzień później, 17 października 1993 r., o godzinie 1.55 zwłoki 28-letniego Dariusza Stolarskiego znalazł patrol policji na przystanku autobusowym przy ul. Szarych Szeregów.

16 października, około godziny 22.00, Dariusz Stolarski odwiedził w płockiej dzielnicy Podolszyce zaprzyjaźnione małżeństwo T. W czasie kolacji na stole znalazło się też pół litra wódki. Pan T., ponieważ pił alkohol, nie odważył się potem odwiedzić Stolarskiego do Śródmieścia, i podwiózł go tylko na najbliższy przystanek autobusowy. Państwo T. (których relacja nasuwa różne pytania i wątpliwości) są ostatnimi, którzy widzieli Dariusza Stolarskiego żywego.

W Prokuraturze Wojewódzkiej w Siedlcach, która przejęła prowadzenie śledztwa od Prokuratury Rejonowej w Płocku, otrzymuję zdjęcie, na którym w bocznym ujęciu widać ciało zmarłego, leżące na wznak z rozrzuconymi rękami. Skórzana kurtka i koszula podciągnięte ku górze odsłaniają częściowo nagi tors. Na prawej nodze nie ma buta. Na

zdjęciu nie widać niewielkiej rany z tyłu głowy. Próbuje rozeznaczyć się w szczegółach otoczenia, ale nie pozwala na to gorsza od amatorskiej jakość zdjęcia. Jedyne, które – jak się okazuje – tworzy całą „dokumentację fotograficzną”... miejsca znalezienia zwłok.

W chronionym konflikcie z policją

Wniosek o odebraniu płockiej prokuraturze sprawy Dariusza Stolarskiego złożyło kierownictwo KPN na ręce wiceministra, sprawiedliwości, Stanisława Iwanickiego. – *Dariusz Stolarski, jako polityk, jako działacz KPN, podejmował wiele interwencji w celu wyjaśnienia sygnałów o zjawiskach patologicznych w wymiarze sprawiedliwości i w organach ścigania województwa płockiego* – oświadczył na konferencji prasowej w Płocku poseł Krzysztof Kamiński z KPN, wiceprzewodniczący Sejmowej Komisji Sprawiedliwości. – *W związku z tym uznaliśmy, że dla dobra śledztwa sprawę powinna prowadzić inna prokuratura.*

Był jednym z tych, którzy Polsce przynieśli wolność – powiedział nad trumną Dariusza Stolarskiego Leszek Moczulski.

12 lat w 28-letnim życiu Dariusza Stolarskiego wypełniły: konspiracja w podziemiu, praca niepodległościowa oraz działalność społeczno-polityczna w rodzinnym mieście. W 1981 roku zorganizował strajk Solidarności Uczniowskiej w Zasadniczej Szkole Zawodowej przy płockim Transbudzie. Miał wówczas 16 lat. Wkrótce potem został aresztowany po raz pierwszy, ze względu na swój wiek na krótki okres.

Jesienią 1985 roku, wspólnie z Krzysztofem Kowalskim i Krzysztofem Michalskim odtwarzają w Płocku komórkę Federacji Młodzieży Walczącej. Wiosną 1986 roku, gdy jego koledzy z Technikum Mechanicznego zasiedli do matur, po miesiącu ukrywania się przed nieustanną pogonią SB po całej Polsce, Darek zatrzymany zostaje w areszcie śledczym przy ul. Rakowieckiej w Warszawie pod zarzutem działalności podziemnej.

Po opuszczeniu więzienia, we wrześniu 1986 roku wydaje pierwszy numer „Orląt” (konspiracyjnego miesięcznika FMW), który pod jego redakcją wychodzi nieprzerwanie do 1990 roku. O płockiej FMW, której był niekwestionowanym liderem, stało się głośno pod koniec 1986

roku za sprawą niehumanitarnego skatowania w RUSW w Płocku dwóch członków tej organizacji – Krzysztofa Kowalskiego i Roberta Kaloty. W marcu następnego roku ofiarą płockich oprawców z RUSW stał się sam Darek i po raz drugi, Krzysztof Kowalski.

W 1988 roku, mimo że na skutek niewyjaśnionego do dzisiaj wypadku samochodowego porusza się o kulach, Darek jest jednym z organizatorów niezależnej manifestacji pierwszomajowej, za co zostaje skazany „z bomby” przez kolegium.

W 1989 roku bierze udział w odtwarzaniu struktur „Solidarności”. Przez pewien czas pełni funkcję szefa biura związkowego w Płocku. W początkach lipca, na znak protestu przeciwko polityce Lecha Wałęsy, opuszcza NSZZ „Solidarność”. Włącza się aktywnie w działalność KPN. W styczniu 1992 roku zostaje dyrektorem Biura poselskiego posła Michała Tokarzewskiego, a w 1993 r. – szefem płockiego okręgu KPN. W późniejszych wyborach kandyduje do Sejmu, jednak przegrywa.

Już w wolnej Polsce, wraz z Krzysztofem Kowalskim (działającym w Porozumieniu Centrum) i Robertem Kalotą, próbują rozliczyć byłych funkcjonariuszy SB i MO za krzywdy doznane w okresie walki podziemnej. Kilku z oskarżonych znalazło się w szeregach policji. Sprawa ciągnie się latami i stawia Darka w sytuacji chronicznego konfliktu z policją i prokuraturą. – *Jeśli dotarł do niego sygnał, że na przykład jakiś policjant zachował się tak, jak trzeba w czasie przesłuchania* – mówi Krzysztof Kowalski – *a po sprawdzeniu okazało się to prawdą, natychmiast wysyłał skargę z biura poselskiego*. Wojewódzki komendant policji Maciej Książkiewicz powiedział kiedyś na konferencji prasowej, że na 11 skarg na działalność policjantów, 10 pochodziło od Dariusza Stolarskiego.

Jak się nie zamkniesz...

Kiedy pojawiły się pierwsze groźby, telefony z ostrzeżeniami i próby szantażu nikt z przyjaciół i współpracowników dokładnie nie pamięta. – *Najwięcej pogroźek zaczął otrzymywać, kiedy został dyrektorem biura poselskiego* – mówi Krzysztof Kowalski. Musiało być tego rzeczywiście sporo i w odpowiednim asortymencie, skoro zdecydował się na powiadomie-

nie prokuratora rejonowego. Prosił, by objąć go ochroną. 10 sierpnia Prokuratura Rejonowa w Płocku umarza dochodzenie, z powodu niemożliwości ustalenia sprawców grózb.

– *W grudniu 1992 roku – mówi Krzysztof Kowalski – na drugi dzień po tym, jak prokurator skierował oskarżenie przeciwko trzem funkcjonariuszom o pobicie nas w czasie konspiracji, siedziałem w biurze Darka. Zadzwonił telefon, Darek odebrał i kiedy zorientował się, o co chodzi, podsunął mi słuchawkę do ucha, tak abym słyszał rozmowę. Jakiś nieznajomy mężczyzna mówił: Jeśli nie zostawisz nas w spokoju, to stanie się z tobą to samo co z Popiełuszką, tylko takiego błędu jak oni nie popełnimy i nic się nigdy nie wyda. Skwitowaliśmy to śmiechem.*

– *Tego samego dnia wieczorem przed moim blokiem dostałem w łeb tak, że wylądowałem na stole operacyjnym pogotowia ratunkowego. Zostały mi trzy blizny po szwach nad prawym okiem. Telefony zaczęły coraz częściej dotyczyć Renaty, żony Darka – mówi dalej Krzysztof Kowalski. Stawały się coraz bardziej natarczywe, a groźby poważniejsze.*

– *W maju 1992 roku – mówi Renata Stolarska – pani Ingrid, u której mieszkalam w Sztokholmie, powiadomiła mnie, że dzwonił jakiś mężczyzna i słabą angielszczyzną wypytywał, co robię, po co tu przyjechałam. Kiedy Ingrid zapytała go, kim jest i co go to wszystko obchodzi, przerwał połączenie. Wystraszona zatelefonowałam do Płocka. Darek powiedział, że-bym się miała na baczności. Ciągłe mu ktoś grozi, ktoś go obserwuje.*

11 marca br. pytam zastępcę komendanta wojewódzkiego policji w Płocku podinspektora Jana Lewandowskiego o to, co policji wiadomo na temat grózb i szantaży wobec Dariusza Stolarskiego. – *Policji nic na ten temat nie wiadomo, a o groźbach po raz pierwszy dowiaduje się od pana* – odpowiada komendant. Tego samego dnia wieczorem Krzysztof Kowalski, z którym umówiony jestem na spotkanie w dniu następnym, odbiera telefon. – *W pierwszej chwili pomyślałam, że to mój pracodawca – wspomina – ale w słuchawce usłyszałem nieznajomy głos: zero artykułów w prasie! Zachowaj to dla siebie. I połączenie uległo przerwaniu.*

Krzysztof Kowalski jest człowiekiem więcej niż odważnym. Jest człowiekiem zdesperowanym. Robi wszystko, aby wyjaśnić przyczynę śmier-

ci przyjaciela. Co więcej, zamierza doprowadzić do końca wspólnie zaczęte działania. Nie cofnie się przed żadnym, najbardziej ryzykownym krokiem.

Pisząc to, przekraczam ramy chłodnej relacji. Robię to świadomie z obawy o Krzysztofa Kowalskiego. Gruba kreska rozdzielić miała od siebie dwa czasy i dwie rzeczywistości, stała się skuteczną barierą ochronną dla mroków przeszłości, lecz nie jest żadną przeszkodą dla powracających demonów.

Pogmatwaną rzeczywistość Płocka, można porównać pod tym względem do scenariusza nie najwyższego lotu filmu gangsterskiego. Tylko że okaleczona twarz Krzysztofa Kowalskiego nie jest charakterystyczną sceniczną, a leżące przede mną pismo, w którym Dariusz Stolarski prosi o ochronę osobistą, ponieważ obawia się o własne życie, to nie rekwizyt filmowy.

Żelazna szafa

– *Pewnego razu – mówi Krzysztof Kowalski – wpadł w moje ręce dokument niezwykle: kilkudziesięciostronicowy list emerytowanego oficera płockiej MO. „Zdecydowałem się napisać również, dlatego” – wyznaje autor listu – „a może przede wszystkim dlatego, aby ukazać jeden z największych skandali w powojennej Polsce. Aby ukazać skorumpowanie i bezkarność lokalnych kacyków, którzy doprowadzili Polskę na skraj przepaści.”*

Rzeczywiście, treść tego memoriału wypełniały opisy rozpasanego bezprawia, jakie szerzyło się w płockiej milicji na przełomie lat 70. i 80. Dokument ten obciążał jednego z wysoko stojących obecnie w Płocku funkcjonariuszy policji. Był podpisany imieniem i nazwiskiem, i zaopatrzony w adres nadawcy.

– *Kiedy Darek przeczytał list, powiedział mi na ucho: Oj, Krzysiu! My to chyba swoją śmiercią nie umrzemy...* – wspomina Kowalski. List ten został przez Darka skrócony do 8 stron i skierowany do Komisji Romaszewskiego w Senacie.

Potem Darek wykrył potężną aferę paliwową w Petrochemii, w którą zamieszany był inny wysoki funkcjonariusz policji w Płocku. Nie zdą-

żyłem obejrzyć wszystkich dokumentów, zgromadzonych w tej sprawie przez Darka. Część z nich czytałem w całości. Dotyczyły fikcyjnej – jak się zdaje – firmy, która zajmowała się rozprawdaniem paliwa w „lewym obrocie”. Podpisane były przez samego funkcjonariusza policji. W obecności jednego kolegi z PC Darek powiedział, że finalizuje sprawę i za kilka dni dostarczy prokuraturze i prasie dokumenty, na których weryfikacją usilnie pracował. Na tydzień przed śmiercią, w niedzielę, po opuszczeniu wraz z warszawskimi gośćmi helikoptera, szepnął mi, że otrzymał dalszą część materiałów afery paliwowej i prosił, abym wpadł do jego biura. Niestety, miałem dużo pracy i nie mogłem go odwiedzić. No, a później... tych dokumentów już nie było w żelaznej szafie, gdzie Darek je przechowywał.

O godzinie 2.15 lekarz pogotowia ratunkowego stwierdził zgon Dariusza Stolarskiego. Prowadzenie śledztwa objął Wydział Dochodzeniowo-Śledczy Komendy Rejonowej w Płocku. Około godziny 3 protokolarnie przejęte zostały rzeczy znalezione przy zmarłym, klucze od kawalerki, którą zajmował. O tragicznym zdarzeniu rodzina powiadomiona została dopiero o 7.30, a o godzinie 10.00 policja w obecności żony i matki zmarłego zabezpieczała jego mieszkanie.

Już następnego dnia, w poniedziałek, około godziny 17.00 ekipa dochodzeniowa otworzyła opieczetowane mieszkanie, skąd zabrane zostały klucze od biura KPN przy ul. Kościuszki 9. Wraz z nimi klucz od żelaznej szafy z archiwum. – *Otwarcia biura dokonał były poseł Michał Tokarzewski w towarzystwie prokuratora i dwóch funkcjonariuszy z ekipy śledczej* – mówi Sławomir Lubczyński, szef Okręgu Płockiego KPN, w tamtym czasie zastępca Dariusza Stolarskiego. – *Zdejmowanie odcisków palców, rozpoczęto od klamki drzwi wejściowych. Ale okazało się, że tak na zewnętrznej, jak i na wewnętrznej stronie klamki żadnych odcisków nie ma. Wywołało to zdziwienie prokuratora. Klamka została wymontowana i jeszcze raz poddana dokładnym badaniom, lecz i tym razem śladów palców na niej nie znaleziono, co w mojej obecności zaprotokołował prokurator. Wyglądała, jakby została wyczyszczona. Również na niklowanym uchwycie szafy metalowej, codziennie otwieranej przez Darka, śladów nie znaleziono.*

Z polecenia podinspektora Jana Lewandowskiego, naczelnik Wydziału Kryminalistyki Komendy Wojewódzkiej informuje mnie, że po pierwsze – było to dość dawno, a cała dokumentacja została przekazana prokuraturze, po drugie – nie jest pewne, czy nie było śladów, czy też ślady nie nadawały się do identyfikacji i zabezpieczenia, a po trzecie – jeśli śladów rzeczywiście nie było, to pewnie startła je sprzątaczką...

Prokurator Tadeusz Wardziak z Prokuratury Wojewódzkiej w Siedlcach, po zerknięciu w protokół potwierdza, że na klamkach i uchwycie żelaznej szafy odcisków palców nie znaleziono.

– We wtorek, 19 października, zapoznawałem się z zawartością żelaznej szafy – mówi dalej Sławomir Lubczyński. – Szukałem przede wszystkim teczek, w której Darek skrupulatnie gromadził wszystkie skargi, także i te w anonimowej formie, które dość licznie napływały do biura. Był to spory plik papierów, grubości centymetra, może dwóch. Teczke znalazłem, ale bez zawartości. Został w niej jeden, czy dwa nieistotne dokumenty... Z szafy zginęły również niewypełnione legitymacje i deklaracje partyjne. Tuż przed śmiercią Darka otrzymaliśmy ich z Warszawy 50 sztuk. W tym czasie żadnej nowej legitymacji nie wystawiliśmy, a zostało ich tylko 17. W pierwszych dniach po tragedii zgłosiło się do biura kilka osób z pytaniem o papiery zdeponowane u Darka. Były to najczęściej materiały dotyczące spraw bliskich, policyjnych. Tych dokumentów również w szafie nie było.

Dlaczego Dariusz Stolarski nie żyje?

Sekcję zwłok przeprowadził Zakład Medycyny Sądowej Akademii Medycznej w Warszawie w dniu 19 października 1993 roku w obecności prokuratora rejonowego w Płocku – Witolda Grzegorzcyka. W „Protokole sądowo-lekarskich oględzin zwłok” czytamy: – *Przyczyną śmierci Dariusza Stolarskiego była ostra niewydolność krążeniowo-oddechowa przebiegu niedotlenienia mięśnia serca u osoby znajdującej się pod działaniem alkoholu. W krwi zmarłego stwierdzono go w ilości 1,6 promila.*

W sekcji zwłok uczestniczył w charakterze obserwatora były poseł KPN okręgu płockiego, Michał Tokarzewski, który jest chirurgiem, cennym specjalistą i dyrektorem Szpitala Czerniakowskiego w Warsza-

wie. – *Sekcja nie wyjaśniła przyczyn śmierci* – stwierdza doktor Tokarzewski. – *U Darka znalezione zostały drobne zmiany niedokrwienne w sercu. Widać było ognisko białawe w mięśniu sercowym, ale wyrażone w sposób mierny. Miał zaledwie początki zmian miażdżycowych, a te mamy chyba wszyscy na skutek złego odżywiania. Zmiany w blaszce środkowej ściany aorty mogą istnieć, można o nich nie wiedzieć i żyć bardzo długo. Czytając protokół z sekcji, wydało mi się, że zbyt dużą rangę nadano zmianom niedokrwinnym w sercu. Opisano je tak, jakby były bardzo znaczne i silnie wyrażone, co jest niewspółmierne do ich rozmiarów w rzeczywistości. Każda z tych zmian z osobna i wszystkie razem nie mogły być przyczyną śmierci. Darek u znajomych wypił trochę alkoholu. 1,6 promila we krwi, to mniej więcej pół litra wypite przez 3 osoby. Jest to dawka, która nie zwała z nóg, a tym bardziej nie doprowadza do śmierci tak silnego chłopca, jak Darek. Na moją prośbę pobrano podczas sekcji próbki do badań toksykologicznych. Próbki te, jak się dowiedziałem z późniejszej rozmowy z prokuratorem, złożono w magazynie, a badań nie przeprowadzono do stycznia tego roku! Nadal twierdzę, że wszelkie zmiany, które zauważyłem w ciele Darka, nie tłumaczą śmierci 28-letniego, wysportowanego chłopaka, który jawił się jako okaz zdrowia. Był pletwonurkiem, przewodnikiem tatrzańskim, należał do czołówki kajakarzy, kończył kurs pilotów. Nie wiem, dlaczego Dariusz Stolarski nie żyje.*

Uodporniłem się na groźby

Krzysztof Kowalski wspomina wydarzenia poprzedzające dzień 25 lutego br., kiedy to razem z ojcem Darka i Jackiem Pawłowiczem jechać mieli do Siedlec, aby złożyć zeznania w prokuraturze. – *Zgłosił się do mnie pewien kolega z karteczką w garści, na której miał wypisane jakieś brednie na mój temat. Miało to mnie przestraszyć. Tymczasem uśmiełem się tylko. Powiedział mi wprost, że jeśli jutro nie przekażę prokuratorowi dokumentów o „przewalach” w płockiej MO i przestanę się zajmować zamieszonym w to wysokim funkcjonariuszem policji, to ja będę miał spokój i on będzie miał spokój. Oczywiście powiedziałem: nie! Wówczas on wręcz ze łzami w oczach zaczął się skarżyć, że ma poważne kłopoty z powodu nie-*

legalnie postawionego domu i sklepu. Warunek był taki, że jeśli ja odpuszczę policji, to i jemu odpuszczą. Prosił, żebym przynajmniej nie ujawniał jego nazwiska prokuratorowi, na co przystałem. Prokuratora Wardziaka poinformowałem o wszystkim i wręczyłem mu ten dokument, którego kopia razem z papierami afery paliwowej zniknęła z szafy Darka. Na presję i szantaże uodporniłem się jeszcze w podziemiu. Kapitan SB Jacek Świderski, który mnie, Darka i Kalotę wielokrotnie zatrzymywał, rewidował i oskarżał przed kolegami, straszył nas kiedyś, że wypadniemy z pociągu, którym jeździmy po bibułę. Groził nam śmiercią, jeśli nie zaprzestaniemy konspiracji i nie ujawnimy kontaktów. Opowiedziałem o tym prokuratorowi w Siedlcach. Dlaczego? Dlatego, że kapitan Świderski, przepraszam komisarz Świderski, jest dziś szefem Wydziału Dochodzeniowo-Śledczego Komendy Rejonowej i w jego rękach, od chwili znalezienia zwłok Darka, znalazło się całe śledztwo.

Niemy dialog

Na godzinę przed pogrzebem, spod siedziby KPN w Płocku wyruszyła manifestacja żałobna ze sztandarami. Mijając gmach Wojewódzkiej Komendy Policji, idący ku cmentarzowi, podnieśli do góry udekorowane żałobą plakaty wyborcze ze zdjęciami Dariusza Stolarskiego. Stali w milczeniu przez minutę i w milczeniu odeszli.

Skoro ujawniam ten fakt, dziennikarski obiektywizm nakazuje mi przekazać stanowisko drugiej strony tego niemego dialogu. – *Zrozumiałem dobrze wymowę tego gestu* – mówi podinspektor Jan Lewandowski. – *Nie pierwszy raz oczernia się i pomawia policję. W przypadku tej śmierci jest mi tak samo przykro, jak w przypadku śmierci każdego obywatela.*

– Życzeniem Darka było, aby ten dokument dotarł do prasy – mówi Krzysztof Kowalski i wręcza mi list emerytowanego oficera płockiej MO, dodając na odchodnym: – To wszystko i tak już objęła amnestia...

Nad grobem Dariusza Stolarskiego dziwnie cicho.

Posel Kamiński z KPN obiecywał organizować konferencje prasowe, relacjonujące na bieżąco postępy, opieszale, jego zdaniem, prowadzone-

go śledztwa. Stańło na obietnicy. W miejscowej prasie większe zainteresowanie wzbudziła ilość alkoholu, którą Dariusz Stolarski wypił w dniu śmierci oraz powód, dla którego miał drugie mieszkanie, niż to, kim był. Kim był naprawdę, czego dla Płocka, dla podziemnej „Solidarności” i Polski dokonał w swoim krótkim życiu, ukształtowanym przez tamten, wyśmiewany dziś, etos.

Za cicho nad grobem Dariusza Stolarskiego...

PS

Artykuł Mariusza A. Wieczorkowskiego został opublikowany w „Tygodniku Solidarność”. Dziś, po 16 latach, niewielkie uzupełnienie dodaje Mariusz Nosarzewski – jeden z działaczy FMW regionu Płock-Kutno: – *Do 2009 r. praktycznie nie wolno było robić żadnych oficjalnych obchodów ku Czci Dariusza Stolarskiego. Dopiero w 16-tą rocznicę śmierci prezydent Lech Kaczyński odznaczył pośmiertnie Dariusza Stolarskiego Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, a w Płocku udało się odstąpić tablicę Mu poświęconą. W 2010 r. nadano rondo im. Dariusza Stolarskiego przy ul. Gałczyńskiego.*

KĘTRZYŃSKA KONSPIRACJA

Konspiracja w Kętrzynie rozpoczęła się nazajutrz po wprowadzeniu przez generała Jaruzelskiego stanu wojennego. Jeden z działaczy „Solidarności” wsiadł rano w swoją żółtą syrenkę i objeżdżał po kolei związkowych kolegów. Pytał wszystkich tylko o jedno: co robimy? Gdy wracał od ostatniego, wiedział już, że nic.

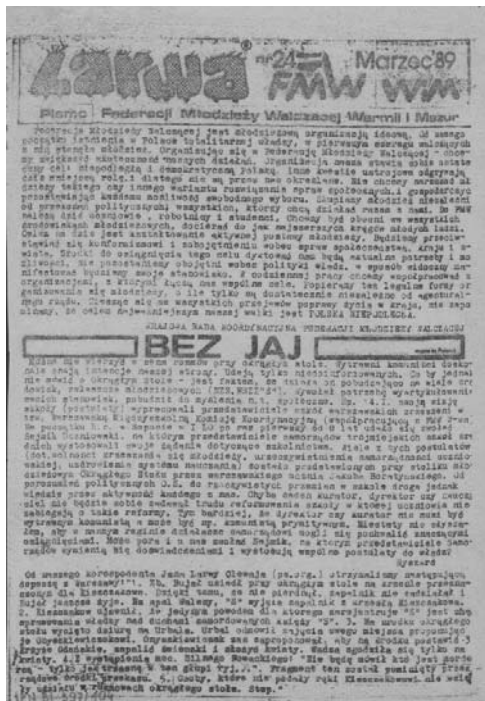
Ale życie nie znosi próżni. Już w niedzielę, w jednym z mieszkań na kętrzyńskim blokowisku grupa 17- i 18-latków ustalała swoją pierwszą antykomunistyczną akcję konspiracyjną. Postanowili oprotestować wprowadzenie stanu wojennego i oplakatowali miasto hasłami antykomunistycznymi.

Oddani pod sąd wojskowy

Wtedy nie było jeszcze podręczników „Małego konspiratora”, dlatego dwóch z nich „wpadło”. Aresztowanie, przesłuchanie, groźby i paka. Obu skazywał wojskowy sąd w Bydgoszczy. Wyrok: 1 rok pozbawienia wolności za działalność wywrotową. Po latach wspominali, że czuli się jak zbrodniarze wojenni, być może dlatego, że na jednym z plakatów był czołg? Wkrótce, w Kętrzynie nie mówiło się o niczym innym, niż o dwóch chłopakach, którzy zamachnęli się na socjalizm. W kościołach modlono się o ich uwolnienie, a w szkole, do której chodzili, okrzyknięto przestępcami i z hukiem wyrzucono. Propagandowe pogadanki miały przestraszyć innych, ale nie przestraszyły. W ciągu najbliższych kilku lat Liceum Ogólnokształcące w Kętrzynie stało się centrum młodzieżowego oporu wobec komunistów, nie tylko tych lokalnych.

Wychowani przez Jezuitę

Tomasz Kosior i Jarosław Lipka, bo to oni plakutowali miasto, wyszli z więzienia po pół roku. SB miała na nich oko do końca istnienia PRL. Niektórzy twierdzą, że po jej upadku też. Nie przeszkodziło im to w zorganizowaniu kilkudziesięcioosobowej grupy młodzieży, która połączyła się we wspólnym celu – walki o odzyskanie przez Polskę niepodległości. Ich duchowym przewodnikiem był polityczny imigrant z Gdańska, O. Bronisław Sroka, którego zaprosili na rekolekcje do kościoła św. Katarzyny, niedługo po wyjściu z więzienia. Jezuita z życiową misją organizowania młodzieżowych grup, które będą umiały skutecznie przeciwstawić się komunistycznej propagandzie, miał życiorys, który imponował młodym ludziom. Jego marzeniem było wychować kadry dla przyszłej, wolnej Rzeczypospolitej. Mówił, że w życiu nie chodzi o grubiej posmarowaną pajdę chleba, a chrześcijańska postawa wcale nie polega na nastawianiu drugiego policzka. Główną częścią spotkań w Świętej Lipce, gdzie „rezydował” O. Sroka, były wykłady oraz dyskusje dotyczące najnowszej historii Polski, głównie tej przedwojennej. Bardzo szybko grupa podzieliła się w poglądach na „endeków” i „piłsudczyków”. Inaczej niż nauczyciele historii I Rzeczypospolitej. Jego słowa powodowały, że rosła w młodych ludziach duma z tego, że są Polakami. Powodowały, że sprzeciw wobec działań komunistów był jeszcze silniejszy.



PROGRAM DZIAŁANIA Federacji Młodzieży Walczącej Warmii i Mazur

1. **WSTĘP.** FMW Warmii i Mazur jest młodzieżową organizacją ideową, o charakterze niepodległościowym. W celu realizowania swoich założeń ideowych (odrywanie się od podległości) FMW Warmii i Mazur z konieczności działa w konspiracji. FMW WIM popiera wszelkie formy jawnego organizowania się młodzieży, o ile są wyłączone z zasięgu władz komunistycznych, np. w samorządach i spółdzielniach mieszkaniowych, w grupach religijnych, sportowych, technicznych, artystycznych oraz działalność opowiadającą się za szeroko rozumianym pluralizmem w życiu społecznym. Warunkiem przystąpienia do organizacji jest dobroć i odwaga i świadomość zaangażowania się w działalność FMW WIM.

2. **OBSZAR DZIAŁANIA FMW WIM.** Obszarem działania FMW WIM jest obszar Diecezji Warmińskiej i Północnego Świętokrzyska. Jest to teren, który Prymas kard. J. Glemp nazywał "Polską kategorią B, gdzie duch odnowy nie dociera" (źródło: list Prymasa Polski z 1985r., będący odpowiedzią na list księdza dekanatu kętrzyńskiego, po procesie ks. Edwarda Golińskiego i parafii Srokowo). Dla władz PRL mieszkańcy tego terenu stanowią ważne zaplecze kadrowe PZPR, LWP, ZOMO i SB. Napięta ludność Warmii i Mazur jest wciąż mocno zdeintegrowana, uzależniona od władz komunistycznych a przez to podatna na manipulacje. Młodzież we wszystkich środowiskach (szkoły, uczelnie, zakłady pracy) pozbawiona jest perspektyw na sensowne życie. Powołanie do życia jako jednostki i społeczeństwa. Postawa ta jak uczy doświadczanie stanu rzeczy, zaś postawą - postawa bierności. Postawa ta jak uczy doświadczanie prowadzi najczęściej do cynizmu i sfanatyzmu dla władz komunistycznych i anizacji zagrożenie. Postawą twórczą, motywowaną antykomunizmem, należy wśród młodzieży WIM do rzadkości. FMW WIM poprzez pierwszy na tym terenie inicjuje i organizuje pozytywną działalność młodzieży o poglądach antykomunistycznych. Jest szkołą rozwijającą polityczne myślenie i działanie nieustraszone do odzyskania niepodległości.

3. **RODZAJE DZIAŁALNOŚCI FMW WIM:** 1. Formacyjna, 2. Akcje bieżące, 3. Wydawnicza, 4. Łączność i zaopatrzenie.

3.1. **DZIAŁALNOŚĆ FORMACYJNA** ma na celu kształcenie młodych ludzi, mogących w przyszłości odegrać aktywną rolę w odzyskaniu niepodległości. Działalność ta obejmuje m.in.: kursy samokształceniowe (wykłady, prelekcje), spotkania z działaczami opozycji politycznej, seanse video, wystawy, koncerty domowe, wyposzczenie i kolportowanie książek zakazanych przez władze, niezbędnych do samokształcenia, obozy turystyczno-rekreacyjne-szkoleniowe.

3.2. **AKCJE BIEŻĄCE** - mają na celu paraliżowanie lub osłabianie antynarodowych działań komunistów, oraz wspieranie działań opozycji politycznej. Akcje bieżące to:

3.2.1. Akcje informacyjno-propagandowe: naklejanie ulotek, plakatów u ogłoszeń; malowanie napisów, znaków (kreślenie, farba itp.), wykorzystanie i ekspozycja transparentów; akcje ulotkowe; przygotowanie audycji radiowych.

3.2.2. Mały sabotaż - nie zagrażający ludzkiemu życiu, wykonywany w celu utrudnienia funkcjonariuszom antynarodowej działalności, polegający na: niszczeniu komunikacji, propagandy wizualnej; wykorzystaniu "kłopotliwych" telefonów, ogłoszeń itp.

3.2.3. Przygotowanie i udział w niezależnych demonstracjach oraz innych możliwych w przyszłości formach społecznego sprzeciwu.

3.3. **DZIAŁALNOŚĆ WYDAWNICZA.** FMW WIM posiada własne wydawnictwo oraz drukarnię. Wydawnictwo FMW WIM wydaje: gazetkę "Larwa", ulotki okolicznościowe, plakaty i nalepki; cegiełki w formie znaczków, pamiątek; nagrania magnetofonowe i inne publikacje.

3.4. **ŁĄCZNOŚĆ I ZAOPATRZENIE** polega na zbieraniu i przekazywaniu informacji, pieniędzy, materiałów, publikacji. Działalność ta prowadzona jest przez: łączników, kurierów, kolporterów.

4. **ZAKOŃCZENIE.** Wyżej przedstawiony program działania FMW WIM nie jest programem samodzielnym i wraz z rozwojem Federacji może zostać modyfikowany.

RADA KOORDYNUJĄCA
FEDERACJI MŁODZIEŻY WALCZĄCEJ
WARMII I MAZUR

Luty 1989

Krwieć Luty 1989

„Wylęgarnia” kadr konspiracyjnych

Polityczne dyskusje przenosiły się ze Świętej Lipki zazwyczaj do mieszkania Tomka i Marka Kosiorów. Przez kilka lat przewinęło się przez to mieszkanie setki osób, które działały lub wspierały działalność grupy. To była prawdziwa kętrzyńska „wylęgarnia” kadr, pomysłów na działalność konspiracyjną, a do tego wspólne słuchanie Kaczmarskiego, Gintrowskiego i Łapińskiego oraz oczywiście słynna Kosiorowa herbatka, której wypijane tam ilości przechodziły ludzkie pojęcie. Mama braci pracowała w sklepie spożywczym, więc pomimo powszechnych braków wtedy wszystkiego, herbaty miała zawsze pod dostatkiem. Rodzice braci to kolejna historia, która wymaga oddzielnego potraktowania. Tabuny ludzi przewijających się przez mieszkanie, rewizje esbeckie, stała obserwacja nie zmieniała nigdy szczerego uśmiechu na twarzach rodziców braci.

Grupa wydawała swoją gazetkę podziemną „Początki Jutra”, malowała hasła na murach, organizowała akcje ulotkowe, kolportowała prasę i literaturę bezdebitową. Były też wyjazdy na rocznicowe demonstracje do Gdańska, Warszawy czy Krakowa. Grupa pojawiała się również na trasie pielgrzymek Papieża do Polski, począwszy do 1983 roku.

Zbigniew Jankowski, członek grupy przypomina jedną z historii z tamtych czasów. Opowiada jak kilkuosobowa grupa malowała na sklepie naprzeciwko apteki przy ul. Daszyńskiego napis „Solidarność zwycięży”. Codziennie rano był zamalowywany, by kolejnego dnia znów się pojawić. Któregoś dnia pracująca w aptece kobieta powiedziała jednej z matek chłopców z grupy, że w nocy w aptecę będzie nocowało kilku panów. Co zrobiła kętrzyńska grupa? Jeszcze tej samej nocy namalowała taki sam napis, tyle że... pod oknem apteki, z której funkcjonariusze SB prowadzili całonocną obserwację muru naprzeciwko.

Pielgrzymkowi bracia i siostry

Zupełnie odrębną kwestia były piesze pielgrzymki do Częstochowy. Młodzi kętrzynianie pielgrzymowali w grupie polsko-węgierskiej, której pomysłodawcą i przewodnikiem był O. Bronisław Sroka. W warszawskiej akademickiej „17” szli nie tylko konspiratorzy, ale także wszyscy ci,



którzy wspierali działalność kolegów, ale z różnych powodów nie mogli bądź nie chcieli w niej uczestniczyć. Pielgrzymka łączyła wszystkich tych, którzy już konspirowali i tych, którzy mieli konspirować za chwi-





łę. Szli w jednej grupie i „starzy” i „młodzi”. Masowy udział w pielgrzymce warszawskiej kętrzyńskiej młodzieży powodował wielkie zainteresowanie ze strony bezpieczeństwa. Podczas jednego z przesłuchań, Tomasz Kosior musiał zareagować na

to zainteresowanie. Esbek pytał, czy to prawda, że tak dużo osób z Kętrzyna chodzi w tych pielgrzymkach? *Prawda* – odpowiedział Tomek. Esbek chciał poznać ich imiona i nazwiska. Tomek, po krótkim namyśle stwierdził, że nie zna nazwisk, bo na pielgrzymce zwraca się do siebie per „brat” i „siostra”, więc żadne nazwiska nie padają. Zaskoczony esbek dał za wygraną i niczego się nie dowiedział.



Wolność, którą można było poczuć w czasie sierpniowych pielgrzymek była także dostępna w kościołach i salkach katechetycznych w Kętrzynie. Przodowała w tym parafia św. Jerzego i dwaj jej młodzi księża: Zbigniew i Ludwik. To ich starania i zabiegi powodowały, że w kościele można było zobaczyć wystawę poświęconą ks. Jerzemu Popiełuszcze, a od 1984 roku co miesiąc odbywały się uroczyste Msze św. za Ojczyznę. Kościół wypełniał się po brzegi i każdy z obecnych mógł poczuć tę godzinę wolności, wysłuchać pieczołowicie przygotowywanej „modlitwy powszechnej”, a po błogosławieństwie zaśpiewać „Boże coś Polskę ...” Atrakcją każdej mszy była oprawa muzyczna i wokalna przygotowywana przez grupę z Reszła, której przewodziła Małgorzata Dziemiańczyk (wtedy Bogdanowicz). Ich powroty do rodzinnego Reszła, gdy byli śledzeni przez esbeków, to temat na zupełnie inną opowieść.

Dudyń wchodzi do gry

Od 1985 roku inicjatywę w działalności konspiracyjnej przejęli „młodzi” pod kierunkiem Adama Dydzińskiego „Dudynia”. To on organizował grupę, która od 1987 roku występowała pod szyldem Fe-





deracji Młodzieży Walczącej Warmii i Mazur. Działali na tyle prężnie i skutecznie, że nie dająca sobie rady z nimi esbecja została „wzmocniona” 5-osobową specjalną grupą wojskowych tajniaków, którzy działali w miejscowej placówce WOP. „Starzy” rozjechali się po kraju, by studiować. Władzę w mieście przejęli „młodzi”.

W grudniu 1985 roku Dudyń „wpadł” podczas rozrzucania ulotek przed rocznicą stanu wojennego. W kotle, w jego domu wpadło też kilku innych kolegów, którzy akurat przyszli go odwiedzić. „Najgrubsze” odwiedziny zaliczył Jerzy Wielicki „Jurgen”, który przyszedł do Adama z plecakiem pełnym bibuły. Esbecy od razu zarządzili rewizję w jego pokoju w hotelu robotniczym, w którym mieszkał i znaleźli tam bibliotekę, która miała ponad kilkaset woluminów literatury niezależnej, zbieranej przez „starych” od kilku lat. Obaj zostali oskarżeni o działalność wywrotową i trafili na pół roku do więzienia.

Założył Federację

Po wyjściu z więzienia, dzięki gdańskim kontaktom Zbyszka Zgorzałka „Dudyń” spotkał się z trójmiejską FMW i powołał w Kętrzynie

FMW Warmii i Mazur. Działo w niej kilkudziesięciu młodych ludzi. Byli to przeważnie uczniowie miejscowego Liceum Ogólnokształcącego oraz Zespołu Szkół Zawodowych. Fenomen kętrzyńskiej FMW od kilku lat bada Renata Gieszczyńska z olsztyńskiego oddziału IPN. Opublikowała na temat działalności grupy Adama Dydzińskiego kilka artykułów, ale wciąż odkrywa nowe szczegóły ich działalności. Trudno porównywać poszczególne grupy konspiracyjne w całym regionie, ale przyznaje, że kętrzyńskie FMW działało bardzo aktywnie i było „solą w oku” nie tylko miejscowej esbecji.

Trudno przytoczyć w krótkim tekście wszystkie akcje, które zorganizowali członkowie kętrzyńskiego FMW. Było ich bez liku, a wiele z nich było już przypominanych we wcześniejszych publikacjach na temat antykomunistycznych działań młodzieży kętrzyńskiej. Warto przypomnieć w tym miejscu dwie z nich, których autorami byli Jacek Senderowicz i Tomasz Ojdm. O jednej z nich mówiła nawet „Wolna Europa”.

Komunizm nie zbawia

Obaj wybrali się na pielgrzymkę autokarową do Częstochowy. Zorganizował ją ksiądz z miejscowej parafii. Chłopcy wcześniej wykonali na





prześcieradle transparent z hasłem „Komunizm nie zbawia”. Rozwinęli go podczas mszy świętej w jednej z kaplic pod Jasną Górą. W czasie mszy ktoś podszedł do nich i powiedział, że obok odbywa się msza za



Ojczyznę. Poszli tam. Msza się kończyła, więc stanęli na wprost wyjścia. Aplauz, który zebrali od wychodzących z kaplicy był olbrzymi, ciarki przechodziły po całym ciele, adrenalina rosla, a pomysły same wpadały do głowy. Poszli wzdłuż alei Najświętszej Marii Panny. Za nimi tłum ludzi. Szli aleją do momentu, gdy naprzeciwko zobaczyli niebieskie radiowozy i rozbiegających się na wszystkie strony „cywili”. W pewnym momencie ktoś ściągnął Jacka za rękę i powiedział „zostawcie transparent i biegnijcie za mną, bo zaraz was zwiną”. Pobiegli, bo ani nie znali dobrze miasta, a inne opcje nie wchodziły w grę. – *Poza tym za tydzień miałem maturę i nie miałem czasu na przestuchania* – śmieje się dzisiaj Jacek Senderowicz „Gacek”. Małymi uliczkami, korytarzami i piwnicami dotarli do mieszkania, w którym dostali owację na stojąco. To byli ludzie z WiN. To oni uratowali ich przed zwinieniem przez SB. Wrócili do Kętrzyna. Następnego dnia, gdy byli już w domu ktoś powiedział im, że o akcji w Częstochowie zorganizowanej przez FMW Warmii i Mazur mówili w Radiu „Wolna Europa”.

Dokleić orłu koronę

Druga akcja Jacka i Tomka dotyczyła ich macierzystej szkoły, Liceum Ogólnokształcącego. Któregoś dnia chłopcy wpadli na pomysł, by dokleić styropianową koronę orłu, który wisiał w centralnym miejscu auli szkolnej. Poniemiecki budynek, stare mury, wysoka na 12 metrów aula. Chłopcy zostawili po lekcjach niedomknięte okna na główny korytarz szkoły. W nocy dostali się przez nie do środka i poszli do auli. Była otwarta. Godło wisiało na głównej ścianie, tuż pod sufitem. Ustawili piramidę z ławek i krzeseł, wspięli się na nią i dokleili koronę orłu. Zajęło im to ponad 3 godziny. Ławki były stare, więc ustawienie piramidy musiało być nie lada wyczynem. Następnego dnia w auli miał się odbyć uroczysty apel z udziałem kuratora oświaty i gościa z Kaliningradu. Niestety, czujny dyrektor szkoły odwiedził aulę jeszcze przed imprezą i od razu zobaczył białą koronę na godle. Wściekł się strasznie, jakby nie zauważając, że jest w towarzystwie obu gości – towarzyszy, którzy chyba w pierwszej chwili nie wiedzieli o co chodzi. Zrobił karczemną



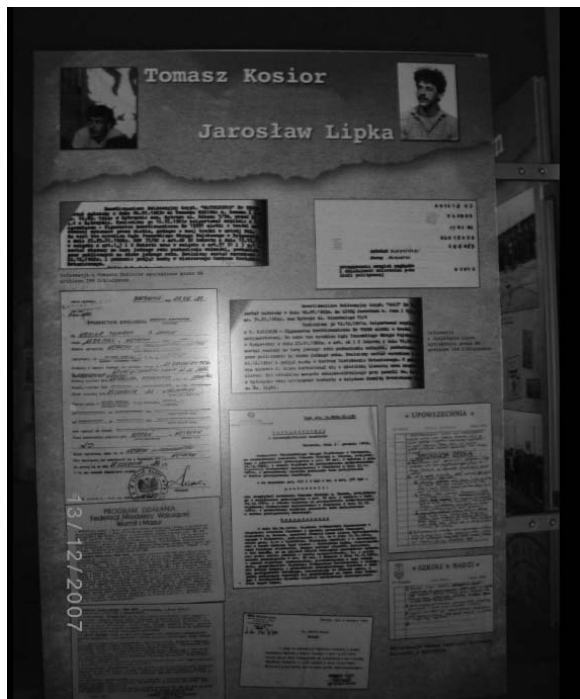
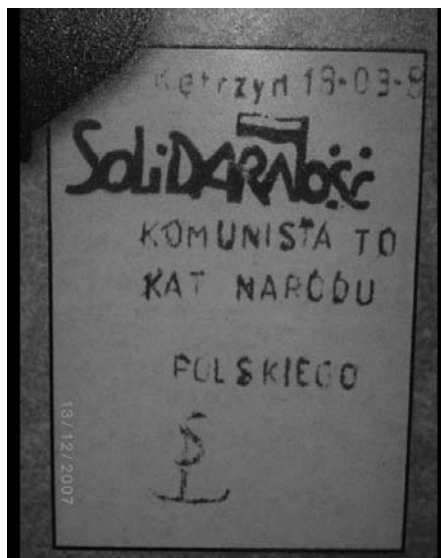
awanturę i kazał zdejmować koronę natychmiast, ale przecież to nie było takie proste. Drabiny były za krótkie, a ludzie wcale nie tacy odważni, by wchodzić na taką wysokość bez zabezpieczenia. Korona trochę powisiała, ale do głównej uroczystości, niestety nie dotrwała.

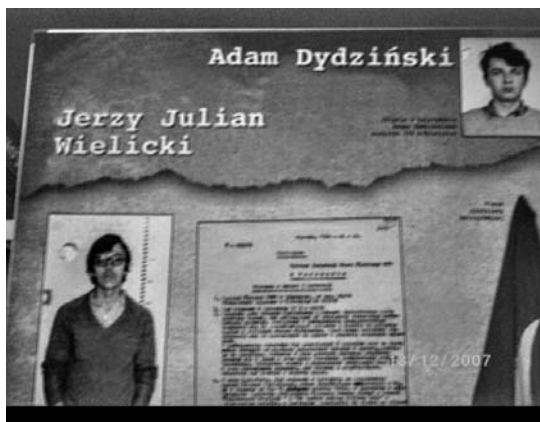
Zażądali kary śmierci

Kętrzyńska FMW wydawała przez cały okres swojej działalności gazetkę podziemną „Larwę”, w której pojawiały się informacje z Kętrzyna, Polski i świata. Oczywiście te, które z oczywistych względów nie publikowała oficjalna prasa. Były w niej również teksty historyczne, przypominające o ważnych dla Polski rocznicach i wydarzeniach, o których komunistyczna propaganda milczała, albo je przekłamywała. Federaci z Liceum Ogólnokształcącego wydawali „Lolka”, w którym szerzej zajmowali się życiem szkolnym.

Renata Gieszczyńska w swoim tekście o FMW WiM przypomina o zatrzymaniu na dworcu w Olsztynie z plecakami pełnymi „Larwy” Adama Dydzińskiego i Dariusza Krawczyka. Jeszcze tego samego dnia zostali doprowadzeni przez oblicze kolegium ds. wykroczeń i skazani na

KĘTRZYŃSKA KONSPIRACJA





dotkliwe kary finansowe. Sprawa odbyła się „za zamkniętymi drzwiami”, ale mimo to, jak pisze Renata Gieszczyńska, miała burzliwy przebieg. W jej trakcie obaj oskarżeni domagali się kary śmierci dla siebie i konfiskaty wagonu kolejowego, w którym przewozili „Larwę”.

Poczucie humoru nie opuszczało ich również w innych sytuacjach. W jednej z kwietniowych „Larw” pojawiły się podziękowania za wpłaty dokonywane przez czytelników. Podobnie jak to robili redaktorzy „Tygodnika Mazowsze”. W Kętrzynie dziękowano... esbekom za wpłaty gotówkowe i pomoc w zorganizowaniu farby drukarskiej, papieru i innych ważnych rzeczy. Młodzi federaci mieli powody do śmiechu. Czy śmiali się też esbecy, tego nie wiadomo.

Nie było legitymacji

Lista członków Federacji w Kętrzynie jest długa, ale wciąż otwarta. Przecież nikt nie wydawał legitymacji ani potwierdzenia przyjęcia do organizacji. Wśród aktywnych federatów należy wymienić następujące osoby:

śp. Mieczysław Brzeziński „Chudy”, Małgorzata Dziemiańczyk (wtedy Bogdanowicz), Ewa Dydzińska, śp. Adam Dydziński „Dudyń”, Jarosław Hołownia „Łysy”, Tomasz Kurczewski, Jan Moczulski, Tomasz Ojdym „Gruby”, Wanda Olechnowicz, Mariusz Paprocki, Krzysztof Pawłowski, Mariusz Piątkowski „Piątek”, Andrzej Romaniuk, Tomasz Rutkowski, Andrzej Sadowski „Słoń”, śp. Mariusz Sadowski, Jacek Senderowicz „Gacek”, Andrzej Zaremba „Bebek”, Zbigniew Zgorzałek. Mariusz Dziemiańczyk „Maniek”, Tomasz Dziemiańczyk „Tomek” działali w obu grupach od początków stanu wojennego aż do końca PRL-u. Razem z Małgorzatą Dziemiańczyk stanowili najbardziej wytrwałą „podgrupę” z Reszla. Wśród „starych” wymienić też należy następujące osoby: Tomasz Kosior „Tomasz”, Marek Kosior „Marek”, Zbigniew Jankowski „Zbyniu”, Wojciech Dumara „Dumar”, Roman Makarewicz „Makaron”, Jarosław Lipka „Lipa”, śp. Elżbieta Lipka „Sowa”, Marek Jaskuła „Jaskuła”, Jerzy Wielicki „Jurgen”, Tomasz Jakimuszko „Mucha”, Grzegorz Czujak, Mirosław Tiesler „Myrek”, Tadeusz Arłukowicz, An-

drzej Kliszewicz „Klisza”, Dariusz Ławrytan „Kot”, śp. Arnold Zander „Arnek”, Janina Tomaszewicz „Jaśka”, Rafał Skutecki „Skuter”, Dorota i Bogusia Jarosz, Marek Woźniak „Hans”, Jarek Puczel „Pudel”, Cezary Żechowski, Jarosław Żukowski „Żuk”. Obie listy są niepełne.

WIESŁAW GĘSICKI
JEDEN Z NIEZŁOMNYCH

WE WSPOMNIENIACH PRZYJACIÓŁ

Wstęp

Biografia składa się zazwyczaj ze zbioru wspomnień, które z czasem pokrywa kurz zapomnienia. Autor biografii często staje przed nie lada kłopotem, ponieważ w zebranych materiale pojawiają się nieścisłości, pomyłki, sprzeczne informacje. Wycinki z życia postaci, której dotyczy biografia bywają formą zapisów z przeszłości, którą każdy zapamiętał inaczej. Dlatego prosba skierowana do nas przez dawnych znajomych



i kolegów, dotycząca przypomnienia postaci śp. Wiesława Gęckiego (ur. 13 stycznia 1959, zm. 15 maja 2002) stanowi poważne wyzwanie. Po pierwsze dlatego, że byliśmy z Nim związani emocjonalnie, po drugie Wiesiek, był postacią nietuzinkową, a po wtóre nie umiemy i nie potrafimy odseparować się od kwestii uczuć i poglądów, którymi żyło całe nasze młode pokolenie w latach 80-tych. Tak więc tekst poświęcony Wiesławowi Gęickiemu będzie raczej zbiorem wspomnień przyjaciół niż Jego biografią. Opowiadaniem ludzi o miejscach i rzeczach z przed trzydziestu lat, popartym archiwalnymi wycinkami z podziemnej prasy, relacjami i fotografiami. Te wszystkie materiały i pamiątki udostępnione dzięki uprzejmości byłych działaczy opozycji z lat 1984–1989, stanowić mogą bardzo ważny element, który umożliwi przybliżenie postaci tego przedwcześnie zmarłego działacza, drukarza, konspiratora i opozycjonisty. Szczególnie ważne są fotografie. Ułamek sekundy zapisany na kliszy, dzięki opublikowaniu, trwać będzie na zawsze. Mamy nadzieję, że w połączeniu z innymi materiałami, przywołane zostaną wspomnienia z okresu kiedy byliśmy wolni od jakichkolwiek podziałów, wspólnie maszerując do niepodległej Polski. Jednym z symboli tego marszu w naszym środowisku będzie na zawsze Wiesław Gęcki.

Przyjaciele

Najważniejsze to „złapać„ kontakt – wspomina Jerzy Woźniak

Wieska Gęckiego poznałem 12 maja 1984 r. podczas uroczystości ku czci Marszałka Piłsudskiego w Archikatedrze św. Jana w Warszawie. Byłem wtedy nastolatkiem, który za wszelką cenę szukał kontaktu z Konfederacją Polski Niepodległej. KPN o której wiedziałem stosunkowo niewiele, wydawała się organizacją, która w sposób jasny i przejrzysty określała swoje cele. Wychowywany w tak zwanej rodzinie opozycjonistów, wewnętrznie byłem „buntownikiem”, co jest raczej regułą dla młodzieży w tym wieku. Mój bunt polegał nie tylko na kontestowaniu komunistycznego reżimu, ale również na sprzeciwianiu się temu co proponowała tzw. opozycyjna większość. Hasła wolności dla więźniów politycznych, walki o sprawiedliwość i prawa człowieka były w moim

przekonaniu synonimami dla dążeń ludzi, którym stan wojenny skutecznie „podciął” skrzydła. A przecież były sprawy dużo ważniejsze. Program suwerenności i niepodległości był tym „czymś” co porywało, rozpalało wyobraźnię i mogło się podobać nastolatkom. Wyobrażenia zaczęła działać na pełnych obrotach. Byłem pewny, że KPN-owcy to jacyś bardzo poważni konspiratorzy, a ich przywódca Leszek Moczulski to człowiek, który wcześniej czy później zastąpi liderów podziemnej „Solidarności”. Ci ostatni domagali się przeważnie w oświadczeniach i odezwach, uwolnienia z więzień tego czy tamtego działacza, odwoływali się do dokumentów różnych komisji praw człowieka, żądali od władz ponownej rejestracji zdelegalizowanego związku „Solidarność” i zaprzestania represji. Program niepodległości był w tym wszystkim nieobecny. Prawdopodobnie wydawał się tak nierealny a nawet niebezpieczny, że tylko nieliczni mieli odwagę publicznie o nim mówić. Jedyną organizacją, dla której niepodległość nie była tematem tabu, a co więcej był najważniejszym postulatem i punktem numer 1 w programie miała w nazwie „magiczny” skrót KPN. I właśnie wtedy, w rocznicę śmierci Marszałka zobaczyłem razem ze swoim kolegą Grzegorzem Więckiem z Ursusa, transparent rozpostarty w prawej nawie archikatedry z napisem „Konfederacja Polski Niepodległej”. A więc są! – pomyślałem nie kryjąc entuzjazmu i radości. Nie jest to tylko jakaś plotka, czy opowiadanie o „żelaznym wilku” tylko prawda. Uznałem, że należy skorzystać z sytuacji i podjąć próbę nawiązania jakiegoś kontaktu. Dla opozycji to był bardzo trudny okres. 7 lutego 1984 r. został zamordowany przez „nieznanych sprawców”, działacz rolniczej „Solidarności” Piotr Bartoszcze. W pierwszej połowie tego roku dochodziło do brutalnych porwań i pobić przez SB działaczy opozycji m.in. w Radomiu oraz w regionie toruńskim. Narracja Biura Politycznego PZPR i jej młodzieżowej przybudówki była aż nadto przejrzysta i czytelna. Na III Krajowej Naradzie Aktywu Robotniczego ZSMP, można było usłyszeć, że *„...po dwóch latach od wprowadzenia stanu wojennego rachuby przeciwników socjalizmu na trwałe zakotwiczenie ich poglądów i działań wśród młodzieży zostały zdecydowanie pokrzyżowane”*. 3 maja w Warszawie, Gdańsku i innych

ośrodkach odbyły się manifestacje organizowane przez opozycję, brutalnie spacyfikowane przez milicję i ZOMO. Więzień polityczny Piotr Bednarz odsiadujący karę więzienia w nieludzkich warunkach ciężkiego Zakładu Karnego w Barczewie, dokonał próby samobójczej. Jednocześnie pod koniec maja 1985 roku ukrywający się przed aresztowaniem lider mazowieckiej „Solidarności” Zbigniew Bujak, komentując bieżącą sytuację polityczną stwierdził, ku mojemu wielkiemu zdziwieniu, że: *„toczy się walka o to, czy będziemy społeczeństwem obywatelskim”*. Osobiście mogłem o tym wszystkim wiedzieć, dzięki działalności moich rodziców, którzy w mieszkaniu przy ul. Keniga 6/47 w Ursusie prowadzili duży punkt kolportażu podziemnej prasy i wydawnictw bezdebitowych. Organizowali również spotkania z ludźmi opozycji m.in. Jackiem Kuroniem i Janem Józefem Lipskim. Ci wybitni przywódcy podziemia, nakreślali wizję przyszłości z której jasno wynikało, że opozycja musi być przygotowana na działania długofalowe zmierzające do powolnych zmian.

Z zakazanej prasy i z zachodnich rozgłośni napływały również wiadomości, których treść nie dawała większych nadziei na rychły upadek ko-



15 sierpnia 1988 roku. Częstochowa. Działacze KPN i uczestnicy Marszu Szlakiem Pierwszej Kompanii Kadrowej witają pielgrzymów wchodzących na Jasną Górę.

munizmu. W takiej atmosferze i w takim momencie szukałem „kogoś” z KPN. Tym „kims” był właśnie Wiesiek Gęsicki. Pamiętam jak wydał mi niedługo potem ostre polecenie działania w bezwzględnej tajemnicy. No i kazał od razu organizować grupę młodzieżową. Ze stworzeniem takiej organizacji nie było większych problemów, ponieważ w mojej ursusowskiej „paczce” rówieśników było wielu takich jak ja, których rodzice działali w tajnych strukturach „Solidarności”. Z chłopaków z Liceum im. Kruczkowskiego w Ursusie, Technikum Elektromechanicznego im. Kasprzaka i oczywiście z mojego Liceum Księgarskiego utworzyliśmy kilkunastoosobową grupę, którą postanowiliśmy nazwać „Świt Niepodległości”. Rozpoczęliśmy wydawanie własnego pisma, którego drukiem zajął się nikt inny tylko Wiesław Gęsicki. On miał „dojścia”, potrafił zorganizować papier i farbę. Potem w konspiracyjnym mieszkaniu należącym do dawnego żołnierza I Brygady Legionów na warszawskiej Starejwówie, uczył mnie i chłopaków jak posługiwać się tzw. sitodrukiem.

Zadeklarowałem kolegom, że zrobię wszystko, aby ta nasza grupa weszła jak najszybciej w skład Konfederacji. Nastąpiło to symbolicznie 17 września 1986 roku, kiedy Wiesiek Gęsicki przyjął moją przysięgę na członka KPN na Cmentarzu Wojskowym. Miało to się odbyć w Dolinie Katyńskiej. Była godzina szósta rano. Ale już o tej szóstej funkcjonariusze SB czuwali w Dolinie, żeby z okazji rocznicy napaści ZSRR na Polskę, ktoś tam czegoś nie namalował, albo nie wywiesił jakiegoś emblematu. Należy przypomnieć, że pomnik katyński posiadał wtedy napis o tym, że polskich oficerów zamordowali Niemcy. Ja wcześniej proponowałem inne miejsce na złożenie przysięgi – przed pomnikiem żołnierzy 1920 roku. Więc gdy spostrzegliśmy esbeków na cmentarzu, powiedziałem Wieskowi: – „Zobacz, wyszło na moje!”. Po złożeniu przysięgi byłem bardzo dumny. Oznajmiłem wtedy kolegom, że wchodzimy do struktur KPN w Warszawie. Nie było to jeszcze „formalnie zalegalizowane”. Wiesiek Gęsicki był jednym z nielicznych członków tzw. starego KPN-u (wstąpił do Konfederacji w 1981 roku jeszcze przed stanem wojennym), ale nie był tym, który był władny to usankcjonować zgodnie ze statutem. Czekałem na decyzję Andrzeja Szomańskiego

i Krzysztofa Króla, którzy kilka dni wcześniej opuścili mury więzienia. Potem ruszyliśmy już pełną „parą”.

Akcja na Powązkach – wspomina Konrad Zbrozek

Zwariował! Jak pragnę Boga; zwariował!!!! Zapewne tak pomyślałem, gdy Wiesiek przedstawił mi pomysł kolejnej akcji. Byłem pewien, że jeśli to zrobimy to nas złapią i jak amen w pacierzu – nogi z d... nam powyrywają. Ale, cóż. Gorszym obciachem było zawieść Wieśka, niż dać się zadrutować bezpiece. Weszliśmy tam od zakrystii. Skok przez mur, i jesteśmy. Była piękna, ciepła noc, Zdaje się kwiecień. A rok? Na pewno druga połowa lat 80-tych. Wcześniej przecież Jaruzelski, et consortes nie wymyśliliby, żeby pomnik katyński w Warszawie stawiać. Skradaliśmy się od krzyża do krzyża. Czołgaliśmy chwilami przez powstańcze kwatery, i uwierzyć nie mogliśmy, że ani widu ani słychu – jakiejś obstawy, warty, tajniaków choćby. Czasami, gdzieś szczura przepłoszyliśmy, tu i ówdzie koty nam się ciekawie przyglądały, ale generalnie cmentarz



11 sierpień 1987 rok. Chęciny koło Kielc. Działacze KPN z Warszawy i Krakowa. Na fotografii na samym dole Wiesław Gesicki.

zgodnie ze swym przeznaczeniem i naturą oraz porą doby był całkowicie wymarły. Dotarliśmy do Dolinki Katyńskiej. Wokół nakrytego płótnem pomnika stały jakieś statywy, stary stolik, skrzynka z cholera wie czym. Pozostałości pewnie po próbie generalnej – i nadal nic. Żadnych glin. Daliśmy sobie spokój z przejmowaniem się brakiem wroga i wzięliśmy się do roboty.

Mieliśmy farbę drukarską, obficie ochrzczone ropą naftową. „Siuwaks” nie do zmycia. Trzeba tylnki zrywać, żeby usunąć napis wykonany taką farbą. A tu mamy żywy granit, z którego wykonano kubistyczny krzyż, mający stać się nazajutrz pomnikiem ofiar jednej z największych zbrodni współczesnej historii świata. U podnóża przysadzistego krzyża, niczym ruska baba, umieszczono spiżową tablicę z kłamiwym napisem. Zamalowujemy go obficie. Na samym krzyżu piszemy wielkie: „Katyń 1940”. Wtedy to wystarczało. Dlatego wówczas, nawet na symbolicznych grobach zabitych wtedy, nie wolno było takich napisów umieszczać. To nadto informacji, aby skonstatował nawet du-reń, kto to zrobił. Wystarczyło popatrzeć na mapę, i przypomnieć sobie, gdzie był wtedy niemiecki Wehrmacht.

– Dobra, wycofujemy się... – Wiesiek obudził mnie z zadumy.

– Czekaj, podkradnijmy się do bramy – pewnie tak wyglądał nasz szeptany dialog.

A, tymczasem obok głównej bramy, przed domem pogrzebowym na Wojskowych Powązkach: stoliczki, leżaczki i grupka SB-ków pijących



Pismo „Nie chcemy komuny” wydawa-ne przez Wiesława Gęsickiego w latach 1986–1989. Współpracownikami, którzy redagowali, drukowali i kolportowali ga-zetę byli m.in.: Leszek Zygmunt, Zbigniew Szmiel, Robert Nowicki, Jarosława Maćko-wiak, Michał Wnuk, Małgorzata Laskus.

wódkę. Pewnie mieli właśnie pilnować pomnika, jeszcze nie odsłoniętego. Wracamy do tylnego muru, już niemal marszowym krokiem. Po drodze Wiesiek przedstawia plan następnej akcji. Mnie włosy stają dęba, a serce z podniecenia wali jak cekaem. Fantastyczny pomysł, znakomity scenariusz akcji i tylko sześciu ludzi i dostawczy samochód potrzebne do jej przeprowadzenia. Ale, oczywiście ryzyko wypadki znowu wysokie. Jednak skutek będzie zapewne taki, że się na samej wierchuszce u Bolszewików burza rozpęta. Tłumaczę:

– Wiesiek, przecież ukryją fakt, żeśmy to zrobili.

– Puścimy w miasto szeptaną plotkę, że ktoś mumię ukradł, i szybciej niż to Wasze radio, sami ludzie z ust do ust, sobie informację podadzą – skwitował Wiesiek moje wątpliwości. (Pracowałem wtedy w podziemnym Radiu „S”, dysponowałem potężnym nadajnikiem, więc miałem mocne możliwości propagandowe). Ostatecznie, z przyczyn etycznych, tamten plan porzuciliśmy. I, to chyba był tylko jeden, jedyny raz, gdy widziałem żal w oczach Wieśka. Uległ inteligenckim rozterkom – że nie wypada, że to nie chrześcijańskie, że nie jesteśmy bolszewikami etc, etc.

Tymczasem, wtedy tej, chyba kwietniowej nocy, kłaniamy się Jaxy Rozenowi, Harasymowiczowi, Sławkowi i wracamy do domów.

Andrzeja Szomańskiego, naszego przedwcześnie zmarłego szefa i mentora, z pośpiechu nie odwiedzamy. Trzeba się przespać i poderwać, aby obejrzeć telewizyjną transmisję z uroczystości odsłonięcia pewnego pomnika w Warszawie...

Walka z czerwonym okupantem była sensem jego życia – wspomina Bogusław Dziatko

Wieśka Gęsicckiego poznałem na Marszu Szlakiem I Kompanii Kadrowej. Był rok 1985. Stan wojenny formalnie zniesiony, ale wojna z narodem nadal trwała. Wiesiek, chłopak z Warszawy, ubrany jak partyzant, po raz kolejny szedł z Kadrówką. Dla niego walka z czerwonym okupantem była istotą i sensem życia. Brał udział we wszystkich możliwych działaniach wymierzonych w komunę. Nie było chyba w Warszawie i nie rzadko w Krakowie demonstracji niepodle-

głościowej bez jego czynnego udziału. Konsekwentnie działał na rzecz odzyskania pełnej suwerenności opartej na kontynuacji i tradycji II Rzeczypospolitej. Po 1989 r. starał się o przyjęcie do służby w Urzędzie Ochrony Państwa. Jednak jego poglądy były nie do przyjęcia dla tych, którzy hołdowali tzw. grubej kresce. Nigdy nie zgadzał się na żadne kompromisy i porozumienia z byłymi komunistami. Dlatego zmagął się z bezdusznnością, arogancją, a nawet głupotą nowej władzy. Twardy i bezwzględny „bojownik”, nie ulegał nigdy wrogowi ani przeciwnościom losu. Musiał ulec śmiertelnej chorobie...

Przeszedł przez swoje krótkie życie, dobrze służąc sprawie. Takim go zapamiętałem.

Kompletnie zafiksowany na punkcie działalności – wspomina Mariusz Ambroziak

Spotkaliśmy się prawdopodobnie gdzieś na początku 1988 r. To było w mieszkaniu moich przyjaciół, działaczy „solidarnościowego” Ursusa, gdzie zawsze było pełno ludzi. Jurek działał w młodzieżówce KPN, a jego rodzice prowadzili punkt kolportażu. Z ich mieszkania przy ul. Keniga na osiedlu „Niedźwiadek”, były emitowane audycje tajnego radia „Solidarność”. Jednym ze stałych bywalców w tym domu był właśnie Wiesiek Gęcicki. Pierwsze wrażenie było nawet sympatyczne. Po prostu jak to między młodymi ludźmi: cześć – cześć, jak leci itd. Potem trochę jakby wycofanie i nawet nieufność. On był (jak się niebawem przekonałem) kompletnie zafiksowany na punkcie działalności w podziemiu. Uważał, że walka z reżimem przybierze wcześniej czy później radykalne formy, które nie będą miały nic wspólnego z postulowanymi przez „Solidarność” pokojowymi zmianami. Stąd wystąpiła między nami różnica poglądów, ale nie oznaczało to braku współpracy. My byliśmy coraz lepiej zorganizowani na terenie fabryki. W maju 1988 r. potrafiliśmy zrobić czynny protest, z którego prędko wyłonił się komitet strajkowy. I nie byli to w znacznej mierze „starzy” działacze związkowi, tylko tzw. „młodzi” – nowa fala młodych robotników „Ursusa”, którzy pojawili się wśród załogi w drugiej połowie lat

80-tych. Wieśkowi to się podobało. Uważał, że każda aktywność zmierzająca do osłabienia systemu, w jakimś stopniu przybliża decydujący moment konfrontacji ze zniechodzoną przez niego władzą. Wymienialiśmy między sobą bibułę, książki i tzw. „papeterię” patriotyczną. Po 1989 r. spotkaliśmy się razem w Polskiej Radzie Młodzieży, gdzie Wiesiek reprezentował organizację „Strzelec”. Na pewno był jednym z tych „podoficerów” naszej historii, którzy cały swój wysiłek i energię poświęcili ważnej sprawie.

Po prostu brat... – wspomina Jarosław Gęcicki

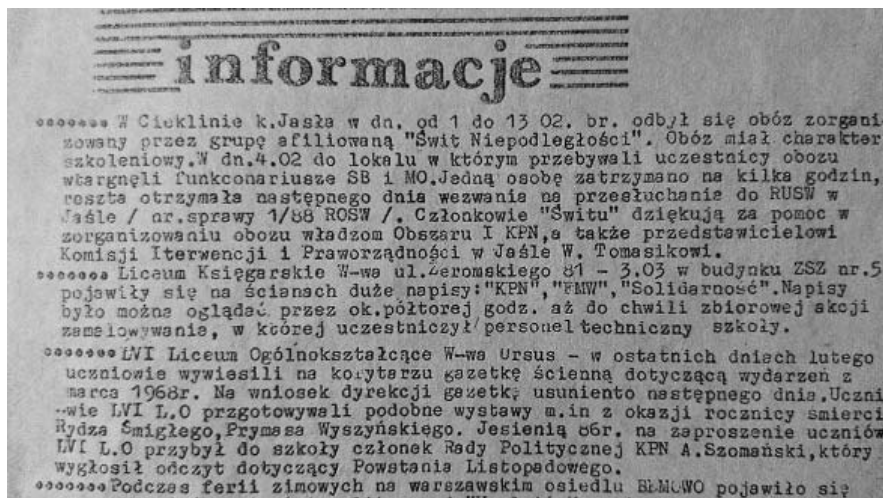
Wiesiek był przede wszystkim moim bratem. W styczniu 2016 r. skończyłby dopiero 57 lat... Był z natury człowiekiem bardzo odważnym i bał się tak naprawdę jedynie białego fartucha. Zresztą uważał, że szkoda czasu na lekarzy, bo tyle ważnych rzeczy się dzieje i nie warto gnuśnić w przychodniach i szpitalach. Dla niego liczyła się tylko jedna sprawa, której imię tak często jest teraz z wielką łatwością powtarzane przy byle okazji. A wtedy, w latach osiemdziesiątych wymagało to oprócz chęci działania, jeszcze odwagi. Byli w jego środowisku koledzy, którzy po pierwszym przesłuchaniu na SB, rezygnowali z działalności, a nawet jak sam wspominał, przechodzili na złą „stronę mocy”. Ale może po kolei...

Wiesiek urodził się 13 stycznia 1959 r. w rodzinie robotniczej na warszawskim Powiślu. Później urodził się brat Jerzy (1961), a na końcu ja (1965). Warunki mieszkaniowe na ul. Zagórnej 6/21 były bardzo ciężkie. Dzieciństwo spędzaliśmy w niemal spartańskich warunkach, w 20 m „klitce”, z zimną wodą przynoszoną z piwnicy, którą mama zmuszona była gotować w wielkim kotle. Ogrzewanie stanowił węglowy piec. W takim klimacie Wiesiek musiał rozpoczynać naukę w pobliskiej podstawówce przy ul. Fabrycznej. Być może dlatego był później bardzo odporny na wszelkie niewygodę i przeciwności losu. To, trochę jak w tym wierszu o pewnym legionście Piłsudskiego, zaczynającego się od słów „Nie głąskało mnie życie po głowie, nie pijałem ptasiego mleka...”. Przeprowadzka na Muranów, zmiana szkoły, nowe środowisko



Wiesiek z bratem Jarosławem

pozwoili na ujawnienie niebywanych zdolności sportowych, które zaprowadziły Wieska do klubu szermierki (Pałac Kultury i Nauki), a później na obiekty sportowe CWKS Legia. Tak rozpoczyna się przygoda ze sportem, która omal nie zakończyła się tragedią. W 1978 r. zostaje powołany do wojska. Jako sportowiec Legii jest zwolniony z zasadniczej służby wojskowej, ale pewna historia zmienia ten stan o 180 stopni. Do szatni sportowców po zawodach, wszedł niespodziewanie wysoki rangą oficer LWP, na którego obecność mój brat nie zareagował postawą zasadniczą i nie oddał honorów. W związku z tym został natychmiast przeniesiony z klubu do jednostki wojskowej o zastrzonym rygorze. Działo się to wszystko w bardzo trudnym okresie dla naszej rodziny. 10 sierpnia 1979 r. umiera Barbara Gęsicka, nasza mama. Na święta Bożego Narodzenia Wiesiek nie dostaje urlopu mimo faktu, że ma do tego prawo (poprzedni urlop zaległy, niewykorzystany). Emocje i przeżycia doprowadziły go do sytuacji wyczerpania nerwowego. Podczas warty, strzela serią z karabinu w kierunku wojskowych magazynów, co zostało uznane za załamanie nerwowe. Konsekwencji na szczęście nie wycią-



Fragment gazetki KPN, w której podana jest wiadomość o zatrzymaniu działaczy opozycji na terenie ówczesnego województwa krośnieńskiego. Jednym z przesłuchiowanych przez prokuratora Stanisława Piotrowicza był Wiesław Gęcicki.

gnięto. Po powrocie z wojska rozpoczyna pracę w Zakładach „Tewa” na warszawskim Służewcu. Tam poznaje m.in. przyszłego działacza KPN Zbyszka Szmiela. W sierpniu 1980 r. jest w grupie założycieli NSZZ „Solidarność”. Nawiazanie kontaktu z KPN, organizacją uważaną wtedy za jedną z najbardziej znienawidzoną przez władze, wiąże się ze spotkaniem Wieśka z jakimś człowiekiem z podwarszawskiego Mińska Mazowieckiego, którego nazwiska niestety nie pamiętam. I tak zaczęły się pojawiać w domu ulotki, plakaty, odezwy. Na początku stanu wojennego, Wiesiek uniknął więzienia, uciekając bocznym wyjściem, podczas pacyfikacji przez ZOMO, siedziby NSZZ „Solidarność” Regionu Mazowsze przy ul. Mokotowskiej w Warszawie. Wtedy rozpoczął, można powiedzieć w sposób symboliczny permanentną walkę z komuną, która trwała aż do jej upadku. Demonstracje, akcje ulotkowe, wywieszanie transparentów, organizacja tajnych kompletów z tzw. „zakazanej” historii, malowanie haseł na murach to wszystko czym żył przez prawie dziesięć lat, „zarażając” swoim zaangażowaniem dziesiątki, o ile nie setki młodych ludzi z bardzo różnych środowisk. Współpracował m.in. ze sro-

dowiskiem związanym z Muzeum Archidiecezji Warszawskiej, z których bardzo wielu uczestniczyło czynnie w działalności warszawskiej KPN. Do nich należeli m.in.: Leszek Zygmunt, Jarosława Maćkowiak, Robert Nowicki, Tomasz Rossa. Oni tworzyli tzw. „stary” KPN, który rozpoczął działalność zaraz po 13 grudnia 1981 r. Wiesiek był takim w pewnym sensie „motorniczym”. Nigdy nie miał dość, nie zrażały go aresztowania i przesłuchania. Pomagał mu nasz ojciec – Witold Gęsicki, który jako pracownik „Domu Słowa Polskiego”, wynosił w miarę możliwości farbę drukarską, dzięki czemu spod ręki Wieśka wyszło nie jedno pisemko i nie jedna ulotka. Był zawsze odpowiedzialny za młodzież, uczył, pomagał, radził jak zachować spokój podczas ewentualnego zatrzymania. Pod koniec lat 80-tych, organizował struktury Ruchu Katolickiej Młodzieży Niepodległościowej i Federacji Młodzieży Walczącej. Miał też sympatię dla Kornela Morawieckiego i nawiązał konspiracyjne kontakty z Andrzejem Ziółkowskim z warszawskich struktur „Solidarności Walczącej”. Nie można zapomnieć o jego wielkim zaangażowaniu w przygotowywanie Marszów Szlakiem I Kompanii Kadrowej z Krakowa do



Wiesław Gęsicki jako żołnierz LWP (trzeci od lewej)

Kielc i późniejszych staraniach o reaktywowanie Związku Strzeleckiego, którego po 1989 r., został głównym organizatorem. Na życie osobiste nie miał zbyt wiele czasu. Miał za to dziesiątki znajomych i przyjaciół, których zawsze dopingował do działania na rzecz wolności i niepodległości. Niektórzy mówili, że przybierało to wręcz formę choroby. I ja teraz po latach tak myślę i co więcej mam pewność. Mój brat Wiesiek był chory. Był nieuleczalnie chory na Polskę.

Johan Strauss, gitara i wycieczki w Tatry – wspomina Magdalena Gęsicka-Diak

Wieśka poznałam jako młoda dziewczyna. To wydarzyło się dawno temu w Ursusie. Pamiętam mały pokój, w którym było gęsto od tytoniowego dymu. Panowała jakaś gorąca dyskusja polityczna, w której brało udział kilku młodzieńców i jeden od nich starszy, dla mnie wtedy dojrzały mężczyzna. Coś tłumaczył, gestykulował i bardzo sug-

stywnie próbował przekonywać obecnych do swoich racji. Tym mężczyzną był Wiesław Gęcicki, z którym los związał mnie bardzo osobiście. Co mogę powiedzieć o Wieśku? Przede wszystkim to, że miał niezwykle zasady, które w dzisiejszych czasach mogą wydawać się dziwne a może nawet dla niektórych śmieszne. Słowo honoru – oznaczało naprawdę słowo honoru a nie pusty frazes. Jego postawa wobec kobiety polegała na wyjątkowej delikatności i trochę staroświeckiej elegancji, prawie jak z filmów z Dymszą czy Ćwiklińską. Na pewno był idealistą. Co do tego nie mam



najmniejszej wątpliwości. Jako romantyk, wierzył w Polskę czystą jak przysłowiowa łąka, która pozbędzie się na trwałe wszelkiego brudu, które niosła za sobą poprzednia epoka. Uważał, że wszelkie ustępstwa wobec dawnych PZPR-owców są wielkim błędem i grzechem pierworodnym nowej władzy. Z tego wynikało coraz większe rozczarowanie rzeczywistością. Jak każdy „ideowiec” w czasach przemian, miał marne szanse na „zagospodarowanie” w służbie państwowej. Pojawili się szybko sprytniejsi i tacy, którzy mieli za plecami możnych protektorów. Jemu nawet nie przychodziło do głowy, żeby kłaniać się w pas za przysłowiową „posadką”. Nie pozwalał mu na to kodeks etyczny i honorowy, któremu był wierny do końca życia. Wspominając jego prywatne życie muszę przywołać chwile kiedy razem jeździliśmy w Tatry, na Podhale i do Krakowa. Uwielbiał wędrowki po górach. Jego przyjaciel opowiadał jak w 1987 r. Wiesiek postanowił sam przejść trasę od źródeł Dunajca aż do jego dopływu do Wisły. Taka samotna podróż, która miała uporządkować własne sprawy. Nie będę wspominała Marszów Szlakiem I Kompanii Kadrowej, ponieważ jestem pewna że wielu „kadrówkowiczów” z wie-



Odrodzony po 1989 roku „Strzelec” przechodził różne fazy swojej działalności. Pierwszym organizatorem Związku Strzeleckiego jeszcze przed tzw. okrągłym stołem była Konfederacja Polski Niepodległej. Po 1990 roku, Wiesław Gęsicki stworzył odrębną strukturę o nazwie Organizacja Społeczno-Wychowawcza „Strzelec”.

loletnim stażem robi to lepiej. Ale nie mogę pominąć jednego. Wiesiek kochał mundur. Był dla niego drugą „skórą”, bez której na dłuższą metę nie potrafił się obyć. Chodził w mundurze na uroczystości, zbiórki strzeleckie a nawet do pracy w Urzędzie do Spraw Kombatanów i Osób Represjonowanych. Odznakę UMSK, wzorowaną na tej którą brygadier Piłsudski, wpinał do mundurów swoim żołnierzom, nosił zawsze z wielką dumą. A życie osobiste? No, cóż!

Każdy ma jakieś wady i zalety. Do porządnych – w sensie, pilnowania swoich spraw, nie należał. I jeszcze brak muzycznego słuchu. Lubił śpiewać, szczególnie piosenki wojskowe i patriotyczne. Ale za to jak fałszował! Brak tego talentu nie przeszkadzał mu na słuchanie ulubionych walców Straussa. To jedna z pasji, którą dzieliliśmy wspólnie pod koniec lat dziewięćdziesiątych. Ważny też był teatr – obowiązkowo, przynajmniej raz w miesiącu. Ze spraw jeszcze bardziej osobistych, muszę wspomnieć, że był religijny. Może bez przesady, ale nie było niedzieli bez mszy, nie było wyjazdu gdzieś na południe bez wizyty na Jasnej Górze. Pamiętam jak ten „twardziel” uronił łzę, podczas odsłonięcia cudownego obrazu w kaplicy jasnogórskiej. Cóż jeszcze mogę dodać? Chyba tylko to, co wszystkim tak dobrze jest znane. Spieszmy się kochać ludzi bo tak szybko odchodzą...

Niechciani bojownicy. Powtórka z historii... – wspomina Jacek Pa-jak

Jeżeli można dokonać pewnego historycznego porównania, to Wiesiek Gęcicki, którego poznałem dosyć późno, na początku lat dziewięćdziesiątych, przypominał swoją życiową historią dawnych niepodległościowych bojowców z PPS, którzy nie mogli znaleźć dla siebie miejsca po 1918 r. Mimo odzyskania suwerenności, po Polsce ciągle krążyło widmo niewolniczych zachowań, przywar i wszystkiego co kojarzyło się ze służbą obcym. Sam Piłsudski mówił o „karle” na krzywych nogach, który zatruwał mu życie, plując na lewo i prawo jadem nienawiści i zakłamania. Podobnie było po 1989 r. Dla ludzi takich jak Gęcicki nie było specjalnie miejsca, tak samo jak wtedy dla PPS-owców. Choćby zaraz po



Demonstracja KPN. Na czele idzie młodzież z warszawskich szkół średnich. Wiesław Gęsicki był jednym z pierwszych organizatorów takich struktur na terenie Warszawy.

wojnie 1920 r. Wielu z nich wracając z frontu, musiało radzić sobie samemu, bez jakiegokolwiek pomocy państwa w obronie którego lali krew! A wcześniej to przecież oni stawali na barykadach w 1905r. gdzie oprócz haseł socjalnych najważniejszą sprawą był postulat niepodległości. Taki widać jest los takich „zatrąceńców”, którzy nie pytali nigdy – za ile? Czy to się opłaci? Czy warto? Naród będzie im „wdzięczny”, najlepiej po śmierci, bo medal wybity z „okazji” czy ku „czci”, niewiele kosztuje. Jako działacz podziemnego PPS z lat osiemdziesiątych, któremu patronowały wielkie postacie jak Jan Józef Lipski czy na emigracji Lidia Ciołkoszowa, chylę czoła przed pamięcią o takich ludziach jak Wiesław Gęsicki. Może na koniec wspomnę jeszcze raz Piłsudskiego, który przypominał o losie swoich żołnierzy, posługując się formą bajki o Kopciuszku. Powiedział wtedy takie dosyć mało parlamentarne słowa: „Bo gdzie woń róż, to – prawdę mówiąc – jest woń i kloaki. Kopciuszku zatracony – bajki i prawda, kwiaty i ciernie, burdel i kurwy, szpicle i ober szpicle. Reklama i majtałasy, sukienki w górę, tan się zaczyna! (...) Tam, gdzie Kopciuszek, tam jest i praca. Dla kogo? Tam, gdzie Kopciuszek, tam jest macocha, a gdzie macocha tam i siostry wyrodne! Ktoś na Kopciuszku zer mieć musi”.

Zawsze miał przy sobie „bibułę” – wspomina Tomasz Błoński

Wieska poznałem na początku drugiej połowy lat osiemdziesiątych, na spotkaniu w mieszkaniu Jurka Woźniaka w Ursusie. Od razu zrobił na mnie duże wrażenie swoim zachowaniem i koleżeńskim podejściem do nas kilkunastoletnich młodzieniaszków (Wiesiek był przecież od nas starszy o 10 lat). Z biegiem czasu spotykaliśmy się coraz częściej. Bywał z nami na bardziej oficjalnych spotkaniach jak i na prywatkach, które organizowałem ja, Jurek lub Tomek Andrzejewski. Pamiętam, że na te prywatki zawsze się spóźniał a na oficjalne spotkania był zawsze punktualny lub przed czasem. Na imprezach praktycznie nie pił alkoholu, bawił się z nami zupełnie na trzeźwo. W swojej torbie lub plecaku z którymi się nie rozstawał miał zawsze jakąś ciekawą „bibułę” albo świeże wydania książek z drugiego obiegu. Był fantastycznym towarzyszem do rozmowy o ogromnej wiedzy historycznej i doskonałej znajomości geopolityki.

Ostatni raz widziałem Wiesia na wyjazdowym spotkaniu w Ośrodku w Jachrance nad Zalewem Zegrzyńskim. Był on wtedy już mocno zaangażowany w organizację Związku Strzeleckiego. Przegadaliśmy całą noc



Sierpień 1988 r. Uczestnicy Marszu Szlakiem Pierwszej Kompanii Kadrowej z Krakowa do Kielc. W większości byli to aktywni działacze opozycji niepodległościowej. Wiesław Gęsicki (trzeci od prawej w drugim rzędzie) brał udział w tych marszach nieprzerwanie od 1984 roku.

siedząc przy ognisku. On z błyskiem w oku opowiadał o swoich planach i marzeniach, o swoim wyobrażeniu wolnej Ojczyzny i o kształcie nowego odrodzonego Wojska Polskiego. W kolejnych latach nasze drogi się rozeszły. Ja przestałem zajmować się działalnością polityczną. Musiałem się skupić na utrzymaniu rodziny. Niestety później dane mi było tylko iść za Jego trumną w 2002 roku gdy Wiesław odszedł od nas tak nagle i przedwcześnie...

Kryjówka pod popiersiem Marszałka – wspomina Robert Nowicki

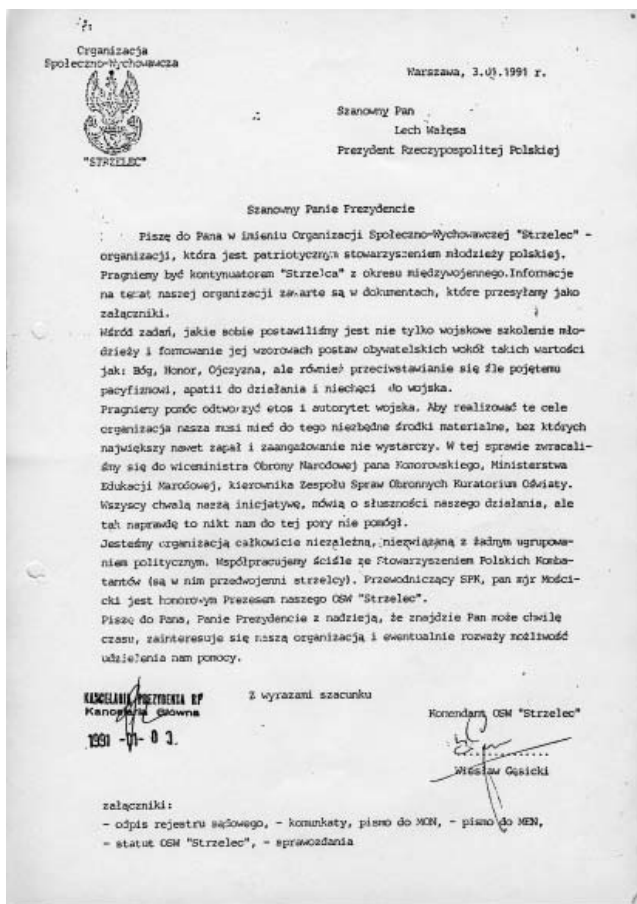
Wieska poznałem w 1983 roku w Muzeum Archidiecezji Warszawskiej. W tym czasie Wiesiek pracował w zakładach „Tewa” na warszawskim Służewcu. Z tego Zakładu w Muzeum działali także Tomek, Zbyszek, Leszek, Tadeusz i kilku innych kolegów, których imion już nie pamiętam. Wiesiek bardzo nam imponował swoim entuzjazmem i determinacją do działania.

Muzeum Archidiecezji Warszawskiej było olbrzymią skrzynką kolportażową służącą wymianie prasy i książek drugiego obiegu. Do przechowywania tych rzeczy wykorzystywaliśmy podesty na których stały popiersia znanych Polaków. Wiadomo było, że pod popiersiem Marszałka Piłsudskiego znaleźć można prasę środowisk niepodległościowych, a pod popiersiem Ignacego Paderewskiego – pu-



Pismo „Nie chcemy komunizmu”, którego redakcją zajmował się Wiesław Gęsicki było sygnowane jako gazetka KPN, później jako ulotka Ruchu Katolickiej Młodzieży Niepodległościowej. Po wybraniu Gęsickiego na lidera warszawskiej Federacji Młodzieży Walczącej, „Nie chcemy komunizmu” było podpisywane jako druk FMW.

blikacje środowisk narodowych. Pod Chopinem gromadziliśmy prasę MRKS'u – „Wola”, „Wiadomości” i „Tygodnik Mazowsze”. Niestety, ten wygodny sposób przechowywania i przekazywania sobie prasy skończył się w momencie, kiedy ksiądz Andrzej Przekaziński, ówczesny Dyrektor Muzeum, wraz ze swoim pracownikiem, odkrył nasze kryjówki przy okazji robienia przedsięwziętych porządków w Muzeum. Zdeenerwowany i z pretensjami wobec Wieśka i kilku kolegów, zawiesił nas w czynnościach związanych z pracą w Muzeum.



NIEPOPRAWNA OPOWIEŚĆ O WOJNIE W BOŚNI

Niezbyt obszerną (136 stron) książkę *Dobij mnie Europo... Wspomnienia z wojny bałkańskiej* Adama Bednarczyka stanowczo odradzam tym, którzy lubią chodzić utartymi szlakami. I tym, którzy lubią literaturę podróżniczą autorstwa naszych celebrytów, specjalistów od prezentowania prognozy pogody „wędrujących” z biurami podróży, zawodowych podróżników, po kilku dniach pobytu w dowolnym miejscu potrafiących bez końca opowiadać o tym, co zobaczyli przez szybę albo wyczytali w cudzych książkach. Tym, którzy lubią, gdy pisarz – zamiast stawiać pytania – udziela gotowych odpowiedzi, też książki Adama Bednarczyka nie polecam.

Ale kto uwielbia powieści awanturnicze, kogo wciągnął *Moby Dick* albo *Wyspa skarbów*, a także kto czytał z zaciekawieniem dzienniki Mariusza Wilka (które zaliczam do gatunku literatury podróżniczej, ale tej głębokiej, niezadowolającej się ślizganiem po powierzchni kultur, opierającej się na głębokim osobistym doświadczeniu), ten *Dobij mnie Europo...* przeczyta z przyjemnością i zainteresowaniem. To rodzaj literatury, którą się pisze własną krwią (w tym wypadku – dosłownie). To szczerza opowieść o niezwyklej epizodzie z własnego życia, a nie sposób na zdobycie taniej popularności czy zarobienie pieniędzy.

Kilka słów o autorze. Adam Bednarczyk (ur. w 1965 r.) w latach 80. należał do Federacji Młodzieży Walczącej w Krakowie. Brał udział w akcjach małego sabotażu, walkach ulicznych, drukował bibułę, aktywnie budował struktury organizacji poza Krakowem. Szczere antykomunistyczne poglądy spowodowały, że w okresie wyborów 4 czerwca 1989 r. związał się ze środowiskiem „Solidarności Walczącej” i apelował o nie-

uczestniczenie w głosowaniu. W tym też czasie został dwukrotnie pobity przez „nieznanych sprawców”¹. W 1993 r. wyjechał do Bośni, będącej częścią rozpadającej się właśnie Jugosławii. Ochotnicy z Węgier (i z innych państw europejskich, w tym także z Polski) walczyli tam u boku Chorwatów przeciwko Serbom. Bednarczyk znalazł się w tym kraju jako niespełna 30-letni dziennikarz, szukając przygód i chcąc ujrzeć prawdziwe oblicze wojny. W pierwszych zdaniach swojej książki pyta: „Kto był bliżej prawdy: Haszek ze swoim Szwejkem czy Coppola w »Czasie Apokalipsy«? Czym jest wojna i co ze sobą niesie?”².

Dobij mnie Europo... zaczyna się podobnie jak *Moby Dick*. Ten sam klimat przekraczania progu mrocznej tajemnicy i rozpoczynania fascynującej, choć niebezpiecznej przygody.

Melville napisał: „Wchodząc pod trójkątny dach oberży Pod Wielorybikiem trafiało się do szerokiej, niskiej odrapanej sieni o staroświeckiej boazerii przypominającej burtę jakiegoś starego, bezużytecznego już okrętu [...]. Minąwszy mroczną sień [...] wchodzi się do izby ogólnej [...]. Stoi tam [...] ogromna, łukowato wygięta kość szczękowa wieloryba, tak szeroko rozwarta, że dyliżans mógłby niemal pod nią przejechać [...]. Wszedłszy do izby zastałem tam kilku młodych marynarzy zebranych wokół stołu [...]”³.

A teraz Bednarczyk: „Duszne, popołudniowe powietrze w przedziale i zaklinowane okno, którego w żaden sposób nie można było otworzyć [...]. W przedziale siedział młody, może dwudziestoletni Węgier. Pierwsze spojrzenie na niego nie budziło żadnych wątpliwości. Ciężkie wojskowe buty wystające spod wytartych dżinsów, sweter wojskowego kroju w kolorze khaki i wygolona głowa mówiły same za siebie [...]. Za

¹ Więcej na temat Adama Bednarczyka można znaleźć w książce Macieja Gawlikowskiego i Mirosława Lewandowskiego *No future. Dzieje Federacji Młodzieży Walczącej w Krakowie*, która ukazała się w 2014 r.

² Adam Bednarczyk, *Dobij mnie Europo... Wspomnienia z wojny bałkańskiej*, Wydawnictwo Antyk Marcin Dybowski (nie podano miejsca ani roku wydania, ale książka ukazała się w 1. połowie lat 90.), s. 5.

³ Herman Melville, *Moby Dick, czyli Białe Wieloryb*, przeł. Bronisław Zieliński, Wydawnictwo Dolnośląskie, 1992, s. 45-48.

oknem grupa żołnierzy w maskujących uniformach, z kałasznikowami niedbale rzuconymi na ramiona, paliła papierosy. »To chyba granica?«, pomyślałem. Granica dzieląca Europę⁴. Tutaj właśnie, na Bałkanach, poza granicą spokojnej Europy było morze, na którym bohater Adama Bednarczyka (czy też może on sam?) poszukiwał Białego Wieloryba, aby zmierzyć się ze swym Losem.

Książka w warstwie fabularnej obfituje w dramatyczne wydarzenia, które autor zna z własnego doświadczenia, brał bowiem udział w akcjach na pierwszej linii, ramię w ramię ze swymi walczącymi z bronią w rękę przyjaciółmi. Jego bliskość z „braćmi w armii” w nim samym budziła wątpliwości co do charakteru, w jakim uczestniczył w tych wydarzeniach. „Czy jestem dziennikarzem, czy już nie? Przecież mam broń w rękach i nie wahałbym się ani chwili by jej użyć, żeby zabić, ratując tym własne życie”⁵.

Kim byli owi „Brothers in Arms”? „Byli słabo wyszkoleni. Nie posiadali kadry oficerskiej, a jeśli już to najniższego szczebla. Byli pospolitym ruszeniem. Przed wojną uprawiali ziemię, wypłacali stołki i kosze. Wiklinę dostarczały rozlewiska Sawy. W ciągu paru dni stali się żołnierzami. Przesiedli się z traktorów na czołgi, widły zamienili na karabiny. Przeciwwstawili się regularnej armii [Jugosławii] sponiżkowanej bojówkarkami Arkana i Szeszelja (liderzy ultranacjonalistycznej Serbskiej Partii Radykalnej)”⁶.

Są w *Dobij mnie Europo...* nasycone autentyzmem opisy akcji zwiadowczych, walk w okopach, żołnierskich zabaw i czasu odpoczynku, a także plastycznie przedstawiające prozę żołnierskiego życia. Czyta się to świetnie, jak doskonałą powieść awanturniczą, ale ze świadomością, że nie jest to literacka fikcja, że wszystko działo się naprawdę, kilkanaście lat temu, niecały dzień drogi samochodem od nas. Są elementy melodramatyczne (romans głównego bohatera z Viesną, piękną 19-letnią Chorwatką), a także tragiczne (śmierć przyjaciół: Žbunjari i Alexa, którym dedykowana jest książka).

⁴ Adam Bednarczyk, dz. cyt., s. 6.

⁵ Tamże, s. 124.

⁶ Tamże, s. 32.

Znajdujemy tu też liczne szczegóły dotyczące realiów czasu i miejsca, potwierdzające autentyczność relacji. Możemy na przykład dowiedzieć się, że pokazując na palcach liczbę trzy, Chorwat w Bośni podnosi do góry kciuk, palec wskazujący i mały, gdyż kciuk, palec wskazujący i serdeczny to symbole prawosławia, używane (przy żegnaniu się znakiem krzyża) przez najeźdźców-Serbów; że żołnierze mieli opaski na głowie nie dla szpanu, ale dla powstrzymania włosów i potu, które przeszkadzają w czasie walki, natomiast nie nosili zwykle hełmów, które były ciężkie i niewygodne. Dowiadujemy się, że chorwaccy chłopcy palili domostwa swych sąsiadów-Chorwatów, jeżeli ci uciekli zagranicę, zamiast bronić swej ziemi, zaś chorwacka diaspora zagranicą opodatkowała się, aby wspierać walkę swych rodaków w Bośni. Dostajemy dokładne opisy: bunkra ziemnego; ruchu drogowego na zapleczu frontu, gdzie nie obowiązywały żadne zasady, a kierujący pojazdami byli zwykle pijani – alkohol (bimber ze śliwek – rakija) był zresztą na tej wojnie (podobnie jak na każdej innej) nieodłącznym towarzyszem i walki, i odpoczynku; codziennej rozrywki żołnierzy, która nazywała się „snajperką” – była to kilkudziesięciominutowa wyprawa na linię frontu, aby sobie postrzelać z karabinu z lunetą do przeciwników po drugiej stronie frontu. Te i wiele innych szczegółów zawartych w tej niewielkiej książeczce czyni z niej prawdziwą skarbnicę wiedzy o wojnie w Bośni.

Jej autor nie ma wątpliwości, kto w tej wojnie miał za sobą moralne racje. To strona, po której i on się opowiedział całym sercem. „Tu bronią ziemi, bronią przed gwałtem, śmiercią, złoćwami. Walczą w obronie wiary katolickiej”⁷. Dla Bednarczyka walka po stronie Chorwatów w Bośni była taką samą walką wyzwolenczą jak ta, którą toczyło wielu bohaterów w wieku XIX, biorąc udział w rewolucjach liberalnych w różnych częściach Europy. Garibaldi, Mierosławski, Bem... Adam Bednarczyk jest z tego snu. Dlatego swoją książkę poświęcił pamięci walczących po stronie chorwackiej przyjaciół-ochotników „poległych za wolność i honor”⁸.

⁷ Tamże, s. 79.

⁸ Tamże, s. 3.

Przyjęcie przez niego chorwackiego punktu widzenia pociągnęło za sobą zajęcie zdecydowanego krytycznego stanowiska wobec działań ONZ. „W telewizji pokazywano kolejną propagandową akcję. Tym razem zrzuty żywności dla oblężonej Srebrenicy. Znowu przez tydzień czy dwa światowi potentaci informacyjni będą na okrągło, aż do znudzenia, puszczać te same fotki, opisując »dzielnych chłopców z UNPROFORA, którzy z narażeniem życia niosą pomoc głodującym« [...]. – Co? Europa czyści sumienie?»⁹. „Europa była dla nich [młodych Chorwatów] zniechęcającą bandą zapatrzonych w siebie konformistów, dla których Bałkany leżały gdzieś bardzo daleko. Zbyt daleko, aby doleciał krzyk burzący im spokój. Krzyk, który był ostrzeżeniem”¹⁰.

„Po rozmowach z żołnierzami ONZ-tu miałem wyrobione zdanie na ten temat. Większości wydawało się, że jadą z biurem podróży na egzotyczną wycieczkę pełną przygód i wrażeń. I to w dodatku jeszcze opłacaną. Pobawią się szpanując niebieskimi apaszkami pod szyją, od czasu do czasu ubiorą kamizelkę kuloodporną, hełm i przedefilują na czołgach przez miasto. Tylko że Bośnia to nie Wyspy Bahama. Tutaj jest wojna, a jeśli jest wojna, to również się ginie, o czym nie pomyśleli przed przyjazdem, a jeśli już, to nie biorą pod uwagę, że to właśnie oni mogą zginąć. Większość powróci do kraju i zostanie okrzyknięta bohaterami. Ale to dopiero w swoim kraju. Tutaj o ONZ-cie słyszałem opinie wprost przeciwne. Zbiurokratyzowany i skorumpowany wrzód, niezdolny do podjęcia natychmiastowej decyzji”¹¹.

Dostaje się także Tadeuszowi Mazowieckiemu, który był specjalnym wysłannikiem ONZ w Bośni i Hercegowinie¹²:

„– Co sądzisz o misjach Mazowieckiego? [...]

– Nic nowego nie wnoszą, poza tym, co wszyscy w ONZ wiedzą. Propaganda dla tłumu [...].

⁹ Tamże, s. 94.

¹⁰ Tamże, s. 43.

¹¹ Tamże, s. 104.

¹² Tadeusz Mazowiecki zrezygnował z tej funkcji po masakrze muzułmanów w Srebrenicy w 1995 r., protestując przeciwko bezczynności społeczności międzynarodowej wobec zbrodni wojennych. Adam Bednarczyk przebywał w Bośni, zanim doszło do serbskiej masakry w Srebrenicy.

– Ale o samym Mazowieckim?

– Głupio naiwny. Dał się w to wrobić. Myślał, że może dla tych ludzi coś zrobić. Ale już się chyba opamiętał, że jest tylko pionkiem na szachownicy, bo o nowych misjach ucichło.

– Czym pionkiem?

– Technokratów z ONZ, którzy wysłali go, by mieszkańcy Europy mieli spokojne sumienie. Również, aby ktoś z zewnątrz zasugerował, że nie tylko Serbowie popełniają zbrodnie wojenne. Ma to na celu usprawiedliwienie militarnej bezczynności. A najdziwniejsze, że Mazowiecki zajmuje się tym, nie mając zielonego pojęcia o wojnie”¹³.

Adam Bednarczyk nie oszczędza także dziennikarzy i fotoreporterów zachodnich. „Byli wszędzie, krążąc nad Bośnią, jak sępy w poszukiwaniu ofiar. Kto robi lepsze zdjęcie, bardziej wstrząsający reportaż. Lepszy, to znaczy bardziej makabryczny. Najlepiej matka oplakująca dziecko, któremu jeszcze dymią trzewia... Z taką fotką można się ubiegać o nagrodę World Press Foto”¹⁴.

O ile ta krytyka instytucji międzynarodowych oraz zagranicznych dziennikarzy wydawać się może naiwna (w tego typu konfliktach społeczność międzynarodowa jest zwykle bezradna, co ma swoje obiektywne przyczyny, zaś wstrząsające relacje z wojny mogą realnie pomóc jej ofiarom, budząc sumienie opinii publicznej na Zachodzie), a opis sytuacji na Bałkanach – jednostronny (gdyż także Chorwaci dopuszczali się na tym terenie zbrodni wojennych), o tyle niektóre pretensje Chorwatów pod adresem Europy, przytaczane przez autora, są (także jego zdaniem) niezrozumiałe czy przesadzone.

„– Czy ty nie widzisz, że Europa uczestniczy w tej masakrze? Jesteśmy jej poligonem. W Bośni, w jednym miejscu spotkało się kilka kultur.

– Chcesz powiedzieć, że jest namiastką Europy?

– Tak! Co zostanie z Bałkanów, jak będą przebiegać granice po wojnie, tak będzie wyglądała Europa za dziesięć, dwadzieścia czy pięćdzie-

¹³ Adam Bednarczyk, dz. cyt., s. 112.

¹⁴ Tamże, s. 107.

siąt lat. Jesteśmy królikami doświadczalnymi hipokrytów w garniturach. Tak jak się rozcina żaby i eksperymentuje na małpach w imię nauki i dobra ludzkości. Oni robią to samo z nami.

– Chyba trochę przesadzasz.

– Adame, wojna mogłaby się skończyć już na początku. To beczyność Europy rozzuchwiała Serbów!¹⁵

Z drugiej strony trudno nie zadać sobie pytania, czy gdyby Polacy znaleźli się w sytuacji podobnej do tej, w jakiej byli Chorwaci w Bośni, Europa zachowałaby się inaczej? Czy przysłałaby z pomocą? Wiemy, że już raz się tak w historii zdarzyło... Czy można się dziwić, że słabi i osamotnieni ludzie mają niezrozumiałe dla innych pretensje? Czy można się dziwić, że uogólniają swoje tragiczne doświadczenie, doszukując się w nim jakiegoś drugiego dna? Obyśmy nigdy nie znaleźli się już na ich miejscu!

Dobij mnie Europo... to książka anachroniczna. Jej anachroniczność jest dostrzegalna nie tylko w scenerii niczym u XIX-wiecznych romantyków, przedstawionej prostym językiem, który z pozoru koncentruje się na konkretach i bardzo oszczędnie posługuje się komentarzem. Widać ją przede wszystkim w warstwie ideowej. Adam Bednarczyk jest wyznawcą mitu Żołnierza Wolności, walczącego za słuszną sprawę poza granicami swojego kraju. Ma świadomość tej anachroniczności i jej nie ukrywa. „Wyobraziłem sobie Kościuszkę w dzisiejszych czasach. Siedziałby w więzieniu jako najemnik za udział w wojnie o wolność Stanów Zjednoczonych...”¹⁶

Bednarczyk, podobnie jak jego przyjaciele walczący po stronie chorwackiej w wojnie w Bośni, nie przyjmuje do wiadomości, że świat się zmienił, że wojna nie jest już akceptowanym sposobem obrony swoich racji, zaś obcokrajowcy walczący po każdej ze stron są uważani przez świat za płatnych morderców.

„– Moim prawem jest sumienie. Brzydzą się, że jestem Europejczy-

¹⁵ Tamże, s. 102.

¹⁶ Tamże, s. 61.

kiem. Jeśli Europa nic nie robi, żeby im pomóc, to niech się przynajmniej odpieprzy ode mnie.

– Dla nich jesteś psem wojny, najemnikiem [...].

– Co zrobił dla gwałconych kobiet i umierających dzieci pieprzony prokurator, który chce mnie wsadzić do więzienia? [...] Co zrobiło tysiące biurokratów z ONZ, którym płacą grubą forszę by bronili pokoju w świecie? Siedzą i grzeją sobie dupy na intratnych posadach, a jedyne akcje, jakie organizują, to pozory, dzięki którym mogą potem spokojnie spać. Jakim prawem te dupki mają mnie osądzać¹⁷.

Autor broni cudzoziemskich żołnierzy walczących u boku Chorwątów w „rozbitych oddziałach”, przytaczając nieznane fakty. „Nikt z obcokrajowców nie otrzymywał wyższego wynagrodzenia od tego, które obowiązywało w chorwackiej armii (równowartość 100 DM). Dodatki dla grup uderzeniowych wynosiły około 100 DM. Były jeszcze gratyfikacje za akcje specjalne, ale to również nie były wielkie pieniądze. Osobnym rozdziałem były darowizny od prywatnych osób. Pluton, w którym przebywałem, miał jednego sponsora, emigranta zamieszkałego w Szwajcarii, który co jakiś czas przysyłał trzy, cztery tysiące franków do podziału. Śmiesznym mogłoby się wydawać, że walczący tam obcokrajowcy byli najemnikami. Czy równowartość kilkuset marek miesięcznie, to była pobudka, dla której Kanadyjczyk, Niemiec czy Australijczyk miałby narażać się i ginąć? Wszyscy, których spotkałem byli ideowcami lub ludźmi żądnymi wrażeń i przygód [...]. Byli najmniejszą armią świata, armią ludzi wolnych, walczących tam gdzie chcieli. Po stronie, gdzie wskazywało im serce i sumienie¹⁸.

Zalety książki Adama Bednarczyka potwierdzają generalną zasadę, że warto czytać autsajderów, ludzi spoza głównego nurtu narracji, często idących pod prąd obiegowych opinii i argumentów. Ich punkt widzenia nieraz okazuje się ciekawy i dający do myślenia, zaś ich spostrzeżenia – przenikliwe. Nie lekceważmy więc autentycznego świadectwa zawartego

¹⁷ Tamże, s. 61.

¹⁸ Tamże, s. 108.

w tej książce. Posłuchajmy ostrzeżenia Jacka Kaczmarego: „Pod każdym sztandarem – byle nie białym/ Szukają zwycięstwa – rozbite oddziały [...] I cierpią, gdy śmieje się z nich świat zwycięski/ Niepomni, że mądry nie śmieje się z klęski”¹⁹.

¹⁹ Jacek Kaczmarek, *Rozbite oddziały*.

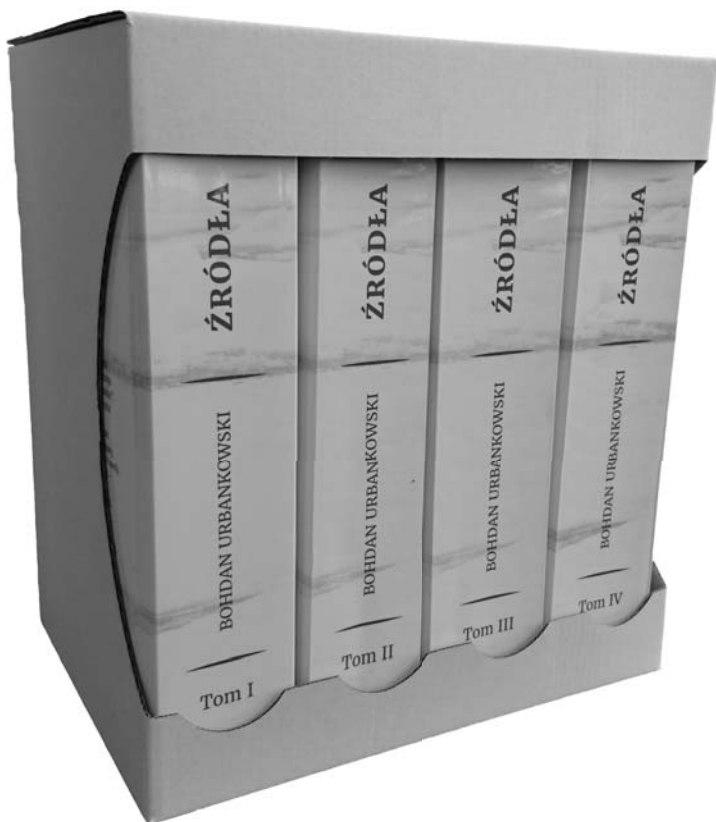
**„Źródła” 1000 lat myśli polskiej
na 100-lecie Odzyskania Niepodległości**

Taki prezent zrobił nam wszystkim doktor Bohdan Urbankowski
wydając swoją historię filozofii polskiej. Dziękujemy!

Cena kompletu: 260 zł (w tym koszty wysyłki)

Wpłaty na konto:

54 1440 1231 0000 0000 1075 6251



„Na szlaku Kadrówek 1981-1989”

Bogato ilustrowana zdjęciami Andrzeja Stawiarskiego opowieść o Marszach Szlakiem Kadrówki w czasach PRL-u.

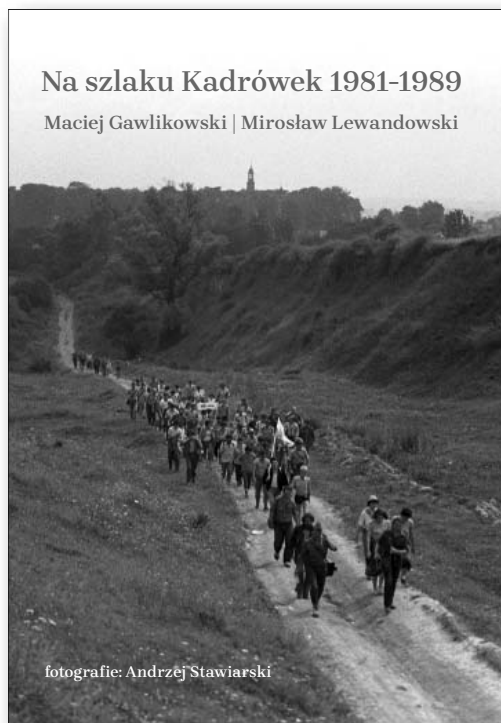
Autorem okładki jest Mariusz Front.

Do książki dołączony jest na płycie DVD film dokumentalny Macieja Gawlikowskiego pt. „Marsze Niepodległości”.

384 strony dużego formatu (większy niż A4), papier kredowany, twarda oprawa.

Aby kupić książkę należy na niżej podany numer konta przelać 75 złotych (cena za 1 szt. wraz z wysyłką) a w tytule wpisać „Na szlaku Kadrówek”, ilość egzemplarzy oraz adres na który przesyłka ma zostać wysłana. Przesyłka zostanie wysłana w ciągu siedmiu dni roboczych od zaksięgowania przelewu.

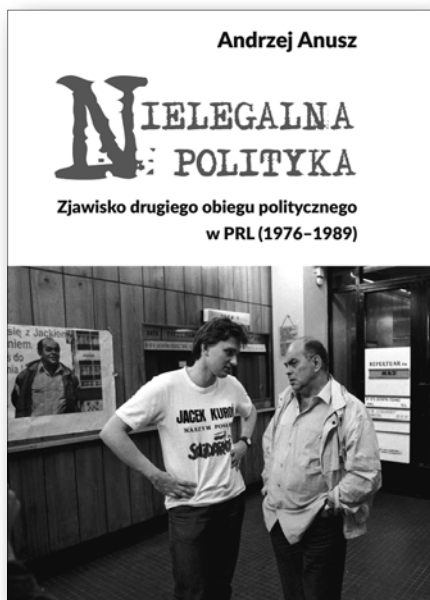
Przelew należy wysłać na konto: Instytut Historyczny im. Andrzeja Ostoję Owsianego ul. Nowy Świat 48 lok. 11, 00-363 Warszawa 54 1440 1231 0000 0000 1075 6251



„Nielegalna polityka. Zjawisko drugiego obiegu politycznego PRL (1976–1989)”

Taki prezent zrobił nam wszystkim doktor Andrzej Anusz wydając swoją książkę, związaną z rokiem początku przemian. Dziękujemy!

Książka poświęcona jest zjawisku drugiego obiegu politycznego w PRL (1976-1989). Część pierwsza poświęcona jest drugiemu



obiegowi politycznemu (wybrane elementy, perspektywa badacza), część druga – temu samemu tematowi, analizowanemu z perspektywy badacza-uczestnika, część trzecia – drugiemu obiegowi wydawniczemu, jako podstawowemu elementowi drugiego obiegu politycznego (perspektywa uczestnika).

Książka jest bardzo starannie wydana: twarda oprawa, 695 stron, bibliografia, indeks osób, streszczenie w języku angielskim).

Aby kupić książkę należy na niżej podany numer konta przelać 60 złotych (cena za 1 szt. wraz z wysyłką) a w tytule wpisać „Andrzej Anusz”, ilość egzemplarzy oraz adres na który przesyłka ma zostać wysłana. Przesyłka zostanie wysłana w ciągu siedmiu dni roboczych od zaksięgowania przelewu. Przelew należy wysłać na konto: Instytut Historyczny im. Andrzeja Ostoja Owsianego ul. Nowy Świat 48 lok. 11, 00-363 Warszawa
54 1440 1231 0000 0000 1075 6251

„Ludwik Muzyczka Benedykt”

Drugie już wydanie (rozszerzone i zmienione) opracowania poświęconego głównie działalności politycznej Ludwika Muzyczki od 1956 roku w świetle zachowanych materiałów SB. Bohaterem książki jest legionista, starosta w okresie międzywojennym, współzałożyciel Organizacji Orła Białego w 1939 roku w Krakowie, szef Oddziału VIII KG ZWZ/AK, współtwórca koncepcji organizacji „Nie”, współtwórca koncepcji Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość”, więzień stalinowski,

aktywny uczestnik nurtu niepodległościowego funkcjonującego wewnątrz środowiska kombatantów legionowych i akowskich, sygnatariusz Listu 59 przeciwko zmianom w Konstytucji PRL w 1976 roku, bliski współpracownik i przyjaciel płk. Kazimierza Pluty-Czachowskiego.

Książka jest wydana bardzo starannie, w twardej oprawie, ma 620 stron (w tym bibliografia, indeks nazwisk i załączniki – teksty Ludwika Muzyczki, m.in. słynny artykuł „Prawda i nieprawda o Armii Krajowej” napisany wspólnie z Plutą-Czachowskim i opublikowany w 1957 roku, a także część druga tego tekstu, która nigdy nie została opublikowana).

Aby kupić książkę należy na niżej podany numer konta przelać 60 złotych (cena za 1 szt. wraz z wysyłką) a w tytule wpisać „Ludwik Muzyczka”, ilość egzemplarzy oraz adres na który przesyłka ma zostać wysłana. Przesyłka zostanie wysłana w ciągu siedmiu dni roboczych od zaksięgowania przelewu.

Przelew należy wysłać na konto: Instytut Historyczny im. Andrzeja Ostoja Owsianego ul. Nowy Świat 48 lok. 11, 00-363 Warszawa
54 1440 1231 0000 0000 1075 6251





„Ja, Szekspir. Ja, Bóg”

Taki prezent zrobił nam wszystkim doktor Bohdan Urbankowski wydając swoją książkę, związaną z rokiem początku przemian. Dziękujemy!

Cena: 60 zł (w tym koszty wysyłki)

Wpłaty na konto:

54 1440 1231 0000 0000 1075 6251



„Moja służba Niepodległej”

Aby kupić książkę należy na niżej podany numer konta przełać 60 złotych (cena za 1 szt. wraz z wysyłką) a w tytule wpisać „Józef Szostak”, ilość egzemplarzy oraz adres na który przesyłka ma zostać wysłana. Przesyłka zostanie wysłana w ciągu siedmiu dni roboczych od zaksięgowania przelewu.

Przelew należy wysłać na konto: Instytut Historyczny im. Andrzeja Ostoję Owsianego ul. Nowy Świat 48 lok. 11, 00-363 Warszawa
54 1440 1231 0000 0000 1075 6251

Drogi Czytelniku

wydaliśmy reprint „Pism zbiorowych Marszałka Józefa Piłsudskiego” (10 tomów z 1937 r.).

Proponujemy szanownym klientom zakup 10 tomów, w cenie 450 zł (w tym koszt wysyłki)

Przelew należy wysłać na konto: Instytut Historyczny im. Andrzeja Ostoja Owsianego ul. Nowy Świat 48 lok. 11, 00-363 Warszawa

54 1440 1231 0000 0000 1075 6251

